

FRONTLINES

# W OGNIU WALKI

MERKLO KLÖÖS

STYLON



fabryka słów<sup>®</sup>  
WYDAWNICTWO

# Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział 1. Przerwany bieg

Rozdział 2. Wspólna Baza Thule

Rozdział 3. Zimowe łowy na niedźwiedzia

Rozdział 4. Pod lodem

Rozdział 5. Nieprzyjazny ruch lotniczy

Rozdział 6. Poobijany

Rozdział 7. Spektakl na przedmieściach

Rozdział 8. Ostatnie dni

Rozdział 9. Należy zebrać drużynę

Rozdział 10. Punkt zgrupowania Echo

Rozdział 11. Faza pierwsza

Rozdział 12. Wykopywanie drzwi z zawiasów

Rozdział 13. Kapsuły poszły

Rozdział 14. Plaża Czerwona

Rozdział 15. Palce bogów

Rozdział 16. Tuttle 250

Rozdział 17. Niebezpieczny teren

Rozdział 18. Ekspres Czerwony Beret

Rozdział 19. Odchylenie na północ 47

Rozdział 20. Nie istnieje coś takiego, jak nadmiar środków bojowych

Rozdział 21. Ucieczka z plaży przed przyływem

Epilog

O autorze

Karta redakcyjna

Okładka

MARKO KLOOS

W OGNIU  
WALKI

TŁUMACZYŁ  
PIOTR KUCHARSKI

fabryka słów®  
Lublin – Warszawa

S E R I A

FRONTLINES

- 1. Pobór**
- 2. Ewakuacja**
- 3. Natarcie**
- 4. Łańcuch dowodzenia**
- 5. W ogniu walki**



## Rozdział 1

# Przerwany bieg

ryblas w moim celowniku wydawał się ogromny, znacznie **D**większy niż dotąd widywane przeze mnie osobniki. Całkowicie wypełniał wizjer karabinu M-90, nawet przy zerowym powiększeniu i odległości kilkuset metrów. Szedł niespiesznie w moją stronę, wykonując leniwe kroki brzmiące niczym wybuchające pociski artyleryjskie. Z każdym ruchem trójpalczaste stopy podrywały obłoki pyłu.

Wycentrowałem krzyżyk celownika na środku klatki piersiowej obcego i pociągnąłem spust, ale miałem wrażenie, jakby jego ciężar zwiększył się po stokroć. Naciskałem z całą siłą, do jakiej byłem zdolny, mimo to ustępował z bolesną powolnością. Stwór przede mną, mierzący przynajmniej sto metrów wzrostu, zrobił kolejny krok, o połowę zmniejszając dzielącą nas odległość. W końcu języczek uruchomił mechanizm uderzeniowy i pocisk wyrwał się z lufy. Zamiast silnego odrzutu i donośnego grzmotu usłyszałem jedynie cichy odgłos, a kolba ledwo naparła mi na bark. Głowica bojowa wyleciała i trafiła obcego w górną część potężnego korpusu, ale zanim jeszcze ujrzałem niewielki obłoczek uderzenia, wiedziałem już, że strzał okazał się nieskuteczny. Ręcznie przeładowałem broń, żeby wystrzelić kolejny raz, choć chyba nie miało to sensu. Opróżniłem tak cały magazynek, lecz Dryblas wydawał się tego nawet nie zauważyć. Zupełnie jakbym ciskał żwirem o skałę.

I nagle stwór znalazł się tuż przede mną, wznosił się w szare niebo niczym wieża, a jego szeroka tarcza czaszkowa przesunęła się z lewej do prawej, gdy obrócił głowę. Zamachnął się jedną z pajęczych łap i niedbałym ciosem bez wysiłku odrzucił mnie na bok. Świat zawirował szaleńczo na wyświetlaczu hełmowym, gdy wzniosłem się raptownie w powietrze.

Wiedziałem, że nie jest to prawdziwe, ponieważ w momencie, gdy uderzyłem w odległy o kilkadziesiąt metrów głaz, powinienem zginąć na miejscu, zgnieciony niczym insekt na polioplastowej szybie hydrobusu, i pancerz bojowy na nic by mi się nie zdał. Zamiast tego osunąłem się na ziemię, w pełni świadomy i przytomny, w ogóle nie czując bólu. W prawej dłoni wciąż ściskałem kawałek roztrzaskanego karabinu. Odrzuciłem bezużyteczny przedmiot i podniosłem się.

Dryblas nie zwracał już na mnie uwagi. Odchodził na lewo ode mnie wielkimi krokami. Choć był wielki, poruszał się tak szybko, że terenówka na pełnym gazie miałaby problemy z dogonieniem go, nawet jeśli się szczególnie nie spieszył. Wiedziony impulsem, pobiegłem za stworem, nie do końca wiedząc, co zrobię, gdy już go dopadnę.

Obcy oddalał się teraz długimi, hałaśliwymi stąpnięciami. Skaliste wzniesienie, na którym się znajdowałem, opadało przede mną w szeroką dolinę. Niebo miało barwę brudnej stali, a grunt – bladej ochry marsjańskiego pyłu. Zatrzymałem się na skraju i rozglądałem po rozciągającej się w dole panoramie. Dryblas miał już nade mną przewagę kilometra i kroczył ku osiedlu, bo właśnie w ten nieprawidłowy sposób określaliśmy ich osady. Terytoria zamieszkiwane przez obcych zajmowały

znaczne obszary i składały się z przeplatających się szkieletowych budowli w sporym stopniu kojarzących się z rafami koralowymi i wydających się paradoksalnie kruchymi, jak na wytwór tak ogromnych istot. Całą nieckę przede mną wypełniały takie właśnie konstrukcje. Pokrywały powierzchnię Marsa całymi kilometrami kwadratowymi, aż do granic zasięgu mojej hełmowej optyki. W otwartych miejscach pomiędzy setkami, czy też raczej tysiącami schronień, widziałem poruszających się samotnie i grupami obcych. Całe mrowie, więcej niż kiedykolwiek dotąd.

Stwór, który mnie zaatakował, schodził dalej zboczem w stronę skupiska budynków. W połowie pochyłości zatrzymał się i obrócił. Wielka głowa przekręcała się w moim kierunku, aż wydawała się spoglądać bezpośrednio na mnie. Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę i nagle Dryblas wydał z siebie skowyt, ogłuszający nawet z dystansu ponad kilometra. Wrzask taki jak ten słyszałem już dziesiątki razy na polu walki i w snach, jednak wciąż nie przestawał wzbudzać niepokoju, zupełnie jakby wyzwał jakąś instynktowną reakcję w pierwotnych obszarach ludzkiego mózgu, tych samych, które każą nam się bać, gdy znajdujemy się sami w ciemności. Ryk przetoczył się nad okolicą niczym dźwiękowe tsunami, oblał mnie i odbił się od zbocza za moimi plecami, miałem wrażenie, jakby dobiegał ze wszystkich kierunków jednocześnie. Trwał około minuty, po czym zanikł powoli, kończąc się posepnym jękiem.

W dolinie inne Dryblaszy podjęły zew i odpowiedziały obcymi głosami, najpierw setki, później tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy. Czulem te dźwięki przez glebę i podeszwy butów,



czułem je w otaczającym mnie powietrzu, zupełnie jakby każda molekuła atmosfery została poruszona energią soniczną tego potężnego chóru. Wydawało się, jakby wszyscy na planecie mogli słyszeć tę swoistą pieśń, choć składało się na nią tak wiele nieharmonijnych głosów. Wołanie rozlegało się długo, zanim wreszcie zamarło powoli.

Nastąpiła cisza, która brzmiała mi w uszach bardziej złowieszczo i znacznie mniej naturalnie niż wcześniejszy hałas. Podniosłem wzrok ku ciemnoszaremu, pustemu niebu i poczułem, jak moje serce stopniowo ogarnia narastająca groza. Pojawił się nowy odgłos, słaby na wietrze, ale niewątpliwie obecny i z każdą sekundą nabierający mocy. Ostry, przenikliwy dźwięk, przypominający gwizd. Podobnie jak wcześniejszy zew Dryblasów, ten również słyszałem już wiele razy w atmosferze i wiedziałem, co zapowiada. Nie bałem się, gdy Dryblas odtrącił mnie z drogi ani gdy dziesiątki tysięcy obcych skowyczały swój nieziemski chorał, ale teraz odczuwałem śmiertelne przerażenie przed tym, co leciało ku powierzchni. Nie dostrzegałem głowic bojowych, ale czułem instynktownie ich złowrogą obecność. Nadciągał koniec świata i nic nie mogło go powstrzymać, żaden schron nie był dość głęboki, żeby się w nim ukryć, żadna istota dość silna, żeby przetrwać to, co miało się wydarzyć.

W ostatnich chwilach przed detonacją rozległ się rozdzierający trzask wywołany małymi, zwartymi pociskami spychającymi sprzed siebie powietrze, gdy pędziły z naddźwiękową prędkością ku ziemi. I nagle w rozpościerającej się przede mną dolinie Dryblasy oraz ich zawile, koronkowe budowle zniknęli w oślepiająco białym rozbłysku, a na

powierzchni planety rozkwitło nowe słońce. Natychmiast poczułem palący żar promieniujący z miejsca eksplozji i miałem wrażenie, jakbym stał przed dyszą wylotową rakiety fuzyjnej. Powiniennem się z miejsca spalić, w nanosekundę rozłożyć na atomy, ale moje ciało wytrzymało zalewające mnie fale światła i gorąca. Zostałem w jednym kawałku wystarczająco długo, by dotarły do mnie również fale dźwiękowa i uderzeniowa. Wybuch okazał się niemożliwie głośny, niczym huk zwiastujący koniec świata. Stało za nim tyle fizycznej siły, że wydawał się niemal materialny. Pomimo tego wszystkiego wciąż mogłem słyszeć i widzieć, wciąż słyszałem dudniące mi w piersi serce, choć podmuch uniósł mnie w powietrze, wycisnął oddech z płuc i rzucił mną o ziemię. Trafiłem głową w coś twardego i nagłe, niespodziewane doznania, które poczułem, wyrwały mnie ze snu.



Obudziłem się na podłodze sypialni. Bok głowy pulsował tęnym bólem, a serce wciąż kołatało. Przekręciłem się na wznak i przez minutę czy dwie spoglądałem w sufit, dopóki częstość akcji serca nie spadła do rozsądnego poziomu. Miałem na sobie jedynie wojskowe majtki i podkoszulek. Klimatyzację w budynku wyłączano na noc, żeby oszczędzać energię, a przez filtry zainstalowane w otwartych oknach dostawał się chłodny jesienny wietrzyk, ale mimo to czułem pot spływający mi po plecach. Zerknąłem na zegar na suficie: 04:38.

Podniosłem się powoli i bez szczególnego entuzjazmu. W łóżku obok mnie spała Halley. Oddychała głęboko i miarowo, wiedziałem więc, że jej sny – jeśli je miała – były nieco mniej

widowiskowe niż moje. Przypięła sobie do ręki automatyczną strzykawkę, która monitorowała jej stan i utrzymywała we śnie dzięki kontrolowanym dawkom zastrzyków nasennych. Minął już ponad miesiąc od naszego powrotu z systemu Leonidas, a siniaki na twarzy i ciele mojej żony wciąż do końca nie zniknęły.

Pokój gościnny na piętrze u chorążego Kopki był maleńki, liczył może z połowę metrażu i tak już ciasnej kwatery, którą dzieliliśmy na Lunie przez rok poprzedzający misję do Leonidasa, ale znajdował się w ziemskiej strefie cywilnej, a nie placówce wojskowej. Poza tym dzieliło nas tylko piętnaście minut jazdy koleją magnetyczną od Bazy Lotniczej Sił Obrony Ziemi Burlington, dokąd Halley udawała się co drugi dzień na rehabilitację. Przeżyła katapultowanie z rozpadającego się okrętu desantowego, ale tytanowa pokrywa kapsuły bezpieczeństwa zatrzasnęła się przedwcześnie, doszczętnie niszcząc lewą połowę ciała Halley. Miała strzaskaną rękę, nogę i biodro, odniosła liczne obrażenia wewnętrzne, a w jej czaszce znajdował się teraz tytanowy implant. Wiedziałem, że wciąż odczuwała spory ból, ale miałem świadomość, że rany skrzywdziły ją zdecydowanie mniej niż pozbawienie statusu pilota. W kwestii znoszenia fizycznego cierpienia Halley była najtwardszą osobą, jaką znałem. Nie chciałem patrzeć na jej udrękę, ale coraz bardziej martwiłem się, co taki stan zawieszenia robi z jej głową.

Przeszedłem do łazienki, zamknąłem za sobą drzwi i przemyłem sobie twarz. Woda z Vermont nadal smakowała nieco dziwnie. Nie mogłaby być czystsza – w piwnicy budynku

znajdowała się pompa sięgająca do zwierciadła wód gruntowych pod ziemią – ale przez całe życie miałem do czynienia z wodą przetworzoną i przefiltrowaną, najpierw w Dzielnicach Zakwaterowania Komunalnego, a później podczas służby, i to ona wciąż stanowiła dla mnie punkt odniesienia.

Obok umywalki znajdowało się okno, otworzyłem więc je, żeby wpuścić więcej chłodnego jesiennego powietrza. Na ulicy panowała cisza. O tej porze nie było przechodniów ani hydrosamochodów, a zamieszkane przez wyższą klasę średnią miasteczko Liberty Falls nie posiadało nocnej ścieżki dźwiękowej typowej dla DZK. Gdy nocowałem tu po raz pierwszy, brak nieustannego szumu tła okazał się dla mnie tak niepokojący, że musiało minąć pół nocy, zanim zasnąłem.

Kiedy wróciłem do łóżka, zobaczyłem, że Halley już nie śpi. Mrugała w moją stronę zaspanymi oczyma, a jej głowę otulała nadmuchiwana poduszka dopasowująca się do kształtów użytkownika. Przez lewą stronę twarzy mojej żony, od linii włosów aż do żuchwy, biegł solidny siniak. Z początku był czarny, następnie zbladł do zielononiebieskiego, a teraz nabrał niezdrowego, żółto-brązowego zabarwienia.

– Cześć – powiedziałem. – Przepraszam, że cię obudziłem.

– Fposzadku – wymamrotała Halley. Zmrużyła oczy, wpatrując się w holograficzny zegar na suficie. – O rany. Wracasz spać?

– Raczej nie – odparłem. – Pójdę pobiegać.

– Teraz?

– To najlepsza pora. Nie muszę wymijać cywilów.

– Dobra – odrzekła. – Ale tym razem nie idę z tobą.

Automatyczna strzykawka na jej ręce wydała z siebie ciche piśnięcie. Halley sięgnęła do niej prawą dłonią i nacisnęła czujnik, aby urządzenie nie uspiło jej na powrót dawką środków przeciwbólowych.

- Dlaczego wstałeś? Gówniane sny?
- Gówniane sny – potwierdziłem.
- Dobrze się czujesz?
- Nie tak źle. Potruchtam trochę, żeby oczyścić głowę.
- W porządku. – Popatrzyła na mnie z troską. – Ale wróć na śniadanie, inaczej wezwę siły szybkiego reagowania.
- Tak jest, pani kapitan.

Powietrze na zewnątrz było przyjemnie rześkie. Zrobiła się już późna jesień i temperatury w nocy od tygodnia czy dwóch spadały poniżej zera, ale lubiłem biegać w takich warunkach. Ruszyłem ulicą, mijałem sklepy i lokale zamknięte o tej porze, z każdym stąpieniem wydychając małe obłoczki pary. Ćwiczyłem w kamuflażowych spodniach mundurowych oraz podkoszulku, z pistoletem przypiętym do pasa i tabletem osobistym w kieszeni na biodrze. Teoretycznie poza służbą zawsze powinienem mieć przy sobie worek ze sprzętem, ale trudno się biega z ponad dziesięcioma kilogramami lekkiego pancerza i automatyczną bronią obrony osobistej na ramieniu.

Nie przepadałem wcześniej za bieganiem, ale jakoś się do niego przyzwyczailem, a nawet polubiłem, odkąd przed miesiącem wróciliśmy z Leonidasa. Pozwalało mi uspokajać myśli, gdy nie mogłem spać lub przez chwilę wolałem być sam ze sobą. W ramach efektu ubocznego wróciłem do wagi

z okresu, zanim na rok przyjąłem posadę instruktora szkolenia w obozie Orem i nieco się spasałem na garnizonowym żarciu.

Choć już od jakiegoś czasu dyszałem na tych uliczkach, wciąż czułem się nieco surrealistycznie, gdy przebywałem tam sam po zmroku. W DZK nie minęłoby dziesięć minut, zanim ktoś by mnie obrabował lub zabił, lecz Liberty Falls było schludnym, bezpiecznym miasteczkiem. Zwykle podczas przebieżki widywałem przynajmniej jeden patrol policyjny i ta noc nie należała do wyjątków. Kiedy minąłem bibliotekę w centrum, wyprzedził mnie policyjny hydrosamochód. Zerknąłem w bok i ujrzałem taksującego mnie wzrokiem gliniarza, który jednak zaraz uniósł dłoń w geście powitania, a ja odmachalem mu lekko. Radiowóz pojechał dalej, napędzany elektrycznym silnikiem tak cichym, że słyszałem jedynie szelest opon na asfalcie.

Tuż za ratuszem odchodziła w bok droga biegnąca ostro na wzgórze. Nie udało mi się jeszcze pokonać jego kilometrowego zbocza, nie zatrzymując się dla nabrania tchu, ale każdego ranka docierałem coraz dalej. Dziś wbiegłem dalej niż do połowy, zanim nogi zaczęły robić się ciężkie. Może to właśnie teraz uda mi się osiągnąć szczyt i tamtejsze osiedle willowe, pomyślałem.

Znajdowałem się już w trzech czwartych podbiegu, zmęczony, lecz wciąż w nastroju bojowym, gdy mój OTI wydał z siebie ćwierknięcie oznaczające nadejście wiadomości. Sygnał składający się z trzech krótkich, trzech długich oraz trzech krótkich dźwięków zarezerwowany dla komunikatów o najwyższym priorytecie. Zatrzymałem się i przez chwilę

łapałem oddech. Następnie wyciągnąłem tablet z kieszeni, zerkając na szczyt, oddalony ode mnie zaledwie o kilkaset metrów i parę minut sapania przy nachyleniu dziesięciu stopni.

Może jutro.

Na ekranie OTI ujrzałem krótką wiadomość. Jej treść sprawiła, że organizm wygenerował solidny wyrzut adrenaliny, po którym zupełnie opuściło mnie zmęczenie.

*Nastąpiło wtargnięcie Dryblasów – cały personel na przepustkach ma się natychmiast zgłosić do RWPZ – to nie są ćwiczenia.*

Mianem RWPZ określano regionalne wojskowe punkty zgrupowania, najbliższe w stosunku do miejsc, w których znajdowaliśmy się na przepustce, bazy dysponujące lądowiskami lotniczymi lub kosmicznymi. Dla mnie i Halley była to Baza Lotnicza Sił Obrony Ziemi w Burlington, oddalona o piętnaście minut. Wsunąłem OTI z powrotem do kieszeni na nogawce i zacząłem zbiegać w dół zbocza.

Gdy przemknąłem po schodach i wpadłem do pokoju gościnnego nad restauracją, Halley wstała już z łóżka i była na wpół ubrana. Ściągnąłem przeпоcony podkoszulek, rzuciłem napodłogę, po czym wyjąłem czysty z komody.

– Śniadanie będzie musiało poczekać – powiedziałem.

– Dostałam wiadomość – odparła. – Też jadę.

– Taa, jasne. Jesteś na rehabilitacji i nie możesz latać, dopóki lekarz ci nie pozwoli.

– Spróbujcie mnie powstrzymać, poruczniku – oznajmiła. –

I tak musiałabym pojechać dzisiaj do Burlington na kolejną sesję

tortur fizycznych. Równie dobrze mogę mieć na sobie kombinezon lotniczy, w razie gdyby wylało się szambo i mieliby akurat do dyspozycji więcej okrętów niż pilotów.

Wiedziałem, że lepiej nie kłócić się z nią na ten temat, zwłaszcza że już dopinała kombinezon. Chciałem, żeby wróciła do łóżka i pogodziła się z faktem, że nie jest w odpowiedniej formie, by latać, i że żaden dowódca skrzydła nie umieści jej za sterami desantowca, jeśli lekarz wojskowy ją uziemił. Wiedziałem jednak również, że nie mam prawa podejmować za nią tej decyzji, więc mimo wszystko wyjąłem z komody kaburę i pomogłem Halley przypiąć ją pod pachą. Skrzywiła się lekko, przekładając lewą rękę przez uprząż, ale po chwili była już w pełni ubrana i wyposażona do walki, pierwszy raz, odkąd przed miesiącem wróciliśmy do Układu Słonecznego, ona w kapsule pourazowej w izbie chorych na OWPA „Portsmouth”. Prawą dłonią poklepała umieszczony w kaburze pistolet.

– Miłe uczucie – stwierdziła.

– Od miesiąca nie było żadnego wtargnięcia – oznajmiłem. – Miałem nadzieję, że kolejne nie nastąpi aż do Marsa.

– Oby to był jeden okręt, a nie cała ich cholerna flota – odrzekła Halley. – Byłoby paskudnie, gdyby zaczęli inwazję tuż przed tym, kiedy zamierzaliśmy odpalić własną ofensywę.

Podniosłem worek ze sprzętem i przerzuciłem przez ramię. Wziąłem też torbę Halley leżącą po jej stronie łóżka.

– Przekonamy się za dwadzieścia minut – uznałem. – Chodźmy. W pociągu włożymy pancerze i załadujemy broń.



Gdy wyszliśmy z pokoju, wpadliśmy na moją mamę i chorążego Kopkę, którzy przyszedli, żeby otworzyć restaurację. Mama wyglądała na zaniepokojoną, gdy ujrzała, że trzymamy worki ze sprzętem i mamy poważne miny.

– Co się dzieje, Andrew?

– Nagły alarm – odparłem. – Musimy się zgłosić do Burlington. Nastąpiło wtargnięcie Dryblasów.

– Ilu? – zapytał Kopka.

– Nie mamy pojęcia. Dostaliśmy tylko komunikat. Jedziemy do bazy, żeby się dowiedzieć więcej. Obserwujcie wiadomości i nie ruszajcie się stąd. Jeśli zrobi się gorąco, niech pan pamięta o sejfie w gabinecie.

Chorąży Kopka skinął głową z miną równie ponurą jak nasze.

– Uważajcie tam oboje na siebie. I spuście im manto.

Mama przytuliła Halley, która skrzywiła się lekko, lecz odwzajemniła uścisk. Następnie objęła mnie, choć udało jej się to tylko częściowo, bo miałem na sobie niemal trzydzieści kilogramów dodatkowego osprzętu.

– Wiem, że to wasza praca. Ale co poradzę, że nie cierpię, gdy lecicie do walki?

– Masz do tego prawo, mamo – rzekłem. – Musimy iść. Wrócimy. Ale nie czekajcie ze śniadaniem. Może nam to zająć chwilę.

– Przygotuję wam posiłek, gdy wrócicie. O dowolnej porze. Ale wróćcie, proszę.

Nie miałem już w zwyczaju zegnać się, gdy odjeżdżałem. Poszliśmy w stronę dworca, nie odprawiając rytuału rozstania. Lepiej zachowywać się w taki sposób, jakby na chwilę

zawieszało się codzienne życie, żeby zająć się innymi sprawami, a po powrocie podejmowało się przerwane wątki. Gdybym za każdym razem szczerze się zęgnął w sposób odpowiedni do rzeczywistego niebezpieczeństwa, któremu stawialiśmy czoła, wyzułbym się z wszelkich uczuć.

W pociągu magnetycznym ledwo zdążyliśmy założyć lekkie pancerze i załadować broń obrony osobistej, czyli krótkie pistolety maszynowe, które nosiliśmy w workach na wypadek, gdybyśmy potrzebowali czegoś o większej sile rażenia niż zwykły pistolet. Z Liberty Falls do Burlington jechaliśmy tym razem mniej niż piętnaście minut – szybciej niż zwykle, ponieważ potrzeby wojska przeważały nad standardowym rozkładem. Sprawdziliśmy sobie nawzajem sprzęt, choć w porównaniu ze zwykłymi pancerzami bojowymi nie mieliśmy wiele do zapinania czy kalibrowania, dobrze jednak, gdy dłonie i mózg mogły coś zrobić na autopilocie, poza tym pomogło nam to trochę zwalczyć odczuwany niepokój. Nie licząc pierwszego komunikatu, przez MilNet nie dotarły żadne inne wieści, w myślach rozgrywaliśmy więc całe spektrum możliwych scenariuszy, od pojedynczego okrętu nasiennego do pełnowymiarowej inwazji całej floty Dryblasów zgromadzonej wokół Marsa. Pamiętałem dobrze sen z minionej nocy i miałem nadzieję, że nie stanowił on profetycznej wizji nadchodzących wydarzeń. Nie byłem jeszcze gotowy na ten dzień, zarówno pod względem fizycznym, jak i mentalnym.

BLSOZ Burlington posiadała własną stację na linii kolei magnetycznej. Wysiedliśmy z wagonu wraz z kilkudziesięcioma

innymi żołnierzami z okolicy, którzy odpowiedzieli na wezwanie. W punkcie kontrolnym przy wejściu do bazy stało sześciu wartowników SOZ w pełnych pancerzach bojowych i z karabinami M-66 w gotowości. Podeszliśmy wraz z Halley, żeby zeskanowano nam legitymacje.

– Oficer kapsli – oznajmił porucznik dowodzący punktem kontrolnym, gdy na jego ekranie wyskoczyły moje kwalifikacje.

– Wspaniale. Mamy tu kilka plutonów, którym przyda się oficer z uprawnieniami desantowymi. Proszę zgłosić się na stanowisko Bravo na lądowisku, przydzielę tam panu coś do latania.

– Ja też tam idę – wtrąciła Halley. – W razie gdyby potrzebowali pilota. Potrafię latać wszystkim, co jest dostępne.

Dowódca posterunku zeskanował jej dokumenty.

– Tak jest, pani kapitan. Sierżancie Aponte, podrzućcie oficerów na stanowisko Bravo, gazem.

– Ile okrętów nasiennych na nas leci, poruczniku? – spytała Halley.

– Żaden, pani kapitan. – Przeniósł wzrok na mnie, a następnie na kolejkę rejestrujących się żołnierzy. – Już tu są. Przed godziną zaatakowali Wspólną Bazę Thule. Na Grenlandii. Wyleźli spod lodu.

## Rozdział 2

# Wspólna Baza Thule

ziewięć kilometrów nad zachodnim wybrzeżem Grenlandii  
**D** nasz klucz desantowców przeszedł w szyk przeznaczony do zejścia bojowego i zaczęliśmy opadać w wir lodu i wiatru.

Nad tą częścią wyspy szalała burza, z naszego pułapu wyglądająca niczym ucieleśniona zimowa furia. Chmury były jak stalowoszara kotłująca się masa, sięgająca do wysokości ponad czterech kilometrów. Kiedy nasze Szerszenie zagłębiły się w wichurę, natychmiast zaczęły nimi szarpać gwałtowne prądy powietrzne. Podczas służby jako kapsel już wielokrotnie schodziłem w tak gwałtowny sposób, ale teraz, kiedy pędziliśmy ku ziemi w locie, który wydawał się ledwo kontrolowany i trzęsło nami niczym kamykami w puszczy, nie przypomniałem sobie, żebym kiedykolwiek przebywał w aż tak paskudnych warunkach. Oprócz mnie w ładowni siedziało trzydziestu szeregowych żołnierzy Piechoty Kosmicznej i SOZ, trzymałem więc uniesiony wizjer hełmu i starałem się sprawiać wrażenie, jakbym w ogóle się nie przejmował.

W sieci taktycznej panowała dziwna cisza. Nasz klucz czterech okrętów desantowych, wiozących pełną kompanię, wykonywał zejście bojowe korkociągiem ku Wspólnej Bazie Thule. W pobliskiej przestrzeni powietrznej widziałem na monitorze więcej maszyn wojskowych – dwa samoloty SOZ do atakowania celów naziemnych nadlatywały od południa,

w odległości pięćdziesięciu kilometrów i półtora kilometra poniżej nas, zaś z głębi Grenlandii zbliżała się formacja desantowców Eurokorpusu, wciąż oddalonych o sto kilometrów i schodzących w szyku klina. Nie dostrzegałem jednak nic w dole, żadnych znaczników taktycznych ustawionych przez jednostki, które powinny przebywać we wspólnej bazie powietrzno-kosmicznej Thule, którą dzieliliśmy z Europejczykami, ani też w jej pobliżu.

– Jakież wieści z ziemi? – nadałem do pilota.

– Nie – odparł z kokpitu porucznik SOZ. – Nic nie odbieram. Ani komunikatów, ani radaru aktywnego. Automatyczny system lądowania też milczy. Zabawnie będzie podchodzić w tym wirującym gównie.

Kamera na kadłubie pokazywała wyłącznie niesione wiatrem śnieg i lód. Nie dysponowałem żadnymi zewnętrznymi punktami odniesienia i tylko mój błędnik oraz wskazania instrumentów z kokpitu informowały mnie, że wciąż lecimy w stronę powierzchni z nachyleniem dwudziestu stopni. Bez działającego promienia ASL okręt desantowy nie mógł wykonać zautomatyzowanego lądowania i tylko od umiejętności pilota zależało, czy usiądziemy w jednym kawałku, czy też w najbliższych minutach zostanie z nas dymiący krater. Za sterami nie siedziała Halley – nie pozwoliliby jej pilotować jednostki SOZ. Czułem jednocześnie ulgę oraz niepokój, że moja żona w trakcie tego desantu znajdowała się na lądowisku w BLSOZ Burlington.

– Skąd oni się wzięli, do cholery? – spytał jeden z dowodzących plutonami sierżantów na kanale dowodzenia.

– Z kapsuły, która rozbiła się na początku zeszłego miesiąca – podsunąłem. – Doścignęliśmy ją i przyprażyliśmy Dryblas, który się z niej wygramolił. Kapsuła zapadła się pod lód. W środku musiało siedzieć jeszcze paru obcych.

– Przetrwali pod lodem dłużej niż zaszary miesiąc?

– Na to właśnie wygląda, sierżancie – odparłem.

Pamiętałem tamten desant: potężne uderzenie fragmentu kadłuba, kapsuła nasienna, którą niedługo później znaleźliśmy w lodzie, Dryblas, który wylazł ze szczątków prosto pod nasz ogień, oraz straszliwy odgłos, gdy lód ustąpił. Kapsuła zsunęła się do rozpadliny zbyt głębokiej, żeby nawet silne szperacze Osy zdołały rozświetlić drogę do samego dna. Wkrótce potem na miejscu zjawili się Eurosi, którzy oczyścili miejsce katastrofy, ale wychodziło na to, że nie zbadali zbyt dokładnie, czy jacyś Dryblasy przeżyli. Być może pod lodową pokrywą grubości jednego kilometra nie dawało się odnaleźć śladów życia. Walczyliśmy z tymi istotami już od ponad pięciu lat, a jednak za każdym razem wciąż nas zaskakiwały i zmuszały do zmiany taktyki.

– Temperatura powietrza na zewnątrz wynosi minus osiemdziesiąt trzy stopnie – oznajmił szef załogi desantowca. – Na poziomie gruntu minus dwadzieścia stopni, wiatr dziewięćdziesiąt węzłów. Lepiej skontrolujcie systemy grzewcze, żeby misja nie okazała się krótka.

Lekką skorupę, którą nosiłem w worku awaryjnym, zamieniłem na pancerz SOZ wypożyczony ze zbrojowni okrętu. Warunki na Grenlandii należały do najbardziej surowych na Ziemi, zwłaszcza na początku zimy. Lekka osłona była

pozbawiona ogrzewania i gdybym to w niej wyszedł prosto w mroźną burzę, w ciągu pięciu minut zamieniłbym się w pozbawiony zdolności bojowej sople. Włączyłem diagnostykę systemu grzewczego i po chwili poczułem ciepło promieniujące z wbudowanych elementów termicznych.

– Pieprzona Grenlandia – mruknął sierżant. – Wydawało mi się, że te stwory nie lubią zimna.

– Bo nie lubią – odrzekłem. – Ale to najwyraźniej nie oznacza, że nie są w stanie w nim przetrwać. Sprawdźcie gotowość drużyn. I lepiej niech nikt nie odbezpiecza broni, dopóki nie znajdziemy się na ziemi i nie opuścimy Szerszenia.

– Tak jest, poruczniku. To pan jest ekspertem.

Okrętem zarzuciło gwałtownie w prawo, zanurkowałam, po czym znów się poderwałam, niczym korek podskakujący na wzburzonych falach. Gdyby nie pasy mocujące nas do siedzeń, plutonem miotałoby właśnie po całej ładowni. Kadłub skrzypiał i zacząłem się zastanawiać, jak ciężkie warunki atmosferyczne mogą znieść te stare jednostki, zanim zmęczenie metalu oraz fizyka sprawią, że spadniemy na Grenlandię w chmurze szczątków.

– Widoczność na dole będzie gówniana, a Dryblasów nie widać w termowizji – poinformowałam swojego zastępcę i dowódców drużyn. – Po zejściu tylną rampą formujemy rozciągniętą linię ognia. Odstęp dziesięć metrów między żołnierzami. W ten sposób przynajmniej tak-łaczce będzie nam pokazywało, co widzą inni. Jeśli cokolwiek wylezie z burzy, walcie bez wahania. Walka będzie się odbywać na krótki dystans, więc zachowujcie czujność. I ograniczcie rozmowy

przez radio do minimum. Potrafią je wyczuwać.

Dowódcy drużyn nadali po kolei krótki sygnał potwierdzający. Ludzie w ładowni Szerszenia wyglądali na spiętych, lecz zdeterminowanych. W przeciwieństwie do niedoświadczonych dzieciaków, desantujących się ze mną na Grenlandię przed ponad miesiącem, ci tutaj byli już niemal weteranami SOZ. Owszem, wolałbym dysponować teraz plutonem zahartowanych kosmicznych małą z PK, ale przynajmniej moi obecni podkomendni nie wyglądali, jakby dopiero co skończyli szkolenie przygotowawcze, znajdowało się też wśród nich paru doświadczonych szeregowych i podoficerów, zachowujących się w taki sposób, jakby brali już udział w wielu desantach. Nowa doktryna odpowiedzi na wtargnięcia Dryblasów polegała na szybkiej reakcji: zebrać wszystko, co jest do dyspozycji, i uderzyć jak najszybciej, zamiast marnować czas na odpowiedni dobór sił i środków. Wszyscy w Korpusie Obronnym Wspólnoty Północnoamerykańskiej przeszli już przez trening w posługiwaniu się bronią przeciwko obcym, ponieważ każdy mógł zostać w każdej chwili wystawiony do walki z najeźdźcami.

– Siadamy za trzy minuty – oznajmił pilot. – Jesteśmy na tysiącu metrów. Na dole mnóstwo sygnatur termicznych.

Komputer w panczerzu pokazywał mi obszar kilku kilometrów wokół Wspólnej Bazy Thule, rozległej placówki wojskowej, którą prowadziliśmy we współpracy z siłami obronnymi Unii Europejskiej. Thule miała duże lądowisko dla desantowców i dwa pięciokilometrowe pasy startowe, dzięki czemu mogła



obsłużyć każdą jednostkę latającą z zasobów WPA. Zerknąłem na obraz z kamery z dziobu Szerszenia i dostrzegłem wyłącznie wirujący śnieg. Co innego sensory termiczne. Przed nami, w miejscu, gdzie baza tuliła się do północno-zachodniego wybrzeża Grenlandii, płonęły dziesiątki dużych i małych ogni.

– Wykonaj przelot na niskim pułapie, zanim nas zrzucisz – nadałem do kokpitu.

– Nie wiem, czy to cokolwiek da – odpowiedział pilot. – Widoczność jest zerowa.

Wyłączyłem obraz z kamery zewnętrznej, bo miałem od niego tylko zawroty głowy i jeszcze bardziej się niepokoiłem. Bez wizualnych punktów odniesienia nie byłem w stanie stwierdzić, czy nie lecimy na przykład do góry nogami, a błędnik próbował mnie przekonać, że tak właśnie było. Skupiłem się zatem znów na tym, co znajdowało się przed moim nosem, czyli na ładowni okrętu desantowego, w której siedziało trzydzieścioro siedmioro ludzi znajdujących się pod moim dowództwem.

– Sześćdziesiąt sekund – ogłosił pilot. Czerwona lampa nad tylną rampą zaczęła mrugać. Wokół mnie żołnierze ostatni raz sprawdzali ekwipunek.

– Linia ognia – zawołałem na kanale plutonu. – Odstępy dziesięć metrów. Gdy tylko staniecie na ziemi, wolno strzelać bez rozkazu. Jeśli pojawi się przed wami coś wielkiego, walcie, ile się da.

Zerknąłem na lokalne tak-łącze, by sprawdzić status pozostałych lecących z nami plutonów. Schodzili od naszej bakburty, pół kilometra z tyłu, i mieli siadać również pół kilometra na północ od nas. Desantowce Eurokorpusu wciąż

dzieliło od nas pięćdziesiąt kilometrów, czyli przynajmniej dziesięć minut lotu, a więc na razie byliśmy zdani tylko na siebie i ewentualne siły, które pozostały w Thule. Przełączyłem się na miejscowy kanał obronny.

– Do personelu bazy Thule na ziemi, tu lot SOZ Burlington Jeden Pięć. Zamierzamy lądować w połowie pasa startowego Zero Osiem Tango z pełnym plutonem piechoty. Jeśli ktoś tam jest, załadujcie dane z waszego tak-łacza i nie wychylajcie się.

Przełączniki taktyczne w naszych pancerzach mogły łączyć się z innymi komputerami bojowymi w zasięgu sprzętu i podpinąć się do tymczasowych sieci jednostek WPA znajdujących się na powierzchni, aby w gorączce walki informacje przechodziły bez opóźnień. Gdy schodziliśmy nad bazę, niepokojąco mało aktualizacji wyskakiwało na tle szarej mgły osnuwającej obraz taktyczny wyświetlany przez mój hełm.

– Dostrzegam liczne pożary – rzekł pilot.

Spojrzałem znów na obraz z kamery zewnętrznej i w wirującym białym tumanie dostrzegłem pomarańczowe plamy – przynajmniej sześć dużych źródeł ognia. Mój komputer szybko nałożył je na mapę taktyczną. Największy blask dobiegał ze stanowiska tankowania w pobliżu dużego lądowiska desantowców za pasem startowym, jednak wyglądało na to, że Dryblasy nie ograniczyli się do zniszczenia infrastruktury paliwowej. Jeśli współrzędne komputera były prawidłowe, rozbili także budynek głównych koszar oraz reaktor fuzyjny zasilający cały kompleks. Oczywiście, że wzięli się za reaktor. Zawsze tak robili.

– Podajcie mi stan srebrnych kul – nadałem do moich

dowódców oddziałów.

– Trzy – dobiegła odpowiedź.

Chciałem krzyknąć: „Tylko tyle?!”, ale się powstrzymałem. Srebrne kule, jak żołnierze nazywali niedawno wprowadzone do użytku przeciwko obcym rakieety do wyrzutni MARS, były powiększoną wersją nowych gazowych pocisków karabinowych, z dziesięciokrotnie zwiększoną ilością czynnika wybuchowego oraz znacznie solidniejszą igłą penetratora. Sporo kosztowały, nie można ich było długo przechowywać i większość produkcji szła do magazynów floty szykującej się do inwazji na Marsa, więc powinienem się cieszyć, że w ogóle mieliśmy coś na pokładzie.

– Dajcie po jednej na flankę i ostatnią w środku – poleciłem. – I postarajcie się nie spudłować.

– Tak jest – odparł mój zastępca. Byłem pewien, że przewraca oczami: zasrany poruczniczyna z Floty myśli sobie, że w SOZ nie wiemy, jak wykonywać naszą cholerną robotę.

Tylna rampa Szerszenia zaczęła się otwierać tuż przed tym, jak dotknęliśmy płozami oblodzonej powierzchni pasa, i arktyczny podmuch wdarł się do wnętrza ładowni niczym niewidzialne ostrze. Burza szalała i warunki były równie nieprzyjazne, jak na odwiedzanych przeze mnie światach, gdzie ledwo zaczął się proces terraformowania. Nie miałem pojęcia, dlaczego jako gatunek upieraliśmy się, żeby zamieszkiwać miejsca, w których pogoda potrafi zabić równie szybko i skutecznie jak Dryblas albo fleszeta z broni przeciwnika.

– Opuścić pokład! – krzyknął mój zastępca, gdy pochylnia ze stłumionym stukiem dotknęła pasa. – Pierwsza drużyna na lewo.

Druga w środku. Trzecia na prawo. Ruszać dupy!

Żołnierze SOZ wysypali się z okrętu, odbezpieczając broń. Siedziałem na samym przedzie, musiałem więc wyjść na końcu. Odpiąłem pasy, wyciągnąłem M-90 z klamry blokującej i zbiegłem za ostatnią grupką podkomendnych. U spodu rampy pociągnąłem za dźwignię ładowania karabinu i wprowadziłem do lufy piętnastomilimetrowy pocisk przeciwko Dryblasom.

W szalejącej wokół zamieci widziałem może na trzydzieści metrów. Komputer nakładał na wizjer hełmu wszystkie dostępne przez tak-łączy informacje. Kompania rozstawiała się szerokim szpalerem, a Szerszeń wznosił się z powrotem, żeby zapewnić nam wsparcie lotnicze. Po lewej i prawej miałem niebieskie sylwetki żołnierzy, których nie dostrzegałem gołym okiem, lecz system pancerza znał ich pozycję, ponieważ łączył się z każdym dzięki sieci taktycznej bliskiego zasięgu.

– Ruszać w stronę kompleksu – rozkazałem, zaznaczając na mapie pobliskie skupisko budynków. – I przejść na termowizję. W ten sposób nie zobaczymy Dryblasów, ale ludzi już tak.

Przełączałem po kolei tryby wizualne, aż wreszcie w nijakiej białej masie przed sobą dostrzegłem pomarańczowe i czerwone źródła ciepła.

– Dowódca Jeden Pięć, oprócz was gównem tu widzę – dotarło z góry, gdzie komputer pokazywał trójwymiarowy wizerunek desantowca unoszącego się siedemdziesiąt metrów nad naszymi głowami.

– Ruch z lewej – zawołał jeden z żołnierzy, a przez mój i tak już nakreślony organizm popłynął nowy strumień adrenaliny.

Poczułem Dryblasa przez podeszwy butów, zanim go

dostrzegłem. Choć nie byli tak ciężcy, jak z początku sądziliśmy, i tak wazyli ponad dwieście pięćdziesiąt ton, i gdy jeden z nich przechodził w pobliżu, wstrząsy wywołane jego krokami zdradzały jego obecność każdemu w promieniu ćwierć kilometra. Tym razem wibracje wydawały się gwałtowne i szybkie – stwór biegł.

Na naszym lewym skrzydle w nawałnicy zmaterializowało się coś wielkiego i białego. Operator MARS-a na końcu naszej linii obrócił wyrzutnię, lecz Dryblas był zbyt blisko i poruszał się za szybko. Zamachnął się pająkowatą łapą i przejechał nią po ziemi w miejscu, gdzie strzelec podnosił właśnie broń. Odrzucony żołnierz zniknął w lodowo-śnieżnym obłoku, ciśnięty w zamieć. MARS i bezcenna srebrna kula, jedna trzecia naszych raketowych zapasów, zniknęły w okamgnieniu wraz z pechowcem.

Nie musiałem wykrzykiwać rozkazów, żeby po lewej stronie odtworzono linię i otwarto ogień. Kilka M-90 wypuściło gazowe pociski w obcego, zanim jeszcze osiadła chmura podniesionego przez niego śniegu. Dryblas przyjął na korpus dwa, trzy, wreszcie cztery uderzenia, na tak bliską odległość niemal nie dało się go chybić. Stwór potknął się i zatoczył naprzód, wydając z siebie ogłuszający skowyt. Sam również strzelałem do niego, naciskając spust, dopóki nie opróżniłem magazynka. Działka desantowca odezwały się długą, hałaśliwą serią i łuski zaczęły spadać na nas stalowym deszczem. Obcy próbował wyprostować się i niemal stanął na nogi, pomimo gradu pocisków trafiających w jego ciało i podrywających wokół niego małe gejzery lodowych odłamków. Wtedy obok mnie zagrzmiała wyrzutnia

MARS. Rakieta pomknęła z prędkością dźwięku niczym rozwścieczony świetlik. Trafiła Dryblasa w sam środek korpusu i eksplodowała z głuchym, wilgotnym hukiem. Głośny wrzask potwora przeszedł w rozwleczony bulgot, niepokojąco kojarzący się z ludzkim śmiertelnym rżeniem, i istota upadła w śnieg.

– Burlington Jeden Pięć, przerwać ogień! – wrzasnąłem na kanale wsparcia lotniczego. – Jeden zlikwidowany. Oszczędzać amunicję!

– Przyjąłem.

Palba z góry ucichła. Według zegara w moim komputerze całe starcie od momentu wyłonienia się obcego z zamieci trwało dwadzieścia sekund, ale byłem tak zdyszany i zmęczony, jakbyśmy walczyli cały poranek.

– Rozniosą nas tu, na otwartym terenie – nadał mój zastępca. – Została jedna srebrna kula. Na tak krótkim dystansie karabiny nie zatrzymają ich dość szybko.

– Do tamtych hangarów, ruchy! – poleciłem. – Wykorzystamy przestrzeń między nimi jako osłonę i stamtąd ruszymy dalej.

Pluton pomknął ku względnemu schronieniu, jakie dawały budynki oddalone o ponad sto metrów. Gdy biegliśmy przez oblodzoną płytę lotniska, starałem się zwracać uwagę na wymowne wibracje gruntu, które obwieściłyby nadejście kolejnego Dryblasa. Przywykłem do walki z nimi na odległość, kiedy mogłem ich widzieć i wykorzystywać zasięg broni. Gdy zataczałem się w śnieżycy, w której gdzieś kryli się obcy, czułem się, jakbym znów stał się łatwym łupem. W biegu zmieniłem magazynek i załadowałem pocisk do komory. Hałas z góry świadczył, że Szerszeń wciąż dotrzymywał nam kroku i osłaniał

nas.

– Miejscowe siły obronne, miejscowe siły obronne, do wszystkich na tym kanale, proszę o odpowiedź – nadałem, próbując nie dyszeć do hełmowego mikrofonu.

– Burlington Jeden Pięć, odbiór. Tu porucznik Selbe, Siły Ochrony Ziemi.

– Jakie jest pana położenie, poruczniku? Nie widzę nikogo na tak-łączy.

– Siedzimy w schronie pod centrum kontrolnym. Zlikwidowali cały pluton strażniczy. Połowa ludzi tutaj nie ma nawet pancerzy.

– Jak, do ciężkiej kurwy, pozwolili się tutaj napaść bandzie przerośniętych jaszczurek? – dopytywał na kanale plutonu zastępujący mnie sierżant. Wbiegaliśmy po kolei w przestrzeń między dwiema kopułami hangarów i przycupnąłem przy ścianie jednego z nich, pamiętając, by uważać na otoczenie.

– A spodziewalibyście się ich tutaj? – odparłem. – Ci żołnierze siedzieli sobie nad porannym żarciem w środku pieprzonej zawieruchy. Na zamarznętym zadupiu Ziemi.

Ekran tak-łączy pokazywał mi, że centrum kontrolne znajduje się dwieście metrów za nami, po drugiej stronie wielkiego stanowiska pionowego startu dla okrętów desantowych.

– Nie wychodźcie stamtąd – powiedziałem porucznikowi z SOZ. – Mamy już na ziemi kompanię, a kolejne siły lecą. Udało wam się policzyć Dryblasów?

– Nie. Pokazali się i zaczęli niszczyć kompleks, zaraz gdy rozpętała się śnieżycyca. Po tak-łączy możemy zgadywać, że było ich pewnie koło dwunastu.

– Zajebicie, kurwa – mruknąłem do siebie.

Polowanie na tuzin obcych w takich warunkach, gdy dysponowaliśmy jedynie piechotą i brakowało nam porządnego wsparcia z powietrza, w zasadzie równało się samobójstwu.

– Dowódca Burlington, zgłoś się – nadałem na najwyższym kanale dowodzenia do kapitana kierującego naszą kompanią.

– Dowódca Jeden Pięć, tu Dowódca Burlington. Mów.

– Jesteśmy pomiędzy hangarami po drugiej stronie lądowiska pionowego startu. Jeden z tych gnojów wyskoczył na nas, zaraz gdy zeszliśmy z okrętu. Zlikwidowaliśmy go, ale mamy poległego. Proponuję, żebyśmy przyczaili się na chwilę i poczekali na Eurokorpus. Jeśli spróbujemy połączyć siły w tej głównianej śnieżycy, obcy nas zdeptają.

– Nie sprzeciwiam się tej ocenie – odrzekł kapitan. Według tak-łącza znajdował się na południe od centrum kontrolnego, przy składach amunicji. – Jesteśmy tylko sto metrów od centrum kontrolnego, wezmę więc tam pierwszą drużynę i zabezpieczymy perymetr. Wy się nie ruszajcie i dołączcie z drugą i trzecią drużyną, gdy dotrą tu Eurosi.

– Przyjąłem – odparłem.

Następnie przełączyłem się na kanał plutonu.

– Czekamy na Eurosov – poinformowałem swoich żołnierzy. – Nasi ludzie są w schronie. Nie ma sensu spieszyć się, by zginąć.

Mój zastępca wydał z siebie odgłos wyraźnie podszyty niezadowoleniem.

Spojrzałem na ekran tak-łącza i zmniejszyłem skalę, żeby sprawdzić status nadlatującego ze wschodu klucza desantowców. Znajdowały się w odległości trzydziestu



kilometrów i opadały ku lądowisku w szyku bojowym, przy bieżącej prędkości miały wylądować za pięć minut. Od zachodu, od wybrzeża Ameryki Północnej, leciało dwanaście oddzielnych formacji okrętów i samolotów szturmowych, ale wciąż znajdowały się na tyle daleko, że w zasadzie mogłyby być na Lunie.

– O-o – odezwał się sierżant. Ziemia pod naszymi stopami znów zadrżała znajomymi niskimi wibracjami. Dźwięki dochodziły od wschodniego krańca betonowego kanionu biegnącego między kryjącymi nas budynkami.

– Wróg od wschodu – nadałem do plutonu. – Przygotujcie srebrną kulę i uważajcie na przód hangarów.

– Zupełnie jakby wiedzieli, że warto zaatakować w burzy – rzekł jeden z dowódców drużyn. – Bo nie będziemy wtedy mieli wsparcia lotniczego.

– Może wiedzieli. Mają okręty gwiazdne i terraformery. Nie potrafimy z nimi rozmawiać, ale to nie oznacza, że są głupimi zwierzętami – odparł mój zastępca.

– Budują miasta – dodałem. – Na pewno nie są prymitywni.

– Mrówki też budują miasta. Ale niekoniecznie potrafią planować inwazje.

Komputer próbował określić położenie niewidocznego Dryblasa tupiącego w lądowisko dla desantowców po drugiej stronie hangaru. Mapa zaktualizowała się, pokazując deltoidalny obszar – wystarczający, żebyśmy mieli ogólne pojęcie, gdzie jest ten gnojek, ale jednak za mało precyzyjny, byśmy mogli wezwać wsparcie z powietrza. Jedna z drużyn uformowała linię strzału w korytarzu między budynkami, ale

obcy nie raczył wcisnąć się w ciasną przestrzeń, by zrobić z siebie łatwy cel dla naszej skoncentrowanej salwy. Zamiast tego wibracje stały się słabsze, Dryblas oddalał się od nas.

Podbiegłem do szeregu utworzonego przez pierwszą drużynę.

– Uwaga, idzie sojusznik – rzuciłem. – Ostrożnie z bronią.

– Proszę na siebie uważać – ostrzegł dowódca drużyny. – Oni potrafią poruszać się szybko.

– Jakbym tego nie wiedział.

Skoczyłem do rogu budynku, trzymając karabin w gotowości. Za plecami miałem cały pluton z bronią wycelowaną w moim kierunku i gdyby Dryblas pojawił się nagle u wylotu naszego zaułka, szybko zrobiłoby się nieprzyjemnie.

Gdy dotarłem do narożnika, wiatr wyraźnie osłabł. Na chwilę zamieć rozproszyła się na tyle, że widziałem dalej niż dotychczas. Przed sobą, na prawo ledwo dostrzegałem przez śnieg wielką sylwetkę, długimi i niespiesznymi krokami sunącą w kierunku głównego budynku kontrolnego.

– Dowódca Burlington, jeden idzie w waszą stronę! – krzyknąłem na kanale dowodzenia. – Podchodzi do północnej ściany budynku. Jeden Pięć, masz go na tak-łaczku?

– Mam go – potwierdził pilot z satysfakcją w głosie. – Uwaga, strzelam.

Nad naszymi głowami zagrzmiały działa desantowca. Jasna wstęga smugowców przecięła wirujący biały tuman i pomknęła ku obcemu. Skręciłem w prawo i pobiegłem ku Dryblasowi znajdującemu się wciąż na lądowisku, aby utrzymać go w polu widzenia i zapewniać Szerszeniowi dane wizualne. Musiałem omijać szczątki leżące na betonie, a gdy zerknąłem w bok,

dostrzegłem, że ciężkie, wykonane z laminowanej stali wrota hangaru zostały rozdarte na strzępy. Z zaparkowanych w środku statków powietrznych, sześciu samolotów szturmowych i desantowców zostały powykręcane, zmiażdżone wraki, porozrzucane po całym wnętrzu.

Obcy dostał w plecy serią z naszego okrętu i zatoczył się do przodu. Upadł z głośnym skowytym na zaśnieżony beton, wymachując kończynami.

– W celu! – zawołałem do pilota. – Nie przerywaj.

Nie wahał się. Kolejna palba wbiła się w próbującego się podnieść obcego. Gdy stwór ponownie upadł, już się nie poruszał. Nasz pilot na wszelki wypadek przeorał go trzecią salwą.

– Kolejny zlikwidowany – nadałem na kanale kompanii.

– Eurosi nadlatują z wektora zero jeden zero – obwieścił kapitan. – Dwadzieścia kilometrów. Jeśli chcecie się przycziąć, dopóki nie wylądują, wasza decyzja.

Oceeniłem sytuację i zastanawiałem się kilka sekund.

– Sierzancie, przenieście drużyny za narożnik i wejdźcie pod osłonę hangaru – nadałem do swojego zastępcy. – Trzymajcie się tylnej ściany.

Podoficer wysłał sygnał potwierdzenia. Na mapie pola walki ikony symbolizujące żołnierzy mojego plutonu zaczęły się poruszać i przeformowywać, gdy drużyny wykonywały mój rozkaz. Budynek miał postać kopuły ze zbrojonego betonu, najwyraźniej zbyt solidnej, by nawet Dryblasy zdołali ją zniszczyć, więc ewentualne zagrożenie będzie musiało nadejść od strony wrót, które łatwo było obserwować.

Burza jeszcze bardziej zelżała. Lądowisko dla desantowców miało formę dużego kwadratu o boku stu metrów i teraz zaczynałem dostrzegać hangary po jego przeciwnej stronie. Wyglądało na to, że ich drzwi również potraktowano w brutalny sposób, lecz nigdzie nie widziałem napastników. Nie wyczuwałem też charakterystycznych wibracji wywoływanych przez dwudziestopięciometrowe Behemoty, gdy znajdowały się bliżej niż w promieniu ćwierć kilometra. Uznałem, że albo opuściły tę część bazy, albo też nauczyły się chodzić na paluszkach. Kilka lat wcześniej rozśmieszyłyby mnie wizja tej drugiej możliwości, ale te gnoje już wielokrotnie pokazały, że potrafią się dostosowywać do naszej taktyki i środowiska.

– Jeden Dziewięć, tu Dowódca – usłyszałem w słuchawkach. – Jesteśmy na podpoziomie przy schronie. Ustawiliśmy zespoły ogniowe na rogach budynku, więc uważajcie, jeśli będziecie musieli otworzyć ogień.

– Przyjąłem, Dowódca. Lądowisko desantowców jest czyste. Nie widać żadnych nieprzyjaciół. Jeśli jacyś zostali, to się wycofali – odpowiedziałem.

– Jeden Pięć, jak widok z góry? – kapitan spytał pilota naszego Szerszenia.

– Dowódca, widzę jedno wielkie zero. Żadnej aktywności. Sprawdzę północny koniec pasa i stację radarową.

– Skręć lekko na wschód i przeleć też nisko nad elektrownią.

– Przyjąłem – odparł pilot. Wiedziałem już, co tam znajdzie. Gdy tylko Dryblasy atakowali nasze osiedla, najpierw szli na elektrownie i zamieniali je w gruzy. Nie miałem pojęcia, czy nie podobało im się coś przez nie emitowanego – tak głośno

popularna teoria – czy też może uznali, że większość naszych urządzeń jest zasilana przez tamtejsze generatory, zatem nie wytrzymamy długo bez ciepła, światła i pomp wody.

– Elektrownia płonie – nadał pilot kilka sekund później. – A przynajmniej to, co z niej zostało. Nie widać wrogów.

– Dokąd oni uciekli, do cholery? – zastanawiałem się na głos.

– Może dorwaliśmy już wszystkich – podsunął lotnik.

– Nie. Facet z SOZ mówił, że widzieli koło dwunastu. Na razie zlikwidowaliśmy tylko dwóch.

– W jaki sposób zwykle działali w koloniach?

– Rozwalali nam urządzenia, zabijali osadników, po czym kręcili się w pobliżu – odrzekłem. – Precyzyjne wypadki to nie ich sposób działania. Są gdzieś blisko.

Przez następne minuty obszar obejmowany przez nasze takłące coraz bardziej rósł, gdy cztery plutony zmieniały pozycje i szły ostrożnie przez zrujnowaną bazę, aby wykurzyć obcych, którym najlepiej szło w paskudnej pogodzie. Nie chciałem myśleć o nich jako o inteligentnych i przebiegłych istotach, zważywszy potężną przewagę fizyczną, jaką już nad nami mieli, ponieważ wychodzilibyśmy wtedy przy nich na jeszcze słabszych. Gdy nasza kompania metodycznie odzyskiwała bazę metr po metrze, nie natykając się na Dryblasów, nie mogłem się jednak pozbyć niepokojącego uczucia, że już po nas. Znajdowaliśmy się na własnej ziemi, na planecie, na której wyewoluowaliśmy, w terenie, do którego adaptowaliśmy się od dziesiątek tysięcy lat, a jednak znów musieliśmy reagować na inicjatywę podjętą przez Dryblasów, zmieniać naszą taktykę, by dostosować się do nich. Tańczyć, jak nam zagrają.

– Do sił WPA, tu Eurokorpus. Czy słyszycie? – na lokalnym kanale obronnym rozległ się głos o lekkim skandynawskim akcencie. Wróciłem do trybu kontrolera walki i przeskanowałem tak-łącze w poszukiwaniu nowo przybyłych. Klucz ośmiu okrętów desantowych zdolnych do lotu w atmosferze zniżał się nad Thule w szyku w kształcie podwójnej litery V.

– Do jednostek Eurokorpusu, tutaj Siły Obrony Ziemi WPA – odpowiedziałem. – Jesteśmy na ziemi w liczebności kompanii piechoty. Nasze plutony zajęły lądowisko desantowców, centrum operacyjne oraz południowy kraniec lotniska. Zlikwidowaliśmy dwóch potwierdzonych nieprzyjaciół. Są kolejni, więc uważajcie na siebie. Widoczność na dole wynosi poniżej stu metrów. Nie zobaczycie tych bydlaków, dopóki niemal na was nie wpadną.

– WPA, zrozumiałem. Siadamy na lądowisku dla desantowców na północnym krańcu pasa startowego. Nie otwierajcie ognia.

Usłyszałem europejskie okręty na długo przed tym, zanim zobaczyłem pierwszy z nich, ale szalejąca zamieć tłumiała i zniekształcała ich odgłosy, więc nie mogłem zidentyfikować typów. Jakąś minutę później pierwsza jednostka Eurosów wyłoniła się z burzy, wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, by obrócić się ku otwartej przestrzeni na północ od nas, po czym usiadła na betonowym lądowisku przed hangarem, w którym schował się mój pluton. Desantowce Eurokorpusu przewyższały rozmiarami nasze Osy czy Szerszenie, ale nie były tak duże jak Ważki. Wyglądały smuklej niż nasze okręty, były mniej

kanciaste i utylitarne, a także zdecydowanie elegantsze niż groźnie wyglądające pojazdy typu Akula wykorzystywane przez Związek Chińsko-Rosyjski. W przeciwieństwie do naszych i chińsko-rosyjskich okrętów desantowych, te z Eurokorpusu miały możliwość zastosowania różnego rodzaju ładowni. Cała tylna część poniżej miejsca mocowania skrzydeł stanowiła osobną sekcję, którą można było zamieniać w zależności od wymogów misji. Jednostki, które wyłoniły się jedna po drugiej z burzy śnieżnej i osiadły płozami na lądowisku, miały zainstalowane moduły przeznaczone do transportu żołnierzy. Ich tylne rampy opadły na betonową powierzchnię i z ładowni zaczęli wylewać się europejscy żołnierze w pancerzach bojowych, błyskawicznie zajmując pozycje w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni wokół swych okrętów. Pomachałem najbliższemu Europejczykowi obróconemu w naszym kierunku. Ten opuścił broń i odmachnął. Zamknąłem osłonę i wybiegłem przed hangar, trzymając karabin tak, by móc po niego szybko sięgnąć.

Pancerze nowo przybyłych wydawały się niemal delikatne w porównaniu z nieporęcznymi skorupami WPA. Ich hełmy były opływowe, bez żadnych ostrych kantów, i sprawiały wrażenie o jedną trzecią mniejszych niż nasze. Żołnierz, do którego podchodziłem, przywitał się szybkim gestem dłoni, a następnie uniósł wizjer. Jego kamuflaż składał się z czarnych, czerwono-brązowych oraz jasno- i ciemnozielonych plam, wyglądających, jakby ktoś rozlał kilka wiader z farbami w ziemistych odcieniach. Jedynymi znakami charakterystycznymi były duńska flaga na jednym z ramion

oraz insygnia stopnia na piersi: dwie pięcioramiennie gwiazdy.

– Porucznik Grayson, Flota WPA! – wykrzyczałem, przekrzykując hałas silników pobliskich desantowców.

– Porucznik Hansen, Duńskie Siły Zbrojne – odparł.

Szybko wtajemniczyłem duńskiego oficera w sytuację. Nasza sieć pola walki nie łączyła się z europejską i przy każdym zagadnieniu musiałem przekazywać słowami coś, na co wystarczyłoby pięć sekund za pośrednictwem ekranu hełmowego. Zastanawiałem się, w jaki sposób wojskowi byli w ogóle w stanie porozumiewać się w epoce przedkomputerowej.

– Rozszerzymy perymetr – oznajmił Hansen, gdy skończyłem szkicować mu ogólny obraz. – Ustawimy po dwa plutony na wschodzie i zachodzie.

– W tej pogodzie będziecie potrzebowali nieco więcej – ostrzegłem.

Duńczyk uśmiechnął się krótko i wskazał głową drugą falę desantowców lądujących za jego plecami.

– Przywieźliśmy nieco więcej – powiedział. – Nie martwcie się. Dobrze znamy to miejsce.

Moduły zainstalowane na drugim kluczu europejskich jednostek wyglądały inaczej niż te, którymi przywieziono ludzi, niższe, lecz nieco szersze, i zanim jeszcze opadły pochylnie, zacząłem się domyślać, co znajduje się wewnątrz. W szumie silników desantowców usłyszałem wizg potężnych turbin i nagle z ładowni najbliższego okrętu wyjechał pojazd opancerzony, po czym wykonał ostry skręt w lewo. Był osadzony na sześciu kołach, mniejszy od naszych Mułów, ale i tak wyglądał



skutecznie. Opony miały wysokie, wypukły bieżnik w kształcie plastra miodu, można było na nich jechać po przebicciu i wyglądały, jakby wykonano je specjalnie do poruszania się w głębokim śniegu. Na moich oczach kierowca włączył światła zewnętrzne, które na tym dystansie okazały się na tyle oślepiające, że mój hełm automatycznie zasunął wizjer i włączył filtr chroniący wzrok. Stanowisko karabinu wyjechało z pozycji transportowej na dachu i przesunęło się do ustawienia bojowego. Było to paskudnie wyglądające trójluflowe działko obrotowe, o połowę krótsze od przewożącego je pojazdu. Pozostałe trzy okręty wylądowały po kolei taki sam ładunek i wzniosły się z rykiem w niebo. Pluton uzbrojonych pojazdów potoczył się po lądowisku na północ. Następne dwa skrzyły na zachód, a pozostałe dwa na wschód. Działka obracały się na ich dachach, gdy matryce sensoryczne przepatrywały śnieg w poszukiwaniu celów.

– Spotkamy się z pozostałymi plutonami w centrum operacyjnym i zajmiemy się południem – poinformowałem duńskiego porucznika.

Oficer z Eurokorpusu skinął głową i obrócił się, żeby ruszyć za swoimi żołnierzami, formującymi się w drużyny i biegnącymi po lądowisku w śladach zostawionych przez pojazdy opancerzone.

– Dowódca, tu Dowódca Jeden Pięć – nadałem do kapitana naszej kompanii. – Eurosi wylądowali. Przywieźli wozy opancerzone i kryją podejścia od zachodu oraz wschodu. Proszę o zezwolenie na dołączenie do czwartego plutonu i ustanowienie stanowisk obserwacyjnych na południu

z pierwszym i czwartym.

– Dowódca Jeden Pięć, nie krępuj się. Też wychodzimy na górę. Cywile i technicy zostaną tu w schronie, dopóki nie upewnimy się, że jest czysto. Spotkajmy się za pięć minut na południowo-zachodnim narożniku centrum operacyjnego.

– Już idziemy – odrzekłem, po czym przełączyłem się na kanał swojego plutonu. – Sierzancie, kierujemy się do centrum operacyjnego, żeby dołączyć do czwartego plutonu. Ruszajmy.

Opuściliśmy osłonę hangaru i wyszliśmy z powrotem na płytę lądowiska. Po drodze, sto metrów na południe od nas, minęliśmy ogromne cielsko Dryblasa zabitego przez pilota naszego desantowca. Zauważyłem, że większość żołnierzy zmieniła nieco trajektorię, by zwiększyć odległość między sobą a obcym, wyglądającym groźnie nawet po śmierci. Potężna głowa była odwrócona w naszą stronę i choć gigant nie miał oczu, sprawiał wrażenie, jakby nas obserwował. Bezzębna paszcza rozchyliła się lekko, a kształt czaszki i jakby ptasi sposób połączenia szczęk nieco skojarzyły mi się z ziemskimi dinozaurami. Paszcza miała dobre trzy albo i cztery metry szerokości i przez chwilę zastanawiałem się, jak by to było, gdyby jedna z tych istot podniosła mnie i postanowiła sprawdzić wytrzymałość mojego pancerza swymi masywnymi szczękami. Szybko otrząsałem się z nieprzyjemnych myśli i znów skupiłem na ekranie tak-łacza.

Wszędzie na południe od centrum operacyjnego widzieliśmy oznaki działalności Dryblasów. Wielkie, trójpalczaste stopy zostawiły głębokie ślady, których nie zdołał jeszcze wypełnić padający miarowo śnieg. Zapasowa stacja tankowania na południowym krańcu lotniska została zamieniona w gruzy,

a powykręcane kawałki metalu zasłały spory obszar. Jednak nigdzie nie było widać istot, które tak starannie zniszczyły bazę. Ich tropy znikały w białej śnieżnej masie na południe i wschód od nas, a brakowało mi żyłki ryzykanta, bym miał ochotę wytropić wrogów pieszo i być może wpaść w pułapkę kilka kilometrów od najbliższej solidnej osłony. Na szczęście kapitan SOZ dowodzący kompanią podzielał moje odczucia.

– Nie ma sensu ścigać ich na piechotę – oznajmił. – Niech Eurosi ruszą się swoimi pojazdami. Mogą w nich przemieszczać się znacznie szybciej. Zabezpieczcie swój odcinek w oczekiwaniu na wzmocnienia i czekajcie, aż poprawi się ta główniana pogoda.

– Słyszeliście szefa – z wyraźną ulgą w głosie nadał do drużyn mój zastępca. – Idziemy do centrum operacyjnego. I miejcie się na baczności, w razie gdyby obcy postanowili wrócić i dokończyć sprawę.

Godzinę później we wspólnej bazie panował ruch, jakiego zapewne nie widziano tu od lat. Nasza kompania SOZ i Eurosi nie były już jedynymi siłami. Kolejne trzy kompanie dołączyły do nas z kontynentu WPA – dwie SOZ i jedna PK – zaś połowa batalionu pancernego z Eurokorpusu poszerzała właśnie pozycje wokół zrujnowanej placówki. Burza zelżała do poziomu, który można było uznać za jedynie irytujący, a widoczność wynosiła już nawet ponad sto metrów. Okręty desantowe wciąż jednak latały po okolicy wyłącznie na podstawie wskazań przyrządów. Czy to w wyniku zbiegu okoliczności, czy też swego sprytu, Dryblasy wybrali idealną porę i pogodę na atak, tak żebyśmy nie mogli wykorzystać naszych sensorów ani wsparcia

lotniczych jednostek bojowych.

– Wracamy wziąć prysznic i coś zjeść, gdy tylko następna kompania SOZ pojawi się tu, żeby nas zluzować – oznajmił kapitan dowódcą plutonów. Pilnowaliśmy południowego skrzydła bazy i jeden z naszych plutonów przeglądał właśnie wraz z pozostałościami miejscowego plutonu garnizonowego szczątki uszkodzonego centrum operacyjnego, sprawdzając, czy nie przeoczyliśmy żadnych rannych albo uwięzionych ludzi.

Przekazałem informację swoim podkomendnym, którzy przyjęli ją z jednogłośnie ulgą. Wiatr zelżał, burza cichła, jednak temperatura na zewnątrz wciąż wynosiła minus trzydzieści stopni, a elementy grzewcze w naszych pancerzach pracowały w nadgodzinach. Zawsze wiedziałem, że obcy byli niesłychanie wytrzymali, ale jeśli zdołali przeżyć ponad miesiąc bez wsparcia w takich warunkach, to byli twardsi, niż sądziliśmy.

Kilka minut później znów usłyszałem głos kapitana, tym razem na prywatnym kanale.

– Poruczniku Grayson, macie kwalifikacje kapsła, prawda? Walczyliście już z tymi istotami?

– Tak jest, sir – odparłem. – Trzysta desantów, tak plus minus.

– Eurosi znaleźli właśnie coś w lodzie dwadzieścia kilometrów na północ. Proszę o naszą kompanię PK. Zamierzam wysłać do was porucznika Thiede, żeby przejął wasz pierwszy pluton. Spotkajcie się za pięć minut na lądowisku z kompanią PK i zgłóście się do jej dowódcy.

– Zrozumiałem, sir – nadałem zaskoczony. – Już idę.

Poinformowałem o sprawie swojego zastępcę i sprawdziłem sprzęt, po czym pobiegłem w stronę lądowiska. Część żołnierzy

z mojego plutonu wymieniła zdziwione spojrzenia.

Rozczarowanie, jakie czułem z powodu opóźnionego gorącego prysznicu i oddalającego się ciepłego posiłku, zostało przysłonięte grozą, która ścisnęła mi żołądek. Na jakie cholerstwo Eurosi natknęli się w lodzie, że aż musieli wezwać całą Piechotę Kosmiczną i kapsli z okolicy?

Gdy brnąłem przez śnieg sięgający mi niemal do kolan, przyszedł mi do głowy całkiem niezły pomysł.

Podczas następnej porannej przebieżki przypadkiem zostawię OTI w domu.

## Rozdział 3

# Zimowe łowy na niedźwiedzia

wadzieścia kilometrów na północ od bazy Thule okolica wyglądała jak miejsce zlotu międzynarodowych sił wojskowych. Widziałem tam desantowce z Floty i Sił Obrony Ziemi WPA, duńskie okręty i pojazdy opancerzone z Eurokorpusu, a także ludzi w pancerzach bojowych w przynajmniej pięciu różnych wzorach kamuflażu. W przestrzeni powietrznej panował niemal taki sam tłok, jak na ziemi. Gdy zszedłem z rampy desantowca wraz z plutonem PK, ujrzałem kilka krążących w górze kluczy okrętów z WPA i Eurokorpusu, wszystkie z amunicją powietrze–ziemia na zewnętrznych pylonach. Pogoda była tu nieco lepsza niż burzowe warunki wokół wspólnej bazy. Chmury miały barwę stopionego metalu, lecz nie padał śnieg i mój wzrok miał w końcu większy zasięg niż głos.

– Kompania Delta, ruchy – nadał nasz dowódca. – Obszar docelowy leży dwieście metrów na północny wschód.

„Obszar docelowy” był dość oczywisty nawet bez nakładki wizualnej, którą dowódca kompanii wyświetlił na naszych wizjerach. Znajdowaliśmy się w tej części Grenlandii, gdzie połączenie lądolodu stykały się wzdłuż wybrzeża ze skalistymi górami, nie brakowało też tutaj wąwozów, dolin w lodzie oraz skale, szczelin, rozpadlin, a wszystko zimne, niebezpieczne oraz absolutnie nieprzyjazne. Zwołana naprędce międzynarodowa

grupa zebrała się na zamarznętej rzece spływającej z pobliskiego lodowca w stronę oceanu leżącego zaledwie kilometr czy dwa na zachód od nas. Na jej północnym brzegu widziałem pęknięcia w lodzie. Przed jednym z nich stało sześć pojazdów opancerzonych z działkami wycelowanymi w otwór w skale.

Zaczęliśmy wspinać się po lodowym zboczu. Zanim dotarliśmy do szczytu podejścia, byłem już zmęczony, co przypomniało mi, że jeszcze nie wróciłem w pełni do swojej zwykłej formy po roku spędzonym na szkoleniu rekrutów w OSWPA Orem. Szczeliny były od siebie oddalone o sto metrów. Grunt przed nimi wznosił się ostro, niczym rampa wykonana z lodu, a na zalegającym na powierzchni śniegu znajdowało się wiele śladów trójpalczastych łap.

– Chyba wiemy, dokąd poszli – oznajmił zastępujący mnie sierżant.

– Gdzie ten facet z Floty? – spytał ktoś z zebranych, podbiegłem więc do grupy żołnierzy WPA i Eurokorpusu stojących między pojazdami.

– Porucznik Grayson – przedstawiłem się najwyższemu rangą oficerowi, czyli majorowi z SOZ. Obok niego widziałem kapitana z Eurokorpusu, wysokiego gościa z flagą Islandii na panczerzu. – To ja jestem ten facet z Floty.

– Kapitan Clary mówi, że wykonaliście cholernie wiele desantów przeciwko tym stworom – odezwał się major.

– Tak jest, sir. Kilkaset. Jestem kontrolerem walki.

– Widział pan kiedyś coś podobnego? – zapytał, wskazując kciukiem ponad swoim ramieniem na lodową rampę wykutą

w powierzchni lodowego jezora. Leżący dalej ciemny otwór w skale wyglądał złowrogo.

– Nie, sir – odparłem. – Zwykle konstruują swoje budowle na powierzchni. Nigdy nie spotkałem się z tym, by schodzili pod ziemię. Ani by funkcjonowali w takim klimacie.

– Do środka prowadzi przynajmniej sześć oddzielnych śladów. Muły pilnują wyjścia, ale powinniśmy sprawdzić, co jest w środku. Niech pan zgarnie pluton PK i znajdźcie mi drogę pod ziemię dla wozu opancerzonego, to wykurzymy tych gnojków.

Popatrzyłem znów na szczelinę. Miała może ze dwadzieścia metrów wysokości i mniej niż pięć szerokości. Trudno było uwierzyć, że stworzenie wielkości Dryblasas zdołałoby się tamtędy przecisnąć. Nie podchodziłem ze szczególnym entuzjazmem do perspektywy wejścia za nimi w skalistą kiszkę, nawet gdyby towarzyszył mi pluton PK, jednak poza mną nie było na miejscu innego kapsla doświadczonego w walce z Dryblasami i wyglądało na to, że zostałem nominowany do tej roboty.

– A co z dronami? Mamy jakieś zdalnie sterowane urządzenia na którymś desantowcu? Moglibyśmy puścić je w głąb, żeby nie ryzykować życia żołnierzy.

– Nie stanowią standardowego wyposażenia na okrętach SOZ, a nie możemy czekać, aż dotrze tu łajba PK z odpowiednim sprzętem. Po prostu zapuśćcie żurawia do środka, żeby można było przekazać obraz do pojazdów. Żadnego niepotrzebnego bohaterstwa.

– Zrobi się, sir – odrzekłem i zasalutowałem pewniej, niż się czułem.



– Wyrzutnie MARS, po jednej na zespół ogniowy – rzekłem do dowódców drużyn, gdy szykowaliśmy się na płaskowyżu powyżej, wymieniając karabiny fleszetowe na M-90 przeciwko Dryblasom. – Srebrne kule do wyrzutni, ile tylko da się znaleźć w Mułach i desantowcach. Nic termobarycznego, chyba że chcecie zawalić nam na głowy tysiące ton skał i lodu.

– Wchodzimy tam wyłącznie z bronią ręczną? – spytał jeden z sierżantów.

– Musimy się upewnić, że zmieszczą się tam Muły – odparłem.

– Zajrzymy do środka, a później wyślemy pancernych. Nie zamierzam narażać się dla Eurosów, sierżancie.

– Tak jest – odpowiedział.

Przy całej zgromadzonej tu potędze militarnej posyłanie znów do walki pozbawionej wsparcia piechoty, czyli najdelikatniejszej i najsłabszej formacji, jaką dysponowaliśmy, wydawało się idiotyzmem. Jednak obcy udali się tam, gdzie Muły i desantowce nie mogły ich dosięgnąć, zabraliśmy więc sprzęt i zaczęliśmy schodzić po zboczu lodowca do skalnej szczeliny. Poruszaliśmy się w luźnym szyku, ze sporymi odstępami między drużynami i z wyrzutniami MARS w gotowości. Postawiłem trzy kroki na gołym lodzie, zanim wysunęły się automatycznie kolce w pancernych butach. Nawet przy dodatkowym tarcu zapewnianym przez trójkątne szpikulce, z trudnością unikałem przewracania się niezgrabnie na tyłek co dziesięć metrów. Miałem na sobie niemal trzydzieści kilogramów wyposażenia, więc w razie upadku zapewne zjechałbym na samo dno parowu.

Od płaskowyżu do otworu było sto metrów. Szedłem z pierwszą drużyną, która dotarła do szczeliny w skale na

początku. Za nami podchodziła druga, zaś trzecia i czwarta osłaniały wyrzutniami MARS nasze podejście z połowy zbocza.

– Nie będzie ich widać w termowizji ani podczerwieni, nawet na tle lodu – nadałem do swojego plutonu. – Reflektory hełmowe na maksymalną moc. Da się ich dostrzec tylko wizualnie, więc musicie dysponować jak najdłuższym zasięgiem wzroku.

Tuż przed otworem rampa skręcała ostro w prawo i opadała pod jeszcze ostrzejszym kątem. Był to punkt styku między lodowcem a skalistymi ścianami koryta rzeczno- lodowego i pochylnia wykrzywiała się o sześćdziesiąt stopni, po czym szła wzdłuż ściany. Dziesięć metrów za tym progiem, tam gdzie przechodziła w lodowy tunel, znajdował się gwałtowny spadek.

– Proszę spojrzeć na to cholerstwo – powiedział sierżant obok mnie.

Podłoga korytarza opadała o dobrych pięć metrów, szła dalej przez kolejnych dziesięć, po czym znów się obniżała. W blasku reflektorów widzieliśmy, że schemat ten się powtarzał. Włączyłem wzmocnienie światła i ujrzałem sześć wykutych w lodzie stopni, klatkę schodową dla istot ponad dziesięciokrotnie przewyższających nas wzrostem.

– Skurwysyny – uznałem.

– Nie ma jak tam wjechać pojazdami.

– Nie ma – zgodziłem się. – Muły nie pokonają takiego spadku.

Przełączyłem się na kanał dowództwa kompanii.

– Majorze, nie ma szans dla pancernych.

– Tak, widzę obraz – odparł major SOZ. – Jak im się to udało, do cholery?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nie

sądziłem nawet, że potrafią robić kąty ostre.

Zatoczyłem krąg, żeby dobrze pokazać otoczenie za pośrednictwem kamery połączonej z siecią. Znajdowaliśmy się dwadzieścia metrów za skrętem w prawo na rampie. Na lewo mieliśmy skalną ścianę koryta rzecznego, na prawo lodowiec, przed sobą zaś monstrualną klatkę schodową, którą Dryblasy zdołali wyryć w lodzie, opadającą w mrok niczym relikwiarz dawno upadłej cywilizacji. Nic nie poruszało się w ciemności na skraju naszych reflektorów i panowała cisza, nie licząc wiatru świszczącego w szczelinie.

– Czy są aż tak przebiegli? – zastanawiałem się na głos, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

– Co ma pan na myśli, poruczniku?

– To – odparłem, po czym obróciłem się i wskazałem miejsce, gdzie rampa zakręcała ostro w punkcie styku ze skalną ścianą. – Desantowce i samoloty szturmowe nie mogą skierować ognia w otwór – wyjaśniłem. – Uderzyłyby po prostu w ścianę i zawaliły wejście. Nie możemy też posłać na dół pojazdów opancerzonych, bo zrobili wielkie schody. Zupełnie jakby znali możliwości naszego uzbrojenia i skonstruowali kryjówkę, mając je na uwadze.

– Do cholery – skomentował major. – To elementarne zasady budowy bunkrów. Zrobić wejścia pod kątem i nie pozwolić na proste strzały. Jak myślicie?

– Kurczę, mam nadzieję, że nie. – Podeszedłem do krawędzi pierwszego stopnia i spojrzałem w dół. Pięciometrowy spadek wystarczał, by pojazd opancerzony nie zdołał tamtędy zjechać, nie przewracając się na grzbiet, a przy tym stanowił zbyt dużą

wysokość, aby piechota mogła zejść bez wsparcia mechanicznego.

– Poruczniku, niech pan sprawdzi, czy uda się przeprowadzić rekonesans kawałek w głąb tego tunelu.

– Tak jest, sir – odrzekłem. – Jeśli mamy tam zejść, będzie nam potrzebna pomoc. Wciągarki z Mułów. Trzeba połączyć kilka ze sobą, żeby wyszło ze dwieście metrów liny.

– Wyślę informację – powiedział major.

– Naprawdę chce pan tam iść, sir? – spytał mnie na kanale prywatnym mój zastępca.

– A macie jakieś inne ciekawe plany na dzisiaj, sierżancie? – spytałem, zaś on zachichotał.

– Przychodzi mi do głowy parę rzeczy, które wolałbym robić bardziej, niż złazić do ciemnego szybu za zgrają Dryblasów – odparł. – Sir.

– Cóż, trudno mi się z wami nie zgodzić.

– Ale i tak schodzimy?

Zerknąłem, na ile byłem w stanie w świetle reflektora hełmowego, w głąb korytarza, za ogromną klatkę schodową. Nie dostrzegałem żadnego ruchu, ale wiedziałem, że gdy tylko zejdziemy po tych stopniach, sytuacja wkrótce się zmieni.

– Yhm – odparłem. – I tak schodzimy.

Dziesięć minut później dwie stalowe liny holownicze zsunęły się z Mułów po stumetrowym zboczu do tunelu, w którym staliśmy. Owszem, udałoby nam się dzięki nim szybko zejść, ale powrót mógłby okazać się nieco dłuższy.

– Idę z pierwszą drużyną – powiedziałem swojemu zastępcy. –

Druga schodzi za nami, gdy tylko zajmiemy pozycję obronną. Dwie pozostałe kryją, dopóki nie znajdziemy się na samym dole.

– Zasięg wzroku wynosi około stu metrów. Nie będziemy mieli wiele czasu na reakcję, gdy na nas ruszą.

– Jeśli zaatakują, to pojedynczo i na czworakach. Tunel jest zbyt niski, żeby mogli wstać i iść obok siebie.

– No to miejmy to już z głowy – uznał sierżant, a ja mruknąłem potwierdzająco.

Zszedłem po linie na stopień poniżej pierwszej drużyny, co przy pobudzeniu adrenaliną zajęło mi jedynie kilka sekund. Gdy tylko moje buty dotknęły lodu niższej kondygnacji, odpiąłem się od linki i chwyciłem wiszący na ramieniu karabin. Szeregowy PK, który opadł koło mnie jako następny, miał na plecach wyrzutnię MARS, którą teraz ściągnął z grzbietu i odbezpieczył. Zbliżyliśmy się do krawędzi stopnia i wycelowaliśmy broń w tunel, a reszta drużyny dołączała do nas w trzysekundowych odstępach, tak szybko, jak tylko pozwalała im na to grawitacja. Lodowa ściana dzieląca nas od wyższego stopnia miała pięć metrów wysokości, czyli na tyle dużo, żebyśmy nie zdołali wrócić bez holi zrzuconych z Mułów. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że właśnie wykonaliśmy pierwszy krok w głąb pułapki.

Powtarzaliśmy procedurę, przerzucając drużyny po stopniach, dopóki wszyscy nie znaleźliśmy się u dołu schodów, oprócz czwartej drużyny, która zabezpieczała nas o kondygnację wyżej. Szorstkie, nierówne ściany tunelu, w którym się znaleźliśmy, dzieliło może z dziesięć metrów szerokości, a strop leżał na przynajmniej dwukrotnie większej wysokości. Nie

wystarczyło to, by obcy mógł stanąć wyprostowany, ale i tak boleśnie mi przypominało, o ile większe i cięższe były od nas te istoty, a także jak mizernie my wyglądaliśmy przy nich. W końcu doczekaliśmy się wojny z robalami i to my jesteśmy w niej robalami – przypomniałem sobie, że w przeszłości ktoś powiedział do mnie coś podobnego.

– Dowódca Delta, widzi pan to? – nadałem do dowódcy kompanii. Gdy nadeszła odpowiedź, zakłócały ją szумы.

– Łączność dwa na pięć, poruczniku. Łącze danych też przerywa.

– Jeszcze nie zabrnęliśmy daleko. Znajdujemy się u dołu schodów i widzimy kolejnych sto metrów tunelu. Sugeruję, żeby wysłał pan paru ludzi w dół zbocza i za zakręt, żebyśmy mogli przekazywać dane i głos za pośrednictwem ich pancerzy. Odezwiemy się, jeśli coś będzie na nas szło.

– Przyjąłem. Ruszajcie dalej, ale uważajcie.

– Kapitan mówi, żebyśmy uważali – poinformowałem swojego zastępcę, który pokręcił głową i zachichotał.

– Gdybym chciał uważać, to siedziałbym w bazie i składał pranie w kwatermistrzostwie – oznajmił.

Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów w głąb na skraju naszego wzmocnionego pola widzenia ujrzeliśmy wreszcie coś innego niż ciemność. Korytarz wydawał się kończyć ścianą, ale gdy podeszliśmy bliżej, dostrzegliśmy, że to po prostu kolejny załom, wykonany niemal pod kątem prostym.

– Następny zakręt – wyjaśniłem kapitanowi, który z ładowni jednego z Mułów obserwował obraz z naszych kamer. Łączność odbywała się za pośrednictwem ustawionych na zboczu

i u wylotu tunelu ludzi z PK oraz SOZ, których pancерze służyły za przekaźniki.

– Jeśli to cholerstwo skręci tak jeszcze kilka razy, będziemy musieli zostawić połowę plutonu, żeby utrzymać łączność – rzekł mój zastępca.

– Jeśli to cholerstwo skręci tak jeszcze kilka razy, wrócimy na powierzchnię.

Zerknąłem na wyświetlacz tak-łącza, niemal bezwartościowy w tych warunkach. Cały pluton znajdował się za mną w parach oddalonych od siebie o jakieś trzy metry, w ten sposób trzydzieścioro kilkoro żołnierzy rozciągało się na odcinku niemal stu metrów. Na polu bitwy moglibyśmy ustawić się w szeregu, w którym każdy z nas strzelałby do szarżujących Dryblasów, lecz tu mielibyśmy szczęście, gdyby pierwszych kilka par zdołało oddać strzał. Obcy w doskonały sposób pozbawili nas niemal całej możliwej przewagi taktycznej. Im dalej zapuszczaliśmy się w ciemny tunel, tym głośniejszy stawał się głos paranoi w mojej głowie, mówiący mi, żebyśmy się wycofali i pozwolili Eurosom spuścić tu parę atomówek.

– Sierzancie, wróćcie na koniec i zamknijcie tyły z trzecią drużyną – poleciłem swemu zastępcy. – Jeśli tu z przodu coś się spieprzy, chcę, żebyście pomogli przyspieszyć odwrót. Powiedzcie czwartej drużynie, żeby trzymała w gotowości wyrzutnie i wciągarki. Być może będziemy musieli wycofywać się w pośpiechu.

– Przyjąłem – odparł sierżant z wyraźną ulgą w głosie. – Tylko proszę dzisiaj nie próbować zasłużyć na Medal Honoru, poruczniku.

– Nie jest mi do niczego potrzebny, sierżancie. – Wskazałem kierunek, z którego przyszlismy. – A teraz zasuwajcie objąć straż tylną, chyba że wolicie przejąć szpicę. Wasz wybór.

– Zasuwaam na tył, sir. – Skinął głową i zawrócił, po czym odbiegł korytarzem. Żołnierze, których mijał, spoglądali na niego z ledwo powstrzymaną zawiścią. Dowódca pierwszej drużyny, kapral, którego twarz, widoczna za wizjerem hełmu, nie wyglądała nawet na dzień więcej niż dwadzieścia lat, podszedł, by zająć opuszczone miejsce.

– Jeśli coś się poruszy przed nami, chcę, żeby wszystkie cztery wyrzutnie MARS były gotowe puścić tam rakiety – powiedziałem pierwszej drużynie. – Ruszą na nas z pochylonymi głowami, więc starajcie się celować za tarcze czaszkowe. Te cholerstwa są twarde jak płyty pancerza.

Za zakrętem trafiliśmy na kolejny prosty odcinek. Opadał pod kątem kilku stopni, stopniowo schodząc ku dnu lodowca, które w sumie mogło wciąż znajdować się setki metrów poniżej nas. Było zimno i cicho, z wyjątkiem chrzęstu naszych butów na nierównej powierzchni.

– Robi się cieplej – odezwał się ktoś za mną.

Zerknąłem na wskaźnik temperatury na wyświetlaczu i zauważyłem, że żołnierz miał rację. Na zewnątrz było minus trzydzieści, ale tutaj już tylko kilka stopni poniżej zera. System klimatyzacji w pancerzu podawał, że zawartość dwutlenku węgla podniosła się o niemal pełen punkt procentowy. Dryblasy lubili ciepło, wilgoć i sporą ilość CO<sub>2</sub>. Cokolwiek kombinowali tam na dole, nie tylko wykopali wypasioną norę, ale też znaleźli sposób, żeby dokonać miejscowego terraformowania



w najbardziej nieprzyjaznym środowisku na tej planecie.

Gdyby udało się tu zagnieździć tysiąc tych istot, a nie tylko kilkanaście, mielibyśmy całkiem przejebane, pomyślałem i wzdrygnąłem się na wspomnienie, jak blisko takiego scenariusza znaleźliśmy się w zeszłym roku.

Następny segment chodnika mierzył kilkaset metrów długości. Zakrzywił się lekko w prawo, a podłoga wciąż się obniżała. Dalej szliśmy po lodzie, nie skale, i zastanawiałem się, jak gruby może być lodowiec tak blisko kamienistego wybrzeża.

Gdzieś z ciemności poza zasięgiem naszych reflektorów dobiegł niski rumor, przypominający głązy toczące się po zwirowym zboczu.

Zatrzymałem się i uniosłem dłoń.

– Stać – poleciałem na kanale plutonu. – Wyrzutnie MARS na przód. Wszyscy uwaga na swoje pole ostrzału.

– Drużyny, ustawić się czwórkami – nakazał mój obecny zastępca. – Tunel jest wystarczająco szeroki. Gdy nastąpi kontakt, pierwszy szereg klęka, drugi strzela nad nim.

Żołnierze za moimi plecami ustawiali się zgodnie z poleceniem. Jeśli osiem karabinów wystrzeli jednocześnie w Dryblasa, powinniśmy zdołać powalić go, zanim nas dopadnie. Wciąż mieliśmy przed sobą dobrych kilkaset metrów niemal prostego korytarza, a nacierający na nas obcy musiałby poruszać się na czworakach.

Słyszany wcześniej rumor ucichł powoli, aż wreszcie zapanowała równie niepokojąca cisza jak wcześniej.

– To było niefajne – skomentował cierpko mój zastępca.

Czekaliśmy, celując w mrok i spodziewając się, że w każdej

chwili wychynie z niego Dryblas, który spowodował ten hałas. Choć stwory były przerażające w walce, niemal wolałem, żeby jeden z nich się pojawił, bo wtedy mógłbym do niego strzelić, zamiast czaić się tutaj i podskakiwać na każdy odgłos.

– Niech się zdecydują, do cholery – rzekł mój zastępca, zgadzając się z moimi myślami. – Rozwalili całą bazę, a teraz bawią się w chowanego.

– Uważajcie, czego sobie życzycie, kapralu – odparłem. Lasery celownicze naszych M-90 malowały zielone smugi na nierównych ścianach lodowego tunelu, lecz komputery balistyczne nie miały się na czym skupić.

Na prawo ode mnie rozległ się nowy odgłos, delikatne skrobanie. W stożku światła rzucanego przez reflektor hełmowy widziałem jedynie ścianę tunelu, lecz dźwięk dobiegał z bardzo bliska. Szybko przełączałem dostępne sposoby widzenia: noktowizja, termowizja, infrawizja. Gdy dotarłem do trybu mikrofalowego, który nazywaliśmy sensorem uderzeń serca, moje własne serce zamarło na chwilę. Coś poruszało się za lodem, coś wielkiego i niewyraźnego, widocznego dla mnie tylko dlatego, że poruszając się, przesuwało molekuly powietrza. Było ogromne i znajdowało się tuż obok nas, znacznie bliżej, niż powinno, chyba że ściana nie była naprawdę cienka.

Uświadomiłem sobie, co się wydarzy za chwilę, i musiałem walczyć z odruchem, żeby nie porzucić sprzętu i nie uciec jak najszybciej tam, skąd przyszliśmy, zanim zatrzaśnie się zasadzka.

Obróciłem się i otworzyłem kanał plutonu.

– W tył! – wrzasnąłem. – Wycofać się!

Skrobanie po prawej zamieniło się w skrzywienie i rumor. Wiedziałem, że jest już za późno, że weszliśmy do pułapki, która właśnie się zamykała, do której wprowadziłem wszystkich jak bezmyślny idiota.

Żołnierzy nie trzeba było zachęcać do wykonania mojego rozkazu, skoro i tak wszyscy byli już podenerwowani. Operatorzy MARS-ów opuścili broń i zawrócili, żeby podążyć za strzelcami z pierwszej drużyny, którzy zdążyli już pokonać kilkadziesiąt metrów. Na lewo ode mnie, przy akompaniamencie trzasków brzmiących niczym wystrzały, na ścianach tunelu pojawiły się długie pęknięcia.

Zdołałem wykonać pięć czy sześć kroków wstecz, gdy lewa flanką wybuchła, natychmiast wypełniając odłamkami całą otaczającą mnie przestrzeń. Straciłem poczucie kierunku. Przewróciłem się i wypuściłem karabin, który wyrwało mi z ręki. Miałem wrażenie, jakby ktoś właśnie zaparkował na mnie desantowiec, ogromny ciężar napierał na mnie z każdej strony. Wiedziałem, że bez pancerza byłbym już jak mielone mięso, ale nawet w nim czułem się, jakby ścisnęło mnie ogromne imadło. Wyświetlacz na wizjerze hełmu nagle przestał działać, podobnie jak reflektor, i widziałem jedynie ciemność. Chciałem wrzeszczeć do mikrofonu, żeby żołnierze się wycofywali, żeby wracali na powierzchnię, ale ledwo byłem w stanie zaczerpnąć w płuca dość powietrza, by oddychać. Od kiedy dzięki mikrofalowemu widzeniu wykryłem ruch za ścianą tunelu, minęło zaledwie parę sekund. Nie miałem nawet czasu, żeby się wystraszyć. Zamiast tego odczuwałem ogromną frustrację i gniew na samego siebie, za to, że pozwoliłem Dryblasom

wykiwać się na naszym terenie. Gdzieś niedaleko, tak blisko, że brzmiało, jakby dobiegało zaledwie kilka metrów od mojej głowy, obcy wydał z siebie swój nieziemski krzyk, który został jednak stłumiony przez lód i okazał się jedynie bolesny dla uszu, zamiast zupełnie nie do zniesienia.

Próbowałem poruszyć rękoma i nogami, ale lód zupełnie mnie unieruchomił, a niewielka ilość wdychanego powietrza nie pozwalała mi na żaden dodatkowy wysiłek, więc zanim zdążyłem poczuć strach, straciłem przytomność.

## Rozdział 4

# Pod lodem

ie kojarzyłem, kiedy się obudziłem. Nie pamiętałem nawet, że byłem nieprzytomny. Wiedziałem jedynie, że znów stoję i że zniknął ciężar, który napierał na mnie ze wszystkich stron. Zrobiłem kilka chwiejnych kroków, zanim ugięły się pode mną nogi i upadłem na kolana. Bolało mnie całe ciało, czułem też dotkliwe ukłucia w piersi za każdym razem, gdy wciągałem powietrze do płuc.

Przełączałem po kolei tryby sensorów w hełmie, aż dotarłem do noktowizji w spektrum zieleni. Znajdowałem się w tunelu, który dopiero co się na nas zawalił i niemal zmiażdżył mnie na śmierć. Za moimi plecami wypełniała go wielka sterta lodu i kamieni. Mój wyświetlacz co kilka sekund migotał, wciąż włączając się i wyłączając. Przed sobą zupełnie nic nie widziałem. Próbowałem włączyć silny reflektor z boku hełmu, ale pozostał ciemny. Pancierz dostał dopiero co solidne bęcki od ton lodu, które spadły na mój pluton, jednak laminowane skorupy uratowały mnie przed przerobieniem na miazgę, jak pudełko po racjach w ubijarce odpadków. Znów panowała cisza jak w grobie. Ekran tak-łącza nie działał i nie miałem pojęcia, kto żył, a kto umarł w masie zamrożniętych szczątków blokujących korytarz za mną.

Minęło trochę czasu, zanim na tyle zebrałem siły, żeby znów wstać. Gdy zawaliła się ściana, straciłem karabin, czyli jedyną

rzecz, którą mogłem zrobić krzywdę Dryblasowi. Podszedłem do sterty lodu i spróbowałem w niej kopać, ale większość fragmentów była zbyt duża i ciężka, żebym zdołał je samodzielnie przesunąć. Znajdowałem się sam w ciemności, ranny, bez kontaktu z resztą pododdziału i pozbawiony możliwości obrony, gdybym natknął się tu na Dryblasa. W kaburze na biodrze miałem pistolet, ale jego małokalibrowe fleszety były równie nieskuteczne przeciwko twardej skórze obcych, jak płwocina. Oprócz tego został mi jednak tylko nóż taktyczny, wyciągnąłem więc spluwę i upewniłem się, że mam pełny magazynek oraz nabój w komorze.

Wziąłem głęboki wdech. Nagły ból w piersiach znów posłał mnie na kolana. Przykucnąłem i próbowałem oddychać płytko, żeby znów nie stracić przytomności. Na szczęście automatyczny system medyczny pancerza wciąż działał. Poczułem ukłucie igły na karku i po chwili, gdy leki przeciwbólowe rozlały się w moim krwiobiegu, ból zelżał.

Ponieważ drogę powrotną blokowały tony lodu i głazów, zostały mi dwie możliwości: nie ruszać się i czekać na ratunek albo też poszukać innej drogi. Nie chciałem sterczeć na klęczkach, aż nadejdzie Dryblas, żeby mnie wykończyć. Podniosłem się więc ostrożnie i ruszyłem dalej tunelem z pistoletem w dłoni.

Cisza panowała na każdym kanale systemu łącznościowego: drużyny, plutonu, kompanii, nawet na lokalnym paśmie obrony. Nie słyszałem też szumu zakłóceń fali nośnej. Zestaw słuchawkowy w hełmie zupełnie zdechł i uznałem, że to wina uszkodzonego modułu łączności w pancerzu. Ten zresztą nie

pasował już na mnie jak ulał – kilka fragmentów zostało wgniecionych i wygiętych, uwierały mnie w miejscach, gdzie naciskały na miękką wyściółkę.

Przesuwałem się powoli korytarzem, starając się robić jak najmniej hałasu. Chciałem nadać wezwanie pomocy, gdyby tylko nadajnik choć na chwilę ożył, ale wiedziałem, że obcy potrafili wyczuwać źródła promieniowania i ostatnią rzeczą, której teraz pragnąłem, było przyciągnąć uwagę jednego z nich, gdy miałem na sobie uszkodzony pancerz, a do obrony mizerną pukawkę.

Pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie wpadliśmy w pułapkę i zostaliśmy zasypani, tunel skręcał lekko w lewo. Za zakrętem podłoga, cały czas opadająca, odkąd opuściliśmy klatkę schodową, wyrównywała się. Widziałem kamienie wystające gdzieś ze ścian i podłoża. Nie miałem pojęcia, jak głęboko pod lodowcem się znalazłem, ale świadomość, że nad moją głową wisi zapewne milion ton lodu, nie niwelowała odczuwanego przeze mnie niepokoju. Przebywałem sam w mroku z Dryblasami i bałem się jak nigdy w życiu, ponieważ byłem praktycznie bezbronny i nie miałem dokąd uciekać.

Obszedłem załom i powoli, ostrożnie wkroczyłem na płaski odcinek. Korytarz stopniowo poszerzał się przy podłodze, osiągając w końcu trzykrotną lub nawet czterokrotną szerokość tego, w który zeszliśmy z powierzchni. Mogłyby tu jechać obok siebie dwa lub trzy wozy opancerzone, a i tak zostałyby trochę miejsca. W takiej przestrzeni czułem się maleńki i zagubiony.

Gdzieś w przedzie znów rozległ się ten niski rumor, tym razem bliżej i bardziej złowieszczo. Trzymałem pistolet

wycelowany przed siebie. Gdyby pojawił się tam obcy i dostrzegł mnie, czekałoby mnie raptem kilka sekund życia, ale wolałem w tym czasie opróżnić magazynek, niż skulić się na podłodze i wrzeszczeć.

Odgłos ucichł, jak wcześniej. Rozejrzałem się po ścianach, ale nie wychwyciłem żadnego skrobania wskazującego, że ktoś zamierza znów pogrzebać mnie pod lodowymi zwałami. Najszybciej i najciszej jak umiałem, przeszedłem na jedną ze stron korytarza. Ściany były nierówne, miały wgłębienia i wybrzuszenia. Być może udałoby mi się ukryć za nimi, gdyby jakiś wróg postanowił tędy przejść.

Tunel kończył się szerokim otworem wychodzącym na ciemność. Miał przynajmniej dwadzieścia metrów szerokości i tyle samo wysokości. Noktowizja w hełmie nie była w stanie przeniknąć rozciągającego się dalej mroku, podszedłem więc ostrożnie, choć była to ostatnia rzecz, jaką pragnąłem w tym momencie zrobić.

Kiedy dotarłem do końca korytarza, odkryłem wreszcie, co Dryblasy robili przez cały ten czas pod lodem Grenlandii.

Pomieszczenie znajdujące się za tunelem miało z grubsza plan okręgu i okazało się tak rozległe, że czułem się, jakbym stał u wejścia do katedry. Strop był na wysokości przynajmniej pięćdziesięciu metrów, a całość miała średnicę przynajmniej stu metrów. Na środku, niczym wielka kolumna, stała samotna budowla. Już wielokrotnie widywałem coś takiego, choć na znacznie większą skalę. Była to gładka, biała, przypominająca kość iglica kojarząca się z drzewem obdartym z kory. Terraformery na przejętych przez obcych koloniach wyglądały



podobnie, tyle że były setki metrów wyższe i dziesięć razy szersze. Powietrze w grocie miało taką ciepłość i wilgotność, że wciąż musiałem wycierać skroploną parę z wizjera i obiektywu noktowizora. System klimatyzacji podawał, że temperatura wynosiła dokładnie trzydzieści trzy i cztery dziesiąte stopnia Celsjusza. Poniżej widziałem ostrzeżenie, że stężenie dwutlenku węgla to ponad dziesięć procent, czyli więcej, niż trzeba, żebym natychmiast stracił przytomność, gdybym zdjął hełm lub go uchylił.

W pobliżu środka pomieszczenia zobaczyłem dwóch Dryblasów odwróconych do mnie plecami. Znajdowali się obok centralnej kolumny, jeden obchodził ją od lewej strony, a drugi od prawej. Nie wydawali się szczególnie spieszyć. Przykucnąłem przy szczelinie skalnej u wylotu tunelu i obserwowałem obcych oddalających się ode mnie i idących w stronę przeciwległego krańca tej wielkiej podziemnej rotundy. Sprzęt noktowizyjny nie odzwierciedlał prawidłowo kolorów – wszystko było w odcieniach zieleni – ale ściany tej jaskini nie wyglądały na lód. Miały ciemny poblask, który nadawał im pozór metaliczności. Znajdowały się w nich wąskie wnęki o wysokości piętnastu-dwudziestu metrów.

Miałem nadzieję, że kamera w pancerzu wciąż to wszystko nagrywała i zapisywała. Zdumiewałem się rozciągającym przed moimi oczyma widokiem. Żaden człowiek przede mną, nie licząc może jakichś nieszczęsnych biedaków na Marsie, nie widział tego, co ja teraz.

Niemal wszystkie z dwunastu szczelin mieściły Dryblasów. Były one niższe niż sami obcy, którzy kucali i kulili się

w dziwnych pionowych pozycjach. Nie wiedziałem, na czym polegał ich odpoczynek – czy był to sen, hipostaza, hibernacja, czy cokolwiek innego – ale właśnie go obserwowałem. Stwory pozostawały w całkowitym bezruchu. Jedna z przytomnych istot podeszła do pustego otworu i zaczęła się w niego wsuwać. Żołnierska część mojego mózgu, ta, która była znacznie bardziej wkurzona niż wystraszona, zaczęła obmyślać sposoby na skierowanie śmierci w te lodowe szczeliny. W tak ciasnej przestrzeni ogromne ciśnienie wywołane eksplozją termobarycznej głowicy bojowej z MARS-a miałyby druzgocące skutki. Zapewne zdołalibyśmy zlikwidować wszystkich wypoczywających obcych jedną drużyną wyposażoną w wyrzutnie. Osiem rakiet, dwie sekundy, i uzyskalibyśmy najszybszą serię eliminacji Dryblasów w dziejach. Nie miałem jednak przy sobie MARS-a ani wsparcia drużyny. Został mi tylko pistolet i byłem pewien, że stwory nie poczułyby w ogóle maleńkich fleszet. W tej chwili pociągnąłbym z ponurą satysfakcją za spust wyrzutni, nawet gdybym wiedział, że zawałę sobie na głowę cały lodowiec.

Ostatni przytomny Dryblas nie wszedł do pustego otworu, zamiast tego dalej obchodził terraformującą kolumnę. Gdy obrócił się w moją stronę, schowałem się głębiej w kryjówce, ale nie ruszył ku mnie. Po prostu szedł powoli dalej, od czasu do czasu machając głową z boku na bok.

Gdzieś w ciemności za sobą usłyszałem ludzki głos, po czym coś zazgrzytało mi w słuchawkach i rozległ się urywany przekaz.

– Pierwszy pluton – odezwał się głos. – Do kogokolwiek

z pierwszego plutonu. Tu Alfa Jeden Trzy, starszy szeregowy Cameron. Czy ktoś mnie słyszy? – Transmisja zakończyła się silnym kaszlem.

W jaskini przede mną stwór przerwał swój powolny spacer i obracał głowę, aż miałem wrażenie, że spogląda prosto na mnie. Z dudniącym sercem schowałem się głębiej w tunel.

Za sobą miałem rozwidlenie, choć nie pamiętałem, żebym je mijał. Na prawo widziałem tańczące na ścianach błyski światła. Ciężkie kroki oznaczały, że Dryblas zbliża się do mnie przez jaskinię. Wszedłem w prawy korytarz i pobiegłem w stronę światełek tak szybko, jak tylko mogły mnie ponieść bolące nogi. W ostatniej chwili przypomniałem sobie, że jeśli nie chcę, aby zastrzelił mnie spanikowany szeregowy, zbyt mocno zaciskający palec na spuście, powinienem włączyć własny reflektor. Kiedy wyłoniłem się zza zakrętu, ujrzałem dwie lufy karabinu M-80 trzymanego przez samotnego żołnierza, który stał trzydzieści metrów ode mnie na środku przejścia.

– Nie strzelać! – wrzasnąłem ile sił w płucach.

Przeżyłem chwilę grozy, gdy zielony laser celowniczy przesunął się po mojej piersi, lecz starszy szeregowy Cameron odsunął broń.

– Wyłącz radio! – zawołałem do żołnierza wpatrującego się we mnie wielkimi oczyma przez przejrzysty wizjer hełmu. – Wyłącz! Oni wyczuwają promieniowanie!

Za moimi plecami w tunelu rozległo się głośnie skrobanie. Jeśli Dryblas podążał za mną, był już mniej niż sto metrów od nas i zamknął wyjście niczym wielki, brzydki korek w szyjce butelki. Nie było dokąd uciekać ani gdzie się schować.

– Jest za mną! – krzyknąłem. – Wal do gnoja, gdy wyłoni się z za zakrętu!

Cameron wyglądał, jakby zaraz miały się pod nim załamać nogi, lecz skinął głową i wycelował obok mnie w ciemny tunel. Trzymał M-80, najstarszy z pozostałych w naszym arsenale karabinów przeciwko Dryblasom. Dwie lufy, jedynie dwa strzały przed powolnym przeładowaniem, które łatwo spaścić w warunkach stresu.

Spojrzałem na stertę lodu blokującą dalszy odcinek korytarza i drogę wyjścia. Tunel był niemal całkowicie wypełniony lodowymi bryłami w różnych rozmiarach, ale gdy skierowałem reflektor w stronę stropu, promień wbił się tam w odrobinę cienia.

Coś wielkiego nadciągało za moimi plecami z odgłosami brzęczącymi niczym małe trzęsienie ziemi. Zerknąłem znów na pryzmę odłamków i zacząłem się na nią wspinać. Odgłosy z korytarza zmotywowały mnie do wysiłku lepiej niż najlepszy instruktor szkolenia.

– Tutaj! – zawołałem do szeregowego, ale chyba mnie nie usłyszał. Wpatrywał się jedynie w tunel. Dźwięki stały się już tak głośne, że stwór mógł znajdować się tuż za rozwidleniem, które minąłem pięćdziesiąt metrów wcześniej.

Może jest zbyt duży, żeby zmieścić się w zakręt, pomyślałem. Proszę, niech tak będzie. Wiedziałem jednak, że to myślenie życzeniowe. W końcu przechodzili już tędy wcześniej i nawet jeśli zbliżający się obcy nie zdoła przedostać się przez odłamki, i tak nas dopadnie.

– Cameron! – zawołałem. Znajdowałem się już w połowie

sterty, trzy metry nad ziemią. Reflektor szeregowego wciąż świecił w stronę, skąd zbliżało się niebezpieczeństwo.

Przerwałem wspinaczkę i wpatrzyłem się w wielką głowę obcego, która pojawiła się na skraju zasięgu promienia światła. Stwór był tak pochylony, że musiał poruszać się bez mała na czworakach. Łeb wraz z tarczą czaszkową zajmował większą część tunelu. Nie mogłem oderwać wzroku, gdy Dryblas sięgnął w przód łapą i wczepił się podłogę, aby przeciągnąć się dalej. Bezzębna paszcza była lekko otwarta. Obcy nie miał oczu, ale znów miałem wrażenie, że patrzy prosto na nas.

– Cameron, pospiesz się! – wrzasnąłem. Żołnierz w końcu oderwał wzrok od zbliżającego się potwora. Spojrzał w górę zbocza lodowych gruzów i nasze oczy spotkały się na chwilę. Wskazałem na rumowisko i wykonałem dłonią gest „ruchy, ruchy”, żeby podkreślić swoje intencje.

Wtedy Dryblas zaskowyczał.

Nie mogłem korzystać z elektroniki, więc jedyną rzeczą, która blokowała dźwięki, była izolacja w hełmie. W tej ograniczonej przestrzeni hałas okazał się tak potężny, tak piekielnie głośny, że miałem wrażenie, jakby tuż obok nas eksplodował pocisk artyleryjski.

Poniżej mnie szeregowy Cameron odwrócił się i wycelował karabin. Widziałem, że wystrzelił z jednej z luf, ponieważ dostrzegłem jaskrawy błysk gazu pędnego i to, że ciężka broń cofnęła się w jego rękach w wyniku odrzutu, ale nic nie usłyszałem. Pocisk trafił obcego prosto w środek głowy i w chmurze szczątków rozbił się o tarczę czaszkową.

– Strzelaj nisko! – wrzasnąłem. – Celuj w korpus! Za głowę!

Nawet własny głos do mnie nie dochodził, jakby uszy wypełniał mi beton, i słyszałem wyłącznie wysoki, brzęczący świst.

Stwór znów zamachnął się łapą i przesunął w przód. Cameron wystrzelił drugi nabój. Oderwałem wzrok od nierównej walki i ze zwiększoną determinacją wznowiłem pospieszne wejście. Wiedziałem, że obaj w zasadzie jesteśmy już trupami, i cała moja nadzieja leżała w wąskim prześwicie między stertą szczątków a stropem tunelu.

Ostatnie dwa metry wgramoliłem się szybciej niż przy jakichkolwiek wcześniejszych próbach wspinaczki. Na szczycie dostrzegłem, że pod stropem jest może z pół metra odstepu – miejscami więcej, miejscami znacznie mniej. Znów się obróciłem i zobaczyłem, że Cameron desperacko próbuje przeładować karabin. Niemal udało mu się wcisnąć nabój, jednak Dryblas wyciągnął ramię, żeby kolejny raz się podciągnąć. Wielka czteropalcza łapa niemal niedbałym ruchem chwyciła żołnierza i cisnęła go w tył, w ciemny tunel rozciągający się za obcym. Nawet jeśli szeregowy Cameron wówczas wrzeszczał, nie słyszałem tego i tym razem byłem wdzięczny za chwilową głuchotę.

Wcisnąłem się w szczelinę, pod którą został pogrzebany mój pluton, i czołgałem się tak szybko, jak tylko pozwalało mi obolałe ciało. Nie chciałem marnować czasu, odwracając się i licząc sekundy dzielące mnie od śmierci, gdyby stwór mnie doścignął i wygrzebał znad sterty. Bez pancerza byłbym teraz nie poważnie ranny, lecz martwy, ale mimo to żałowałem, że mam go na sobie, ponieważ przestrzeń, w której się znalazłem,

okazała się klaustrofobicznie ciasna i ledwo się w niej mieściłem. Wszedłem w otwór głową do przodu i teraz metr za metrem odpychałem się butami, oddalając się od istoty pełzającej korytarzem.

Nie słyszałem, jak obcy rozrywał rumowisko, ale czułem to. Lód pode mną poruszył się nagle, przesuając mnie pół metra w lewo i częściowo grzebiąc w kolejnej kupce luźnych odłamków. Wyrwałem się i kontynuowałem szaleńcze czołganie naprzód. Zwałowiskiem znów mocno wstrząsnęło. Tym razem cisnęło mnie do przodu, do zagłębienia. Lodowe fragmenty poniosły mnie dalej chłodną, nieustępliwą falą. Próbowałem nie stracić znów orientacji przestrzennej.

Przemieszczałem się po górnej warstwie niestabilnej sterty lodowych szczątków i wydawało mi się, że trwa to godzinami. Co kilka minut czułem wstrząs wywołany ruchami Dryblasa. Owszem, obcy byli wielcy i silni, ale cieszyłem się, że nawet oni nie potrafią ot tak przesunąć szybko setek ton lodu w tunelu, że nawet te niezwykle potężne stwory muszą się liczyć z fizycznymi ograniczeniami. Zlewał mnie pot i traciłem dech, ale dalej pełzłem, nie ośmielając zatrzymać się, żeby zaczerpnąć tchu, bo wiedziałem, jeśli zbyt często będę odpoczywać, skończę jak szeregowy Cameron. Parę razy szczelina między gruzami a stropem znikła i musiałem odsuwać z drogi kawały lodu, za każdym razem przekonany, że teraz już utknąłem na dobre. Dawno przestałem czuć ból w piersi i kończynach, wciąż też nic nie słyszałem, nie licząc niekończącego się pisku.

Kiedy dotarłem do przeciwległego końca sterty, pagórek okazał się nachylony pod tak ostrym kątem, że poleciałem

kawałek głową w dół, zanim zdołałem powstrzymać niespodziewany ślizg. Kilka napotkanych wybrzuszeń sprawiło, że przekręciłem się na bok i resztę drogi zjechałem, wymachując kończynami. Zderzenie z podłogą tunelu wycisnęło mi z płuc resztkę powietrza. Przez chwilę mogłem jedynie leżeć na wznak w ciemności i dyszeć. Nagle głośny rumor dobitnie mi przypomniał, że gdzieś tam jest obcy próbujący pokonać dzielącą nas przeszkodę. Podniosłem się i chwiejnie ruszyłem korytarzem.

Nachylenie podłogi okazało się znacznie bardziej strome, niż zapamiętałem. Co kilkadziesiąt kroków musiałem się zatrzymywać, żeby złapać dech. Po bólu, jaki czułem w piersiach za każdym razem, gdy zaczerpywałem głębiej powietrza, podejrzewałem, że miałem złamanych kilka żeber.

Kiedy dotarłem do następnego zakrętu, ujrzałem przed sobą reflektory hełmów i w końcu coś usłyszałem: zaskoczone głosy. Środkiem korytarza biegła stalowa lina, potknąłem się o nią, zatoczyłem, po czym upadłem niezgrabnie. Uderzyłem o podłoże i wówczas w moim boku eksplodował ból, sprawiając, że znów nie mogłem złapać tchu. Nagle otoczyły mnie głosy i poczułem kilka par dłoni ciągnących mnie za ramiona oraz uchwyty w pancerzu.

– Ostrożnie. Podnoście go powoli. Jak się pan czuje, sir? Poruczniku?

Potrząsnąłem głową i uniosłem dłoń, po czym skinąłem w stronę, z której przyszedłem.

– Mam na ogonie Dryblasa. Próbuje przekopać się przez stertę lodu. Co z pierwszym plutonem?



– Trzecia i czwarta drużyna zdołały się wydostać. Jest pan jedynym, którego widzieliśmy z pierwszej i drugiej, sir. Co się stało, do diabła?

Popatrzyłem na mówiącego, podoficera PK z insygniami sierżanta sztabowego.

– Zastawili na nas pułapkę. Zawalili na nas ściany tunelu.

– Skurwysyny. – Sierżant wskazał gestem kilku otaczających nas żołnierzy PK i wycelował dłoń w korytarz. – Ustawcie dwie wyrzutnie MARS za tamtym zakrętem, żeby kryły wyjście. Może zbliżyć się nieprzyjaciel. Jeśli coś będzie wam wyglądać albo brzmieć nie tak, lećcie z powrotem tu. My zgarniemy porucznika i na razie się stąd zmyjemy.

– Mam dane – powiedziałem. – Muszę wrócić do kompanii. Widziałem, co mają po drugiej stronie.

– Zabierzcie go stąd – polecił dowódca. – Jeśli będzie was gonił obcy, dajcie mu się złapać jako pierwsi, jeśli będzie trzeba, ale dopilnujcie, żeby porucznik dotarł bezpiecznie do Mułów. Jazda!

Pięć minut później wyszedłem znów na światło dzienne z żołnierzami PK podtrzymującymi mnie z boków i całą drużyną osłaniającą od tyłu. Kiedy opuściliśmy tunel i znaleźliśmy się na lodowym zboczu zamarznętej rzeki, zobaczyłem zachmurzone niebo, ale wciąż było na tyle jasno, żeby rozboleły mnie oczy. Mimo to otworzyłem wizjer i wdychałem świeże, zimowe, grenlandzkie powietrze, nawet jeśli z powodu jego temperatury piekło mnie znów w płucach.

Siły zgromadzone na płaskowyżu nad zboczem przez czas mojego pobytu pod ziemią przynajmniej się podwoiły. Przy

Mułach dowództwa, wciąż ustawionych we cztery w szyku strzeleckim, dostrzegłem mojego byłego zastępcę z nieszczęsnego plutonu zwiadowczego, stojącego między żołnierzami PK, zapewne z trzeciej i czwartej drużyny. Gdy dostrzegli naszą grupkę, podbiegli, żeby pomóc podtrzymującym mnie kosmicznym piechociarzom. Ogrzewanie w pancerzu nie działało, a nagromadzone ciepło nie wystarczyło do zapewnienia mi odpowiedniej temperatury na mroźnym wietrze, więc mimowolnie zacząłem się trząść.

– Porucznika należy ewakuować – oznajmił kapral po mojej lewej. – Naprawdę solidnie oberwał.

– To teraz nieważne – odparłem. – Sierzancie, muszę zobaczyć się z dowódcą i podpiąć pancerz do konsoli. Nawaliło mi tak-  
łącze.

– Ruszcie się, głąby! – mój były zastępca zawołał do żołnierzy stojących między nami a wozami pancernymi. Tłum rozsunał się, żeby nas przepuścić. Z jednego z pojazdów wyszli dowodzący major SOZ i islandzki kapitan z Eurokorpusu. Ruszyli nam na spotkanie.

– Proszę wyciągnąć ludzi z tunelu – zwróciłem się do majora. – Dryblasy odkryli, jak działają pułapki. Na nic się tam zda sama piechota.

– Niczym innym nie dysponujemy – odpowiedział. – Nie można tam zjechać pojazdem opancerzonym, jak sami sprawdziliście.

Ściągnąłem hełm i odrzuciłem go na bok. Gdy uderzył o lód, na gładkiej kiedyś powierzchni zauważyłem wgniecenia i zadrapania.

– Dajcie mi przewód danych i podepnijcie pancierz do konsoli  
– oznajmiłem. – Byłem za pułapką, tam, gdzie zbudowali  
schronienie. Jeśli nie wysiadło nagrywanie, pokażę wam inną  
drogę.

## Rozdział 5

# Nieprzyjazny ruch lotniczy

Byłem ranny, a mój pancerz musiał znaleźć się w promieniu najwyżej metra od gniazda danych w konsoli taktycznej, pozwolili więc mi usiąść przed głównym stanowiskiem dowodzenia w Mule. Major i kapitan z Eurokorpusu stali po obu stronach, a sześcioro innych oficerów obserwowało od strony otwartej tylnej klapy pojazdu. Podłączyłem się kablem i zainicjowałem pobieranie danych, mając nadzieję, że główny procesor i kości pamięci pancerza przetrwały to, co uszkodziło nadajniki tak-łącza i połowę matrycy sensorów.

Włączył się ekran nad konsolą dowodzenia, pokazując trzy odrębne przekazy. Pierwszym z nich było nagranie z kamery w moim hełmie, drugim moje parametry życiowe i dane dotyczące otoczenia, a ostatnim znacznik pozycji nałożony na mapę okolicy. Transmisja rozpoczęła się w desantowcu przed lądowaniem, włączyłem więc przewijanie na podglądzie, żeby pominąć fragmenty raczej nieobfitujące w zdarzenia. Gdy zaczęliśmy schodzić do tunelu i obraz zrobił się zielony z powodu filtra wzmacniającego, zwolniłem materiał do zwykłej szybkości. Na małym monitorze korytarz wyglądał na znacznie węższy niż w rzeczywistości.

Oficerowie obserwowali następnych dziesięć minut nagrania dokumentujących schodzenie plutonu ku katastrofie. Nie do końca już pamiętałem, jak długo przebywaliśmy w tunelu,

zanim zamknęła się pułapka, ale gdy weszliśmy w długi, prosty odcinek, wiedziałem, że zaraz zapanuje chaos. Przełączyłem tryb widzenia na wykrywanie uderzeń serca i ruchu za ścianą korytarza. Rozległ się głośny trzask i obiekt nagle przesunął się na prawo. Mój reflektor oświetlił długą, szeroką szczelinę w lodzie, która wydawała się wybrzuszać i poszerzać tuż przed tym, jak ściana się zawałiła. Wtedy nagranie zaczęło skakać, ponieważ odłamki pozbawiły mnie równowagi i wywróciły do góry nogami. Islandzki kapitan wypowiedział pod nosem coś, co musiało być przekleństwem w jego języku.

– Skurwysyny – zgodziłem się cicho. W jednej chwili dwie pełne drużyny zostały wykreślone ze stanu osobowego, zagrzebane pod setkami ton lodu, a gdy rumor ucichł, na nagraniu pozostała jedynie dobitna cisza.

Przez następnych piętnaście minut kamera pokazywała tylko ciemność. Włączyłem przewijanie na podglądzie, zaskoczony, ile czasu byłem zagrzebany pod gruzowiskiem. Dość surrealistycznie obserwowało mi się, jak wygrzebuje się spod sterty lodowych odłamków. Filtr przełączył się znów na noktowizję, a pole widzenia zaczęło lekko podrygiwać, gdy Andrew sprzed godziny rozpoczął krótką wędrowkę do wylotu tunelu. Pamiętałem, że wyświetlacz hełmowy wyłączał się wtedy i włączał, ale nagranie zapisane w kościach pamięci okazało się nienaruszone.

– Już tylko chwila – oznajmiłem.

Gdy obraz z kamery pokazał wnętrze jaskini Dryblasów, wszyscy zareagowali gwałtownym wciągnięciem powietrza lub wymruczanymi przekleństwami. Kapitan i major nachylili

głowy bliżej wyświetlacza, żeby dojrzeć więcej szczegółów. Odsunąłem nieco fotel na szynie, robiąc im miejsce. Sam nie musiałem tak dokładnie wpatrywać się w nagrany materiał. Obserwowali z zafascynowaniem i odrazą na twarzach, jak obcy wciskał się w niszę w ścianie groty, a drugi kontynuował powolny spacer wokół zmniejszonej wersji terraformera pośrodku wielkiego pomieszczenia.

Andrew sprzed godziny rozglądał się po grocie niecałą minutę, zanim chwilowo działający odbiornik wyłapał sygnał szeregowego Camerona z tunelu. Obraz zatrząsł się i odwrócił.

– Stop. Niech pan to powtórzy. Ostatnich dwadzieścia sekund – powiedział oficer SOZ.

Wykonałem polecenie, ciesząc się, że odwlekam oglądanie sceny, kiedy Cameron i ja próbowaliśmy uciekać przed Dryblasem. Zatrzymałem materiał i wróciłem do chwili, gdy obejmowałem wzrokiem obcych oraz jaskinię.

– Niech pan spauzuje przy trzydziestu minutach i piętnastu sekundach – rzekł major.

Zatrzymałem nagranie. Ja z przeszłości spoglądałem na centralną kolumnę terraformującą w miejscu, gdzie stykała się ze stropem, czyli dobrych pięćdziesiąt metrów nad podłogą.

– Proszę sprawdzić współrzędne i porównać je z mapą – odezwał się islandzki kapitan swym silnie akcentowanym angielskim.

Powiększyłem mapę na cały ekran. Jeśli pancierz prawidłowo śledził moją pozycję przez dziesiątki metrów litego lodu, to mały niebieski punkcik symbolizujący moją lokację znajdował się poniżej środka koryta zamarznętej rzeki, niemal tam, gdzie

schodziła z głównego lodowca, czyli pół kilometra w górę biegu od naszego Muła.

– Jak wysoko według was jest ten strop? – spytał major z SOZ.

– Pięćdziesiąt metrów, plus minus dziesięć – odparłem, a Islandczyk pokiwał potwierdzająco głową.

Przełączyłem wyświetlacz w poprzedni dzielony tryb i w lewym dolnym rogu przybliżyłem widok wycentrowany na moje współrzędne. Niebieska ikonka leżała siedemdziesiąt jeden metrów poniżej powierzchni lodowej rzeki, plus minus pół metra.

– Ten punkt – oznajmił major, wskazując strop groty, gdzie kolumna terraformera rozgałęziała się na nim niczym korzenie odwróconego drzewa.

– Ten – powtórzyłem. – Nad ich głowami jest tylko dwadzieścia metrów lodu.

– Właśnie. – Major uśmiechnął się ponuro do ekranu.

– Potrzebowalibyśmy pół dnia, żeby przewiercić się przez taką warstwę – uznał kapitan z Eurokorpusu. – A oni by nas zapewne w tym czasie usłyszeli i odeszli. Albo zastawili zasadzkę gdzieś indziej.

– Nic nie mówiłem o wierceniu – odparł major.

– Nawet przy uderzeniu kinetycznym z orbity niełatwo by było przebić się przez tyle lodu – skomentowałem. – Może udałoby się zawalić strop. Gdybyśmy mieli szczęście.

– Musimy zamienić tę jaskinię w dymiącą jamę w ziemi, na dodatek szybko i stanowczo – odrzekł. – Jeśli będziemy się guzdrać, po prostu się przeniosą. Bóg jeden wie, ile jeszcze tuneli tam wygrzebali.

Obrócił się.

– Kapitanie Haraldsson, sugeruję, aby połączył się pan ze swoim dowództwem i uzyskał dla nas upoważnienie do użycia broni jądrowej. Chcę przesunąć na orbicie najbliższą jednostkę WPA dysponującą takim uzbrojeniem i zrzucić na tę grocę pięciokilotonową bombę burzącą, gdy tylko będzie możliwe oddanie strzału.

Przedstawiciel Eurokorpusu wyglądał na wyraźnie wzburzonego.

– To duńskie terytorium. Nie sądzę, żeby pozwolili wam użyć broni jądrowej na swojej ziemi.

Major pokręcił powoli głową.

– Proszę skierować prośbę za ich pośrednictwem. Powiedzieć im, że albo przyślą kilka batalionów piechoty, żeby wykurzyć te istoty, albo też dadzą nam zielone światło do pojedynczego uderzenia. Niech pan dołączy materiał nagrany przez porucznika Graysona i poinformuje ich, że jeśli wybiorą pierwszą opcję, może to zająć kilka dni. My właśnie straciliśmy pół plutonu w ciągu trzech sekund. Chce się pan założyć, ilu z waszych wyjdzie po wszystkim spod ziemi? A jeśli Dryblasy zdążą się rozproszyć, tylko Bóg wie, gdzie znów wyleżą spod lodu.

Kapitan przeniósł wzrok na mnie, a później znów na majora, po czym wzruszył ramionami.

– Przekażę pańskie oczekiwania – powiedział w końcu z wahaniem. – Proszę poczekać.

Odwrócił się i wyszedł przez tylny właz Muła. Gdy dotknął butami lodu, zerwał się do żwawego truchtu i skierował do



niedalekich europejskich pojazdów dowodzenia.

– Wezwijcie naszych ludzi z tuneli – rozkazał major. – Jeśli dostaniemy zielone światło, trzeba będzie się stąd błyskawicznie zmyć. I połączcie mnie z dowództwem regionalnym. Zesrają się z wrażenia, gdy dostaną prośbę. Równie dobrze mogą już zacząć szukać sobie kibla.

Roześmiałem się głośno i natychmiast tego pożałowałem, ponieważ nagły ból przeszył mi bok. Skrzywiłem się i pochyliłem do przodu w fotelu. Major popatrzył na mnie z troską.

– I wezwijcie sanitariusza, żeby spojrzął na porucznika. Kaszle krwią.

Sanitariusze wzięli mnie na tyły, co na tym lodowcu oznaczało drugi rząd w szyku pojazdów opancerzonych, zabezpieczających drugą część zbocza zamarzniętej rzeki. Zdjęli ze mnie pancerz i kazali położyć się na leżance diagnostycznej w Mule medycznym. Uniosłem nieznacznie głowę, żeby móc wciąż obserwować przez otwartą tylną klapę, co działo się na zewnątrz.

– Dwa złamane żebra – oznajmił po sprawdzeniu wyników pełnego skanowania sanitariusz, przysadzisty sierżant sztabowy. – Ma pan też wstrząśnienie mózgu oraz parę siniaków i ran. Wyślemy pana do Wielkich Jezior, żeby naprawili żebra. Tu w terenie nie ma jak.

– Pójdę do jednostki medycznej w Burlington – odrzekłem. – Bliżej domu.

– Jak pan woli – odparł. – I tak zresztą nie zajmie to więcej niż

dobę. Wywieziemy stąd pana, gdy tylko będziemy dysponować wolnym Szerszeniem.

– Nie zawracajcie sobie głowy szukaniem desantowca dla jednego niezdarnego porucznika – sprzeciwiłem się. – Polecę z resztą kompanii, gdy już będziemy się stąd zbierać.

– Na pewno? To może trochę potrwać.

– Wytrzymam.

– Tak jest, sir. – Sierżant wymienił z asystującym mu kapralem spojrzenie mówiące, że uważał mnie za kretyna, jeśli nie zamierzałem skorzystać z możliwości udania się do Wielkich Jezior, skoro tamtejsza placówka medyczna jest dziesięć razy lepsza niż mały szpitalik w BLSOZ Burlington, wyposażony głównie do radzenia sobie z krwawiącymi nosami.

Pozwoliłem nakleić sobie na rany i skaleczenia plastry transdermalne i próbowałem nie oddychać zbyt głęboko.

Dziesięć czy piętnaście minut później przy wylocie tunelu coś zaczęło się dziać. Żołnierze wspinali się pospiesznie po zboczu i wsiadali do oczekujących wozów. Pojazdy po kolei zamykały tylne włazy i ruszały pod górę w kierunku lodowca. Od przodu mojego Muła dobiegły do mnie niewyraźne odgłosy rozmowy przez radio, a po chwili odezwał się głośnik interkomu.

– Jedziemy na spotkanie Szerszeni, które nas stąd zabiorą – oznajmił kierowca. – Trzymajcie się tam z tyłu.

Ruszył, zanim jeszcze tylna rampa zamknęła się do końca. Bez żadnych punktów odniesienia nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy, ale zdecydowanie wjeżdżaliśmy pod górę, ponieważ silnik wydawał wizg charakterystyczny dla wysokich obrotów.

Chyba dostali upoważnienie, pomyślałem. Perspektywa, że

atomówka naprowadzana jest właśnie w miejsce, przez które przejeżdżam lekko opancerzonym pojazdem, powinna mnie chyba bardziej zaniepokoić. Już dziesiątki razy znajdowałem się w okolicy eksplozji termonuklearnych, nawet jeśli zdarzały się one na niezamieszkałych koloniach, a nie na Ziemi. Próbowałem sobie przypomnieć, czy bojowe wykorzystanie broni jądrowej na terytorium sojusznika stanowi pogwałcenie traktatu ze Svalbardu, ale uznałem, że tak naprawdę głównie mnie to obchodziło. Kilkunastu obcych w takiej fortecy było przecież w stanie załatwić każdego, kogo wysłano by przeciwko nim, a nie mogliśmy pozwolić Dryblasom na ewakuację i przegrupowanie, inaczej następnym razem mogliby zaatakować nie bazę wojskową, lecz miasto, i zginęliby nie żołnierze, lecz tysiące cywilów. Gdybym sam mógł odpalić tę atomówkę, zrobiłbym to z radością.

Jechaliśmy po nierównym terenie przez piętnaście minut, po czym Muł się zatrzymał i tylny właz znów się otworzył. Sanitariusze zamierzali wynieść mnie na leżance, ale ustąpili, gdy machnąłem ręką i usiadłem, krzywiąc się. Podparli mnie więc z obu stron i razem zeszliliśmy po rampie. Niemal natychmiast poczułem chłodne ukąszenie grenlandzkiego powietrza.

Staliśmy na pustej, płaskiej powierzchni lodowca. Za nami pozostałe wozy ustawiły się w rzędzie, żeby rozładować żołnierzy. Z przodu mieliśmy sześć desantowców Eurokorpusu i WPA, z włączonymi silnikami i mrugającymi światłami pozycyjnymi. Zimne powietrze pachniało spalinami.

– Wybierzcie okręt i znajdźcie sobie miejsce – rozległo się polecenie na kanale dowodzenia, powtórzone przez zewnętrzne głośniki. – Nie przejmujcie się składem osobowym jednostek ani narodowością. Wszyscy lecimy w to samo miejsce.

Sanitariusze pomogli mi wejść po rampie i przypięli do siedzenia. Dziwnie było znaleźć się w środku bez pancerza i karabinu. Wszędzie wokół mnie miejsca wypełniały się mieszaniną ludzi z SOZ, PK i Eurokorpusu.

– Wytrzyma pan chwilę na siedząco, poruczniku? – spytał mnie pielęgniarz, sprawdzając moje mocowanie.

– Wytrzymam – odparłem. – Dziękuję za zatkanie przecieków.

– Nie ma za co.

Obydwaj sanitariusze usiedli po moich bokach.

– Zapinamy pasy, chłopcy i dziewczęta – oznajmił z brytyjskim akcentem pilot przez interkom. – Odlatujemy, zanim pojawi się nieprzyjazny ruch lotniczy. Salwa jądrowa dotrze tu za siedem minut.

Gdy wszystkie siedzenia wypełniły się już podenerwowanymi żołnierzami różnych narodowości, tylna pochylnia podniosła się i zamknęła, a okręt odleciał na, jak miałem wrażenie, maksymalnym ciągu. Mieli zamiar użyć jedynie małej głowicy taktycznej i znajdowaliśmy się przynajmniej dziesięć kilometrów od strefy zero, ale rozumiałem, dlaczego europejscy piloci chcieli jak najszybciej oddalić się od miejsca wybuchu. W przeciwieństwie do Floty i PK, siły naziemne nie miały doświadczeń z atomówkami, zwłaszcza Europejczycy. Uważali się za zbyt humanitarnych na coś takiego, ale reszta świata cieszyła się, że WPA i ZCR zgromadziły zapasy amunicji

z materiałami rozszczepialnymi, gdy okazało się, że potrzeba kilku tysięcy z nich do napędzania rakiet Orion, które przez ponad rok trzymały Dryblasów z dala od Ziemi. Wyszło na to, że obcy nijak nie szanują cywilizowanych metod prowadzenia wojen.

Atomówka uderzyła siedem minut później, gdy lecieliśmy w szyku dwanaście kilometrów powyżej miejsca wybuchu. Okręty Eurokorpusu miały małe okna i niemal wszyscy żołnierze w ładowni starali się choć przelotnie dostrzec rozjarzoną ognistą kulę, która rozkwitła na ziemi po naszej sterburcie. Był to jedynie ładunek burzący o mocy pięciu kiloton, jedna z najmniejszych głowic w naszym arsenale, ale musiałem przyznać, że wystarczyła na spektakularny pokaz – najpierw sunęła przez atmosferę z prędkością naddźwiękową, ciągnąc za sobą smugę rozgrzanej plazmy niczym kometa, a później nastąpiła sama detonacja materiału rozszczepialnego, erupcja ognia rosnącego z każdą sekundą, aż wzniósł się atomowym kapeluszem w mroźne powietrze i zaciemnił stygnącymi szczątkami, które porwał ze stosunkowo cienkiej w tym miejscu pokrywy lodowej. Podziemne eksplozje są cholernie brudne i ta część Grenlandii jeszcze długo będzie doprowadzać do szaleństwa mierniki promieniowania. Chmura okazała się maleńka w porównaniu z wybuchem wielomegatonowych głowic, które widywałem w akcji, ale i tak wzbudziła podziw Europejczyków oraz żółtodziobów z SOZ, z którymi leciałem. Zamiast gapić się dalej w wiszący w powietrzu grzyb, zamknąłem oczy, ale szybko otworzyłem je z powrotem, gdy

dojrzałem przerażoną twarz szeregowego Camerona za wizjerem jego hełmu, kiedy Dryblas złapał go i cisnął w ciemność, jak niegrzeczny dzieciak rzucający zabawką. Jeśli wciąż żył, zmarł teraz w mikrosekundę, jego mózg wyparował w ognistej kuli o temperaturze miliona stopni wraz z resztą ciała, zanim zdołał przetworzyć impulsy nerwowe dobiegające od skóry.

Skupiłem się na nieznanym geometrii wnętrza desantowca Eurokorpusu i zacząłem liczyć linie spawów oraz nity, choć nagle poczułem się tak zmęczony, że na pewno zasnąłbym kilka sekund po zamknięciu oczu.

Co za totalnie zjebany poranek.

## Rozdział 6

# Poobijany

o jakaś odmiana – powiedziała Halley, wchodząc do pokoju szpitalnego. – Zwykle to ja leżę poobijana na noszach.

– Następnym razem twoja kolej – odrzekłem, krzywiąc się, gdy siadałem. – Możemy się wymieniać.

– Masz trochę do nadrobienia. Jak się czujesz?

– Chyba dobrze. Lepiej niż pół plutonu.

– Co się stało, do diabła?

Zsunąłem nogi przez krawędź łóżka i oparłem rękę na bandażu spowijającym moją klatkę piersiową. Złamane żebra zostały połączone, ale wiedziałem z doświadczenia, że będę obolały jeszcze przez tydzień.

– Czekali na nas – wyjaśniłem. – Zbudowali piękną pułapkę, w której środek wleźliśmy. I to ja wprowadziłem tam ludzi, jak jakiś pieprzony idiota.

Ujęła dłońmi moją twarz i pocałowała mnie delikatnie, po czym usiadła obok.

– Zaoferowałam się, że będę pilotować jeden z zapasowych desantowców SOZ, ale mi nie pozwolili. Musiałam więc czekać na płycie w Burlington. Przez cały czas słuchałam kanału dowodzenia. To było jak tortura, nie mogłam w niczym pomóc.

– Po tym, jak zlikwidowaliśmy dwóch z nich na lądowisku w Thule, uciekli do swojej kryjówki – mówiłem dalej. – Wkopali się pod cholerny lodowiec. Wyryli tam tunele, jakby to była

ziemia. Nie dało się ich dosięgnąć pojazdami opancerzonymi albo z powietrza, więc wziąłem pluton na zwiady.

– Powinni tam wysłać coś zdalnego, zamiast ryzykować ludzkie życie – uznała.

Pokręciłem głową.

– Też mi się tak wydawało. Rzecz w tym, że pod ziemią ledwie mieliśmy łączność, a i to tylko dzięki temu, że na każdym zakręcie stali żołnierze służący za przekaźniki. Zdalny sprzęt nie przekazałby nam dość informacji. Uwierz mi, sam bym tam chętnie posłał drony.

– No to co się stało? – spytała łagodnie.

– Wydaje mi się, że Dryblasy od początku zaplanowali zasadzkę w pobliżu swojej kryjówki. Tunel miał akurat wystarczającą szerokość, żeby zdołali się tamtędy czołgać. Gdy znaleźliśmy się tam całym plutonem, szliśmy w parach w rozciągniętym szyku. Kazałem rozsunąć zespoły ogniowe, żeby dało się strzelać do przodu. Kiedy zorientowałem się, co się święci, zajmowaliśmy stumetrowy odcinek korytarza.

Sięgnąłem po plastikowy kubek z wodą stojący na szafce nocnej i wziąłem długi łyk, po czym poczęstowałem Halley. Pokręciła lekko głową.

– Wzdłuż naszego korytarza biegł drugi. Wychwyciłem coś na skanerze uderzeń serca, ale nie mieliśmy czasu, żeby się wycofać. Skurwysyny zawalili całą ścianę. Pogrzebali dwie drużyny pod lodem. A ja uszedłem z życiem tylko dlatego, że byłem na samym przedzie.

– Jezu – mruknęła. – Dryblasy zastawiają teraz na nas jebane pułapki.



– Co gorsza, nie to mnie najbardziej przeraża.

Opisałem Halley, co wydarzyło się, gdy wygrzebałem się z lodu: siedzibę obcych, szeregowego Camerona zwracającego uwagę obcego przekazem radiowym, moją ucieczkę, która o mały włos zakończyłaby się katastrofą, uderzenie jądrowe z orbity.

– Myślę, że doskonale wiedzieli, w jaki sposób odpowiemy. Wiedzieli, jak działa nasza broń. Znali nasze możliwości i taktykę. Zbudowali swój matecznik w świetny sposób, bo nie mogliśmy tam wjechać wozami bojowymi, nie mogliśmy przeprowadzić nalotu, nawet nie mieliśmy jak korzystać z łączności, nie rozstawiając połowy plutonu jako przekaźników. A później bum i pułapka zamyka się, gdy jesteśmy najbardziej odsłonięci.

– To mógł być zbieg okoliczności. Ślepy traf.

– Nie sądzisz, że to byłby cholernie wielki zbieg okoliczności?

– No wiem. – Wzruszyła ramionami i pokręciła powoli głową.

– Po prostu nie chcę myśleć, że są aż tak sprytni. Nie, jeśli za kilka tygodni zamierzamy rzucić się na kilka tysięcy tych istot na Marsie.

Przypomniał mi się obraz z kamer „Indy’ego”, gdy nieco ponad rok wcześniej przelatywaliśmy z wysoką prędkością obok Marsa podczas drogi powrotnej na Ziemię. Nigdy nie widziałem więcej osiedli Dryblasów w jednym miejscu, a przecież odkąd dostrzegliśmy tam dziesiątki ich miast, minęło już trzynaście miesięcy. Jeśli utrzymali tempo budowy, teraz osad mogło być dwukrotnie więcej. Nasz zwyczajowy plan ataku polegałby na zbombardowaniu ich z orbity atomówkami, żeby uniknąć ofiar,

jakie pociągałby za sobą szturm sił lądowych. Jeśli obcy na Marsie przewidzą naszą taktykę w podobny sposób, jak tych kilkunastu intruzów na Grenlandii, to żołnierzy wszystkich ziemskich armii nie wystarczy, żeby odebrać im Czerwoną Planetę.

Do pokoju wszedł podoficer z korpusu medycznego, trzymający w jednej dłoni OTI, a w drugiej tacę z posiłkiem.

– Jak się pan czuje, poruczniku? – spytał.

– Trochę poobijany, ale poradzę sobie – odrzekłem. – Czy mój mundur już wrócił z odkażania? A jeśli nie, to czy moglibyście zorganizować mi coś zastępczego?

Sierżant postawił tacę na nocnej szafce.

– Tak panu spieszo na zewnątrz? Po załataniu dwóch żeber powinniśmy potrzymać pana dwadzieścia cztery godziny.

– Wezwijcie, proszę, lekarza dyżurnego i załatwcie mi zezwolenie na wyjście. Poradzę sobie – powtórzyłem. – Będę jedynie dwadzieścia minut drogi stąd. Jestem pewien, że pani kapitan zdoła mnie zaciągnąć tu z powrotem, jeśli zacznę krwawić z oczu czy coś.

Podoficer wyglądał, jakby chciał się spierać, ale chyba zmienił zdanie, gdy spojrzał na minę Halley. Zerknął do swojego OTI i wzruszył ramionami.

– Sprawdzę, co powie lekarz. Pański mundur powinien już być odkażony. Może zje pan obiad, a ja sprawdzę, gdzie są rzeczy?

– Dziękuję, sierżancie – odparłem krótko. Pielęgniarka skinęła głową i wyszedł z pokoju.

– Nic by ci się nie stało, gdybyś został do jutra rana –

powiedziała Halley. – I tak jestem umówiona na ostatnią rehabilitację na dziewiątą. Doktor mówi, że jeśli jutro przejdę pomyślnie badanie, przywróci mi status pilota. Mogłabym później cię zgarnąć.

– Nie potrafię się wyspać w placówkach medycznych – stwierdziłem.

Przyjrzała się tacy na szafce.

– Na pewno chcesz się wyrzec takich przysmaków?

Podniosła widelec i dzióbnęła szarawą kupkę purée ziemniaczanego oraz leżący obok sojowy kotlet.

– Boże, pamiętasz, jakie było żarcie, gdy się zaciągnęliśmy? Prawdziwa wołowina. Purée z prawdziwych ziemniaków, ze śmietaną i czosnkiem. A nie to liofilizowane gówno z proszku. Świeże warzywa.

– Ciasto – dodałem. – Pączki. Świeże owoce.

– To były cudne czasy – westchnęła. – A pamiętasz, jak przemycaliśmy desery do sali plutonu, żeby jeść po zgaszeniu świateł?

– Tak. I instruktor szkolenia o wszystkim wiedział. W noc przed ceremonią ukończenia zeżarliśmy cały zapas.

– Prostsze czasy – rzekła z uśmiechem. – A przynajmniej wtedy naszym największym zmartwieniem było, że ktoś przyłapie nas w nocy na obmacywankach pod prysznicem.

Uśmiechnąłem się na to wspomnienie, wydające się pochodzić z wcześniejszego życia, które wiodły wcześniejsze wersje nas, pyszałkowate dzieciaki niewiedzące niczego, ale myślące, że złapały wszechświat za jaja. Siedem lat temu, kiedy byliśmy rekrutami, w całej WPA nie znalazłoby się lepszego żarcia niż

wojskowa szama, mieliśmy ponad sto kolonii, a Marsa zamieszkiwały trzy miliony osadników. Niewiele ponad pół dekady później wpychaliśmy w siebie to samo gówno co wszyscy pozostali, nasze kolonie zostały przejęte lub odcięte od Ziemi, Mars zmienił się w cmentarzysko z zabójczym stężeniem dwutlenku węgla w atmosferze, a my staliśmy na skraju globalnej apokalipsy. Nikt w armii nie mówił już o możliwości emerytury.

– Za każdym razem, gdy jestem w szpitalu, wracają do mnie wspomnienia z Wielkich Jezior.

– Chodzi ci o okres po Detroit?

Przytaknąłem.

– Myślę, że chodzi o zapach. Środki dezynfekcyjne i cała reszta, którymi pachną takie miejsca. Nie mogę tego znieść. Nic dziwnego, że jedzenie tu smakuje jak gówno.

– No dobrze. – Halley odłożyła widelec, którym grzebała w substytucie mięsa. – Zabierzemy cię stąd, zaraz gdy tylko sierżant wróci z twoimi rzeczami. Może chorąży Kopka upichci dla ciebie coś ze składników, które nie zostały wcześniej przez kogoś strawione.

---

Dwadzieścia minut później wyszliśmy z Bazy Lotniczej Sił Obrony Ziemi Burlington i udaliśmy się na stację kolei magnetycznej. Pogoda była znacznie lepsza niż mój nastrój. Trwał rześki, zimny dzień, a powietrze stanu Vermont pachniało jeszcze mocniej niż zazwyczaj. W boku bolało mnie, jakbym okładał się tam przez kilka godzin tłuczkiem do mięsa, a paski worka ze sprzętem ocierały się nieprzyjemnie o rany, ale nie

przeszkadzały mi te niewygody. Przynajmniej żyłem i mogłem to wszystko poczuć. Gdzieś na Grenlandii zostało dwudziestu żołnierzy, którzy już nic nie odczuwali, ponieważ głowica jądrowa, jaką wpakowaliśmy w norę Dryblasów, zamieniła ich w molekuły.

– To dziwne wrażenie – powiedziałem do Halley, gdy szliśmy przez plac przed dworcem, omijając cywilów wracających z pracy do domów, przedstawicieli wyższej klasy średniej uciekających z powrotem do swych małych bezpiecznych azylów wzdłuż linii kolejowej biegnącej wzdłuż Gór Zielonych.

– Co takiego? – spytała moja żona.

– Ta nasza wojaczka na pół etatu. Rano idziemy w bój, a po południu tkwimy w zwykłym świecie. Po Detroit bez badania psychologicznego nie pozwalali nam nawet opuścić pomieszczeń drużyny. Do kurwy nędzy, przecież jeszcze kilka godzin temu strzelałem do obcych na Grenlandii. A teraz łączę po stacji transportu publicznego z bronią automatyczną na plecach.

– Sama nie wiem – odparła. Spojrzała w niebo, na którym zza pokrywy chmur pokazywały się splachetki błękitu, i zmrużyła oczy przed słońcem. – Mnie to za bardzo nie przeszkadza. Na Lunie spędzałam całe miesiące, krążąc tylko między salą lekcyjną, hangarem i kwaterą. Nie widywałam nikogo, kto nie nosiłby munduru.

Popatrzyła na ludzi idących razem z nami na pociąg.

– To nie takie złe – ciągnęła. – Trochę przypomina mi, dlaczego ryzykujemy własną głową. No i od czasu do czasu mogę poczuć słoneczne promienie na twarzy.

Ty latasz desantowcem, chciałem odpowiedzieć. Nie

wchodzisz w ciemne tunele w pogoni za potworami. Natychmiast jednak pożałowałem, że taka myśl pojawiła mi się w ogóle w głowie, bo wiedziałem, że to nieuczciwe. Halley co prawda nie działała w piechocie, ale ryzykowała bardziej niż większość znanych mi trepów, poza tym jej wojskowe życie było równie niebezpieczne jak moje. Przed miesiącem na Arkadii uratowała mój pluton przed wybicciem, gdy wyprowadziła okręt z trybu niewidzialności i zestrzeliła renegacką Dzierzbę, która zamierzała nas zaatakować. Straciliśmy wtedy trzy z czterech bezcennych Meszek, a sama Halley została solidnie poturbowana podczas katapultowania. Połowa pilotów biorących udział w arkadyjskiej operacji zginęła na tamtym odległym księżycu. Ich wskaźnik śmiertelności był znacznie wyższy niż trepów z PK i nie miałem prawa oceniać podejmowanego przez moją żonę ryzyka. Wszyscy codziennie w inny sposób stawialiśmy czoła śmierci. Robili to również cywile spieszący wokół nas do swoich domów. Poniekąd mieli nawet gorzej, ponieważ mogli jedynie polegać na tym, że to my powstrzymamy potwory. Już jakiś czas temu uświadomiłem sobie, że wciąż noszę mundur, ponieważ chcę zachować choćby odrobinę kontroli nad swoim losem. Nie chciałem zamienić tego na sytuację, gdy siedziałbym tu na Ziemi i trwożliwie spoglądał w niebo za każdym razem, gdy działo się coś dziwnego, bez żadnej możliwości reakcji.

---

Weszliśmy na teren stacji, zeskanowaliśmy legitymacje wojskowe i czekaliśmy na peronie na pociąg, który zabierze nas z powrotem do Liberty Falls. Nie byliśmy tu jedynymi

żołnierzami, lecz pozostali – trzech z SOZ i jeden marynarz z Floty – mieli stopnie szeregowych i trzymali się z dala od nas, czy to z respektu, czy po to, żeby nie musieć nam salutować. Stojący w pobliżu ludzie zerkali na nas i kiwali z szacunkiem głowami, gdy napotykalismy ich spojrzenia.

Skład magnetyczny wjechał na stację niemal bezszelestnie. Tego typu pojazdy były czyste i w dobrym stanie, w przeciwieństwie do gównianych kolejek transportu publicznego w DZK. Z głośników sączył się nawet cicho jakiś niewyróżniający się synth-pop, a komunikaty, żeby odsunąć się od drzwi, brzmiały bardziej jak grzeczne prośby niż rozkazy. Wraz z Halley znaleźliśmy pusty rząd, wsunęliśmy worki na półkę i usiedliśmy w wygodnych fotelach. Miałem ochotę się zdrzemnąć, jednak podróż trwała jedynie piętnaście minut, nie miałbym więc czasu, żeby porządnie zasnąć. Zamiast tego oparłem głowę o szybę i spoglądałem na okolicę.

– O czym myślisz? – zapytała Halley. Zerknąłem na jej odbicie w polioplastowym oknie i zobaczyłem, że mnie obserwuje.

– Dlaczego pytasz?

– Bo wyglądasz, jakbyś coś rozkminiał.

Pokręciłem głową.

– Gdy zawalił się tamten korytarz, wydawało mi się, że to już koniec. Wszędzie ciemno, sensory hełmu zepsute, żadnej broni oprócz tego kretyńskiego pistoleciku. A w pobliżu Dryblasy. W całym życiu nigdy się tak nie bałem. To jakby prosto na ciebie jechała lokomotywa, a ty stoisz w tunelu i nie możesz zejść z torów.

– Nie mam trudności z uwierzeniem w to – odparła.

– Ale to nie to było najgorsze.

Opowiedziałem jej o szeregowym Cameronie, biednym gnojku, który wygrzebał się z gruzów tuż po mnie i ściągnął na siebie uwagę obcego, gdy uruchomił radio i wzywał pomocy. Popęłił głupią pomyłkę, ale był żółtodziobem świeżo po szkoleniu przygotowawczym, a walka z obcymi nie zostawiała miejsca na najmniejsze błędy.

Halley wysłuchiwała mojej opowieści z poważnym wyrazem twarzy.

– Wydaje ci się, że powinieneś był zrobić więcej.

– Tyle że nie mogłem. Sama wiesz, że te pistolety nie zdołają przebić skóry Dryblasów. Ale owszem, wlałem na tę stertę gruzów i uciekłem, gdy ten młodzik próbował utrzymać pozycję.

– Zrobił to, do czego został wyszkolony. Powinieneś wysłać jego instruktorowi prezent czy coś, bo ten żółtodziób wykonał swoje zadanie.

– Wiem. Ale i tak będę go wciąż widział w snach.

Znów wyjrzałem przez okno. Niebo zaczynało ciemnieć. Trakcja z Burlington do Liberty Falls biegła przez zalesione góry, na odcinku kilometra czy dwóch można było zobaczyć więcej drzew niż przeciętny mieszkaniec DZK widział przez całe życie.

– Mam niedobre przeczucia co do Marsa – ciągnąłem. – Naprawdę złe. Moim zdaniem porywamy się z motyką na słońce. Nikt stamtąd nie wróci.

Wzruszyła ramionami.

– Niemal zginęliśmy razem na „Wersalu”, gdy się to wszystko zaczęło. A później przez ponad sześć lat toczyliśmy wojnę. Jak często przez ten czas byliśmy blisko śmierci? Ty na powierzchni



ze swoimi kapslami, a ja w kokpicie? Wiesz, w ilu desantach brałam udział, kiedy to traciliśmy okręt albo cały klucz?

– Zapewne w tylu co ja, gdy traciłem kapsli – odparłem.

– Właśnie. A później, kilka miesięcy temu, była Ziemia. I Leonidas. Oraz kilkanaście innych miejsc, z których ledwo uszliśmy z życiem, lecz uznaliśmy, że nie będziemy się nawzajem za bardzo zadręczać paskudnymi szczegółami. I nawet nie próbuj zaprzeczać, że ukrywałeś co nieco przede mną przez te wszystkie lata.

– Pewnego dnia skończy się nam szczęście – powiedziałem.

– Może i tak. I co z tego? Zamierzasz zdać nieśmiertelniki i odejść ze służby? Zostać tu, w wymuskanym miasteczku, dopóki nie zaczną na nie spadać kapsuły z zabójczym gazem?

Parsknąłem i pokręciłem przecząco głową.

– Marne szanse.

– Masz złe przeczucia co do Marsa – rzekła. – Nic dziwnego. Zamierzamy rzucić wszystko, czym dysponujemy, przeciwko największej hordzie Dryblasów, z jaką mieliśmy dotąd do czynienia. – Oparła głowę o moje ramię i westchnęła. – Mam podobne myśli. Ale tak szczerze, to od „Wersalu” mam wrażenie, że żyjemy jakby w pożyczonym czasie. Nie chcę umierać już teraz, ale jeśli będę musiała, to wolę mieć wtedy dłonie na przepustnicy i drążku, a palec na spuście. – Pocałowała mnie w policzek i znów się przytuliła. – Poza tym Mars nie powinien być teraz twoim największym zmartwieniem.

– Co masz na myśli?

– Przed wylotem tam wszyscy dostaniemy przepustki. Teraz mam zwolnienie lekarskie. Powiedziałam swoim rodzicom, że

przyjedziemy do nich przed dyslokacją. Żeby wyczyścić konto.

Wydałem z siebie mimowolne jęknięcie.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz.

– Ani trochę – odmruknęła z lekkim uśmiechem. – Od ślubu widzieliśmy się z nimi tylko raz. Musimy tam pojechać i załatwić sprawy przed odlotem, w razie gdybyśmy mieli nie wrócić.

Znów wydałem z siebie rozpaczliwy dźwięk kogoś, komu właśnie powiedziano, że o świcie stanie przed plutonem egzekucyjnym.

– Po raz pierwszy w życiu nie mogę się doczekać wezwania alarmowego.

Zachichotała cicho.

– Już tyle razy walczyłeś z obcymi, że możesz stawić czoła moim rodzicom.

– Wolałbym siedzieć teraz w desantowcu schodzącym ku powierzchni Marsa – odparłem, jedynie po części żartując.

## Rozdział 7

# Spektakl na przedmieściach

Przed Exodusem i pierwszym wtargnięciem Dryblasów na Ziemię, jakiś rok temu, można było śmigać koleją magnetyczną po całym kontynencie, jeżdżąc różnymi liniami regionalnymi do ich stacji węzłowych. Pomędzy metropleksami pociągi osiągały prędkość czterystu kilometrów na godzinę, co stanowiło dość wydajny sposób pokonywania dużych odległości. Jednak później sieć rozpadła się na kawałki. Pojawił się półksiężycowaty obszar nazywany teraz przez nas mroczną strefą, czyli tereny spalone podczas zamieszek lub wyrwane spod kontroli rządu WPA, skąd wypchnięto policję, Brygady Lazarus jeszcze nie weszły, żeby przywrócić porządek, a ocalałe bataliony SOZ nie ośmielały się tam zapuszczać. Zajmował środek kraju, a następnie zakręcał w dół, obejmując znaczną część południowej WPA. Pociągi zatrzymywały się teraz przed tą zoną, ponieważ nie było tam sił bezpieczeństwa, zresztą i tak nikt o zdrowych zmysłach nie miał zamiaru zapuszczać się w przestwór niekontrolowanych DZK.

Na szczęście obszar ten odcinał północne trakcje kolejowe od południowych, a rodzice Halley mieszkali po drugiej jego stronie. Na nieszczęście mieszkali w San Antonio, mieście wciąż w pełni kontrolowanym przez WPA, ponieważ stanowiło południowy ośrodek Korpusu Obrony WPA. Mieściło się tam jedno z naszych centrów rekrutacyjnych, a także Wspólna Baza

Lackland, największa placówka lotniczo-powietrzna w tej części, co oznaczało, że dotarcie tam wojskowym transportem lotniczym nie sprawiało większych trudności. Tak więc trzy dni po zawierusze na Grenlandii ruszyliśmy w podróż na południe za pośrednictwem kilku połączeń wahadłowych, żeby odwiedzić teściów w ich bezpiecznej małej enklawie.

– Czuję się jak skrzynka z przydziałami żywnościowymi – niemal krzyknęła do mnie Halley, gdy prom transportowy zatrzęsł się w powietrzu chyba po raz piąty od opuszczenia przez nas BLSOZ Norfolk w trzecim etapie podróży do San Antonio.

– Wątpię – odparłem. – Racje żywnościowe nie miewają mdłości, a ty nieco pozieleniałaś. Na pewno jesteś pilotem?

– To jak z jazdą hydrosamochodem – powiedziała. – Gdy siedzę za drążkiem, wszystko jest w porządku. Posadź mnie z tyłu, to dostanę choroby lokomocyjnej. Zwłaszcza w tych latających śmieciarkach.

Dzięki naszym stopniom mogliśmy korzystać z transportu wojskowego, ale tym plusom towarzyszyły też minusy. Flota wahadłowa składała się głównie z towarowców, jeśli więc żadna jednostka pasażerska nie udawała się w odpowiednią stronę – czyli zazwyczaj – trzeba było sterczeć w pozbawionej okien ładowni, na rozwalających się rozkładanych siedziskach, obok paru ton priorytetowych wojskowych towarów. Owszem, podróżowało się w ten sposób szybciej niż koleją magnetyczną, ale to chyba była jedyna zaleta. Gdybym mógł pojechać do San Antonio pociągiem, wybrałbym właśnie tę metodę – zarówno

z wygody, jak i dlatego, że od konieczności męczenia się z rodzicami Halley dzieliliby mnie wtedy jeden dzień drogi więcej.

Prom znów się zatrząsł, tym razem gwałtowniej niż wcześniej. Mój żołądek wykonał małe salto. Nigdy nie żałowałem niczego, co jadłem u chorążego Kopki, ale teraz pomyślałem, że może jednak nie trzeba było pochłaniać na deser puddingu z syropem klonowym. Gdy powiedziałem to Halley, roześmiała się.

– Czegoś takiego nikt nie mógłby odmówić. On miał prawdziwy syrop klonowy. Nie jadłam go od lat.

– A ja próbowałem pierwszy raz – odrzekłem, starając się zignorować dziwne uczucie w brzuchu. – Daję ci słowo, że jeśli spadniemy na mroczne DZK, nie przestanę ci marudzić.

OTI w mojej kieszeni zabrzączał, powiadamiając o nowej wiadomości. Wyciągnąłem go z lękiem z kieszeni. Halley sięgnęła do swojej w tej samej chwili, wiedziałem więc, że również poczuła wibracje.

– Cholera – stwierdziłem. – No to spójrzmy.

Włączyłem ekran i odczytałem otrzymaną właśnie informację. Nie był to alert priorytetowy kładący nam zgłosić się do najbliższego wojskowego punktu zbiórki. Zerknąłem na krótki, liczący dwa akapity tekst i poczułem ulgę wymieszaną z irytacją. Pokazałem urządzenie Halley.

– Nie wierzę w to. Jakby nie było ważniejszych spraw.

Spojrzała na wyświetlacz, po czym pokazała mi swój. Jej wiadomość różniła się od mojej zaledwie kilkoma słowami. Obie nadeszły z Dowództwa Floty WPA i stanowiły standardowe powiadomienia. Halley i ja zdołaliśmy równocześnie zakląć.

Poinformowano nas, że zostaliśmy odznaczeni za waleczność okazaną na Arkadii. Różniły się jedynie nazwy nagród: ja dostałem Srebrną Gwiazdę, a Halley – Zaszczytny Krzyż Lotniczy. Wniosek o oba medale wystosował dowódca operacji naziemnej: major Khaled Masoud, Dowództwo Sił Specjalnych Floty.

– Minął zaledwie miesiąc – powiedziała Halley. – Po cholere przepchnęli to tak szybko?

Skasowałem wiadomość ze skrzynki odbiorczej i wsunąłem OTI z powrotem do kieszeni.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Nie możesz odmówić ich przyjęcia. Trafiły już do naszych akt osobowych.

Dawno, dawno temu odbywały się ceremonie dekoracji – najwyższy rangą oficer w batalionie lub dywizji przypinał wtedy medal do kurtki mundurowej. Odkąd zaczęła się rozróżba z Dryblasami, orderzy przyznawano za pośrednictwem systemu komputerowego i nikt nie zawracał już sobie głowy wysyłaniem ich wersji fizycznych. Gdybyśmy zapragnęli prawdziwych blaszek, moglibyśmy je odebrać w kwatermistrzostwie, w bazie, tak samo, jak nową parę butów albo czystą pościel. Sprawdzali wtedy nasze pliki osobowe i wręczali medale bez żadnej pompy czy blichtru.

– Nie przypnę gwiazdki do baretki – oznajmiłem. – Nie zrobiłem nic, by na nią zasłużyć.

– Gadasz bzdury, Andrew, i dobrze o tym wiesz. Nie pierdol głupot.

Chciałem jej powiedzieć, ilu straciłem ludzi, gdy wydałem

rozkaz szturm, ale przecież była tego świadoma. Przecież misja zakończyłaby się klęską, gdyby major Masoud i jego SEAL nie odpalili jądrowej niespodzianki dla dowództwa renegatów, ale to też wiedziała. Nie mogłem argumentować, że nie zasłużyła sobie na drugi Krzyż – w końcu jej działania ocaliły życie żołnierzy z dwóch plutonów – ale sam nie chciałem przyjmować wyróżnienia za to, że straciłem jedną trzecią swoich podkomendnych. Nie mogłem spoglądać na odznaczenie i nie przypominać sobie o nieszczęsnym szeregowym, którego rozerwała seria z działka automatycznego pięć metrów ode mnie. Albo o poruczniku Dorianie, który kilkakrotnie ocalił nam dupy jako pilot naszego desantowca, a później Dzierzby strąciły go zaledwie na kilka minut przed kapitulacją garnizonu buntowników.

– Wie, że go nienawidzę – rzekłem. – Dlaczego zgłosił mnie do odznaczenia za waleczność?

– Może uważa, że na nie zasłużyłeś – odparła. – Może chciał dać dowództwu motywacyjny temat dla biuletynu Floty. A może jedno i drugie. Kogo to obchodzi?

Postanowiłem odpuścić, ale cała ta sprawa mnie rozdrażniła. Otrzymanie Srebrnej Gwiazdy powinno być pamiętnym wydarzeniem w karierze wojskowej. Nie powinienem się czuć, jakby major Masoud kolejny raz wykorzystał mnie do własnych celów.

– Mam nadzieję, że zobaczę go podczas lotu na Marsa. Powiem mu wtedy, żeby ją sobie wsadził w dupę – oznajmiłem.

Nieprzyjemną godzinę później zeszliśmy na Lackland. Gdy

otworzyła się kłapa promu, do środka wpadł podmuch ciepłego powietrza śmierdzącego paliwem lotniczym. Wypięliśmy się z upręży i wzięliśmy swoje rzeczy. Nigdy bardziej nie cieszyła mnie perspektywa wyjścia z pojazdu wojskowego.

– Chcesz zjeść coś tu w bazie, zanim ruszymy do miasta? – spytała Halley.

Było popołudnie i od porannego posiłku w Liberty Falls nie mieliśmy nic w ustach, jednak choroba lokomocyjna skutecznie pozbawiła mnie apetytu, pokręciłem więc przecząco głową.

– Ale pójdę z tobą, jeśli jesteś głodna.

– Aaa tam – odparła. – I tak żarcie będzie główniane. Chodźmy do rodziców. Na pewno planują nakarmić nas czymś dobrym wieczorem.

– Ostatnie wieczery zwykle są niezłe – skomentowałem.

---

Wspólna Baza Lackland zajmowała rozległy obszar na obrzeżach San Antonio. Mieściła lotnisko SOZ, cztery bataliony, port lotniczy Floty oraz sześć placówek szkoleniowych, w tym jedno z czterech centrów rekrutacyjnych Korpusu Obronnego. Minęła niemal godzina, zanim przedostaliśmy się z lądowiska do głównego punktu transportowego, w którym panował podobny tłok jak na Stacji Węzłowej, gdy przybijało do niej jednocześnie kilkanaście dużych okrętów.

Jazda koleją okazała się nieprzyjemna. Same wagony były w dobrym stanie i czyste, ale o tej porze dnia wypełniały je tłumy i musieliśmy stanąć na tyle jednego z nich z bagażami między nogami. Pasażerowie udający się do miasta po pracy w bazie w połowie składali się z mundurowych, a w połowie



z cywilów, z których jednak spora część wyglądała jak wojskowi w cywilnych ciuchach. Większość żołnierzy w naszym wagonie stanowili szeregowi, gdzieś tam zdarzali się sierżanci, a dwa rzędy przed nami siedział porucznik. Zwykle insygnia oficerskie na naszych rękawach wzbudzały respekt zapewniający nam nieco miejsca, ale pociąg był tak wypchany, że uniemożliwiało to podobne uprzejmości, staliśmy więc ramię w ramię z szeregowymi i kapralami, którzy pracowicie próbowali unikać spoglądania na nas.

Rodzice Halley mieszkali na przedmieściach na północnym wschodzie San Antonio, a baza Lackland leżała na południowy zachód od miasta, więc podróż zajęła kolejną niepełną godzinę częstych przystanków i nieustannego tłoczenia się pasażerów do środka i na zewnątrz. Chwialiśmy się w tym ludzkim prądzie niczym spławiane rzeką drewno. Gdy dotarliśmy wreszcie do odpowiedniej stacji, byłem zmęczony i jeszcze bardziej marudny, niż powinienem w związku z perspektywą pobytu w domu teściów.

– Straszny ścisk – mruknęła moja żona, gdy wjeżdżaliśmy schodami ruchomymi do nadziemnej części terminalu. – Było gorzej niż w porze posiłku w mesie na fregacie.


Współczynnik cywilów do mundurowych był tu zdecydowanie wyższy niż w Lackland. Widywało się bardzo niewiele osób w uniformach pośród tłumu dobrze ubranych obywateli. Stacja była czysta oraz dobrze oświetlona i nawet ja wyczuwałem w powietrzu aromat jakiegoś aerozolu. Olmos Park było zamożnym przedmieściem i dworzec w niczym nie przypominał węzłów transportu publicznego w DZK. Zamiast

straganów widziałem sklepy i restauracje ze szklanymi witrynami. Podłogę wykonano z granitowych płytek, a ściany pokryto ozdobnymi sztukateriami. Nawet w oknach były szyby i elementy dekoracyjne. Na przystanku w DZK w ciągu trzech minut zamieniłyby się w setki pięknych odłamków.

– Czuję się tu trochę nie na miejscu – powiedziałem do Halley.

– Witaj w klubie – odrzekła. – Sama tak się tu czuję, odkąd skończyłam dwanaście lat.

Wyszliśmy na zewnątrz. Zauważyłem, że ledwo było tu widać środki bezpieczeństwa – paru ochroniarzy z pistoletami i paralizatorami stało przy drzwiach, a przed stacją parkowały dwa policyjne hydrosamochody, ale nie dostrzegałem żadnych żołnierzy SOZ w pancerzach, żadnej broni automatycznej ani hełmów. Gliniarze skinęli nam lekko głowami, gdy mijaliśmy ich z naszymi workami mieszczącymi w sobie większą siłę ognia niż suma ich wszystkich. San Antonio nie potrzebowało policjantów do tłumienia zamieszek, ponieważ takowe się tu nie zdarzały. Status miasta jako ośrodka wojskowego i centrum przemysłu obronnego oznaczał, że była to bezpieczna enklawa, odseparowana od pobliskich metropleksów Dallas i Houston. Na horyzoncie nie dominowały wysokościowce z DZK. Transport do San Antonio był ściśle kontrolowany i żaden biedny szczur z komunałki nie dotarłby nawet na dwadzieścia kilometrów od zewnętrznego kręgu przedmieść. Spora część starego stanu Teksas leżała teraz w strefie mroku, ale San Antonio równie pewnie tkwiło w rękach zamożnych ludzi, jak przed Exodusem. Nawet jeśli koniec świata czaił się tuż za rogiem, na pewno nie widziało się tego w tym mieście.



– No i proszę – mruknęła Halley, zauważając swojego ojca na placu przed stacją. Dostrzegł nas mniej więcej w tej samej chwili i pomachał.

Nie mogło być wątpliwości, któremu z rodziców moja żona zawdzięczała swój wygląd. Była wysoka jak ojciec, ich włosy i oczy miały ten sam kolor, odziedziczyła też po nim nos i kości policzkowe. Był przystojnym gościem, zadbanym, szczupłym i wysportowanym, jak to mieszkaniec przedmieść z dostępem do porządnej opieki medycznej i sprzętu do ćwiczeń. Gdyby kogoś takiego postawić bez ubrania obok szczura z DZK, z odległości pięćdziesięciu metrów dałoby się rozpoznać, kto jest kim. Teść był właśnie takim stereotypowym facetem z wyższej klasy średniej, z równymi zębami i opalenizną w pakiecie. Zamachał do nas znowu, gdy szliśmy w jego stronę, po czym wyciągnął z kieszeni elektroniczny klucz i niedbałym gestem piknął nim przez ramię.

– Witajcie – powiedział. Przytulił córkę i wyciągnął do mnie dłoń. – Jak minęła podróż?

– Nieźle – odparłem, ściskając mu rękę.

– Paskudnie – oznajmiła w tym samym czasie Halley.

– Ale dojechaliście – rzekł. – Jazda na północ zajmuje teraz więcej czasu. Dwa razy w roku muszę udawać się do Bethesdy i za każdym razem jest okropnie.

Smukły i lśniący hydrosamochód podjechał za jego plecami do krawężnika i ćwierknął powiadamiająco. Ojciec Halley wskazał podbródkiem nasze rzeczy, a później pojazd, który właśnie automatycznie otwierał przed nami drzwi i bagażnik.

– Pakujcie się. Przynajmniej ostatni etap podróży będzie

wygodny.

Zostawiliśmy za sobą centrum miasta i równymi, zadbanymi ulicami ruszyliśmy na przedmieścia. Rodzice Halley mieszkali w jednej z ładniejszych dzielnic, ale inne, które mijaliśmy, też nie należały do zapuszczonych. Domy z ogródkami od frontu, mnóstwo prywatnych pojazdów, schludne ryneczki ze sklepami spożywczymi, przed którymi nie stały kolejki. Mój teść niemal przez całą drogę pozwalał prowadzić komputerowi, przejął kontrolę manualną tylko raz, gdy wjeżdżaliśmy na autostradę z zabezpieczoną rampą wlotową. Musieliśmy tam zwolnić przed barierkami blokującymi, po czym mały przekaźnik umieszczony na przedniej szybie wydał z siebie przyjazny pisk i zaświecił zieloną diodę, a wtedy zaporą schowała się pod ziemię. Przejechaliśmy przez bramkę z małą prędkością, a gdy tylko ją minęliśmy, bariera zasunęła się z powrotem, znacznie szybciej, niż się obniżała. Na autostradzie panował niewielki ruch, a ściany okalające ją z obu stron miały dziesięć metrów wysokości i były zwieńczone drutem kolczastym.

– Mała korzyść z mojej pracy – powiedział do mnie teść, gdy zauważył, że spoglądam na szczyt ściany biegnącej wzdłuż autostrady. – Mogę korzystać z pasa ekspresowego, gdy tylko zechcę.

W San Antonio było gorąco, ale choć górną część samochodu stanowiła wielka bańka z przejrzystego polioplastu, w środku panował przyjemny chłód. Niewidzialne wyloty kierowały do przedziału pasażerskiego delikatny strumień zimnego powietrza, a dach automatycznie się zaciemniał, odfiltrowując światło słoneczne, jeśli padało bezpośrednio na pojazd. Nigdy

nie podróżowałem w wygodniejszy i bardziej luksusowy sposób.

Ponieważ hydrosamochód sunął z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, znaleźliśmy się na obrzeżach Olmos Park w niecałe piętnaście minut, czyli znacznie krócej, niż zajęłoby nam przejechanie z bazy transportem publicznym. Opuściliśmy autostradę kolejnym zabezpieczonym zjazdem i znaleźliśmy się w bogatej okolicy, gdzie dorastała Halley.

Jej rodzice mieszkali na cichej, wysadzonej drzewami uliczce. Wszystkie domy wydawały się obscenicznie duże, jak na standardy DZK, tutejsze budynki jednorodzinne dorównywały wielkością piętrowym komunalnym klockom mieszczącym osiem osób. Na dodatek wille były rozdzielone sporymi odstępami i każda miała duży trawnik od przodu. To właśnie tutaj mieszkała najwyższa warstwa klasy średniej, ludzie pracujący dla cywilnych przedsiębiorstw obronnych lub administracji kolonialnej, którzy przez całe życie nie trafiali bliżej niż na dziesięć kilometrów od DZK. Prawdziwe jedzenie, kupowane za prawdziwe pieniądze. Hydrosamochody na każdym podjeździe, drogie systemy filtracyjne i klimatyzacyjne brzęczące przy każdym domu oraz prawdziwa, wyhodowana biologicznie trawa. Nawet drzewa były prawdziwe. Całość wyglądała jeszcze sztuczniej niż Liberty Falls, zupełnie jak plan zdjęciowy z programu sieciowizyjnego. Zaledwie kilkaset kilometrów stamtąd leżał metropleks mieszczący kilkanaście dzielnic komunalnych, a miejsce przeznaczone tutaj dla jednej rodziny wystarczyłoby do postawienia dziesięciopiętrowej jednostki mieszkalnej kategorii trzeciej dla pięciuset ludzi.

Gdy podjeżdżaliśmy pod dom, zobaczyliśmy trzy pojazdy zaparkowane na podjeździe i wzdłuż krawężnika.

– Tato – odezwała się lekko błagalnym tonem Halley – nie mów mi, że urządzacie dzisiaj przyjęcie.

– Tylko małą kolację dla garstki przyjaciół.

– Dopiero przyjechaliśmy. Mamy na sobie mundury robocze i jesteśmy spoceni. Naprawdę nie jesteśmy gotowi na elegancką kolację. Zresztą nie byłabym w nastroju na przyjęcie, nawet gdyby nie ten pognieciony mundur.

– To nic wielkiego, kochanie. Nic formalnego. Twoja mama po prostu zaprosiła kilka osób na drinka.

– Wiesz dobrze, że to nigdy nie jest takie proste – rzekła Halley, po czym spojrzała na mnie, wywróciła oczyma i westchnęła.

Podeszliśmy do domu, a w tym czasie teść parkował w garażu. Wiedziałem, że dom był wyposażony w bardzo dobre systemy zabezpieczające i że matka Halley wiedziała o naszym przyjeździe, gdy tylko znaleźliśmy się pięćdziesiąt metrów od drzwi, ale mimo to kazała nam czekać dobrych dwadzieścia sekund od naciśnięcia dzwonka, zanim jej twarz pojawiła się na ekranie domofonu przy wejściu. Uśmiechnęła się i odblokowała drzwi, które rozsunęły się, wypuszczając podmuch chłodnego powietrza.

– Diano – powitała córkę. Ta skrzywiła się lekko, słysząc swoje imię, którego nigdy nie używała.

Wymieniły niezgrabny, sztywny uścisk, wyglądający, jakby obie robiły to po raz pierwszy. Następnie teściowa spojrzała na mnie i uśmiechnęła się równie nieszczerze, jak wtedy, gdy jej

oblicze błysnęło przed chwilą na monitorze.

– Andrew – powiedziała. Nastąpiła niezręczna chwila, gdy oboje próbowaliśmy określić, czy podać sobie dłonie, czy uścisnąć się, ale teściowa chyba uznała, że woli przesadzić w kierunku towarzyskości, i zaszczyciła mnie objęciem, zresztą równie sztywnym jak w przypadku córki. – Dobrze widzieć was oboje.

– Nawzajem – odparłem.

– No wejdźcie. Musicie być zmęczeni od noszenia tych bagaży przez cały dzień. – Zmierzyła wzrokiem pistolety w kaburach na biodrach. – Ale naprawdę bym wolała, żebyście nie wnosili tego do domu.

– Przepisy, matko – odrzekła Halley.

– Mamy obowiązek nosić broń przez cały czas pozostawania poza bazą – wsparłem ją. – W razie wtargnięcia Dryblasów. I dla osobistego bezpieczeństwa. Obecnie zdarza się mnóstwo zamieszek.

– Tutaj się nie zdarzają, Andrew. Najbliższe miasto komunalne leży setki kilometrów stąd. I jest tu wystarczająco bezpiecznie, mamy mnóstwo policji i wojska.

– Nie jest – powiedziała Halley. – Nie w obliczu wtargnięcia orbitalnego. Jeśli kolejny okręt nasienny zbliży się do Ziemi i zacznie wypluwać kapsuły, dwadzieścia minut później na tej ulicy może się znaleźć kilkunastu obcych.

Matka Halley wydawała się skrepowana tak rzeczowo podanym faktem, lecz po chwili pokręciła głową, jakby próbowała odgonić muchę.

– No cóż, kim jestem, żeby spierać się z regulaminami

wojskowymi – rzekła wyniosłym tonem.

W środku panował chłód dzięki klimatyzacji i było cicho, nie licząc stłumionego szmeru rozmów z jadalni. Podłogi pokrywał syntetyczny, bardzo realistycznie wyglądający laminat – nawet moich teściów nie było stać na prawdziwe drewno – a wnętrza wyglądały bardziej jak muzeum podmiejskiego trybu życia niż czyjeś mieszkanie. Może był to wynik lat spędzonych przeze mnie w wojskowych kwaterach albo dzieciństwa w DZK, ale przestrzeń, jaką rodzice Halley dysponowali tylko dla siebie, wydawała się przesadnie zmarnotrawiona. Dom był tak wielki, że można by go podzielić na kilka mieszkań komunalnych. Miał ogromny przedsiónek, salon większy niż dawne dwupokojowe lokum mojej matki, kuchnię pełną lśniących sprzętów i wypolerowanych szarych blatów, trzy osobne sypialnie, a nawet dwie łazienki, obie z prysznicami i przestronniejsze niż kajuta oficerska na gwiazdnym okręcie. Znalazłem się tutaj dopiero po raz drugi, a jednak takie trwonienie przestrzeni oburzało mnie bardziej niż przy poprzedniej wizycie.

– Naszykowałam wam sypialnię gościnną – oznajmiła matka Halley. Poprowadziła nas do drzwi i rozsunęła je. – Komoda jest pusta, jeśli chcecie się rozpakować, ale widzę, że nie przywieźliście wiele. Może odświeżycie się trochę, a później przyjdziecie przywitać się ze wszystkimi przed kolacją?

Zrzuciliśmy z ramion worki ze sprzętem i wyciągnęliśmy rzeczy z małych weekendowych toreb, gdy teściowa podryfowała w stronę salonu, żeby znów zabawić gości. Żadne z nas nie przywiozło cywilnych ubrań – ja sam nie nosiłem nic nieprzydziałowego od ponad roku i byłem przekonany, że



Halley również nie posiadała nic poza mundurami i kombinezonami lotniczymi. Moja żona wyciągnęła broń obrony osobistej, wyjęła z niej magazynek, sprawdziła komorę i wymierzyła lufę w podłogę, jednocześnie spoglądając w elektroniczny celownik. Następnie uderzyła otwartą dłonią w mechanizm rygłowy, żeby wydał jak najgłośniejszy i maksymalnie mechaniczny odgłos. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się lekko.

– Chcę mieć to przerzucone przez pierś, gdy usiądziemy do kolacji – oznajmiła. – Następnym razem zabiorę M-95 i oprę wtedy tego półtorametrowego skurwysyna o blat kuchenny.

– Po co się tak ograniczać? Jestem pewien, że udałoby mi się zabrać wyrzutnię MARS ze zbrojowni – odparłem z uśmiechem, który odwzajemniła.

Schowała broń z powrotem do worka i zapięła mocno rzepowe paski, które utrzymywały ją na miejscu.

– Ale tak z drugiej strony, to może być nasza ostatnia wizyta – rzekła. – Byłby to jedyny pozytywny akcent kopnięcia w kalendarz na Marsie.

Gdy weszliśmy do salonu, siedziało tam kilka osób i wszyscy obrócili się w naszą stronę. Wyczułem, że moja żona zeszywniała, gdy rozpoznała kogoś z obecnych, ale ja jeszcze nikogo z nich wcześniej nie spotkałem.

– Znacie Dianę – odezwała się matka Halley do zebranych. – A to jej mąż Andrew.

Przedstawiła mnie każdemu po kolei. Gośćmi były dwie pary mniej więcej w wieku teściów, równie jak oni schludni

i eleganccy, a także młodszy gość pod trzydziestkę. Był przystojny w podobnie wypracowany sposób jak ojciec Halley i wiedziałem, że wyczuł we mnie DZK, gdy tylko uścisnęliśmy sobie ręce, choć na dobre opuściłem Boston siedem lat wcześniej.

– Andrew, to Kenneth Harris. Chodził z Dianą do szkoły – oznajmiła matka Halley. – Ken, to Andrew Grayson. Również jest oficerem.

– Sporo o tobie słyszałem – rzekł Ken.

– A ja o tobie nic – zripostowałem.

Uśmiechnął się do mnie, pokazując proste i białe zęby, na które można było sobie pozwolić tylko na przedmieściach.

– Cóż, Dianę i mnie kiedyś coś łączyło. Byliśmy ze sobą w szkole, zanim postanowiła wstąpić do wojska.

Wymieniłem spojrzenia z Halley, wyglądała na zażenowaną. Usiadła przy stole, a teściowa wskazała mi krzesło na lewo od niej. Ken siedział po prawej stronie Halley, która niemal wzdrygnęła się, uświadamiając sobie, że to jej matka zaplanowała taki układ.

– Ręce z dala od broni – mruknąłem, a ona wydała z siebie cichy chichot, choć oboje wiedzieliśmy, że tylko częściowo żartowałem.

Podczas kolacji było dziwnie i niezręcznie. Matka Halley opowiedziała innym parom przy stole o naszej wspólnej historii, czym się zajmujemy w armii i jak zasłużyliśmy się w zeszłym roku podczas bitwy o Ziemię. Bogaci znajomi wydawali z siebie stosowne odgłosy podziwu i aprobaty, jednak wszystko to

wydawało mi się równie wymuszone, jak reklama werbunkowa w sieciowizji. Poza tym teściowa tyle poplątała, omawiając nasze profesje, że sami zaczęliśmy wyjaśniać i naprowadzać opisy bliżej rzeczywistości.

– Przecież nie służę w wojsku – powiedziała, gdy już dokonaliśmy sprostowania. – Nigdy nie przepadałam za bronią.

– Okazała się całkiem przydatna rok temu, kiedy Dryblasy dokonali zrzutu na powierzchnię – rzekła Halley. – I skuteczniejsza niż dobitnie sformułowane petycje.

To właśnie dzięki niej waszego maleńkiego rajy nie atakuje pół miliona wkurwionych szczurów na zasiłku, pomyślałem, ale byłem zbyt uprzejmy, by ciskać te słowa przed zaproszone grono. Zamiast tego rozejrzałem się tylko po jadalni i wyobraziłem sobie, co zgraja karmionych soją, zahartowanych członków gangów z DZK zrobiłaby z tym klimatyzowanym wnętrzem i jego nieskazitelnymi podłogami, zamieszkiwanym przez ludzi spoglądających z góry na żołnierzy i gliniarzy, dzięki którym nie mogła się tu dostać niedomyta tłuszcza. Czy właśnie o to walczyliśmy przez te wszystkie lata? Żeby ci wypomadowani, nadęci bogacze mogli sobie o nas myśleć jako o czymś koniecznym, lecz wstydliwym, jak brzydki pies stróżujący, którego zamyka się w piwnicy, gdy przychodzą goście?

Siedzący przy stole przyjaciele rodziny byli mili i grzeczni, jednak nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie tak wyraźnie dzielącej nas różnicy. Ich wygląd i doświadczenia były tak różne od moich, że w zasadzie moglibyśmy należeć do odrębnych gatunków. Mieli dobre intencje i wiedziałem, że nie chcieli

brzmieć w taki sposób, jakby traktowali nas protekcyjnie, ale tak właśnie to wychodziło. Zjedliśmy sałatkę i grillowaną rybę, a każda minuta niezgrabnych i ostrożnych konwersacji wydawała się ciągnąć się godzinami. Zauważyłem, że matka Halley starała się nakierowywać ją i Kena na rozmowy o wspólnej nauce w szkole, lecz moja żona szybko i stanowczo przerywała te próby.

Na deser teściowa zaserwowała świeże owoce podane z prawdziwą śmietaną, co było dekadencją godną restauracji chorążego Kopki. Halley i ja smakowaliśmy kawałki melona oraz ostrożnie braliśmy po jednym winogrona i truskawki.

– Od zeszłego roku nie widzieliśmy we Flocie świeżych owoców – oznajmiłem i moje słowa spotkały się przy stole z uprzejmym zainteresowaniem.

– To znaczy, że spadła jakość wojskowych posiłków? – spytał Ken. – Szkoda. Wydawało mi się, że to element waszych kontraktów.

– Nie jedzenie – wyjaśniła Halley. – Zawsze było uważane za dodatkową korzyść, ale jego jakość nie została nigdzie zagwarantowana. Mamy teraz mniejsze środki do rozdziału, a priorytetem są Oriony i nowe pancerniki.

– Tak, wydaliśmy mnóstwo na te rakiety – rzekł teść. – Rosjanie i Chińczycy wysłali nawet własne zespoły, żeby z nami współpracowały, jeśli możecie w to uwierzyć. Mają dobre pomysły, ale podchodzą do sprzętu z bardzo siłowym nastawieniem.

– Nie tylko do wyposażenia, do walki również – oznajmiłem. – Ale znają się na rzeczy. Pracowałem z niektórymi z nich.

– Wszystko się teraz tak szybko zmienia. Kiedyś walczyliśmy z ZCR, teraz projektujemy razem z nimi broń. A wojsko dopuszcza do siebie znacznie więcej osób niż wcześniej. Gdy wy dwoje się zaciągaliście, panowała zdecydowanie większa selekcja. To między innymi dlatego nie dostajecie już świeżych owoców. Ten sam budżet, ale więcej gęb do wykarmienia.

– Mogę jeść soję, jeśli to oznacza więcej ludzi w mundurach – powiedziałem. – Przeciwno Dryblasom potrzebujemy każdego, kto chce i może utrzymać karabin. – Nie mogłem się powstrzymać przed wymownym spojrzeniem na Kena, który wyglądał na sprawnego i zdrowego.

– To nie dla wszystkich – odparł Kenneth. – Darzę oczywiście najwyższym szacunkiem waszą pracę, ale sam się do niej nie nadaję. Lepiej mi wychodzi teoria niż praktyka.

– Lepiej ci wychodzi gadanie niż działanie – poprawiła go rzeczowo Halley, a ja dostrzegłem, że jej matka drgnęła lekko.

Ken uśmiechnął się do mojej żony i wzruszył ramionami.

– No wiesz, potrzebni są jedni i drudzy. Ci od myślenia i ci od robienia. Nie lekceważ tych, którzy wybierają komputery i schematy zamiast okrętów szturmowych i karabinów.

– Wiele osób nie ma takiego wyboru – rzuciła Halley. – Ciesz się, że nie musisz narażać życia za kawałek świeżego melona.

Odsunęła od siebie talerzyk deserowy i wstała.

– Przepraszam na chwilę. Chyba muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Zrobiło się tu trochę duszno.

---

Moja żona nie wróciła do końca kolacji, w związku z czym musiałem w jej imieniu przejąć obowiązki towarzyskie.

Teściowa wydawała się wyraźnie zirytowana nieobecnością córki. Z kolei teść wyglądał jedynie na nieco zażenowanego i wiedziałem, że nie pierwszy raz musiał obserwować Halley i jej matkę idące ze sobą na noże. Nie bez kozery nie przyjeżdżaliśmy częściej do San Antonio i nie bez powodu obawiałem się każdej takiej wizyty.

Gospodarze pożegnali się z gośćmi godzinę po posiłku, gdy ci zaczęli pod stołem szurać stopami ze znudzenia i skończyły się nam tematy do kulturalnej konwersacji. Ken ścisnął mi mocno dłoń, gdy wymienialiśmy zwyczajowe uprzejmości, ale wyglądało na to, że po wyjściu Halley stracił całe zainteresowanie wieczorem. Po odprowadzeniu gości na podjazd teściowa zniknęła na górze, a ja zostałem, by toczyć wymuszoną i niezręczną rozmowę z teściem, który chciał udawać, że nie wydarzyło się nic niewłaściwego.

Halley wróciła pół godziny później. Teść otworzył jej drzwi, ona zaś minęła go i przeszła do salonu, po czym oparła mi dłoń na ramieniu i pocałowała w policzek.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam była zostawiać cię z tą bandą głupków.

– W porządku – odparłem.

– Musiałam się trochę przejść, by spuścić z siebie nieco gniewu.

– Udało się?

– Nie do końca.

Matka Halley weszła do pokoju z taką miną, jakby wgryzła się właśnie w świeżo przekrojoną cytrynę.

– Diano – odezwała się – to był zdecydowanie szczyt

niegrzeczności.

– Zgadzam się – odrzekła Halley i jej głos opadł do temperatury powietrza dobiegającego z wylotów klimatyzacji na ścianach. – Jesteś absolutnie najbardziej niegrzeczną suką, jaką spotkałam.

– Kochanie – odezwał się błagalnie teść. Halley podniosła palec, żeby mu przerwać, nie spuszczała przy tym wzroku z twarzy matki, która wyglądała, jakby właśnie oblano ją zimną wodą.

– Jak śmiesz... – zaczęła, ale córka ostro weszła jej w słowo.

– Jak śmiesz? – powtórzyła. – No właśnie! Jak ty, kurwa, śmiesz! Przyjechaliśmy, żeby się z wami zobaczyć, ponieważ niedługo lecimy na Marsa, a ty urządzasz sobie cholerny wieczorek towarzyski, nie powiadamiając nas o tym. – Popatrzyła na mnie, a następnie znów na matkę z ledwo powstrzymaną furią w oczach. – Zapraszasz gościa, z którym chodziłam w szkole, sadzasz go obok mnie, a później przez bite dwie godziny pierdolisz o tym, jak bardzo do dupy jest według ciebie nasza praca i jak grubiańscy są ci wszyscy żołnierze. Okazujesz brak szacunku dla mojego męża i jego pochodzenia, choć on siedzi tuż obok ciebie, próbując zachowywać się uprzejmie w stosunku do twoich skretyniałych znajomych.

Teściowa wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie przychodziła jej do głowy odpowiednio kąśliwa riposta. Może czuła się onieśmielona przez Halley, która wydzielala z siebie aurę gniewu i niebezpieczeństwa, nie ruszając się nawet z miejsca. Wpatrywała się więc tylko w córkę, ale zauważyłem, że zerka ukradkiem na mnie i swojego męża, jakby miała

nadzieję, że któryś z nas okiełzna Halley.

– Jesteśmy w wojsku – ciągnęła moja żona. – Takiego wyboru dokonaliśmy. Uważasz, że nie jest to praca godna szacunku. Urządzasz swoje zasrane kolacyjki i gierki, podczas gdy biedne dzieciaki z DZK umierają tysiącami, żeby nie dopuścić Dryblasów do twojej dupy, a jednak uważasz, że są wulgarnymi śmieciami. Widziałam, jak ginęło ich całe mnóstwo. I każde z nich jest warte dwadzieścia takich jak ty.

Teściowa wydała z gardła zduszony odgłos, jej policzki zaczerwieniły się ze złości. Teść podszedł dwa kroki, wyciągając rękę, ale zatrzymał się, kiedy Halley zmierzyła go wzrokiem.

– Nie dotykaj mnie bez pozwolenia.

– Kochanie – powiedział. – Chciałem tylko...

– Wiem – odparła. – Ale ja tego nie chcę. Już zbyt długo sprzątasz skutki jej gównianych zagrywek. Nie pozwolę ci, żebyś ją znowu z tego wyplątał.

– To mój dom – oznajmiła powoli teściowa, wypowiadając starannie każde słowo. – Jak śmiesz mówić do nas obojga w taki sposób.

– Ależ śmiem – odrzekła Halley. – I szkoda, że nie zdobyłam się na to już dawno temu. – Znów spojrzała na ojca. – Ale nie chciałam łamać tacie serca. U ciebie nie ma czego złamać. – Następnie popatrzyła na mnie. – Andrew, czy mógłbyś zebrać nasze rzeczy? Chyba będzie najlepiej, jeśli już pójdziemy.

– Nie musicie iść – odezwał się teść. – Proszę.

– Uważam, że to wspaniały pomysł – stwierdziła matka. – Skoro już powiedziałaś, co naprawdę o nas myślisz. O swoich rodzicach. O ludziach, którzy cię wychowali. Którzy zapewnili ci



perspektywy.

– I to cię dręczy, co? Że wzięłam wszystkie te perspektywy i zamieniłam je na mundur? Że nie wyszłam za Kennetha i że nie pracuję gdzieś w pobliżu od dziewiątej do siedemnastej, żebyś mogła wtrącać się dalej w moje życie? Że zamiast niego poślubiłam kogoś z DZK?

Halley znów na mnie spojrzała i jej twarz złagodniała. Ojciec stał z boku, przenosząc wzrok z niej na swoją żonę. Sprawiał wrażenie, jakby chciał, by rozstąpiła się pod nim ziemia i go pochłonięła. Nigdy nie widziałem kogoś, kto wyglądałby na tak skrepowanego i bezradnego.

– Odchodzimy – powiedziała Halley do matki. – Już nigdy nie będziesz musiała się ze mną męczyć. Za kilka tygodni zapewne zginieemy na Marsie. A nawet jeśli nie, to nie chcę cię już nigdy widzieć.

Uśmiechnęła się do mnie smutno, lecz z uczuciem, a ja niemal odruchowo odpowiedziałem tym samym.

– Jeśli wrócimy, zamierzam założyć z Andrew rodzinę. Wiem, co mówiłam, że nigdy nie chcę mieć dzieci, ale chyba zmieniłam zdanie. Jeśli uda nam się powrócić z Marsa, będę chciała z nim nad tym popracować. Chciałabym mieć jakąś jego część, bo nie mogę znieść myśli, że mógłby zniknąć na dobre.

Popatrzyła jeszcze raz na matkę, której już raczej skończyły się dobre riposty.

– Gdybym zaszła w ciążę przed ukończeniem służby, zamrozę embrion do czasu, aż wyjdę żywa z wojska. Gdybyśmy oboje zginęli, każę go zniszczyć. Szybciej przebiegåłabym nago przez DZK piątej kategorii, wymachując kartkami żywnościowymi, niż

pozwoлиłabym ci położyć łapy na tym dziecku i zepsuć je tak samo, jak próbowałaś zepsuć mnie. Skończyłam z tobą na dobre.

Teść wyglądał, jakby chciał się rozpłakać. A matka tylko stała z kamiennym wyrazem twarzy, zaciskając szczęki, lecz Halley nie zwracała już na nią uwagi. Zamiast tego obróciła się do ojca.

– Tato, jeśli chcesz, możesz odwieźć nas na stację przesiadkową. Jeśli nie, pójdziemy pieszo. To żaden problem. Ale jedziemy do Lackland. Zostaniemy w bazie w ośrodku tranzytowym, aż złapiemy rano transport na północ.

Teść postanowił nas odwieźć. Nie pożegnaliśmy się z matką Halley, która zniknęła na górze, gdy zbieraliśmy nasze bagaże i stawialiśmy je przy drzwiach wyjściowych.

Gdy podjechaliśmy pod stację, ojciec Halley zaczął cicho płakać. Położyła mu dłoń na ramieniu i trzymała tam przez chwilę.

– Mówiłam szczerze, tato. Nie chcę jej już nigdy widzieć. Ale ty wciąż możesz się ze mną kontaktować przez MilNet, jeśli będziesz miał ochotę.

– Nie obwiniaj mnie o nią – powiedział. – Z twoją matką nigdy się łatwo nie żyło.

– Nie obwiniam cię – odparła Halley. – Trudno jej się postawić, choć nie pomagałeś, gdy stałeś z boku, kiedy ona próbowała spieprzyć moje małżeństwo.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

– Na razie, tato. Będę pisać, jeśli się da. Może będziesz mógł odwiedzić nas w Vermont, gdy to wszystko się skończy. Ale przyjedź sam.

Gdy hydrosamochód teścia zniknął w oddali, Halley wypuściła z siebie długi, drżący oddech, jakby właśnie zrzuciła straszliwy ciężar. Miałem ochotę zażartować, że dzień stał się jednak lepszy, cokolwiek, by złagodzić napięcie, ale uznałem, że nie byłoby to w tym momencie stosowne. Zresztą i tak mnie uprzedziła. Gdy wreszcie przestaliśmy widzieć pojazd jej ojca, objęła mnie mocno i zalała się łzami. Przez kilka minut robiłem jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji mogłem – ścisnąłem żonę, pozwalając jej pogodzić się z tym, co się wydarzyło.

– Dziękuję ci – powiedziałem, gdy wycierała twarz rękawami munduru.

– Nie mogę obiecać, że we wszystkim będę zawsze brała twoją stronę – oznajmiła i pocałowała mnie. – Ale mogę przyrzec, że nigdy nie będę się przyglądać beczynnemu. Wobec nikogo.

Ogarnęliśmy się i zarzuciliśmy bagaże na ramiona, żeby wejść na stację i odjechać z niej do Wspólnej Bazy Lackland. Kwatera tranzytowa, którą mieliśmy dzielić tej nocy, będzie zdecydowanie mniej luksusowa niż sypialnia gościnna w opuszczonym właśnie przez nas domu, ale będę w niej spał o wiele spokojniej, choć czekały nas tam twarde i wąskie wojskowe prycze oraz liche żarcie.

## Rozdział 8

# Ostatnie dni

ziwnie było znowu uważać jakieś miejsce na Ziemi za dom

**D**po tak długim okresie przemieszczania się między przydziałami, ale tak właśnie myślałem teraz o Liberty Falls, nawet jeśli było enklawą dla klasy średniej, w niczym nieprzypominającą mojej dawnej dzielnicy. Nie czułem już wstydu, że cieszę się tutejszymi luksusami: prawdziwymi drzewami, trawą, porządnym jedzeniem i bezpiecznymi ulicami. Kończyła się już jesień i noce były zimne, ale mogłem oddychać czystym powietrzem i wiedziałem, że każdego dnia może teraz spaść śnieg.

Siedzieliśmy z Halley w boksie w restauracji chorążego Kopki, pijąc kawę i jedząc na śniadanie naleśniki, gdy nasze OTI znów jednocześnie zasygnalizowały nadejście wiadomości.

Nosiłem już to cholerstwo w kieszeni od blisko siedmiu lat, przyzwyczailem się więc, że kluczowe lub rutynowe powiadomienia mają różne wzorce wibracji oraz dźwięku. Umieszczone w tabletach układy haptyczne mogły wpływać jedynie na siłę oraz długość wibracji, ale każdy żołnierz mógłby przysiąc, że niektóre alerty wydawały się dobitniejsze od innych. Odkąd wróciliśmy z San Antonio, Halley przeniesiono z powrotem do aktywnej służby, więc cokolwiek się teraz działo, wpłynie na nas oboje.

Popatrzyliśmy po sobie, wyciągając OTI ze spodni.

– Rozkazy dyslokacji – powiedziała.

– Pewnie tylko jakieś administracyjne bzdety – odparłem. –  
Zmiana menu w stołówce.

– Chciałbyś. – Uśmiechnęła się i włączyła urządzenie, a ja poszedłem w jej ślady. Oboje przez chwilę czytaliśmy wiadomości.

– Rozkazy dyslokacji – przyznałem.

Wydano mi polecenie zgłoszenia się do Wspólnej Bazy Coronado na dopasowanie nowej robalowej skorupy, a później miałem się udać do nowej jednostki: Grupy Zadaniowej Czerwonej w ramach Dowództwa Sił Specjalnych.

– Co to, kurwa, jest Grupa Zadaniowa Czerwona? – spytała Halley, gdy pokazałem jej swój ekran. Przewinąłem wiadomość, aż znalazłem miejsce przydziału.

– Zaokrętowanie na OWPA „Falanga” – przeczytałem. – Jedna z łajb kontroli przestrzeni typu Młot.

– Czyli desant kapsli – stwierdziła rzeczowo, a ja przytaknąłem.

Obróciła własny OTI, żebym mógł się zapoznać z jej rozkazami. Kazano Halley zgłosić się do Piątego Szwadronu Transportu Bojowego na OWPA „Polluks”, CV-2153, żeby objąć dowództwo nad należącym do tego szwadronu kluczem Alfa. 5STB i „Polluks” wchodziły w skład Grupy Zadaniowej Fioletowej, czymkolwiek ona była.

– Wygląda na to, że nie pojedziemy na Marsa tym samym busem – uznała.

– Raczej.

Nie dyskutowałem z jej oceną ostatecznego celu dyslokacji,

choć rozkazy wcale o nim nie wspominały. Dobrze wiedzieliśmy, dokąd się udajemy i z czym będziemy walczyć.

Wpatrywaliśmy się przez dłuższą chwilę w ekrany, nic nie mówiąc. Wreszcie Halley odłożyła swój OTI na stół i podniosła kubek z kawą.

– To za trzy dni. Chyba nie musimy spieszyć się ze śniadaniem.

Znajomość dokładnej daty i czasu dyslokacji paradoksalnie dawała spokój. Mogliśmy odliczać pozostały nam na Ziemi czas co do godziny i minuty, nie musieliśmy nerwowo wyczekiwać sygnału elektronicznych smyczy w kieszeniach spodni.

Brygada Lazarus stanowiła teraz na wpół oficjalne siły pomocnicze korpusu obronnego, ale nie została na tyle ściśle z nami zintegrowana, żebym mógł łatwo skontaktować się przez MilNet z chorążym Fallon. Mieliśmy jednak parę mniej oficjalnych kanałów do wymiany informacji, posłałem więc swojej dawnej dowódczyni wiadomość, kiedy lecimy na Marsa, choć byłem przekonany, że sieć wywiadowcza Brygady już to wiedziała. Kilka godzin później Fallon odesłała mi odpowiedź za pośrednictwem fałszywego konta, które założyliśmy tylko na potrzeby komunikacji między nami.

*Lepiej Ty niż ja. Napisałabym, żebyś na siebie uważał, ale tkwisz w fachu, w którym celowo szuka się gówna, by je rozgrzebać. Powodzenia dla Ciebie oraz Twojej żony i niech Bóg ma w opiece Dryblasów. Do zobaczenia po drugiej stronie.*

*Trzymaj się!*

Z jednej strony żałowałem, że nie mogę znów wziąć jej pod swoją komendę, ale Fallon nie posiadała uprawnień do udziału w desantach bojowych. Poza tym wątpiłem, czy dywizja PK zdołałaby wyciągnąć ją z DZK i posłać znowu w przestrzeń. Z drugiej jednak, szczerze mówiąc, cieszyłem się, że ją to wszystko ominie.



Dzień po otrzymaniu rozkazów przeniesienia zrobiliśmy coś, co jeszcze nie zdarzyło nam się, odkąd trafiliśmy do Vermont. Chorąży spakował nam jedzenie na lunch i wybraliśmy się w góry otaczające Liberty Falls. Żadne z nas nie miało ochoty na noszenie ciężkich kilogramów dodatkowego sprzętu w górę i w dół, postanowiliśmy więc olać przepisy i zostawiliśmy nasze worki zamknięte w biurze Kopki, wraz z bronią obrony osobistej. Był rześki, chłodny dzień, a całkiem niezłe utrzymany szlak pokrywały wyschnięte brązowe liście, pozostałości po wspaniałej jesieni, której tu nie doświadczyliśmy, bo półtora miesiąca wcześniej, gdy na drzewach wybuchła feeria kolorów, znajdowaliśmy się sto pięćdziesiąt lat świetlnych od Gór Zielonych. Mieliśmy na sobie kamuflażowe mundury robocze i przydziałowe kurtki, a przy sobie jedynie pistolety i torbę z lunchem oraz wodą. Widziałem, że Halley bardziej się męczy, niż działałoby się to przed wypadkiem, ale nie miałem wątpliwości, że chciała dowieść sobie samej, iż może stanąć na wysokości zadania, nawet jeśli nie wyleczyła się do końca. Jeżeli nie zdoła wspiąć się na małe ziemskie wzgórze w idealnych warunkach, to nie będzie miała szans, gdy zostanie zestrzelona

na Marsie i zmuszona do ucieczki przez znacznie gorszy teren.

– Popatrz tylko – powiedziała Halley, gdy dwie godziny później dotarliśmy do końca etapu. Znajdowaliśmy się na wysokim szczycie, skąd widzieliśmy Liberty Falls przycupnięte kilka kilometrów dalej w dolinie.

– Mógłbym się z tobą założyć, że w październiku wyglądało tu zupełnie inaczej – odrzekłem. Drzewa zrzuciły liście, więc góry i wzgórza były szare i brązowe. Przez ostatnie dwa lata przyjeżdżałem tu regularnie i nauczyłem się sporo o roślinności Vermont.

– I tak jest inaczej. Posłuchaj.

– Nic nie słyszę.

– No właśnie – odparła Halley.

Liberty Falls było ciche. Hałasy nie docierały do miejsca, gdzie staliśmy, gdzie drzewa kołysały się i delikatnie ocierały o siebie gałęziami na zimnym wietrze. Kolejny raz uderzyła mnie różnica pomiędzy życiem w małym miasteczku i w DZK. Dzielnice komunalne pochłaniały okolicę, zupełnie ją pokrywały. Liberty Falls, choć dopieszczone i dopracowane, po prostu tkwiło sobie w dolinie, wpasowane w krajobraz. Żaden z budynków nie przekraczał czterech pięter. Przez miasteczko biegł strumień lśniący w promieniach słońca wyglądającego przez otwory w pokrywie chmur. Baterie ogniw słonecznych na dachach miały niemal ten sam kolor co woda: stłumione odcienie ciemnej zieleni i granatu.

Usiadłem obok na zwalonym pniu, a Halley dołączyła do mnie. Podejście okazało się na tyle męczące dla nas obojga, że spociliśmy się pomimo niskiej temperatury. Przez chwilę



podziwialiśmy w milczeniu widoki, próbując odzyskać dech.

– Dziwne uczucie – oznajmiłem. – Nie sądziłem, że kiedyś znajdę się w terenie bez karabinu i plecaka.

– Nie jesteśmy w terenie – odrzekła Halley. – Jesteśmy na łonie natury.

– Nigdy o tym nie słyszałem. A więc to właśnie to? Natura?

– Mądrała. – Podniosła wzrok ku słońcu i zamknęła oczy. – Pamiętasz Arkadię? Tyle drzew. Nigdy nie widziałeś ich z powietrza, z kokpitu, tak jak ja. Jeziora. Lasy. Łąki. Jak Ziemia w miniaturze, tylko bez tych wszystkich ludzi.

– Pamiętam – odparłem. – A później odpaliliśmy tam atomówkę.

– Nie my. SEAL to zrobili. Major Masoud. I zginęlibyśmy, gdyby nie wysadzili tego terraformera.

– No wiem. Ale i tak wydaje się to gównianym zagranieniem. Było tam pięć osiedli, a teraz jedno z nich jest napromieniowane.

– Niech się cieszą, że Masoud nie puścił z dymem wszystkich. Możemy zbudować więcej miast. Na tym księżycu jest mnóstwo miejsca.

Misja na Arkadii wciąż mnie gryzła. Jako tajna operacja wykonywana niewielkimi siłami okazała się jedną z najbardziej udanych w historii wojskowości WPA, głównie dzięki strategii i bezwzględności majora Masouda. Straciliśmy trzydziestu żołnierzy i trzy nowoczesne okręty desantowe, ale przejęliśmy cały księżyc kolonialny oraz doborowe okręty bojowe o sumarycznej kubaturze pół miliona ton. Co ważniejsze, odniesiony sukces przywrócił wśród mieszkańców WPA poczucie sprawiedliwości. Nowy rząd, złożony głównie

z weteranów, zyskał ogromny kredyt zaufania i szacunek, gdy byłego prezydenta Wspólnoty i całą resztę jego współpiskowców przywlekliśmy z powrotem na Ziemię w karczerze superlotniskowca. Ludzie przekonali się, że dawna elita wciąż podlega naszym prawom i że jesteśmy gotowi polecieć na odległość stu pięćdziesięciu lat świetlnych, żeby walczyć ze swoimi, jeśli nas zdradzili. Jednak większość z tej trzydziestki poległa podczas ostatecznego natarcia na kompleks administracyjny w mieście Arkadia, a ta misja rozpoczęła się z mojej inicjatywy. Próbowiałem pójść za radą Fallon i nie krytykować samego siebie po fakcie, ale trudno mi było się pogodzić z własnymi odczuciami, gdy wraz z nami na pokładzie „Portsmouth” wracały rzędy worków z ciałami.

– Co będziemy robić, gdy wrócimy? – spytała mnie Halley. – Przyjedziemy tutaj? Zaczniemy wieść życie mieszkańców przedmieść?

– Na pewno nie wylądujemy w pobliżu twoich rodziców – odparłem. – Nie po tym, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu.

Skrzywiła się lekko na tę wzmiankę, po czym spojrzała znów na dolinę i przycupnięte w niej schludne małe miasteczko.

– To chyba nie najgorsze miejsce na zapuszczenie korzeni – stwierdziła. – Oczywiście, jeśli wrócimy z Marsa.

– Wrócimy.

– Tak? – Halley uśmiechnęła się i znów zmrużyła oczy przed słońcem. – Dysponujesz jakimiś strategicznymi informacjami, którymi się nie dzielisz? Przypominam, że zamierzamy przypuścić szturm na planetę, na której mieszkają tysiące Dryblasów. Na orbicie jest przynajmniej dwanaście okrętów

nasiennych. A my ruszamy do boju z tym, co zostało na złomowiskach.

– No, mamy parę rodziników. Dzięki majorowi Masoudowi, choć nie cierpię zawdzięczać czegokolwiek temu gnojkiowi.

– Myślisz, że to zrobi różnicę?

– Kilka dodatkowych okrętów? Nie – odparłem. – Ale dobrze je mieć.

Otworzyłem torbę naszykowaną przez chorążego Kopkę i przejrzałem zawartość. Mieliśmy kanapki z indykiem i serem – prawdziwym, a nie z tym sojowym gównem wydawanym w wojsku – oraz dwa kubki termiczne. Uchyliłem wieczko jednego. W środku była zupa ziemniaczana, tak gęsta, że łyżka w niej stała.

– Dobrze pachnie – skomentowała Halley.

Podąłem jej kubek i łyżkę, po czym wziąłem taki sam zestaw dla siebie.

– Zwyciężymy, ponieważ przeciwko nim wszystkim wystąpimy my wszyscy – powiedziałem. – Rosjanie, Chińczycy, Europejczycy, Afrykanie, Południowi Amerykanie i my. A po drugiej stronie wyłącznie Dryblasy. Żadnych bzdurnych potyczek o jakąś zasraną planetkę gdzieś za linią trzydziestu lat świetlnych. Żadnych zdrajców. Żadnych pytań, w kogo trzeba strzelać i dlaczego.

– Wjeżdżamy na pełnej kurwie – zgodziła się Halley. – Jest w tym jakieś piękno. – Popatrzyła na mnie pytająco. – Nie możesz się doczekać walki, prawda?

– Co? – Roześmiałem się. – Czy ktoś może czekać na walkę? Chyba tylko psychopaci. Albo Fallon.

– Daj spokój. Znam cię. Przed Arkadią byłeś w raczej kiepskim stanie. Tak napięty, że niemal słyszałam brzęczenie dobiegające z twoich włókien nerwowych. A teraz zupełnie spokojnie podchodzisz do kwestii Marsa. Nawet przewidujesz zwycięstwo.

Pokręciłem głową.

– Nie podchodzę spokojnie. A już na pewno nie czekam na walkę.

– Zatem o co chodzi?

– Nie mogę się doczekać, aż w końcu będę miał to z głowy – wyjaśniłem. – Wóz albo przewóz. Już od ponad roku mnie to dręczy.

– Wóz albo przewóz – powtórzyła Halley.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Halley skończyła zupę i metodycznie wyskrobywała kubek, by wyciągnąć z niego wszystkie resztki.

– Kopnięcie w kalendarz na Marsie to nie jest coś, czego obawiam się najbardziej – rzekła. – Nie chcę się jeszcze wymeldowywać z tego świata, ale się tego nie boję.

– A czego obawiasz się najbardziej? – spytałem.

– Powrotu bez ciebie. – Nałożyła wieczko na kubek i odłożyła go do torby. Nie przywykłem, by Halley zachowywała się wobec mnie sentymentalnie albo ckliwie, więc wciąż zastanawiałem się, co odpowiedzieć, gdy wstała. – Chodźmy – oznajmiła. – Zobaczymy, czy uda nam się wspiąć na następny szczyt, zanim zjemy te kanapki. Już niedługo utkniemy na okręcie. Lepiej rozruszać nogi, póki możemy.

– Zgadza się.

Zebraliśmy wszystkie rzeczy. Starannie obserwowałem

Halley, gdy zarzucała sobie plecak, i zauważyłem, że skrzywiła się lekko, gdy paski dotknęły jej łopatek, jednak spojrzała na mnie z determinacją i wskazała brodą ścieżkę.

– Idźcie przodem, poruczniku.

– Pierwszy odcinek prowadzi w dół – rzekłem. – Prędkość marszowa, kilometr w sześć minut. Daj mi znać, jeśli nie będziesz już wytrzymywać.

Uśmiechnęła się, słysząc to wyraźne wyzwanie. Wiedziałem, że to zrobi.

– Jeśli kiedyś nastąpi dzień, gdy nie wyrobię z prędkością marszową z lekkim obciążeniem, wówczas zacznę ci składać pranie.

– Ohoho – skomentowałem. – Zachęta. Zatem chodźmy, pani kapitan.

Zawróciłem i zacząłem zbiegać po szlaku, a Halley ruszyła za mną ze świeżą energią. Droga do kolejnego niewielkiego szczytu wynosiła jedynie dwa kilometry, ale w tym momencie pragnąłem, żeby to było tysiąc.

---

Kiedy żołnierz się okrętuje, leci do jakiejś kolonii na zadupiu i przewożąca go jednostka musi najpierw dotrzeć do węzła Alcubierre’a, wówczas trzy dni wydają się wiecznością. Jednak tu, w Vermont, gdy żyliśmy ze świadomością zbliżającego się rozstania, czas ten minął błyskawicznie. Rankiem wychodziliśmy w góry, ponieważ było tam cicho i mało ludzi, a także dlatego, że długo nie zobaczymy jasnego nieba i drzew. Wiezorami siedzieliśmy z moją matką i chorującym Kopką, jedliśmy kolację i rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić po

Marsie, bardziej by poprawić nastrój mamie niż sobie. Noce spędzaliśmy oczywiście razem, w gościnnej sypialni na górze, tylko my dwoje, nie przeszkadzały nam żadne komunikaty z radiowęzła ani alarmy wyjące za drzwiami. Odkąd rok wcześniej pobraliśmy się z Halley na pokładzie „Regulusa”, te trzy dni przed dyslokacją wydawały mi się najspokojniejszym okresem od czasu mojego wstąpienia do służby.

Rankiem w dzień naszego odjazdu obudziliśmy się wcześnie i zjedliśmy w jeszcze ciemnej sali, podczas gdy chorąży i moja matka krzatali się przy codziennych czynnościach koniecznych przed otwarciem restauracji, parzyli kawę i przygotowywali produkty potrzebne do śniadań. Menu było nieco mniej obszerne i znacznie droższe, niż gdy za pierwszym razem tu trafiłem, ale jedzenie jakością i tak zdecydowanie przewyższało wszystko, co serwowano w wojsku, nawet smakołyki, które podawano nam na początku. Dostaliśmy kawę, jajecznicę i bekon, chorąży usmażył nam też okazały stosik naleśników i trochę naruszył kurczący się zapas syropu klonowego. Miałem ochotę przeciągać to śniadanie bez końca, ale czas mijał, nie zważając na moje odczucia. Zwykle sprzątaliśmy po sobie i zwalnialiśmy stolik, zanim Kopka otwierał lokal o siódmej rano, żeby nie zajmować miejsca płacącym gościom, i dzisiaj utrzymaliśmy ten zwyczaj.

Na dworze zaczynało już jaśnieć, gdy wychodziliśmy z restauracji, ubrani w świeżo uprane mundury robocze i z workami ze sprzętem na ramionach. Piątkowe listopadowe powietrze było zimne i pachniało nadciągającym śniegiem. Chorąży i moja matka odprowadzili nas na zewnątrz, żeby

pożegnać się z nami, zanim pójdziemy na dworzec, gdzie złapiemy pociąg, który w piętnaście minut zawiezie nas do Burlington. Tam mieliśmy przesiąść się w oddzielne promy i polecieć nimi dalej. Okręt Halley dokował przy Węzłowej. Ja miałem przeskoczyć przez cały kraj, żeby dotrzeć do bazy Coronado na zachodnim wybrzeżu, a stamtąd również na Węzłową. Zanim tam dolecę, lotniskowiec Halley już ruszy w kierunku punktu zgrupowania.

– Z Bogiem – powiedział chorąży Kopka, ściskając nam mocno dłonie. – Pokażcie im. I uważajcie na siebie.

– Tak jest, panie chorąży – odparłem. – Dziękujemy za wszystko. Proszę trzymać dla nas gościnną sypialnię. Wrócimy, zanim się zorientujecie.

– Mam szczerą nadzieję. Szkoda, że nie mogę polecieć z wami i znów objąć swojego stanowiska.

– Będą potrzebowali pana tutaj, jeśli na Marsie sprawa pójdzie w diabły.

– Jeśli wszyscy nie wrócicie, nie zdołam tutaj wiele zrobić.

– Jeśli nie wrócimy, niech pan zamknie lokal, załaduje całe jedzenie na ciężarówkę i jedźcie na północ, dopóki nie skończy wam się kontynent – powiedziała mu Halley. – Trzymajcie się z dala od dużych miast. Brygady nie zdołają utrzymać porządku, jeśli wszystko weźmie w łeb. Dryblaszy nie przepadają za chłodem.

Nie miałem wątpliwości, że chorąży dobrze wiedział, iż pierwszą czynnością Dryblasów podczas procesu zasiedlenia było likwidowanie wszystkich ludzi za pomocą kapsuł z zabójczym gazem. Jeśli obcy pojawią się na orbicie, spuszczą

stamtąd pojemniki na miasta, po czym zrzucą na dół lądowniki i zaczną budować terraformery, żeby zwiększyć poziom dwutlenku węgla w atmosferze do poziomu śmiertelnego dla ludzi. Jeśli przegramy bitwę i Dryblasom nie będzie już miał kto przeszkodzić, na całej planecie nie znajdzie się miejsce dostatecznie odosobnione, żeby tam uciec. Jednak moja matka stała tu, żeby się z nami pożegnać, i nikt nie chciał słyszeć, że jeśli nam się nie powiedzie, śmierć okaże się nieunikniona, zatem chorąży jedynie skinął głową i udawaliśmy, że ewentualna klęska nie będzie oznaczała końca.

– Wiem, że ci się to nie podoba – powiedziałem do matki, która otarła łzę z policzka i przytuliła mnie mocno, a przynajmniej na tyle, na ile mogła, gdy miałem na sobie dwadzieścia kilogramów sprzętu.

– A ja wiem, że musisz to zrobić – odparła. – Wiem, jaka jest stawka. I jestem z ciebie dumna. Ale i tak nienawidzę każdej minuty, kiedy cię nie będzie. Tak już mają matki.

– Z tym się nie mogę spierać, mamó.

Pocałowałem ją w czubek głowy – wydawała się teraz tak mała – i odwzajemniłem uścisk. Popatrzyłem ponad nią na chorążego Kopkę, który przytaknął z powagą. Wiedziałem, że jeśli nie pójdzie nam dobrze, zaopiekuje się matką do końca oraz zrobi, co będzie trzeba, żeby oszczędzić im powolnej, bolesnej śmierci z łap Dryblasów. I niezależnie od wszystkiego i tak będzie mamie lepiej tu z Kopką niż w DZK, które zmienią się w dziewiąty krąg piekieł, jeśli Dryblasy pojawią się w większej liczbie.

Mama przytuliła też Halley, równie żarliwie, jak wcześniej



mnie, a może nawet chwilę dłużej.

– Wróćcie oboje – powiedziała. – Zróbcie, co trzeba zrobić, i wróćcie do domu. Gdy to wszystko się skończy, musicie wreszcie zacząć żyć.

Odbyliśmy krótki spacer na dworzec, nie spiesząc się zbyt. Musieliśmy zgłosić się na nowe stanowiska do końca dnia i z łatwością dotrzemy tam przed tym terminem, nawet gdybyśmy mieli czekać do południa na loty.

Gdy zbliżaliśmy się do głównego wejścia do stacji, z nieba spadło kilka płatków śniegu. Opadały leniwie, niesione chłodnym porannym wiatrem. Podniosłem wzrok ku szarym chmurom i ujrzałem kolejne dryfujące śnieżynki, rychły zwiastun nadchodzącej zimy. Po raz pierwszy przyjechałem do Liberty Falls właśnie w zimie niemal dwa lata wcześniej i w myślach zawsze widziałem miasteczko z trawnikami i chodnikami zasypanymi śniegową kołderką, z białymi drobinkami skrzącymi się w świetle latarni, dzięki czemu w oczach kogoś z DZK wyglądało niczym relikw z dawno minionej epoki. Może i nie była to rzeczywistość, a już na pewno nie dla ludzi, z którymi dorastałem, jednak czy to takie złe, pragnąć właśnie takiego życia, a nie wegetacji w stupiętrowej stercie betonowych pudełek?

Halley próbowała złapać płatek językiem, ale chybiła. Udało jej się chwycić jedną dłonią i obserwowała, jak śnieżna gwiazdka topi się na ciepłej skórze. Potem spojrzała na mnie i uśmiechnęła się nieśmiało, jakbym właśnie przyłapał ją na robieniu czegoś dziecinnego.

– Zostały cztery tygodnie do Bożego Narodzenia – powiedziała. – Nie przegapmy go. To mój ulubiony okres roku tu, na Ziemi.

Nie miałem pojęcia, który konkretnie element tej chwili sprawił, że nagle zabolalo mnie w sercu i ten ból wydał się znacznie gorszy niż fizyczne rany odniesione w walce, ponieważ nie było na niego pakietów ratunkowych. I wiedziałem, że jeśli wrócę tu bez Halley, zostanę złamany w sposób, którego nie naprawi żaden wojskowy chirurg.

Piętnastominutowa jazda pociągiem do Burlington zdała się trwać tyle, co mrugnięcie okiem.

Po tylu latach oddzielnych przydziałów Halley i ja zyskaliśmy spore doświadczenie w żegnaniu się. Oboje mieliśmy niebezpieczną pracę, więc nie było sensu, żeby to rozstanie traktować inaczej, a jednak wydawało się inne. Zarejestrowaliśmy się razem na bramce i wsiedliśmy do tego samego hydrobusu, żeby pojechać na lądowisko. Dziesięć minut później staliśmy przed centrum operacyjnym bazy lotniczej, gdzie mieliśmy się rozdzielić, żeby złapać kolejny transport: ona prosto na orbitę do Węzłowej, ja na przeciwległe wybrzeże.

Halley pocałowała mnie i poprawiła kołnierz mojej kurtki mundurowej, choć wiedziałem, że nie było tam czego poprawiać.

- No to już – powiedziała. – Teraz duża misja. Zdenerwowany?
- Nie – skłamałem.
- Ja też nie – również skłamała.
- Wciąż będziemy mogli rozmawiać przez MilNet. Chyba że

odetną nam łączność, czego raczej nie zrobią. Przynajmniej nie przed opuszczeniem strefy zgrupowania i wyruszeniem w stronę Marsa.

– No to pisz – rzekła. – Może nawet uda nam się złapać pasmo wideo.

– Dziękuję, że wstawiłaś się za mną w San Antonio. Przeciwno swoim bliskim.

Przyciągnęła mnie blisko do kolejnego pocałunku, ignorując gadaninę kręcących się dookoła szeregowych, którzy wgapiali się w obściskujących się oficerów Floty.

– Teraz ty jesteś moim bliskim. Oni są moimi rodzicami, ale ty jesteś moim mężem. Zawsze będę brała twoją stronę. Bez wahania. Nigdy w to nie wątp.

– Nawet by mi się to nie śniło.

– Kocham cię – powiedziała. – Zawsze będę kochała, nawet gdy zamienię się z powrotem w gwiazdny pył. – Pocałowała mnie raz jeszcze i zarzuciła worek na ramię. – Miejmy to już z głowy. Zrób swoje i wróć w jednym kawałku. Słyszałeś, co mówiła twoja mama. Musimy wreszcie zacząć żyć. A te przerośnięte bydlaki stoją nam na drodze.

– Tak jest, pani kapitan – odparłem.

Obserwowałem, jak szła na lądowisko promów, żeby udać się na orbitę. Moja żona, jedyny stały aspekt mojego życia, odkąd zaciągnąłem się do wojska, i prawdopodobnie najlepsza pilotka desantowców we Flocie. Zawsze wiedziała, jakim kursem podążać, i nigdy z niego nie zboczyła. Przez lata wielokrotnie rozmawialiśmy o śmierci. Ani razu nie powiedziała, że boi się umrzeć, a ja ani razu nie przestałem czuć wdzięczności, że ktoś

taki jak ona postanowił dzielić ze mną życie. Nawet gdyby miało mnie już nic więcej nie spotkać, znalazłem przynajmniej tego i zdecydowanie mi to wystarczało.

– Miejmy to już z głowy – powtórzyłem, po czym podniosłem swój worek i przeszedłem na stanowisko promów atmosferycznych.

## Rozdział 9

# Należy zebrać drużynę

Gdy pierwszy raz zetknęliśmy się z Dryblasami, wojskowa administracja przełączyła dział badań i rozwoju na najwyższy bieg, żeby stworzyć broń i wyposażenie pozwalające walczyć z nowym zagrożeniem. Jak to z biurokracją bywa, nawet na tym wysokim biegu potrzeba było kilku lat, żeby powstały pierwsze skuteczne prototypy, a i tak nowe sprzęty bywały nieprzewidywalne. Jednak coś udało się zrobić naprawdę dobrze i były to unowocześnione pancerze bojowe. W kwatermistrzostwie i oficjalnej dokumentacji nazywano je BPP, czyli Bojowe Pancerze Przeciwsrodowiskowe, jednak żołnierze, jeśli mieli szczęście i je im wydano, mówili na nie „robalowe skorupy”.

Gdy odbierałem swój poprzedni egzemplarz, dopasowanie go zajęło sześć dni. Robalowych skorup nie brało się ot tak, z półki, należało je dobrać do użytkownika. W ciągu niemal pięciu lat, które minęły od tamtego czasu, udało się uprościć ten proces do niewiele ponad jednego dnia. Owszem, wciąż polegało to głównie na staniu nieruchomo, gdy sensory laserowe skanowały każdy milimetr kwadratowy ciała, ale to i tak znacznie lepiej niż dawna ręczna procedura. W piątek, sześć godzin po tym, jak pożegnałem się z Halley w Burlington, zgłosiłem się do Wspólnej Bazy Coronado, głównej placówki Floty na zachodnim wybrzeżu oraz siedziby Dowództwa Sił Specjalnych Floty. Przez całą

sobotę mierzono mnie laserami i podłączano do rozmaitych systemów diagnostycznych, zaś w niedzielę po południu dopasowany pancerz był już gotowy.

– Ale szybko poszło – powiedziałem do technika, gdy nakładałem skorupę w celu ostatecznego sprawdzenia oraz kalibracji. – Ostatnim razem dostałem pancerz dopiero po tygodniu.

– Co się z nim stało? – spytał.

– Spalił się wraz z resztą „Manitoby” na Syriuszu A.

– O kurczę. Był pan tam? Niewielu stamtąd wróciło.

– Zgadza się.

– Teraz mamy znacznie więcej skorup niż ludzi uprawnionych do ich noszenia. W tym tygodniu dopasowaliśmy więcej niż przez cały poprzedni rok, a i tak jest pan dopiero siódmy.

– Czuję się wyjątkowo.

– W sumie skoro pan już tu jest, to powinni nam pozwolić dać panu zapasowy pancerz. W razie gdyby ten też się spalił.

Zachichotałem bez szczególnej wesołości.

– Jeśli ten pancerz się spali, to raczej nie będę potrzebował zapasu.

W niedzielę wieczorem wsiadłem na prom do Stacji Węzłowej, gdzie dokował właśnie mój następny przydział. Było oczywiste, że szykuje się wielka operacja – prom do ostatniego miejsca wypełniali pasażerowie lecący na orbitę, a gdy godzinę później wysiadłem na stacji, panował na niej większy tłok, niż kiedykolwiek tam widziałem. W głównym korytarzu roіło się od

mundurowych idących w obie strony. Nie mogłem nie zauważyć, jak bardzo niedoświadczona wydawała się większość z nich. Zauważyłem mnóstwo szeregowych, starszych szeregowych oraz kaprali, zaś cholernie mało sierżantów lub oficerów. Ściągnięto ostatnią porcję nowicjuszy, którzy przeszli szkolenie przed Marsem. Zastanawiałem się, ilu dawnych rekrutów z plutonu przygotowawczego numer tysiąc pięćset dwadzieścia sześć, ostatniego w mojej karierze szkoleniowca, kręciło się gdzieś w tym tłumie, pędzących na wyznaczone stanowiska i tak zdenerwowanych, że bliskich wymiotów. W zależności od specjalizacji część z nich ledwo zdążyła przejść przez szkołę techniczną, żeby wziąć udział w tej ofensywie.

Normalnie potrzebowalibyśmy pół godziny żwawego truchtu, żeby przebiec główny korytarz Węzłowej od jednego krańca do drugiego, gdy stacja nie była wypchana aż po grodzie. Przy obecnym zatłoczeniu musiałem przez godzinę przedzierać się przez tłum, dopóki nie dotarłem do miejsca, gdzie cumował mój nowy przydział. Znalazłem go w sekcji dla wielkich okrętów, a ekran przy śluzie podawał nazwę jednostki i jej numer boczny, a także inne informacje.

OWPA „FALANGA” CA-761, przeczytałem. DCA: PŁK YAMIN S.

Pamiętałem „Falangę”, jeden z najnowocześniejszych okrętów we Flocie, ciężki krążownik kontroli przestrzeni dysponujący wystarczającą siłą ognia, żeby w pojedynkę walczyć z zespołem zadaniowym ZCR. Znajdowała się w gronie jednostek skradzionych przez renegatów i przeniesionych do systemu Leonidas, żeby tam strzegły ich małego rajku. Gdy dawne władze WPA skapitulowały na Arkadii, odzyskaliśmy niemal wszystkie

uprowadzone okręty, dzięki czemu mogliśmy wzmocnić nasze siły przed szturmem na Marsa. Opuszczając system Leonidas, przy ich kotwiczowisku orbitalnym zostawiliśmy jedynie starą fregatę do celów patrolowych. „Falanga” i reszta renegackiej armady tydzień później dołączyły w Układzie Słonecznym do zasobów WPA. Ich załogi wciąż składały się głównie z buntowników, ponieważ brakowało nam ludzi, żeby zastąpić wszystkich wyszkolonych specjalistów, jednak każdy, kto nie brał udziału w Exodusie, miał baczenie na tych wszystkich, którzy wcześniej uciekli.

Śluzę strzegło dwoje żołnierzy PK: szeregowy i sierżant. Ten pierwszy wyglądał, jakby zakończył trening zaledwie przed tygodniem, ale podoficer sprawiała wrażenie, jakby już trochę przeżyła. Miała naszywkę z nazwiskiem „Bull S.” oraz rzeczową minę pasującą do pistoletu u boku. Odznaka desantowa nad kieszenią na lewej piersi została wyszyta srebrną nicią: ponad dwadzieścia, lecz mniej niż pięćdziesiąt zrzutów. Wyciągnąłem OTI i pokazałem sierżant swoje rozkazy. Zeskanowała je i sprawdziła dane na własnym tablecie.

– Powinien pan zgłosić się na pokład Delta, sir – oznajmiła. – Sekcja czterdzieści siedem, Kraina Trepów. Był już pan kiedyś na Obuchu?

– Parę razy – odparłem.

– Działa sieć bliskiego zasięgu. Proszę po prostu iść za wskazówkami z OTI.

– Tak zrobię. Dziękuję, sierżancie.

Przeszedłem przez właz na pokład OWPA „Falanga”. Układ haptyczny mojego OTI zawibrował mi lekko w dłoni, kierując



w korytarz idący naprzód. Znalazłem się na jednej z najnowszych jednostek we Flocie i antypoślizgowa podłoga wyglądała niemal nieskazitelnie, nie została starta aż do laminatowej powierzchni pokładu, jak na długo służących okrętach. Wszystko wyglądało, jakby Obuch w zeszłym roku wyszedł ze stoczni, i z tego, co wiedziałem, tak właśnie mogło być. Dopiero gdy zabrnąłem głębiej w czeluści kadłuba, idąc za wskazówkami OTI po drabinach prowadzących w dół oraz wijącymi się tam i z powrotem korytarzami, zacząłem dostrzegać ślady dawnej walki: fachowo, lecz w widoczny sposób załatanne otwory oraz lekkie przypalenia na grodziach i ścianach. Widywałem już wcześniej takie uszkodzenia i uznałem, że „Falanga” znalazła się kiedyś zbyt blisko okrętu nasiennego Dryblasów lub min zbliżeniowych.

Na każdym istotnym okręcie Floty znajdowała się Kraina Trepów, część przeznaczona dla pokładowego kontyngentu Piechoty Kosmicznej lub sił specjalnych. Fregaty mieściły pluton, a niszczyciele i lekkie krążowniki – dwa. Krążownik kontroli przestrzeni typu Obuch miał za zadanie obsługiwać szturmy planetarne, wchodziła więc na niego pełna kompania, a jej Kraina Trepów zajmowała spory kawałek na rufie. W przypadku „Falangi” były to dwie sekcje po obu stronach korytarza w pobliżu głównej „autostrady” przód-tył w tej części kadłuba. Sprawdziłem w OTI położenie działu administracyjnego i wszedłem do modułu mieszczącego dowództwo.

Na włązie do kwatery mojego nowego dowódcy nie było nazwiska, a tylko tabliczka z napisem „DCA POD S SP” –

dowódca pododdziału sił specjalnych. Wejście było do połowy uchylone, zapukałem więc we framugę.

– Wejść – dobiegł znajomy głos.

Otworzyłem drzwi na całą szerokość i zobaczyłem majora Masouda, człowieka, który półtora miesiąca wcześniej dowodził misją na Arkadii i który przyłożył lufę do zbiorowej głowy dawnych władz WPA, dzięki czemu wygrał dla nas bitwę. Siedział za biurkiem i pisał coś na tablecie.

– Porucznik Grayson zgłasza się zgodnie z rozkazem, sir – oznajmiłem i zasalutowałem tradycyjnym gestem wyrażającym szacunek, którego tak naprawdę nie odczuwałem wobec majora od czasu numeru, jaki wywinął w systemie Leonidas. Wiedziałem, że uważał wówczas mnie i moich żołnierzy za zdatnych do poświęcenia, i nie miałem powodu sądzić, iż jego nastawienie uległo zmianie.

Masoud podniósł głowę i skinął.

– Wejdźcie, poruczniku. Siadajcie.

Spocząłem na krześle przed biurkiem. Major miał na sobie mundur roboczy Floty z rękawami zawiniętymi tak starannie i ciasno, że zapewne potrzebowałbym szkła powiększającego, aby dostrzec jakiegokolwiek zmarszczki.

– Witajcie w Grupie Zadaniowej Czerwonej Sił Specjalnych – oznajmił, uśmiechając się krzywo. – Tak się dziwnie składa, że jest w niej dokładnie tylu członków, co liter w oficjalnym skrótowcu GZCzerwonaSIŁSPC.

Policzyłem w głowie.

– Szesnastu – powiedziałem.

Masoud pokiwał głową.

– I mamy szczęście, że jest choć tyłu.

– A co właściwie mamy robić, sir? – spytałem. Z ledwie szesnaściorciem ludzi, dodałem w myślach.

– Odprawa odbędzie się po zgromadzeniu całej grupy zadaniowej. Mogę jednak powiedzieć, że będziecie działać w swojej podstawowej specjalizacji podczas szturmu, jeśli to was zadręczało. Posłużycie za kontrolera walki naszej jednostki.

– Tak jest, sir. Coś jeszcze może pan zdradzić przed oficjalną odprawą?

Major skierował w moją stronę wąski uśmiezek.

– Gdybym powiedział, że nie wiem wiele więcej niż wy, uwierzylibyście mi?

– Nie, sir – odparłem. – Nie po Leonidasie.

Spoglądał na mnie, wciąż się uśmiechając.

– Chyba nie mogę was winić. – Podniósł swój tablet i stuknął kilkakrotnie w ekran. – Lecimy na Marsa. To żadna tajemnica. I siły specjalne trafią jako pierwsze na powierzchnię, jak zazwyczaj. To w zasadzie wszystko. Szczegóły to w tym momencie jedynie dekoracja, nieprawdaż?

– Tak jest, sir. Ale mimo wszystko dobrze je znać.

Półtora miesiąca wcześniej, gdy wysiadał z desantowca po kapitulacji renegackiej kolonii Arkadia, miałem ochotę zastrzelić tego krępego małego gnojka. Wykorzystał mój pluton jako przynętę, żeby miejscowe garnizony rzuciły się za nami w szaleńczy pościg, podczas gdy jego drużyny SEAL podkładały w tym czasie ładunki jądrowe pod stację terraformowania. Od tamtej pory miałem dość czasu, żeby przemyśleć sprawę i uświadomić sobie, że zrobił zdecydowanie najlepszą rzecz, jaką

mógł, i że ostateczny bilans naszych strat i tak okazał się wyjątkowo niewielki w porównaniu z tym wszystkim, co uzyskaliśmy w wyniku misji. Nigdy jednak nie zapomnę, że moi żołnierze posłużyli mu do odwrócenia uwagi, choć nie wtajemniczył nas w swoje plany. Zginęło trzydzieści osób, a gdyby Halley nie miała niezwykłego szczęścia, byłbym teraz wdowcem. Pod względem zawodowym nie potrafiłem nie podziwiać tego sprytnego, bezlitosnego drania. Pod względem osobistym nie potrafiłem go nie nienawidzić.

– Gdy już znajdziemy się w drodze, podzielę się tym, czym mogę – oznajmił Masoud. – „Falanga” wyruszy do punktu zgrupowania za trzynaście godzin. Sugeruję, żeby się pan zadomowił i poznał współtowarzyszy. Później będziemy się przemieszczać w ciszy radiowej.

– Tak jest, sir. – Wstałem, zasalutowałem i odwróciłem się, żeby opuścić mały gabinet majora.

– Jeszcze jedno, poruczniku.

Obróciłem się z powrotem.

– Tak, sir?

– Dobrze mieć pana w zespole. I mówię to bezwarunkowo.

– Dziękuję, sir – odparłem z lekkim zaskoczeniem.

---

Rozpoczęcie kolejnego przydziału zawsze kojarzyło mi się z tymi niezręcznymi pierwszymi dniami w nowej szkole, kiedy trzeba było jednocześnie przyzwyczajać się do zmienionego otoczenia oraz rozeznac w stosunkach towarzyskich. Społeczność sił specjalnych była jednak na tyle niewielka, nawet zanim straciliśmy trzy czwarte jej grona, że spodziewałem się ujrzeć na

„Falandze” przynajmniej kilka znajomych twarzy. Nie rozczarowałem się.

Gdy wszedłem do sekcji mieszkalnej z torbą na ramieniu, moim oczom objawił się jeden z dziwniejszych widoków, z jakimi spotkałem się na okręcie Floty. Całość mocno przypominała moduł mojego plutonu na „Portsmouth”: cztery kajuty osobiste po obu stronach wejścia, dalej większa sala do zebrań i wreszcie kwatery grupowe. W części wspólnej było wystarczająco miejsca, żeby zmieściły się cztery składane stoły i ławki. Siedziało tam dwanaścioro żołnierzy pogrążonych w rozmowie. Pięcioro miało na sobie charakterystyczny cętkowany wzór kamuflażu marines ZCR. Ten, który znajdował się najbliżej drzwi, siedział odwrócony do mnie plecami, ale obejrzał się, gdy trepy z PK po drugiej stronie dostrzegli mnie i umilkli. Dmitrij Czistiakow, starszy sierżant marines ZCR, uniósł dłoń w niedbałym pozdrowieniu, zupełnie jakbym właśnie wszedł do baru na Nowym Svalbardzie.

– Andrew – powiedział. – Dobrze cię widzieć. Chodź i siadaj. – Wskazał brodą puste miejsce na ławce naprzeciwko siebie.

– Czołem – powitałem żołnierzy WPA siedzących przy stole z Dmitrijem. Skinęli mi głowami i wśliznąłem się na miejsce obok nich. Jeden z nich był porucznikiem PK, a drugi chorążym z Floty. Pierwszy miał wsunięty pod naramiennik czarny берет sił rozpoznania PK, drugi zaś należał do kosmicznych ratowników. Wokół nas znów rozbrzmiał gwar rozmów.

– Zna pan tego człowieka? – spytał porucznik ze zwiadu, wskazując Dmitrija.

– Można tak powiedzieć – odrzekłem. – Robiliśmy razem

desant w systemie Fomalhaut. Zna się na rzeczy.

Niewiele ponad rok temu wydawałoby się niemal niewyobrażalne, żeby żołnierz ZCR mógł znaleźć się na okręcie Wspólnoty w jakimkolwiek innym miejscu niż areszt. Teraz widziałem ich tutaj aż pięcioro i wciąż wydawało mi się szalone, że nie mieli na rękach kajdanek ani nie pilnowali ich uzbrojeni strażnicy. A jeśli mnie wydawało się szalone, choć miałem sporo do czynienia z ludźmi ze Związku podczas naszej wspólnej misji w Fomalhaut, to jakie musiało być dziwne dla tych trepów z WPA, których nie było tam z nami.

– Jakie wieści z góry, poruczniku? – spytał kosmiczny ratownik.

– Chyba idziemy na wojnę – odparłem, a pozostali przy stole zachichotali. – A tak poważnie, to niewiele słyszałem. Nasz dowódca nie należy do gadatliwych. Za trzynaście godzin ruszamy do punktu zgrupowania. Mniej więcej tyle wiem.

Chorąży rozejrzał się po sali i wzruszył ramionami.

– Nie trzeba za długo się zastanawiać, by wymyślić, do czego jesteśmy potrzebni – oznajmił. – Sami kapsle.

– Pierwsi w strefie lądowania – zgodziłem się. – Ile minęło od waszego ostatniego desantu w kapsule?

– Półtora roku, nie licząc zrzutów treningowych. A pan?

– Tak samo. Od tamtej pory były tylko loty taksówką. – Spojrzałem na siedzącego przy Czistiakowie wojaka z ZCR, który przyglądał się rozmowie z uprzejmie neutralną miną. – Kim jest twój kolega, Dmitrij?

– *Mładszyj lejtenant* Bondarenko – przedstawił żołnierza obok siebie. – Dowódca jednostki rozpoznania Sojuszu. A tam

siedzą *sierżant* Gierasimow, *sierżant* Dragomirowa oraz *mładszyj sierżant* Anochin.

Pozostali żołnierze ZCR podnosili dłonie, słysząc swoje nazwiska. Sierżant Dragomirowa, z długimi ciemnymi włosami zebranymi w kucyk, wykonała nieznaczny salut z kubkiem w rękę. Potem wrócili do rozmów z siedzącymi obok nich ludźmi z WPA.

– To dobry zespół – powiedział Dmitrij. – Dobrzy wojownicy. Zabili razem wielu Dryblasów. Desantowałem się z nimi już kilka razy.

Choć sytuacja wciąż wydawała się nowa, skoro jeszcze rok temu strzelaliśmy do siebie z ZCR, w sali panowała naprawdę spokojna atmosfera. Pomagało to, że kwatery i wspólna przestrzeń na okręcie bojowym nie były szczególnie duże, nie pozwalały trzymać się na dystans od innych. Zauważyłem również, że żołnierze ZCR i ich odpowiedniki z WPA siedzieli naprzeciwko siebie, nie mieszały się na tych samych ławkach. Ogólnie jednak kosmiczni piechociarze wydawali się podchodzić ze sporym luzem do tego, że w ich gronie znajdują się niedawni wrogowie. Zbliżał się szturm na Dryblasów i wyglądało na to, że dawne animozje straciły dotychczasowe znaczenie. Zamierzaliśmy walczyć wspólnie z obcymi, tak samo jak w Fomalhaut, i wspólnie przeżyć lub zginąć.

– Poduczyłeś się trochę rosyjskiego, Andrew? – zapytał Dmitrij.

– *Da, niemnogo* – odrzekłem. „Tak, trochę”.

Dmitrij nagroził mnie uśmiechem i skinieniem głową.

– Dobrze spędziłeś czas od naszego ostatniego spotkania –

powiedział. – Już nie jesteś rozlazły w brzuchu.

– Jak Maksim? – spytałem. Dmitrij znów się uśmiechnął, wyraźnie zadowolony, że pamiętam imię jego małżonka.

– Wciąż wielki. Trochę mniej głupi. Może poznasz go na Marsie. Osiemset Siedemdziesiąty Szósty Batalion Desantowy, na lotniskowcu „Rossija”. – Dostrzegłem cień smutku na jego twarzy, gdy podawał jednostkę męża, i dobrze wiedziałem, co w tym momencie czuł. Nasze drugie połówki również udawały się teraz na wojnę, ale w innych oddziałach i na pokładach innych okrętów. Jeśli nie nastąpi wyjątkowo nieprawdopodobny zbieg okoliczności, nasze ścieżki nie zetkną się na polu walki. Zobaczymy się po bitwie albo już nigdy więcej.

– Desantowałeś się kiedyś w biokapsule WPA?

– Tak – potwierdził Dmitrij. – W symulatorze. To nietrudne. Kapsuła sama robi wszystko w locie. Jesteś tylko kulą wypuszczoną z wielkiej lufy.

– W skrócie tak to mniej więcej wygląda – powiedziałem, oglądając się przez ramię na resztę żołnierzy we wspólnej sali.

Moduł mieszkalny przeznaczono dla całego plutonu, czterdziestu osób, a tu nie było nawet połowy tego.

– Trzy zespoły ogniowe, dwóch kontrolerów walki i sanitariusz jak na razie – rzekłem. – Lepiej, żeby strefa lądowania okazała się naprawdę mała, inaczej będziemy musieli się nieźle rozproszyć.

Otworzył się włącz do modułu i zerknąłem, żeby sprawdzić, kto przyszedł. Przez krótką chwilę poczułem szaloną, irracjonalną nadzieję, że Halley wejdzie niepodziewanie do sali, tak jak zrobiła na „Portsmouth”. Ujrzałem jednak żołnierza



w kamuflażu Eurokorpusu, a za nim sierżanta z Floty. Europejczyk był żylastym mężczyzną ostrzyżonym na wyjątkowo krótkiego jeża. Na jednym rękawie miał niebieską flagę Europy, na drugim czarno-czerwono-złotą niemiecką, a na przedzie kurtki mundurowej przypięte insygnia porucznika.

– Panie, panowie – odezwał się nowo przybyły sierżant. – To porucznik Stahl. Pełni na tym okręcie funkcję łącznika z Eurokorpusem.

– Niemcy, Rosjanie, Północni Amerykanie – powiedziałem cicho do siedzących przy moim stole. – Nagle zrobiła się tu mała Organizacja Narodów Zjednoczonych.

– To nie ONZ – odparł Dmitrij. – Nie jesteśmy, jak to się mówi, klubem dyskusyjnym. Myślę, że znacznie lepiej wychodzi nam strzelanie.

– To wręcz jedyna rzecz, w której jesteśmy dobrzy – sprostowałem.

Na okręcie bojowym nie było zbyt wiele miejsc pozwalających na prywatność, nawet na tak dużym jak „Falanga”, ale po paru latach we Flocie można się nauczyć, gdzie na każdej jednostce szukać cichych zakątków. „Falanga” była krążownikiem typu Obuch, o rozmiarach między niszczycielem a lotniskowcem szturmowym, i tuż pod grzbietem miała mały pokład astrogacyjny, niewielką polioplastową bańkę w pancerzu, dostępną za pośrednictwem wąskiej drabinki. Aby się tam dostać, należało wspiąć się przez dwa pokłady laminatowych płyt, więc rzadko ktoś tam bywał. Kiedy jednak wgramoliłem się na górę, żeby pod kopułą gwiazd napisać wiadomości do Halley

i matki, zauważyłem, że ktoś siedzi już w jednym z foteli obserwacyjnych.

– Bardzo przepraszam, pani pułkownik – powiedziałem, gdy dostrzegłem insygnia na mundurze. – Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Pułkownik Yamin, dowódca „Falangi”, wskazała podbródkiem rząd pustych siedzisk.

– W niczym pan nie przeszkadza, poruczniku. W końcu to przestrzeń dla załogi. Proszę wejść i usiąść. I tak zamierzałam kończyć.

Wdrapałem się do końca po drabinie i podszedłem.

Jak dotąd znałem naszą szyper jedynie w postaci bezcielesnego głosu z radiowęzła. Siedząca naprzeciwko mnie kobieta w standardowym uniformie Floty miała długie ciemne włosy i zielone oczy, a otaczała ją nieznaczna aura smutku oraz zadumy. Nieco skojarzyła mi się z Halley, choć na jej twarzy wyryło się dodatkowych dziesięć lat walki i trudnych decyzji.

– Jest pan jednym z ludzi z sił specjalnych – rzekła.

– Tak jest, proszę pani. Kontroler walki. Schodzimy jako pierwsi, wracamy jako ostatni.

Spojrzała na obrączkę na mojej prawej dłoni i skinęła w jej stronę.

– Kapsel to nie za dobra fucha dla żonatego mężczyzny.

– Żona nie ma nic przeciwko. Siedzi za sterami desantowców. Przynajmniej oboje jednocześnie trafiamy na linię walki.

– Od jak dawna pan w tym siedzi?

– Pięć lat w tej specjalizacji. Żonaty od niewiele ponad roku. Pobraliśmy się na „Regulusie” tuż przed zeszłorocznym

wtargnięciem Dryblasów. – Uśmiechnąłem się na samo wspomnienie. – Przekonała szypra, żeby udzielił nam ślubu, gdy okręt w trybie pełnej gotowości bojowej szykował się do bitwy.

– Wygląda na to, że pańska żona ma wyraźnie określone priorytety – skomentowała pułkownik z lekkim uśmiechem.

Spojrzałem na gwiazdy widoczne za polioplastową bańką naszego obserwatorium.

– Służę we Flocie od kilku lat. Uważam, że powinienem rozpoznawać konstelacje wzrokiem, a jednak wciąż nie potrafię rozróżnić większości z nich.

– Wtłaczają tę wiedzę w szkole oficerskiej marynarki – wyjaśniła Yamin. – Zupełnie jakbyśmy kiedykolwiek mieli stanąć tu z sekstansem i wizualnie nawigować ważący trzydzieści ton krążownik.

– No cóż, nie jestem nawet prawdziwym oficerem. Dostałem awans z podoficera w zeszłym roku, tuż przed misją w systemie Leonidas.

O pół sekundy za późno przypomniałem sobie, że „Falanga” była jednym z okrętów ukradzionych przez renegacki rząd WPA i odzyskaliśmy ją po jądrowym szantażu.

– Od jak dawna dowodzi pani „Falangą”? – spytałem.

– Dwa i pół roku. Objęłam stanowisko sześć miesięcy przed tym, jak Dryblasy wykopali nas z Marsa. – Uśmiechnęła się do mnie smutno. – Tak, poruczniku, jestem jednym z tych ludzi. Tych, którzy podwinęli ogon i uciekli.

– Jestem pewien, że miała pani swoje powody – odparłem, starając się, żeby zabrzmiało to neutralnie. Niewiele ponad miesiąc temu ta kobieta należała do grupy, która próbowała nas

zabić, gdy my staraliśmy się odpowiedzieć im tym samym. Wszyscy dowódcy okrętów wciąż stali na czele swych jednostek, lecz bacznie przyglądano się tym, którzy odlecieli wraz z renegackimi władzami, i nie przestawano mówić o sądzie wojskowym dla nich po Marsie, jeśli wrócimy stamtąd żywi.

– Wszyscy mają powody, by robić to, co robią. Czasami nawet słuszne. Jeśli czegoś się z tego wszystkiego nauczyłam, to tego, że nie mam prawa oceniać innych.

– Walczyliśmy – powiedziałem. – Gdy odlecieliście i przybyli Dryblasy. Walczyliśmy tym, co nam zostawiliście. Fregaty, korwety, całe to przestarzałe gówno, którego nie zabraliście. Powstrzymaliśmy ich, ale nie ma pani pojęcia, ile nas to kosztowało.

Popatrzyła na mnie i widziałem gniew wzbierający w jej zielonych oczach. Nagle jednak westchnęła i pokręciła lekko głową.

– Gdy Dryblasy zajęli Marsa, cumowaliśmy na orbicie – rzekła. – Szykowaliśmy się do powrotu na Ziemię, żeby dokonać napraw i dać odpocząć załodze. Połowa ludzi znajdowała się na powierzchni. Mój pierwszy oficer zginął tam, pomagając osadnikom. Wysłałam okręt, żeby ocalić kapsuły i szalupy ratunkowe. Mnóstwo szalup. Skierowaliśmy przeciwko tamtym wszystko, co mogliśmy, czyli dużo. Zna pan siłę ognia Obuchów. Spłynęło to po obcych jak po kaczce.

Mówiła cicho, przytaczając wspomnienia w taki sposób, jakby opowiadała swój sen.

– Gdy Dryblasy na nas uderzyli, straciłam dwieście osób z załogi. Załataliśmy okręt i powlekliśmy się na Ziemię. Nie

możliśmy dłużej walczyć, ledwo zdołaliśmy uciekać. I wtedy minęliśmy siły kontrataku zmierzające w drugą stronę.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę w tył.

– Mój młodszy brat był na jednym z tych okrętów. Mówiłam im, że to zły pomysł, że zderzą się ze ścianą i nic nie zyskają. I tak polecili, ponieważ musieli. A mój brat nie wrócił.

Nic nie mówiłem i przez chwilę panowała wokół nas cisza.

– Gdybym była w stanie z nimi walczyć, zawróciłabym okręt. Na pokładzie miałam jednak czterysta osób, które nie powinny ginąć na marne. Poleciliśmy więc do domu i zamiast wrócić z Dariusem, musiałam dać naszemu ojcu flagę złożoną w trójkąt. Nie mogliśmy nawet owinąć nią urny, ponieważ okręt brata został zniszczony wraz z całym personelem nad Marsem. Proszę mi więc nie mówić, że nie wiem, ile to was kosztowało. Wszyscy słono zapłaciliśmy. Ci, którzy odlecieli, i ci, którzy nie.

– Ja bym nie odleciał – rzuciłem. – Nie zostawiłbym wszystkiego.

– Teraz pan tak mówi – odparła, spoglądając na mnie spokojnie, bez złości. – Pańska żona jest we Flocie. Moi rodzice i dzieci nie byli. Pozwolono mi zabrać dzieci, ale matki i ojca już nie. Zostawiłam rodziców, żeby móc wziąć dzieci.

Nie miałem na to kąśliwej riposty, spoglądałem więc jedynie na morze gwiazd nad naszymi głowami. Próbowałem wyobrazić sobie, co bym zrobił, gdybym musiał dokonać wyboru między Halley a mamą, zdecydować, że jedna z nich poleci bezpieczna ze mną, a druga zostanie na niemal pewną śmierć.

Pułkownik Yamin wzięła powolny, długi oddech, wypuściła powietrze z płuc i podniosła się z fotela, po czym obciągnęła

przód bluzy mundurowej, żeby ją wygładzić.

– Wrócę teraz do BCI. Może pan się zająć swoimi sprawami. Proszę nie wstawać.

Podeszła do drabiny, przerzuciła przez nią stopę.

– I proszę nie być tak pewnym swojej opinii. „Wy uciekliście, my zostaliśmy. Wy popełniliście błąd, my mieliśmy rację”. Mam nadzieję, że nigdy nie będzie pan musiał podjąć podobnej decyzji. A jeśli tak, może pan sobie coś zapamięta. We własnej ocenie nikt nie jest zły, poruczniku. Czasami należy dokonać wyboru między dwiema niewłaściwymi rzeczami i wytypować tę, która wydaje się odrobinę mniej paskudna niż ta druga. Tę, która pozwoli panu nieco lepiej spać w nocy.

Skinęła mi głową i zaczęła schodzić, zostawiając mnie samego z myślami pod ćwiekowaną gwiazdami czernią przestrzeni.

## Rozdział 10

# Punkt zgrupowania Echo

alanga” opuściła dok na Węzłowej dokładnie o siódmej zero zero w poniedziałkowy ranek. Był listopad i nie wiedziałem, jaka panuje obecnie pogoda w Liberty Falls, ale miałem wrażenie, że na okręcie jest pochmurnie, choć wokół nas rozciągała się jedynie kosmiczna pustka. Opuściłem swoją kajutę przed godziną, podczas ostatniej wachty, i właśnie wracałem z mesy oficerskiej po skromnym posiłku złożonym z jajecznicy oraz kawy, gdy rozległ się sygnał radiowężła.

– Do wszystkich, mówi pułkownik Yamin. Właśnie nakazałam opróżnienia kołnierza dokującego i zabezpieczenia wszystkich śluz. Za kilka minut rozłączymy przewody serwisowe i odejdziemy od Węzłowej, aby udać się do punktu zgrupowania Floty.

Dowódca przerwała na chwilę, po czym podjęła komunikat.

– Wszyscy wiecie, co zamierzamy zrobić i dokąd się udamy. Wydałam rozkaz, aby zmiana w BCI przesłała obraz z głównej matrycy kamer „Falangi” na każdy ekran na pokładzie. Jeśli możecie, poświęćcie chwilę i popatrzcie.

Włączyłem mały monitor w swojej kajucie. Zobaczyłem w ultrawysokiej rozdzielczości skrawek Ziemi poniżej „Falangi” i Węzłowej. Większość znajdującego się pod nami kontynentu przesłaniały chmury, ale dostrzegalem fragment linii brzegowej Ameryki Północnej, znajomy kształt północnego wybrzeża. Było

to doskonale ujęcie, jeśli ktoś chciałby zamieścić zdjęcie promocyjne naszego globu w jakimś międzygalaktycznym przewodniku turystycznym: niebiesko-biała planeta tętniąca życiem i aktywnością oraz wąskie pasemko atmosfery oddzielającej całe to życie od kosmicznej próżni. Dopiero gdy widziało się to wszystko z podobnego miejsca, można było sobie uświadomić, jak płaska była ta warstewka. W oddali horyzont przemieniał się z bieli w błękit, a następnie w nakrapiany gwiazdami granat obejmujący zaledwie kilka stopni widoku. Mój nauczyciel fizyki mawiał, że atmosfera Ziemi jest tak cienka, jak para na skórcie pomarańczy, gdy się na nią chuchnie. Nawet Luna uzupełniała piękno kadru: znajdowała się tuż nad horyzontem, blisko nad pasmem atmosfery, tak wyraźna, że widziałem budowlę miasta Luna i jego okolice.

– Właśnie tego będziemy bronić – ciągnęła dowódczyni „Falangi”. – To właśnie tutaj zaczęliśmy wypełzać z błota sto tysięcy lat temu. To właśnie tutaj budowaliśmy nasze miasta i tworzyliśmy historię. To właśnie tu są nasi przyjaciele, rodziny oraz wszystko, co nam drogie. I właśnie to wszystko zostanie nam zabrane, jeśli nie pokonamy Dryblasów. Musimy walczyć albo na zawsze znikniemy w ciemności.

Spojrzałem na skrawek Ziemi widoczny na obrazie z kamery, planety wielkiej, gdy było się tak blisko niej, a jednak małej, jeśli zastanowić się, ile próżni znajdowało się wokół nas w samym Układzie Słonecznym, nie mówiąc już o reszcie wszechświata. W skali kosmosu nasz gatunek oraz jego historia nie miały żadnego znaczenia, stanowiliśmy zapewne jedną świadomą formę życia pośród milionów. Nie byłem jednak jeszcze gotów



pozwolić, byśmy już teraz zniknęli w pustce.

– Zatem będziemy walczyć – oznajmiła szyper. – Wszyscy będziemy walczyć na swoich stanowiskach. Wrócimy, gdy wykonamy swoje zadanie, i ta mała niebieska kula wciąż będzie dla nas domem. Nie pozwolę, żeby te gnoje nas stąd wykopały. Do wszystkich, przygotować się do odlotu.

Komunikat dobiegł końca, a ja mogłem zastanowić się nad słowami pani pułkownik, siedząc sam w swojej kajucie i spoglądając na ekran, na którym Ziemia obracała się powoli w przestrzeni. Tak wiele razy opuszczałem Węzłową, udając się na dyslokacje bojowe, że wydawało mi się, iż jestem odporny na to, co właśnie czułem, na wrażenie, że patrzę na ojczystą planetę po raz ostatni. Znów widziałem siebie na powierzchni Marsa, przede mną znajdowały się tysiące Dryblasów i nagle rozbłysły jądrowe kule ognia. Ten sen mógł się wkrótce stać rzeczywistością.



Pół godziny później, gdy odchodziliśmy od Węzłowej z małą prędkością zalecaną przy manewrach orbitalnych, w radiowęźle ponownie rozbrzmiał głos dowódczyni. Podniosłem wzrok znad OTI i wiadomości, którą pisałem do Halley.

– Do wszystkich, spójrzcie na ekrany.

Pułkownik Yamin nie powiedziała już nic więcej, zerknąłem więc znów na monitor. Kamera nie pokazywała już Ziemi. Teraz celowała w odcinek orbity pomiędzy stacjami Węzłowa i Niepodległość. W przestrzeni panował spory ruch: frachtowce cywilne, promy orbitalne, korwety i jednostki patrolowe z mniejszych krajów. Każdy z dziesiątków widocznych statków

miał włączone światła zewnętrzne i wszystkie mrugały synchronicznie, w skoordynowany sposób żegnając okręty idące na wojnę. Przez cały poranek czułem się ponuro, ale ten niespodziewany gest ze strony ludzi, którzy nie mogli ruszyć do walki razem z nami, nagle sprawił, że ucieszyłem się, iż tu jestem. Miliardy osób na planecie i tysiące tu w przestrzeni nie miały wyboru, musiały czekać z niecierpliwością, by przekonać się, czy otrzymają szansę na dalsze życie. Ja mogłem wpłynąć na wynik bitwy. Owszem, w nieznacznym sposób, ale jednak dokładałem swój ciężar do szali, a większość nie mogła tego o sobie powiedzieć.

*Ruszyliśmy. Do zobaczenia w punkcie zgrupowania. Kocham Cię.*

Wysłałem wiadomość do Halley, korzystając, że wciąż znajdowaliśmy się w zasięgu przekaźnika na Węzłowej. Podczas drogi komunikacja między okrętami zostanie ograniczona do wiadomości kluczowych dla przebiegu operacji, a łączność bliskiego zasięgu działała tylko wtedy, gdy jednostki znajdowały się w odległości kilku kilometrów od siebie.

Odpowiedź Halley nadeszła kilka minut później.

*„Polluks” wychodzi z doku za 45 minut. Też Cię kocham. Do zobaczenia, gdy to się już skończy. Udanych łowów.*

Ekran w mojej kajucie wrócił do zwyczajowego stanu, czyli pokazywania ogólnych informacji o okręcie: kursu, prędkości, pozycji, komunikatów dla załogi. Jedną czwartą monitora zajmował obraz z wyświetlacza taktycznego w Bojowym Centrum Informacyjnym, trójwymiarowego odwzorowania

otaczającej nas przestrzeni. Pstryknąłem to pole, by zajęło cały ekran. Węzłowa była już kilka tysięcy kilometrów za nami, „Falanga” przyspieszała do pełnej mocy i oddalała się od kotwiczowiska. Wchodziliśmy w skład długiej linii niebieskich i zielonych ikon reprezentujących okręty WPA lub sprzymierzone, każdej oznaczonej numerem bocznym i nazwą. Nie dotarliśmy jeszcze do punktu zgrupowania, a wokół nas już sunęło więcej jednostek niż kiedykolwiek w jednym miejscu od powrotu z Fomalhaut. Ekscytująco było widzieć taką moc bojową w ruchu i czuć świadomość, że wreszcie podchodzimy do zagrożenia z planem oraz realną szansą na zwycięstwo, zamiast jedynie ciskać sprzętem w ścianę i patrzeć, jak się o nią rozbija.

Gdy minęło czterdzieści pięć minut od mojej wymiany wiadomości z Halley, zerknąłem znów na wyświetlacz, żeby sprawdzić położenie OWPA „Polluks”, ale znaleźliśmy się już za daleko w kawalkadzie i zasięg ekranu sytuacyjnego z BCI nie pozwalał śledzić jej lotniskowca. Mimo to wiedziałem, że jest gdzieś tam z tyłu, kilka tysięcy kilometrów za rufą „Falangi”, i leci w tym samym kierunku.

Spędziliśmy dzień, porządkując sprzęt i jedząc posiłki w wyznaczonych miejscach: w stołówce – w przypadku szeregowych i podoficerów, i w mesie oficerskiej w przypadku porucznika Bondarenki z marines ZCR, porucznika Perkinsa z zespołu rozpoznania PK, porucznika Stahla z Eurokorpusu oraz mnie. Wszyscy oficerowie z zaokrętowanego pododdziału sił specjalnych pochodzili z różnych rodzajów sił zbrojnych

i nosili cztery różne wzory kamuflażu. Gdy nadeszła pora kolacji i wciąż nie otrzymaliśmy z góry rozkazów ani harmonogramu, z braku lepszych rzeczy do roboty wylądowaliśmy w czwórkę przy tym samym stole w mesie.

Porucznik Bondarenko nie dorównywał towarzyskością Dmitrijowi, a jego angielski nie był nawet w połowie tak dobry, głównie więc milczał, ale chyba smakowała mu oficerska wyżerka, bo wyczyścił dwa talerze. Porucznik Perkins z PK był o rok młodszy ode mnie, lecz miał na koncie niemal tyle samo desantów bojowych i przejawiał typowe dla żołnierzy z rozpoznania beztroskie nastawienie. Oficer z Eurokorpusu mówił po angielsku płynnie, lecz z silnym niemieckim akcentem. Wymieniliśmy uprzejmości i zaczęliśmy spekulować na temat zbliżającego się lądowania na Marsie.

– To będzie największy szturm desantowy w historii – oznajmił Perkins. – Słyszałem, że w pierwszej fazie zrzucaamy całą dywizję, a kolejną w drugiej.

– Myśli pan, że udało nam się zebrać wystarczająco żołnierzy, by utworzyć kilka dywizji? – spytałem.

– A pan tak nie sądzi?

– Cały zeszły rok prowadziłem obozy szkoleniowe, żeby wypełnić stany osobowe. Dwie pełne dywizje? To cztery brygady. Szesnaście batalionów. Przed utratą Marsa cała PK składała się z tylko trzech dywizji. Ale skoro dołączyli się ZCR i Europejczycy, to kto wie?

– Już niedługo nam powiedzą – rzekł niemiecki porucznik. – Wiem, że Eurokorpus wysłał jeden pułk.

– Każda osoba się liczy – odparłem, czując lekkie

rozczarowanie. Jeden pułk oznaczał dwa bataliony żołnierzy. Niemało, ale tysiąc trzystu wojaków to zaledwie nieznaczny ułamek całkowitej siły osobowej Eurokorpusu. Nagle przypomniałem sobie, że wojska europejskie były wyposażone głównie pod kątem utrzymywania porządku na Ziemi, nie do walki w kosmosie, i że wysłany pułk składa się zapewne z większości ich żołnierzy wyszkolonych do działania w przestrzeni.

Liczenie obecnych w sali nie poprawiło mi pewności siebie. Okrętowy pododdział sił specjalnych wydawał się żałośnie mały, jak na jednostkę, która miała poprzedzać lądowanie największych kosmicznych sił desantowych w dziejach. Zostało mi czekać na informacje o misji, żebyśmy mogli się wreszcie dowiedzieć, jak bardzo będziemy musieli rozciągnąć na polu walki naszą nieliczną grupkę kapsli.

---

Choć raz dowództwo bez niepotrzebnej zwłoki poinformowało, co nas czeka. Dziesięć godzin po opuszczeniu Węzłowej „Falanga” skręciła i włączyła ciąg wsteczny, żeby zwolnić zgodnie z planem. Po dwudziestu godzinach od wyjścia ze stacji wlecieliśmy w obszar, w którym znajdowało się więcej okrętów, niż widziałem na jakimkolwiek kotwicowisku. Bezpieczna odległość między kadłubami wynosiła pięć kilometrów i poszczególne jednostki skupiały się w małe grupki na całym ekranie wyświetlacza taktycznego w BCI. Spoglądając na to wszystko na monitorze w swojej kwaterze, próbowałem policzyć ikony, ale dałem za wygraną przed osiągnięciem czterdziestki, a wiedziałem, że w kolejce za nami są jeszcze inne statki lecące

od strony Ziemi. Dwie trzecie znaczników pochodziło z WPA lub ZCR, na resztę składały się wszystkie pozostałe zdolne do podróży kosmicznych ziemskie organizmy polityczne: Ameryka Południowa, Afryka, Oceania, Unia Europejska. Wyglądało na to, że nie tylko my zmobilizowaliśmy nasze floty rezerwowe i wyremontowaliśmy jednostki, które miały iść na złomowisko.

– Do wszystkich – dobiegło z radiowężła. – Mówi pułkownik Yamin. Dotarliśmy do punktu zgrupowania Echo. To nasze stanowisko startowe do ofensywy. Zajmiemy wyznaczone miejsce w szyku i przygotujemy się do rozpoczęcia działań. Od tej chwili bądźcie gotowi do walki, ponieważ następny komunikat o zajęciu stanowisk bojowych będzie oznaczał, że w pobliżu są Dryblasy, a my posyłamy uzbrojone głowy. Aż do naszego powrotu na Wężłową nie odbędą się żadne alarmy ćwiczebne. Wszystko będzie rzeczywiste.

Aż do naszego powrotu na Wężłową, pomyślałem. Stacja była stara i podniszczona, paskudnie się przy niej nawigowało w ruchliwy dzień, ale nie mogłem się powstrzymać przed nadzieją, że szyper „Falangi” nie przesadzała ze swym optymistycznym nastawieniem i że kiedyś znów będę mógł kroczyć wytartymi, brudnymi korytarzami Wężłowej, przeklinając idiotę, który ją zaprojektował.

Ponieważ nie miałem nic ciekawszego do zrobienia, przez jakiś czas obserwowałem wyświetlacz z BCI. Mrowie ikon przesuwano się powoli po sferze sytuacyjnej, gdy „Falanga” manewrowała przez obszar zgrupowania do przydzielonego nam miejsca. Widziałem, że wszystkie skupiska jednostek naprawdę były

wielonarodowe: okręty ZCR mieszały się z tymi z WPA, a tu i ówdzie migają europejskie lub afrykańskie. Wszystkie największe kadłuby pochodziły ze Wspólnoty lub Związku, ponieważ nikt z pozostałych nie potrzebował tak ciężkich jednostek do dyslokacji poza Układem Słonecznym. Mieli korwety, lekkie łodzie patrolowe, statki zaopatrzeniowe, a czasami fregatę lub niszczyciel, czyli wszystko, co potrzebne do pilnowania placówek w ramach układu i węzłów górniczych. Teraz zaś te okręty pomocnicze uzupełniały naszą flotę inwazyjną.

Oderwałem się od tańca ikon na ekranie, gdy rozległo się brzęczenie komunikatora. Udało mi się podnieść słuchawkę przed drugim sygnałem.

– Pododdział sił specjalnych, porucznik Grayson.

– Poruczniku, tu major Masoud. Proszę się zgłosić do sali odpraw Delta Pięćset Pięć o ósmej zero zero. Wszyscy, nie tylko oficerowie.

– Tak jest, sir – potwierdziłem.

Ruszyłem się, żeby przekazać wieści reszcie członków niepełnego plutonu kręcących się po naszym module mieszkalnym. Jeszcze nie wiedziałem, jaką odegramy rolę w ofensywie, ale zaczynaliśmy ją właśnie teraz i mieliśmy do dyspozycji tylko to, co na pokładzie.

---

Sala odpraw w Krainie Trepów aż z nawiązką wystarczała dla całego kontyngentu żołnierskiego zaokrętowanego na jednostce typu Obuch, czyli dla pełnej kompanii. Ponieważ nasz pododdział sił specjalnych liczył zaledwie kilkanaście osób,

mieliśmy mnóstwo przestrzeni, nawet gdy zebrali się wszyscy. Kiedy wszedłem do środka, Dmitrij i jego towarzysze z ZCR siedzieli już na samym przedzie, wśliznąłem się za nich, żeby zająć miejsce na końcu rzędu. Reszta naszej grupy schodziła się po kolei, siadając w pierwszych trzech rzędach: porucznik z Eurokorpusu, dwie drużyny rozpoznania oraz kosmiczny ratownik.

Major Masoud przeszedł przez właz o siódmej pięćdziesiąt dziewięć. Chorąży od ratowników, siedzący najbliżej wejścia, zerwał się na nogi i wrzasnął: „Baczność!”, zanim zdążyliśmy rozwiązać kwestię starszeństwa stopni między nami porucznikami. Wszyscy stanęliśmy w postawie zasadniczej, nawet ludzie z ZCR.

– Spocznij – powiedział major. – Zajmijcie miejsca.

Usiedliśmy z powrotem i obserwowaliśmy, jak Masoud przechodzi przez całe pomieszczenie i uruchamia holoe ekran zajmujący przednią gródź. Stuknął w tablet trzymany w dłoni, żeby przyciemnić światła. Na ekranie pojawiła się wirująca powoli pieczęć okrętu: OWPA „Falanga” CA-761.

– Dzień dobry. Jesteśmy już w strefie zgrupowania i wolno mi wtajemniczyć was w to, co zamierzamy wykonać. Operacja ma kryptonim Invictus.

Obraz zmienił się na ujęcie Marsa, nie nieruchome zdjęcie, a wysokiej rozdzielczości przekaz z kamery szpiegowskiej. Wyraźnie pochodził z okrętu WPA, ponieważ w narożnikach widać było znajome wskazania matrycy sensorów optycznych.

– Nie jest tajemnicą, że to jest nasz cel – oznajmił Masoud. – A tak w ogóle, to ten materiał ma dwanaście godzin.



Wymieniliśmy spojrzenia i popatrzyliśmy znów na wyświetlacz. W pomieszczeniu rozległ się cichy szmer rozmów. Nawet gdyby wykorzystać najbardziej możliwe powiększenie naszych najlepszych matryc optycznych, okręt, który nakręcił materiał, musiał znajdować się w samobójczej bliskości od Marsa. Na czerwono-białym tle powierzchni planety i pokrywających ją chmur widać było przynajmniej sześć okrętów nasiennych Dryblasów.

– Kto tam stacjonuje, sir? – spytałem.

– OWPA „Cincinnati” – odparł major. – Niewykryty obserwuje strefę docelową od dwóch tygodni.

„Cincinnati” był siostrzaną jednostką OWPA „Indianapolis”, na którym pułkownik Campbell wleciał prosto w zbliżający się okręt nasienne podczas pierwszego wtargnięcia obcych, dzięki czemu resztki ziemskich flot mogły zniszczyć siły inwazyjne, i dał nam tym samym czas na skończenie konstrukcji rakiet Orion oraz pancerników. Po zniszczeniu „Indy’ego” „Cincinnati” został ostatnim ocalałym egzemplarzem ze swojego typu, czyli niedawno zaprojektowanych orbitalnych okrętów bojowych. OOB były małymi stateczkami, przeznaczonymi do celów wywiadowczych i patrolowych. Jeśli „Cincy” obserwował od tak dawna Dryblasów, był chyba najcenniejszą jednostką w naszej armadzie, pomimo małego tonażu i lekkiego uzbrojenia.

– Sytuacja – ciągnął major w typowy dla siebie, lakoniczny sposób. – Znajdujemy się w punkcie zgrupowania Echo jako część Wielonarodowego Wspólnego Zespołu Zadaniowego. Mars jest okupowany przez znaczną liczbę Dryblasów, w tym dwanaście okrętów nasiennych na orbicie oraz kilka tysięcy

obcych w skupiskach osiedli na powierzchni. Wiemy o istnieniu ośmiu schronów bezpieczeństwa, w których przebywają ludzie potrzebujący pomocy i ewakuacji. Za mniej niż dwanaście godzin zakończymy uzupełnianie paliwa i skierujemy się w stronę Marsa w przydzielonej nam formacji bojowej, Grupie Zadaniowej Czerwonej. Misja Wspólnego Zespołu Zadaniowego będzie polegała na zniszczeniu floty Dryblasów na orbicie wokół planety, przeprowadzeniu desantu żołnierzy na powierzchnię, ewakuacji ocalałych ze wciąż działających schronów oraz wyeliminowaniu zagrożenia ze strony obcych na Marsie.

– Tylko tyle? – wyszeptał jeden z ludzi z rozpoznania siedzących z boku do kolegi z PK.

– Wykonanie – kontynuował Masoud. – Plan bitwy jest podzielony na sześć faz. Będzie to najdłuższa i najbardziej złożona operacja desantowa, za jaką się kiedykolwiek braliśmy. Ponieważ nie możemy już sobie pozwolić na znaczne straty, każda faza została zaprojektowana w taki sposób, abyśmy mogli zdecydować się na rezygnację z pozostałych punktów planu i ewakuację oraz wycofanie reszty sił, jeśli któryś etap zakończy się katastrofą.

Major stuknął w tablet i materiał z okolic Marsa został zastąpiony obrazem z wyświetlacza taktycznego.

– W fazie pierwszej Wspólny Zespół Zadaniowy zaatakuje Dryblasów nad Marsem i zniszczy ich. W tym celu zabraliśmy ze sobą niemal cały dostępny zapas rakiet Orion. Zostaną zaholowane przez jednostki wsparcia i odpalone z maksymalnej odległości. Dane na temat celów będą pochodziły z OWPA „Cincinnati”, który przez cały czas pozostanie na stanowisku

i będzie na bieżąco aktualizował informacje celownicze. Obcym już wielokrotnie udawało się do nas podkraść. Tym razem to my będziemy się podkradać, a oni nie będą mogli zniknąć w czarnej pustce.

Od strony siedzących przede mną żołnierzy ZCR słyszałem stłumione słowa po rosyjsku dobiegające z urządzeń tłumaczących, które Flota zapewniła nowym sojusznikom. Wiedziałem, że Dmitrij tak naprawdę nie potrzebował słuchawki, ale i tak ją założył i z poważną miną śledził odprawę majora. Minęło raptem kilka minut spotkania, a Masoud już odfajkował kilka punktów o tak wielkim znaczeniu militarnym, że czułem się oszołomiony stojącym przed nami zadaniem.

– Gdy salwa z Orionów zniszczy większość floty Dryblasów, dwa pancerniki, „Archangielsk” i „Agincourt”, podejną bliżej i rozpoczną walkę w zwarciu z ocalałymi okrętami nasiennymi.

Ekran za majorem pokazał grupkę małych ikon odpalających kilkadziesiąt rakiet do pomarańczowych symboli reprezentujących jednostki obcych. Gdy Oriony dotarły do celu, większość pomarańczowych romboidów zniknęła. Wtedy dwie nasze ikony, niebieska i zielona, zmniejszyły dystans, po czym usunęły resztę wrogich symboli z mapy.

– W fazie drugiej do gry wchodzi drużyny sił specjalnych, więc posłuchajcie z wyjątkową uwagą – kontynuował major z krzywym uśmiechem. – Krążowniki podejną za pancernikami i dyslokują swoje pokładowe zespoły zwiadowcze za pośrednictwem biokapsuł do wyznaczonych stref lądowania na powierzchni Marsa. Jest osiem takich stref, każda oznaczona kolorem odpowiadającym przydzielonej do niego grupie

zadaniowej. Nasza strefa, jak możecie zgadywać, to Plaża Czerwona. Wylądujecie, rozlokujecie się, zabezpieczycie perymetr, a następnie zaczniecie przekazywać dane celownicze do krążowników na orbicie. Przygotujecie strefy lądowania dla sił desantowych, kierując bombardowaniem orbitalnym oraz bliskim wsparciem lotniczym.

Ta część planu okazała się najbardziej konwencjonalna ze wszystkiego, co słyszałem do tej pory. Właśnie do takich działań zostaliśmy wyszkoleni i właśnie taką misję pragnęliśmy wykonywać. Jednak warunki wstępne do tego, żebyśmy zostali w ogóle wystrzeleni do strefy lądowania, wydawały się obłędnie ambitne, zważywszy nasze dotychczasowe osiągnięcia militarne w walce z Dryblasami.

– W fazie trzeciej podejną lotniskowce wraz z eskortą. Krążowniki zrobią luki w polach minowych nieprzyjaciela, a następnie uzupełnią zapasy amunicji ze statków zaopatrzeniowych. Potem lotniskowce zaczną zsyłać siły piechoty. Do każdej strefy lądowania została przypisana jedna lotniskowcowa grupa bojowa. Natarcie odbędzie się w dwóch falach: pierwsza w fazie trzeciej, druga w fazie czwartej. W każdej fali w każdej strefie lądowania znajdzie się pełen pułk, czyli w sumie wylądują cztery dywizje piechoty.

– Ho-ho – skomentowałem odruchowo, a większość obecnych powtórzyła w jakiejś formie moją reakcję. Nigdy nie sadzaliśmy czterech dywizji piechoty podczas jednej operacji – cała Piechota Kosmiczna miała przy pełnym stanie osobowym jedynie trzy dywizje, zanim jeszcze Dryblasy nas zdziesiątkowali. Zamierzaliśmy wysłać na powierzchnię ponad dwadzieścia

tysięcy ludzi w zaledwie dwóch falach. W ziemskich wojnach dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku taka liczba byłaby w zasadzie niezauważalna w skali strategicznej ówczesnych konfliktów. Natomiast w przypadku starć w kosmosie, do których zostaliśmy wyposażeni i wyszkoleni, przemieszczenie oraz skoordynowanie czterech dywizji stanowiły ogromne wyzwanie logistyczne i taktyczne.

– Faza czwarta to lądowanie drugiej fali, zabezpieczenie i poszerzenie plaż, a także ewakuacja ocalałych na Marsie ludzi ze schronów. Po ich uratowaniu i zabezpieczeniu stref przechodzimy do fazy piątej, czyli połączenia plaż inwazyjnych. Wreszcie w fazie szóstej wyeliminujemy pozostałe ogniska oporu Dryblasów i zlikwidujemy ich osady oraz infrastrukturę za pomocą bombardowania z powietrza i z orbity. Po zakończeniu tego etapu ewakuujemy większość naszych sił bojowych i zostawimy resztę sprzętania garnizonowi orbitalnemu.

Wszystko, co do tej pory usłyszałem, miało taki rozmach, że powinno wydawać się niedorzeczne. Nikt się jednak nie śmiał ani nawet nie chichotał. Wszyscy obecni słuchali odprawy ze śmiertelnie poważnymi twarzami.

– Za chwilę omówię szczegółowo fazę drugą, bo to przede wszystkim ona nas interesuje – oznajmił major. – Jakies pytania albo komentarze do wcześniejszej części?

Przez chwilę panowała cisza, nagle Dmitrij odchrząknął i wszyscy spojrzeli na niego.

– To wielki plan – powiedział. – A tak wielki plan może skończyć się tylko na dwa sposoby. To będzie albo najlepszy

sukces w naszej całej historii, albo całkowita porażka.

Masoud długo przyglądał się podoficerowi z ZCR, po czym skinął głową.

– Zgadzam się, starszy sierżancie. Albo osiągniemy całkowite zwycięstwo, albo czeka nas zupełna klęska. Nikomu z was nie muszę mówić, co się wydarzy, jeśli dowleczymy się do domu pokonani, z kilkoma uszkodzonymi okrętami i garstką ludzi. Omówmy zatem fazę drugą, a potem upewnijmy się, że do czegoś takiego nie dojdzie.

Szczegółowe przedstawienie drugiej fazy zajęło kolejne półtorej godziny. Nie tylko cała operacja była zdecydowanie najśmielszym zaplanowanym przez ludzkość przedsięwzięciem, lecz nawet zadania sił specjalnych wydawały się zupełnie niezwykle. Ponieważ nie mieliśmy czasu, żeby skoordynować całą sieć łącznościową obu sojuszów politycznych, integrację wprowadzano na poszczególnych szczeblach. Każda grupa zadaniowa składała się z połączenia okrętów ZCR i WPA, w każdej brygadzie piechoty znajdowały się pułki WPA i ZCR, i zespoły specjalne również miały mieszaną obsadę. W naszym przypadku oznaczało to, że do dwóch drużyn rozpoznania PK dołączy drużyna ZCR, a ja miałem się desantować wspólnie z Dmitrijem. Przypadło nam zadanie kierowania bliskim wsparciem lotniczym oraz bombardowaniem orbitalnym, a ponieważ w jednej strefie lądowania mieli się znaleźć kontrolerzy walki z obu sojuszów, oznaczało to, że będziemy mogli porozumieć się z jednostkami z góry niezależnie od tego, do kogo będą należały. Właśnie nie tylko wyrzucaliśmy przez

okno dziesięciolecia uznanych doktryn i zwyczajów, ale i machaliśmy im na pożegnanie.

– Ruszamy w ciągu następnych dwunastu godzin – rzekł major Masoud, gdy omówiliśmy dogłębnie wszystkie punkty i nikt nie miał już więcej pytań ani uwag. – Jeśli szturm dotrze do fazy drugiej, będziemy w nią w pełni zaangażowani, niezależnie od tego, czy reszta grupy zadaniowej przejdzie do fazy trzeciej i dalej. Jeśli sprawa się schrzani, gdy kapsuły znajdą się już na powierzchni, nie będzie powrotu. Ale to nie powinno być nowością dla nikogo spośród was.

Rozejrzał się po zgromadzonej hałastrze kapsli, szesnastu wojskowych z trzech różnych sojuszków politycznych i czterech rodzajów sił zbrojnych. Major Masoud zawsze wyglądał twardo i surowo, ale miałem wrażenie, że odkąd przed niecałymi dwoma miesiącami widziałem go na Arkadii, postarzał się o kilka lat. Sięgnął po tablet i wyłączył ekran za swoimi plecami.

– Nie będzie żadnych ćwiczeń, dopóki nie założymy pancerzy – oznajmił. – Wykorzystajcie ten czas według własnego uznania. To mogą być ostatnie chwile spokoju. Rozejść się.

Kosmiczni piechociarze i ratownik podnieśli się z miejsc i opuścili salę odpraw, rozmawiając ze sobą po drodze. Chwilę później w ich ślady poszli Dmitrij i czworo jego kompanów z ZCR, mówiąc do siebie po rosyjsku coś, co wykraczało poza moje ograniczone słownictwo. Wstałem i podszedłem do majora, który wyłączał konsolę pomagającą mu podczas odprawy.

– O co chodzi, poruczniku? – spytał, gdy odwrócił się i dostrzegł mnie stojącego przed niewielkim podwyższeniem.

– Desantuje się pan z nami, sir?

– Nie. – Przez chwilę jego twarz wyglądała, jakby sprawiało mu to ból. – Jestem starszym oficerem sił specjalnych w Grupie Zadaniowej Czerwonej. Gdy wszyscy znajdziecie się już na powierzchni, będę koordynował wasze wysiłki z innymi zespołami z tutejszego BCI.

– Na Arkadii mówił mi pan, że zobaczymy się na Marsie.

– Tak, wiem. I złożyłem prośbę o możliwość desantowania się wraz z zespołem. Jednak sztab generalny widział to inaczej. Proszę mi uwierzyć, poruczniku, że niczego nie pragnąłbym bardziej, niż uczestniczyć w zrzucie wraz ze zwiadowcami z fazy drugiej.

– Naprawdę?

– Naprawdę, poruczniku. I wie pan, że mówię szczerze, ponieważ wybrałby pan tak samo, gdyby decyzja należała do pana. – Podniósł swój tablet. – Żaden kapsel nie zdecydowałby się na śmierć w BCI, patrząc na holostół, zamiast stać ramieniem w ramieniu z kompanami na powierzchni. To kara, nie przywilej. Cokolwiek pan o mnie sądzi, poruczniku Grayson, wiem, że nie uważa mnie pan za tchórzliwego sztabowca.

Choć wciąż czułem na niego złość za Arkadię, nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Nie, sir. Jest pan bezlitosnym gnojem, ale na pewno nie tchórzliwym sztabowcem.

Popatrzył na mnie z tą swoją nieprzeniknioną, lodowatą miną i przez chwilę zastanawiałem się, czy godzin pozostałych do desantu nie spędzę w areszcie za niesubordynację.

– Mogę żyć z taką oceną – odrzekł, po czym wskazał mi wyjście. – Niech pan dołączy do swojego zespołu i nacieszy się



resztą czasu, poruczniku. Słyszałem, że Rosjanie być może zabrali na pokład jakieś płynne rozrywki. Wiem również z dobrego źródła, że przez następnych kilka dni nikt w tej armadzie nie zamierza egzekwować prohibicji. Rozejść się – powtórzył tonem mówiącym mi, że właśnie wykorzystałem darmowy kupon na powiedzenie, co mi leży na wątrobie.

– Tak jest, sir – odparłem. Czasami trzeba po prostu wiedzieć, kiedy nie przeginać.

## Rozdział 11

# Faza pierwsza

tanowiska bojowe, stanowiska bojowe. Do wszystkich: zająć stanowiska bojowe. Tryb pełnej gotowości na całym okręcie. To nie są ćwiczenia.

Gdy z radiowęzła dobiegł ten komunikat, miałem już na sobie balistyczną warstwę spodnią pod pancerz, którą założyłem po wstaniu z koi, spodziewając się szybkiej dyslokacji. Teraz podszedłem do szafki ze sprzętem i rozpocząłem rytuał przywdziewania pancerza przeciwśrodowiskowego. Tym razem okazał się on nieco trudniejszy, ponieważ od niemal dwóch lat nie nakładałem na siebie robalowej skorupy w pośpiechu i miałem raczej paskudnego kaca po zeszłej nocy. Rosjanie wzięli ze sobą na pokład torby, ale nie wypełnili ich ekwipunkiem. Zamiast tego każdy miał dwanaście butelek tego, co nazywali „wódką inżynierską”, i cały pododdział sił specjalnych zdecydował się testować ich zawartość przez ostatnie dni podróży. W pewnym momencie minionego wieczoru major Masoud wsunął głowę do naszego modułu, lecz zamiast objechać nas za picie alkoholu na jednostce Floty, a zatem rażące łamanie przepisów, wszedł do środka i rozprawił się z raczej sporą próbką.

Nie przypiąłem zdjęcia Halley do szafki, by dotknąć go przed ruszeniem do walki, niczym pilot myśliwca z jakiegoś starego programu sieciowizyjnego. Nie zwracałem sobie nawet głowy

wyciąganiem OTI, żeby wysłać jej wiadomość. Znajdowała się w Grupie Zadaniowej Fioletowej, zbyt daleko od nas, by udało nam się nawiązać łączność bliskiego zasięgu, a poza tym i tak nie miałyby kiedy przeczytać, ponieważ sama właśnie szykowałą się do stanu pełnej gotowości bojowej. Wiedziałem jednak, że myślała teraz o mnie, tak samo jak ja myślałem o niej, i nie potrzebowaliśmy do tego żadnych talizmanów.

Opuściłem kajutę i przeszedłem do części wspólnej, gdzie większość naszego pododdziału zebrała się już w pancerzach. Wciąż dziwnie mi było patrzeć na kanciaste skorupy ZCR z cętkowanym kamuflażem wśród wzorów Floty i PK. Przez kilka lat widywałem ten motyw wyłącznie przez optykę celowniczą karabinu. Dmitrij spojrział na mnie i powiedział coś do swoich towarzyszy, którzy zachichotali.

– Wiem, wiem – powiedziałem, gdy zbliżyłem się do nich. – Wielki imperialistyczny insekt.

– Nie, nie. To świetny pancerz. Wyglądasz w nim jak straszliwy, silny wojownik. Bardzo groźny.

– Zaczekaj tylko, aż znajdziemy się na powierzchni – rzekłem, powstrzymując się przed zademonstrowaniem tu i teraz funkcji kamuflażu polichromatycznego. Kiedyś użycie tych skorup było mocno ograniczone – nie wolno nam było nawet zabierać ich na misje przeciwko osiedlom ZCR, ponieważ Chino-Rosjanie mogliby pojmać kogoś z nas i odtworzyć taki pancerz za pomocą inżynierii odwrotnej – tak więc Dmitrij i jego kompani nie mieli pojęcia, co ten superdrogi i brzydki jak karaluch przyrodziewek potrafił działać na polu bitwy.

Wśród dziesięciu osób z WPA należących do naszego

pododdziału tylko ja miałem na sobie BPP. Sierżant z kosmicznych ratowników włożył standardowy pancerz bojowy Floty, a ludzie z rozpoznania PK używali własnego typu skorup. Europejski porucznik wyróżniał się równie mocno jak żołnierze ZCR. Jego osłona wyglądała na lżejszą i bardziej elastyczną niż nasza albo chińsko-rosyjska, a hełm wydawał się maleńki w porównaniu z tymi wielkimi i kanciastymi, które marines z ZCR ściskali pod pachami.

Otworzył się właz i do środka wkroczył major Masoud.

– Baczość! – zawołałem i wszyscy stanęli w postawie zasadniczej.

Major skinął nieznacznie głową.

– Spocznij – polecił. Rozejrzał się po niewielkiej grupie żołnierzy sił specjalnych oraz specjalistów, po czym, jak to on, uśmiechnął się lekko. – Wolałbym mieć do tego zadania dziesięć razy więcej ludzi. Wiem jednak, że sobie poradzicie. Wydanie broni i kontrola pancerzy w zbrojowni o ósmej zero zero. A później do Krainy Kapsuł. Jeśli ktoś musi jeszcze coś załatwić albo wysłać ostatnie wiadomości, teraz jest na to chwila.

---

Zebraliśmy się, żeby pobrać wyposażenie przed misją. Zdziwiłem się, że w pokładowej zbrojowni „Falangi” znajdowało się uzbrojenie ZCR, ale gdy Dmitrij i jego towarzysze podeszli do okienka, otrzymali własne standardowe karabiny, nie nasze ciężkie przeciwdryblasowe M-90 lub M-95. Ich modele miały sporo wspólnego z naszymi – w końcu przy ich projektowaniu wykorzystaliśmy część chińsko-rosyjskich rozwiązań projektowych i funkcjonalnych – lecz amunicja nie była

wymienna i sądziłem, że wydadzą im naszą broń, by uprościć proces uzupełniania naboju.

Kiedy nadeszła moja kolej, z przyzwyczajenia wziąłem pistolet, choć maleńkie fleszety z M-109 były bezużyteczne przeciwko obcym. Następnie podano mi automatyczny karabin M-95, wyglądający na tak nowy, że zapewne wciąż miał na sobie fabryczny smar. Podłączyłem go do skorupy, żeby komputery w broni i BPP porozumiały się ze sobą. Na przeciwległej grodzi zbrojowni znajdował się cel kalibracyjny i po kolei dostrajaliśmy dzięki niemu automaty. Wizjer mojego hełmu wyświetlił krzyżyk celowniczy i odczytał wartość z lasera umieszczonego wzdłuż lufy. System w pancerzu potrzebował tylko kilku sekund, żeby przeliczyć trajektorię balistyczną od strzału z przyłożenia do dystansu tysiąc metrów, przy uwzględnieniu grawitacji oraz atmosfery Marsa.

Gdy kończyliśmy pobierać sprzęt i wypełniać ładownice zapasowymi magazynkami, nad naszymi głowami znów odezwał się radiowęzeł.

– Do wszystkich, mówi pułkownik Yamin.

Zatrzymaliśmy się, żeby skupić się na słowach szyper „Falangi”.

– Dotarliśmy na skraj obszaru działań bojowych wraz z resztą Grupy Zadaniowej Czerwonej. Mars jest niedaleko, mamy pierwszych Dryblasów w zasięgu Orionów i wkrótce staniemy do walki. Ten okręt nie po raz pierwszy występuje przeciwko obcym, a niewiele jednostek Floty może się poszczycić czymś takim. W pełni wierzę, że nasza jednostka i jej załoga wykonają przydzieloną misję i że „Falanga” zawiezie nas z powrotem do

domu.

Pułkownik Yamin przerwała na chwilę. W zbrojowni panowała niemal absolutna cisza, nieznacznie zakłócał ją tylko delikatny szmer opóźnionego tłumaczenia ze słuchawek żołnierzy ZCR.

– Otrzymałam rozkaz, żeby przed wyruszeniem do walki przekazać wam wiadomość. W tym momencie każdy okręt naszego zespołu zadaniowego odtwarza podobny komunikat od swojego przywódcy politycznego. Uwaga! Przemówi Prezydent Wspólnoty Północnoamerykańskiej.

W głośnikach znów nastąpiła chwilowa cisza, po czym odezwał się nowy głos, który słyszałem już w wiadomościach sieciowizyjnych oraz kilka miesięcy wcześniej na żywo na pokładzie lotniczym OWPA „Regulus” podczas ceremonii pośmiertnego odznaczenia pułkownika Campbella Medalem Honoru. Był to głos kobiety, która w lekki, charakterystyczny dla południowych regionów sposób przeciągała sylaby, co kojarzyło mi się z większością znanych mi pilotów.


– Kobiety i mężczyźni z Korpusu Obronnego Wspólnoty, a także członkowie sił zbrojnych naszych sojuszników – zaczęła.  
– Niezbyt dobrze wychodzą mi przemówienia. Jestem starą pilotką myśliwca i w tym fachu rozmowy zwykły bywać krótkie, chyba że prowadziliśmy je podczas upijania się razem w klubie oficerskim po skończeniu misji. Nie byłabym jednak zbyt dobrym prezydentem, gdybym nie życzyła wam jak najlepiej w imieniu całej reszty tych, którzy nie mają wyjścia i muszą czekać na wynik starcia całkowicie zależący od was. Gdy tak siedzę tu w gabinecie, wiedząc, komu wkrótce stawicie czoła,

i nie mogąc być tam z wami, myślę, że to dla mnie najtrudniejsza chwila, odkąd objęłam stanowisko. Oddałabym niemal wszystko, żeby móc zasiąść znów w kokpicie Dzierzby, wisieć w klamrze dokującej okrętu i czekać na walkę z nieprzyjacielem. I pamiętajcie: wszyscy z was, nieważne, jaką flagę nosicie na pancerzu, walczycie z prawdziwym wrogiem. Idziecie do boju z największym zagrożeniem, jakie kiedykolwiek spotkało nasz gatunek i na które powinniśmy byli przygotowywać się przez minione lata, zamiast zabijać siebie nawzajem. Stoczycie najważniejszą bitwę w historii naszej planety i zawrócicie nas znad krawędzi zagłady. Wszyscy spoglądają dziś w gwiazdy, życząc wam siły, odwagi oraz umiejętności w walce. Dołączam do nich, choć wiem, że i tak już macie pod dostatkiem tych rzeczy. To zaszczyt i przywilej być zwierzchniczką takich sił zbrojnych. Wiem, że dacie nam powód do dumy. Pozwólcie, że jako pilotka samolotu szturmowego dodam jeszcze jedną rzecz. Jeśli to właśnie dziś niektórzy z was trafią na swoje miejsca przy stołach w Walhalli, dopilnujcie, abyście znaleźli się tam z pustymi magazynkami i stertą martwych Dryblasów za waszymi plecami. Dobrych łowów!

Nie wybuchnęliśmy dzikimi wiwatami niczym zebrane naprędce resztki sił oporu w jakimś kiepskim filmie wojskowym w sieciowizji. Zamiast tego jedynie uśmiechnęliśmy się do siebie, a niektórzy pokiwali z aprobatą głowami.

– Świetna robota z tą przemową – oznajmił kosmiczny ratownik obok mnie, wracając do pakowania magazynków.

– Jeśli wrócimy, zagłosuję na nią – odparłem.



Przez ponad rok służby garnizonowej i standardowych dyslokacji z desantowców niemal zapomniałem, jak mała jest biokapsuła. Z zewnątrz wydawała się całkiem spora, ale dużą część jej przestrzeni zajmowały osłony i sabot. Lądownik miał nieregularny kształt, naśladujący naturalne odłamki skalne, ale trzeba było go wystrzelić z wyrzutni na okręcie, tak więc towarzyszył mu sabot, który oddzielał się od kapsuły, gdy tylko ta opuszczała lufę. Ścianki również były dość grube, żeby zdołały wytrzymać gorąco generowane przy wejściu w atmosferę, tak więc rzeczywiste miejsce dla pasażera okazywało się znacznie mniejsze, niż sugerowałyby zewnętrzne wymiary. Zawsze gdy podchodziłem do otwartej biokapsuły przed zrzutem, nieprzyjemnie kojarzyła mi się ona z trumną.

Kraina Kapsuł była tą częścią okrętu, gdzie przygotowywano i ładowano biolądowniki przed wystrzeleniem. Zajmowała niewielką przestrzeń tuż za magazynem, z którego pokładowa artyleria automatycznie pobierała amunicję. Krążowniki takie jak „Falanga” dysponowały grzbietowymi wyrzutniami rakiet jądrowych, te jednak ograniczały się tylko do jednego typu rakiet. Pociski okręt-okręt oraz okręt-powierzchnia wypuszczono ze środkowej części kadłuba, a oficer do spraw walki powietrznej, działający z BCI, mógł wybrać dowolny z sześciu rodzajów rakiet, które ładowały się bez udziału personelu. W przypadku tej misji szesnaście wyrzutni wypluje z siebie pełną salwę biokapsuł, każdą z jednym z nas na pokładzie.

Umieściliśmy wewnątrz nasz sprzęt i zabezpieczyliśmy go. Na desantowcach było więcej miejsca na ekwipunek, ale przy



transporcie w kapsule mogłem zabrać ze sobą jedynie pobrany niedawno karabin, konsolę kontrolera walki oraz bardzo małą torbę z kilkoma zapasowymi ogniwami energetycznymi do konsoli. Cała reszta potrzebnych mi rzeczy była już przymocowana do pancerza lub wręcz w nim schowana. Gdy skończyłem mocować graty, podszedł technik specjalista i jeszcze raz sprawdził wszystkie zaczepy oraz rozłożenie ładunku.

– Może pan lecieć, poruczniku – powiedział, kiedy skończył. – Powodzenia i z Bogiem.

Moja kapsuła znajdowała się jako pierwsza od bakburty. Tuż za mną Dmitrij kończył pakować ekwipunek i podoficer również go sprawdzał, upewniając się, czy nic nie jest luźno albo nie grozi zepchnięciem lądownika z trajektorii. Na sterburcie oraz bakburcie umieszczono po osiem biokapsuł i wszyscy Rosjanie znaleźli się po mojej stronie, wraz z sierżantem z kosmicznych ratowników oraz łącznikiem z Eurokorpusu. Sterburte całkowicie zajęły dwie drużyny rozpoznania PK.

Przeszedłem na tył Krainy Kapsuł i zająłem jedno z rozkładanych siedzeń na grodzi. Wciskaliśmy się do środka dopiero w ostatniej chwili, ponieważ nie chcieliśmy zbyt wcześnie naruszać zapasu tlenu w pancerzach, tak więc czas do zapalenia zielonego światła spędzaliśmy bliżej siebie niż w module mieszkalnym. Pozostali kapsle po kolei kończyli proces sprawdzania sprzętu i dołączali do mnie. Uświadomiłem sobie, że nigdy nie desantowałem się z nikim z tej grupy z wyjątkiem Dmitrija. Żałowałem, że nie mam tu starych znajomych: Philbricka, Humphrey, Neza czy Macfee, również

kontrolera walki, który od czasu klęski na Syriuszu A wciąż był wymieniany jako zaginiony w akcji, choć nie było większych wątpliwości, że wszyscy, których tam zostawiliśmy, już nie żyli. A jednak teraz jedyna znajoma twarz nie należała do dawnego kompana z PK lub Floty, lecz do podoficera, który jeszcze niedawno był moim wrogiem.

– Uwaga: wystrzelenie rakiet Orion za trzydzieści minut – dobiegło z radiowężła. – Faza pierwsza rozpoczyna się za trzydzieści minut. Czekać przy kapsułach.

Nałożyłem hełm i uruchomiłem monokl informacyjny. Następnie włączyłem komputer w pancerzu i pozwoliłem mu połączyć się z siecią neuronową „Falangi”. Jako kontroler walki dysponowałem zwiększonym poziomem dostępu do systemów pokładowych, wystarczającym do tego, żebym mógł przynajmniej rozejrzeć się po okolicy krążownika. Wykorzystywanie tych uprawnień, gdy wciąż pozostawałem na okręcie, nie do końca było sprzeczne z przepisami, ale też raczej do tego nie zachęcano. Nie cierpiałem jednak pozostawać w stanie sytuacyjnej ślepoty i wgapiać się jedynie we włązy automatycznych ładownic, gdy niedługo miała rozpocząć się bitwa, pozwoliłem więc pancerzowi nawiązać do końca połączenie i wyświetliłem sobie diagram taktyczny z holostolu w BCI.

„Falanga” znajdowała się na czele formacji sześciu okrętów. W środku leciał OWPA „Polaris”, jeden z nielicznych pozostałych nam superlotniskowców i oczywista chluba naszej grupy zadaniowej. Blisko od sterburty ochraniał go krążownik „Kirow” z ZCR. Od bakburty kroku dotrzymywała mu fregata „Westfalen”

z Eurokorpusu, a kawalek za lotniskowcem ciągnął niszczyciel „Yinchuan” z ZCR. Tyły zamykał znajomy numer boczny: AOE-1, czyli OWPA „Portsmouth”, największy statek zaopatrzeniowy Floty, który przed niemal dwoma miesiącami służył nam za mobilną bazę podczas misji w systemie Leonidas. Przełączyłem się na kamerę zewnętrzną na rufie „Polaris” i zauważyłem, że zaopatrzeniowiec wciąż ma na sobie nierówny, gruzłowaty czarny lakier, którym pomalowano go w stoczni sił specjalnych przed wyruszeniem na tajną misję. Od czasu ewakuacji połączonej floty z Nowego Svalbardu nie widziałem większej siły uderzeniowej w ramach grupy zadaniowej i niemal nie potrafiłem uwierzyć, że jeszcze siedem formacji o zbliżonym składzie przemieszcza się wraz z nami w kierunku Marsa.

Nie mając nic lepszego do roboty, obserwowałem diagram, na którym nasze małe skupisko niebieskich oraz zielonych ikon z każdą minutą podpełzało bliżej Marsa. Oficer taktyczny z BCI przechodził po kolei przez różne stopnie powiększenia, by prezentować szyprowi informacje w większej skali. Zespół zadaniowy podzielił się zgrabnie na grupy, które czekały w porządku operacyjnym, rozproszone na obszarze pięciuset kilometrów. Był to oszałamiający pokaz mocy bojowej, ale pamiętałem desperackie przejście „Indy’ego” wokół Marsa w zeszłym roku i liczbę dryfujących tam w przestrzeni wielkich wraków, przez którą przemykaliśmy pełnym ciągiem z Dryblasami na ogonie. Jak na tak okazałą armadę, panowała niesamowita cisza w eterze. Nie słyszałem pogawędek, które zwykle towarzyszyły manewrom. Obcy potrafili wykrywać aktywne promieniowanie, zatem od momentu opuszczenia

punktu zgrupowania sunęliśmy ze ściśle ograniczoną łącznością.

– Wystrzelenie rakiet Orion za piętnaście minut. Czekać na ostateczną informację o celach ze strony WO.

Naszym WO, czyli wysuniętym obserwatorem, był OWPA „Cincinnati”, stacjonujący kilkadziesiąt tysięcy kilometrów przed nami i sprawiający wrażenie czarnej dziury w przestrzeni. Wykorzystywał swoje potężne matryce optyczne, aby pilnować położenia okrętów nasiennych w okolicy Marsa. Oriony potrzebowały trochę czasu, żeby osiągnąć prędkość pozwalającą na niszczenie jednostek obcych, musieliśmy więc odpalić je ze znacznie większej odległości niż zasięg sensorów pasywnych naszego zespołu zadaniowego, skoro jednak „Cincy” mógł nam przesyłać aktualne namiary, będzie tak, jakbyśmy rzeczywiście widzieli cele. I po raz pierwszy to my robiliśmy zasadzkę na wrogów, to my inicjowaliśmy atak, zamiast reagować na ich natarcie.

Minutę czy dwie później nadeszły nowe dane obserwacyjne i wyświetlacz taktyczny zaktualizował się o bieżące pozycje każdego okrętu Dryblasów między nami a Marsem. Serce zgubiło mi jedno uderzenie, gdy dostrzegłem wyskakujące równocześnie pomarańczowe ikonki. Znajdowaliśmy się daleko poza zasięgiem ognia nieprzyjaciela, ale widok jego barw na ekranie sytuacyjnym będzie wzbudzać we mnie niepokój aż do śmierci, nawet jeśli wygramy to starcie i dożyję stu dziesięciu lat.

Holowniki Orionów szły na czele naszej formacji w falistym szyku. Jeden po drugim odczepiały swoje wyrzutnie, po czym skręcały i odwracały ciąg. Gdy rakiety odpalą silniki, zaczną

wystrzeliwać z tyłu ładunki jądrowe i detonować je na płytach umieszczonych na swoich rufach w tempie jedna na sekundę, więc żaden szyper nie chciał przebywać w pobliżu, gdy tuż obok eksplodowały stukilotonowe głowice bojowe. Oriony były niebezpieczne, toporne i nieporęczne, zbyt duże, by dało się je zainstalować na jakiegokolwiek jednostce, i zagrażały wszystkiemu mniejszemu niż planetoida na swojej drodze, jeśli nie trafiły w cel. Stanowiły jednak naszą jedyną szansę w tej kluczowej pierwszej salwie, pozwalały bowiem zniszczyć za jednym zamachem jak najwięcej okrętów nasiennych, zanim obcy uświadomią sobie naszą obecność i zaczną się rozpraszać.

– Wystrzelenie Orionów za pięć minut. Do wszystkich: usunąć się z obszaru wybuchów wylotowych. Obowiązuje procedura ochrony pierwszego poziomu przed promieniowaniem.

Każdy wrogi okręt znajdujący się w zasięgu miał na wyświetlaczu taktycznym nałożone dwa znaczniki celów. Zamierzaliśmy odpalić po dwa Oriony w każdy z nich, żeby wyeliminować ryzyko chybienia albo usterki rakiety. Zerknąłem na trajektorie i zorientowałem się, że wiele pocisków dotrze niebezpiecznie blisko planety, jeśli nie trafi. Próbowałem dokonać obliczeń, co ważący dziesięć tysięcy ton blok pykretu zrobi z powierzchnią Marsa, jeśli uderzy z prędkością kilku tysięcy kilometrów na sekundę, i uznałem, że wolę teraz o tym nie myśleć. Mieliśmy jedną szansę i jeśli nam się nie uda, utracimy Czerwoną Planetę na zawsze.

Kilkaset kilometrów przed nami czternaście podwójnych wyrzutni ustawiało się na cele za pomocą krótkich ciągów z pędników manewrowych. Każda z rakiet dorównywała

długością dużemu okrętowi. Były niczym ciężkie młoty służące do rozbijania jednostek niewrażliwych na jakąkolwiek inną broń, którą próbowaliśmy zastosować przeciwko nim.

– Wystrzelenie Orionów za dwie minuty. Przystawianie baterii na sterowanie sieciowe. Pociski odbezpieczone.

Ktoś w BCI uznał, że cała załoga powinna znać bieżący status wydarzeń, i przełączył rozmowy z Bojowego Centrum Informacyjnego na ogólny system radiowęzła. Szyper nie komentowała planowanej salwy, ale wszyscy wiedzieliśmy, co się zaraz stanie. Zamierzaliśmy grzmotnąć gniazdo szerszeni największym kijem, jakim dysponowaliśmy, i jeśli nie uda nam się zlikwidować floty obcych jednym uderzeniem, ocalali wrogowie zaraz się na nas rzucą. Miałem wrażenie, że powinienem odczuwać większy strach, ale z jakiegoś powodu świadomość, że to my zadajemy pierwszy cios, wprowadzała mnie w większe podniecenie i niecierpliwość niż grozę.

– Wystrzelenie Orionów za trzydzieści sekund. Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia siedem...

Spojrzałem na pozostałych członków mojego zespołu. Większość z nich patrzyła na przednią gródź, zupełnie jakby znajdował się tam holoe ekran pokazujący walkę bokserską w randze mistrzowskiej. Dmitrij dostrzegł mój wzrok, uśmiechnął się przelotnie i pokazał uniesiony kciuk, ale widziałem, że nawet ten opanowany zwykle Rosjanin był równie nerwowy, jak reszta. Jeśli rakiety wykonają swoje zadanie, za trzydzieści minut wsiądziemy do kapsuł i polecimy na powierzchnię Marsa. A jeśli nie, to albo dziś zginiemy na tym okręcie, albo też wkrótce będziemy oglądać koniec naszej

cywilizacji. Tak czy owak, gdy tylko Oriony zostaną wystrzelone, sytuacja znajdzie się zupełnie poza naszą kontrolą.

– Dziesięć sekund. Dziewięć. Osiem. Siedem. Sześć...

Wziąłem głęboki, drżący oddech i znów skoncentrowałem się na wyświetlaczu, ponieważ nic innego nie mogłem zrobić.

– Trzy. Dwa. Jeden. Odpalenie.

Na ekranie ponad dwadzieścia niebieskich ikon w kształcie liter V pojawiło się nagle przed naszą formacją. Włączyłem widok z kamery ustawionej na przynajmniej kilka wyrzutni. Z tej odległości nie widziałem zbyt wielu szczegółów, ale wyraźnie dostrzegałem dwa ogromne pociski odchodzące powoli od podwójnego stanowiska strzeleckiego. I nagle pojawił się blask niczym mała gwiazda, który zalał cały obraz, choć automatycznie włączyły się filtry ściemniające.

– Rakiety w drodze, rakiety w drodze – poinformował oficer taktyczny. – Oddzielenie i start na Orionach od osiemdziesiąt dwa do osiemdziesiąt sześć, od osiemdziesiąt osiem do dziewięćdziesiąt dwa oraz od dziewięćdziesiąt cztery do sto dziewięć. Błąd startu wyrzutni osiemdziesiąt siedem i dziewięćdziesiąt trzy. Powtarzam: mamy dwa niewypały.

Pykretowe pociski przyspieszały w takim tempie, że linia symboli w jednej chwili była widoczna, a w następnej już zniknęła. Ładunki jądrowe wybuchające za nimi co sekundę wpompowywały większość swej energii w płyty umocowane z tyłu, dzięki czemu rakiety sunęły z taką akceleracją, że nawet przy uruchomionym systemie antygravitacyjnym z ludzkiej załogi zrobiłoby się mielone.

– Piętnaście minut do celu – oznajmiło BCI. – Pancerniki

przechodzą na stanowiska wspomagające.

Dwie ikony reprezentujące ogromne pancerniki, jedna niebieska, druga zielona, zaczęły poruszać się szybciej przez środek naszej formacji, podążając za Orionami z prędkością flankującą. Były znacznie wolniejsze od pocisków, ale nie zamierzały wcale ich doganiać – przyleciały tu, aby zlikwidować okręty nasienne, które przetrwają uderzenie, zanim te zdołają zagrozić flocie inwazyjnej atakiem odwetowym. Obserwowałem, jak symbole podpisane „AGINCOURT” i „ARCHANGIELSK” przedzierają się przez skupisko zespołu zadaniowego, utrzymując między sobą odstęp dwudziestu kilometrów. Wciąż nie znałem dokładnego ich uzbrojenia, ale wiedziałem, że „Aggie” i „Archie”, jak marynarze nazwali je jakieś dziesięć sekund po oficjalnym mianowaniu, miały na pokładach ogromne działa cząsteczkowe, zainstalowane wzdłuż osi podłużnej. Widziałem tę broń w działaniu, gdy testowano ją na strzelnicy Floty na kilku zdezelowanych wrakach, i na bliski zasięg jej efekty były druzgoczące. Problem leżał jednak w odległości, co oznaczało, że musiały podejść na tyle blisko okrętów nasiennych, że znajdą się również w ich polu rażenia, a z tego, co widziałem półtora miesiąca wcześniej w trakcie prób, nie wyeliminowano jeszcze wszystkich usterek, łagodnie mówiąc.

Obok mnie Dmitrij wstał i przeciągnął najpierw grzbiet, a potem ramiona.

– Czekanie to nie jest coś, co lubię – powiedział. – Może na jedzenie. Na lekarza od zębów. Ale nie na walkę.

– Mam tak samo – odparłem.



Rosjanin sięgnął do kieszeni na dokumenty osobiste, wyciągnął plastikową saszetkę i wyjął z niej zdjęcie. Rozpoznałem fotografię. Pokazywał mi ją rok wcześniej podczas podróży powrotnej na Ziemię na pokładzie „Indianapolis”. Przedstawiało jego męża Maksima, uśmiechniętego gościa o szerokiej twarzy w mundurze marines ZCR, o jaszczurczym wzorze kamuflażu, oraz w podkoszulku z granatowo-białymi paskami. Dmitrij spoglądał przez chwilę na fotografię, a następnie pocałował dwa palce prawej rękawicy i delikatnie dotknął nimi kartonika. Poczulem się trochę jak podglądacz, ale jemu to chyba nie przeszkadzało. Popatrzył na mnie.

– Twoja żona, pilotka. To dobra kobieta.

– Owszem – zgodziłem się.

– Gdy ta bitwa się skończy, może usiądziemy razem na drinka. Ty, ja, Maksim, Halley. Wypijemy dużo wódki, opowiemy wiele historii wojennych, niektórych może nawet prawdziwych.

– Tak zrobimy – odrzekłem. – Ale chyba nie trzeba będzie dużo czasu, żebym, pijąc z tobą, zwałił się pod stół.

– To nie rywalizacja – powiedział. – Wzniesiemy toasty za przyjaźń i za pamięć. Może też za to, żeby zapomnieć.

Uśmiechnął się krzywo.

Popatrzyłem na rosyjskiego marine, na tego przyjaznego, szczerego, fachowego człowieka, i pomyślałem o wszystkich niebezpieczeństwach, przez które razem przeszliśmy, choć znaliśmy się przecież krótko. Być może kiedyś, na jakimś kolonialnym księżycu, stawiałem mu czoła w walce. Być może zabił jakichś moich podkomendnych lub ja zabiłem jakichś jego. Znów uderzyło mnie, jak bardzo byliśmy do siebie podobni,

w ogóle jak podobni byli do siebie żołnierze z obu systemów politycznych, i wiedziałem, że gdy skończy się ta wojna, nie będę już chciał walczyć z nim i jego towarzyszami o jakieś kretyńskie bzdury, które mogłoby rozstrzygnąć w jeden wieczór przy stole po kilku trepów z każdej strony oraz parę butelek pomiędzy nimi.

## Rozdział 12

# Wykopywanie drzwi z zawiasów

olejnych piętnaście minut okazało się najdłuższymi w moim  
**K**życiu. Holostól z BCI pokazywał mapę taktyczną w skali strategicznej, żeby dało się widzieć zarówno zespół zadaniowy, jak i armadę Dryblasów, a także dwadzieścia dwa symbole V pędzące od strony naszego skupiska niebieskich i zielonych ikonk do grupy pomarańczowych. Daleko przed nami, tak blisko floty obcych, że w tej skali znaczki niemal się stykały, znajdował się samotny niebieski emblemat podpisany „CINCINNATI OOB-2”. „Cincy” pozostawał na pozycji wysuniętego obserwatora, wciąż w trybie niewidzialności, i śledził nieprzyjaciela matrycą optyczną, przekazując namiary Orionom. Jak dotąd wypuszczaliśmy pykretowe pociski wyłącznie w kierunku okrętów nasiennych zbliżających się do Ziemi z wielką szybkością i taki ogień był znacznie trudniejszy niż salwa do jednostek patrolujących, praktycznie nieruchomych w stosunku do Orionów pędzących z jedną dwudziestą prędkości światła.

Przez wszystkie te lata tyle razy dostaliśmy od was bęcki, gnoje, pomyślałem. Zobaczmy, jak wam się spodoba nasz cios zadany z zaskoczenia.

Na ekranie niebieskie ikony były coraz bliżej

pomarańczowych. Powiększenie wyświetlacza oznaczało, że bańka sytuacyjna mierzyła pół miliona kilometrów średnicy, ale nigdy nie widziałem nic, co pozerałoby dystans szybciej niż nasze rakiety, a ich jądrowy napęd pulsacyjny z każdą chwilą jeszcze bardziej je rozpędzał. Piętnaście minut oczekiwania przemieniło się w dziesięć, później pięć i dwie.

– Jedna minuta do kontaktu – obwieściło BCI.

Z każdą mijającą sekundą spodziewałem się, że pomarańczowe symbole na skraju naszego zakresu nagle zauważą zbliżające się zagrożenie, zaczną się rozpraszać i szybko zmieniać kurs, niwecząc tym samym wprowadzone parametry celu. W jakikolwiek jednak sposób Dryblaszy monitorowali przestrzeń wokół swych jednostek, wykrywanie pocisków pędzących ku nim piętnaście tysięcy kilometrów na sekundę, bo właśnie tyle miały pokonywać Oriony w ostatniej minucie lotu, nie wydawało się leżeć w zakresie ich możliwości. Okręty nasienne kontynuowały niemrawy wzorzec patrolowy, nieświadome całej energii kinetycznej mknącej w ich kierunku.

– Uderzenie Klucza Jeden za dziesięć sekund. Dziewięć. Osiem. Siedem. Sześć. Pięć.

Potrzebowałem całej samokontroli, żeby zostać na miejscu, a nie zerwać się i zacząć nerwowo przemierzać pokład.

– Trzy. Dwa. Jeden. Kontakt.

Ponad dwadzieścia niebieskich V jedno po drugim zlało się ze skupiskiem pomarańczowych ikon i nagle wyświetlacz taktyczny przestał aktualizować ich pozycję.

– „Cincinnati” stracił kontakt wizualny. WO donosi o licznych uderzeniach z wysoką energią. Czekać na ocenę skuteczności

salwy.

Minęło kilka minut, gdy matryce sensoryczne na „Cincym” oraz najbardziej wysuniętych okrętach naszej formacji próbowały odzyskać obraz sytuacji taktycznej. Głowice kinetyczne były jedynie wielkimi blokami pykretu, czyli lodu wymieszanego z pulpą drzewną, twardszego niż beton i znacznie mniej kruchego niż czysty lód, jednak w momencie trafienia wyzwalaly całą swą energie, rzędu miliardów dzuli.

– Odbieram właśnie nowe dane od WO – oznajmił oficer z BCI.

Niebieskie ikony rakiet zniknęły z ekranu, podobnie jak większość pomarańczowych symboli okrętów obcych. Trzy rakiety znajdowały się na samym skraju diagramu, pędziły w stronę Marsa.

– Liczne zderzenia – poinformował oficer głosem, w którym z początku pobrzmiwało zdumienie, a następnie radość. – WO donosi o trafieniach w dziesięć jednostek nieprzyjaciela. Wielokrotne naruszenia kadłubów. Przesyła właśnie obraz.

Bez zwłoki przełączyłem się na strumień z kamery „Cincinnati”, który dotarł zaledwie minutę później. Przestrzeń w pobliżu orbity Marsa była zasłana okrętami Dryblasów, które najwyraźniej odniosły dewastujące uszkodzenia. W kilku brakowało całych przednich sekcji i sypały elementami kadłubów, dryfując przez kosmos przy widocznym braku sterowania. Dwie jednostki zostały rozerwane na połówki, które przy tym powiększeniu odsuwały się od siebie powoli, a między nimi unosiły się obłoki mniejszych szczątków.

– Nastąpiły silne uderzenia w powierzchnię planety – powiedział ktoś inny w BCI. – Trzy chybienia w nieprzyjaciół.

Jeden pocisk spłonął w górnych warstwach atmosfery. Dwa trafiły w grunt w pobliżu równika, w odległości pięciuset pięćdziesięciu kilometrów od siebie. Grzyb termalny klasy megatonowej.

– Auć – skomentował blisko ktoś z mojej grupy. Trzy bezcenne Oriony nie trafiły w cele i dwa z nich grzmotnęły w Marsa z niemal pełną prędkością, tylko minimalnie spowolnione tarciami o atmosferę. Zacząłem żarliwie życzyć sobie, aby wpadły w osiedla obcych, a nie w bunkier, w którym skryli się ocalali ludzie.

– Dwa kolejne chybienia – ciągnął głos z BCI. – Oriony dziewięćdziesiąt i dziewięćdziesiąt dziewięć poszły bokiem. Samozniszczenie za sto siedemnaście minut.

Te kolejne dwie rakiety, które nie trafiły w przydzielone im cele, leciały w rozciągającą się za Marsem przestrzeń. Każda zmarnowała głowice jądrowe niskiej mocy z ograniczonych ziemskich zasobów. Większość pocisków wykonała jednak swoje zadanie. W BCI nastąpiło kilka minut napięcia i kontrolowanego zamieszania, gdy sensory z okrętów zespołu zadaniowego oraz obserwacyjnego próbowały rozeznaczyć się w optycznym, termalnym i radiacyjnym śmietniku, który pojawił się w tym sektorze, gdzie właśnie wyzwoliliśmy energię zdolną do zniszczenia planetoidy. I nagle przez szum przedarła się transmisja z „Cincy’ego”, a wyświetlacz taktyczny się zaktualizował.

– Unieszkodliwionych dziesięć – obwieścił oficer, nawet nie próbując ukrywać zachwyty w głosie. – Mamy dziesięć potwierdzonych zniszczeń okrętów nasiennych.

Wokół mnie rozległy się wiwaty – nie tylko w Krainie Kapsuła, lecz również w sąsiednich sekcjach, tak głośne, że dało się je słyszeć przez grodzie. W jedną sekundę zniszczyliśmy więcej Dryblasów – zarówno okrętów, jak i istot – niż w całej toczony dotychczas z nimi wojnie.

– Puk, puk, skurwysyny! – zawołał sierżant z kosmicznych ratowników, podnosząc pięść.

– Pancerniki przechodzą do sektora Delta Pięć-Siedem celem przechwycenia – donosił oficer taktyczny z BCI.

Zobaczyłem dwa kolosy przyspieszające na ekranie w stronę wyznaczonych współrzędnych, zwiększające ciąg silników fuzyjnych, aby zająć wroga z flanki.

– Kontakt – ostrzegło BCI. – Dwóch nieprzyjaciół zbliża się z kierunku dwadzieścia na minus trzynaście oraz trzydzieści pięć na plus trzydzieści. Oznaczenia Lima Jedenaście i Lima Dwanaście. WO informuje, że widzą obu.

Ocalałe dwie wrogie jednostki znajdowały się w ruchu, ale wyraźnie nie wiedziały, na co polują. Odchodziły od Marsa, przyspieszając po drodze i co kilka minut zmieniając lekko kurs. „Cincinnati” znajdował się znacznie bliżej nich niż reszta naszej armady i mały OOB niezmordowanie utrzymywał Dryblasów w obiektach, przekazując bezcenne dane celownicze reszcie naszego zespołu. Sam nie miałby żadnych szans w starciu z tymi behemotami, ale co innego pancerniki, które dzięki niemu mogły zaplanować idealne trajektorie przechwytyjące.

Pancernikom i okrętom nasiennym bardzo daleko było do szalonego przyspieszenia, jakie wcześniej osiągnęły Oriony. Niebieskie ikony pełzły na wyświetlaczu, z każdą minutą

zmniejszając dystans. Wciąż rozglądałem się po obrzeżu naszego pola widzenia w poszukiwaniu kolejnych jednostek obcych, spodziewając się, że znikąd wyskoczy skupisko pomarańczowych symboli i skieruje się na zespół zadaniowy, aby zamknąć pułapkę, którą zastawił na nas wróg. Jednak na ekranie widać było wyłącznie ciasne skupisko niebieskich ikon w środku, dwa pomarańczowe romboidy na skraju oraz między nimi dwa symbole przedstawiające nasze pancerniki. Dysponowały przewagą przyspieszenia nad nieprzyjacielem i otrzymywały dane namiarowe od „Cincinnati”. Dawniej byliśmy zaskakiwani w każdym starciu, ponieważ dostrzegaliśmy przeciwnika, dopiero gdy był już niemal w zasięgu broni pokładowej, lecz teraz sytuacja się odwróciła. Z trajektorii na diagramie widać było wyraźnie, że ocalałe jednostki obcych nie znały naszego położenia i nie wiedziały, że zbliżają się ku nim nasze okręty po kursie przechwytyjącym.

„Agincourt” sunął na czele, pięćset kilometrów z przodu, i pierwszy osiągnął pozycję do ataku.

– Lima Dwanaście idzie kursem prostopadłym z kierunku dwieście dziewięćdziesiąt, prędkość sześćset metrów na sekundę i zwiększa się. Odległość od celu dwanaście tysięcy kilometrów. „Agincourt” sygnalizuje, że ma możliwość oddania strzału.

– „Agincourt”, strzelać bez rozkazu, strzelać bez rozkazu. Rozwalcie gnoja – w tle strumienia audio z BCI rozległo się polecenie.

– Potwierdzam strzał bez rozkazu – nadeszła odpowiedź z „Aggiego”, równie stłumiona i cicha. – Reaktor na ciąg impulsowy. Odległość dziesięć tysięcy kilometrów. Stanowisko



Alfa, piętnaście w salwie, ogień dla efektu.

Wyglądało na to, że w ostatniej chwili okręt nasienny wyczuł obecność przeciwnika w swojej okolicy. Na diagramie taktycznym Lima Dwanaście zaczął zmieniać kurs w stronę nadciągających pancerników, korekta odbywała się jednak zbyt powoli i zbyt późno, a ładunki z działa cząsteczkowego pokonywały taki zasięg w zasadzie błyskawicznie.

– Wystrzał z Alfy za trzy, dwa, jeden. Wystrzał.

Przełączyłem się na obraz z „Cincinnati” w tej samej chwili, gdy ładunek z działa cząsteczkowego uderzył w kadłub Dryblasa. „Cincy” znajdował się pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od miejsca zdarzenia, ale miał tak dobre kamery, że wyraźnie widziałem wydłużony, organiczny kształt okrętu na czarnym tle przestrzeni. I nagle pole widzenia zalał jaskrawy biały blask. Gdy przygasł na tyle, żebym znowu mógł coś dostrzec, w miejscu, w którym przed chwilą przechodziła z prędkością kilkuset metrów na sekundę jednostka obcych, znajdowała się jedynie rozszerzająca się chmura rozgrzanego do ogromnej temperatury gazu.

– Cel zniszczony! – zawołał w BCI oficer taktyczny i znów podniosły się wiwaty.

– Oż kurwa jebana mać – wymruczałem. Działo cząsteczkowe zamontowane na „Agincourt” dzięki salwie trwającej półtorej sekundy zamieniło właśnie trzykilometrowy okręt nasienny z kadłubem grubości dwudziestu metrów w luźne skupisko atomów.

– Chyba dobrze byłoby zrobić o wiele więcej takich pancerników – rzekł z szerokim uśmiechem Dmitrij.

Na ekranie „Agincourt” skręcił dziobem na bakburkę, żeby nie wpaść w chmurę gorącej plazmy. Działo było bronią bliskiego zasięgu i przy bieżącej prędkości nasz kolos potrzebowałby zaledwie kilka sekund, żeby pokonać dzielącą je odległość.

– Nieprzyjaciel Lima Jedenaście zmienia kurs na przechwytyjący – ostrzegł ktoś inny w BCI. – Zmiana kursu z dwadzieścia na czterdzieści pięć. Idą na „Aggiego”.

Nie miałem pojęcia, czy okręty obcych potrafiły porozumiewać się ze sobą, czy też po prostu drugi nieprzyjaciel nie dostrzegł ogromnej energii, która unicestwiła jego towarzysza, jednak nasza obecność nie była już dla niego zaskoczeniem. Lima Jedenaście, druga ocalała jednostka wroga, wykonywała zwrot i kierowała się w stronę „Agincourt”, który właśnie skręcał, żeby odwrócić ciąg silników fuzyjnych i wyhamować, inaczej poniosłoby go daleko w przestrzeń.

– „Agincourt”, nieprzyjaciel idzie na ciebie z kierunku względnego dwieście sześćdziesiąt sześć na plus trzydzieści pięć.

– Stanowisko Alfa jest nieaktywne – nadał pancernik w odpowiedzi. – Powtarzam, działo cząsteczkowe nie działa. Odsłaniamy baterie działek elektromagnetycznych.

Przypomniały mi się niedawne testy na strzelnicy, kiedy to „Agincourt” stracił całą moc po zaledwie jednokrotnym wystrzale z głównego działła. Broń cząsteczkowa zainstalowana na „Aggiem” i „Archim” była niesłychanie potężna, ale stanowiła owoc nowej technologii umieszczonej w eksperymentalnych, niedokończonych konstrukcjach. Teraz przynajmniej pancernik wciąż dysponował silnikami, jednak wyrzutnie elektromagnetyczne nie dadzą mu wiele w obliczu

zbliżającego się Dryblasa.

Z powodu odwrócenia ciągu oddalający się „Agincourt” stracił przewagę przyspieszenia nad wrogiem. Okręt nasienny podszedł do niego na odległość trzydziestu tysięcy, a następnie dwudziestu tysięcy kilometrów. Zbliżał się niczym rekin, który wyczuł krew w wodzie.

– „Archangielsk” ma możliwość ostrzału nieprzyjaciela Lima Jedenaście – poinformował oficer taktyczny z behemota ZCR doskonałą angielszczyzną, w której słychać było jedynie delikatny ślad chińskiego akcentu.

Drugi pancernik szedł z prędkością flankującą, żeby zmniejszyć dystans celem przechwycenia, zanim wróg dopadnie „Archiego”. Wystarczyło spojrzeć na ekran, by zobaczyć, że skończy się to paskudnie. Działa cząsteczkowe były niesłychanie potężne, ale ich krótki zasięg oznaczał, że pod względem taktycznym nasze kolosy musiały wchodzić w zwarenie w realiach walki w przestrzeni. „Aggie” nie miał czasu na zmianę kursu po dokonaniu ataku, musiał więc wejść w zasięg drugiego okrętu obcych, a „Archangielsk” zamierzał zrobić to samo z konieczności, aby ocalić siostrzaną jednostkę.

– „Archangielsk”, wstrzymaj ogień. „Agincourt” jest zbyt blisko nieprzyjaciela.

Odległość między okrętem nasiennym a „Aggiem” spadła już do pięciu tysięcy kilometrów i zmniejszała się z każdą sekundą. „Agincourt” szedł znów pełnym ciągiem, żeby odwrócić wcześniejszy kurs, a Dryblas musiał już jedynie przyspieszać, aby zdybać go od rufy z przysłowiowymi opuszczonymi spodniami.

Zniszczyliśmy jedenaście okrętów nasiennych, a jednak wciąż możemy przegrać, pomyślałem. Jeśli ostatnia jednostka nieprzyjaciela zdoła zniszczyć lub unieszkodliwić pancerniki, później przejdzie przez całą resztę naszego zespołu zadaniowego jak siekiera przez pasztet sojowy.

Na diagramie „Archangielsk” zmieniał kurs, żeby móc oddać czysty strzał. Kamera „Cincinnati” obejmowała w kadrze zarówno naszą, jak i wrogą jednostkę, pędzące przez przestrzeń po niemal równoległych trajektoriach. Tył „Agincourt” podświetlały płomienie działających na pełnym ciągu silników fuzyjnych.

– Nadlatują pociski – nadał „Aggie”. – Jesteśmy pod ostrzałem.

Przez kilka sekund nie słyszałem nic na kanale, a rozdzielczość obrazu z „Cincy’ego” nie była aż tak dobra, by z tej odległości dostrzec chmurę penetratorów, wyskakujących z burty okrętu nasiennego i mknących przez przestrzeń między obiema jednostkami, ani też obserwować trafień w kadłub pancernika, ale wiedziałem, że nasz kolos był właśnie zasypywany twardymi pociskami, które potrafiły przebić każdy statek z naszej armady. „Agincourt” i jego bliźniak zostały skonstruowane w taki sposób, by znieść podobny atak kinetyczny, ale aż do dzisiaj nie przetestowano ich osłon w bitwie. Gdy „Aggie” znów się odezwał, w tle transmisji słychać było syreny ostrzegawcze.

– Otrzymaliśmy liczne trafienia w kadłub. Penetracje w trzech sektorach, ale płyty pancerza powstrzymały większość pocisków. Napęd wyszedł bez szwanku. Stanowisko Alfa wciąż nieaktywne. Jeśli „Archangielsk” może prowadzić ogień, niech to

robi.

– Dryblas znów zmienia kurs – ostrzegł oficer taktyczny. – Zmniejszają dystans. Chyba zamierzają taranować.

Jeśli okręty zderzą się przy bieżącej prędkości, kadłub Dryblasów, miliony pozostających w ruchu ton, zrobi z „Aggiem” to samo, co niedawno ten zrobił z drugą jednostką obcych. Osłony pancerza nic nie dadzą i „Agincourt” zostanie zmiądzony jak jajko na betonie.

– Gotów do strzału – nadał „Archangielsk”. – „Agincourt”, na mój znak zmień kurs na względne zero na minus dziewięćdziesiąt. Wykonamy potrójną salwę ze stanowiska Alfa.

– Potwierdzam zmianę na względne zero na minus dziewięćdziesiąt na twój znak. Działajcie. I spróbujcie nie chybić – odparł oficer z „Aggiego”.

Wiedziałem, co próbował zrobić „Archie”. Chcieli strącić okręt obcych z rufy „Agincourt” za pomocą ostrzału, który mógł nie posiadać wystarczającej energii, by z miejsca zniszczyć Dryblasa, zatem „Aggie” miałby szansę nie dostać się w pole rażenia. Zamierzaliśmy oddać improwizowane strzały z broni, której do tej pory nie używaliśmy poza strzelnicą, i od ich wyniku zależało życie setek lub tysięcy ludzi.

– Reaktor na ciąg impulsowy. Odległość dwanaście tysięcy kilometrów. Cel namierzony. „Agincourt”, oderwij się za trzy, dwa, jeden. Już.

Sternik „Aggiego” odpalił pędniki grzbietowe. Okręt odsunął się od ścigającego go Dryblasa i wszedł w rotację wzdłuż osi poziomej znacznie szybciej, niż spodziewałbym się po jednostce jego rozmiarów. Odległość do wroga zwiększyła się na chwilę,

jednak ten zaraz zaczął obniżać dziób, by dalej podążać za pancernikiem. Na wyświetlaczu obie ikony niemal się pokrywały. Na obrazie przesyłanym przez „Cincinnati” widziałem, że kadłubów nie dzieli już nawet dziesięć tysięcy kilometrów.

– Stanowisko Alfa, trzy w salwie. Ognia.

Promień cząsteczkowy wydobywający się z głównej broni „Archangielska” nie był widoczny w przestrzeni, co innego jego efekty. Wypuszczona właśnie krótka seria nie unicestwiła momentalnie wroga, jak wcześniej po wystrzale „Agincourt”, ale pojawił się oślepiający błysk promieniowania termicznego, który znów uruchomił filtry obiektywów, a nagle wyzwolenie energii rozerwało nieprzyjaciela mniej więcej w jednej trzeciej. Dwie części wrogiej jednostki dalej leciały naprzód, ciągnąc za sobą strumienie rozgrzanej plazmy i wielkie odrywające się fragmenty. Niektóre szczątki uderzały w „Aggiego” i odbijały się od pancerza, jeden rozpalony kawał trafił w rufę pancernika i w umieszczone tam stanowiska dysz silników fuzyjnych. Dostrzegłem, że jaskrawe płomienie wylotowe zgasły. Dryblas posuwał się dalej trajektorią, na którą wszedł, próbując skręcać za umykającym pancernikiem, ale wyraźnie było widać, że stracił sterowność. Obrócił się wzdłuż osi podłużnej i przekręcił do góry stępką. Zamienił się w bezwładną masę niesioną własnym pędem.

– Cel unieszkodliwiony – nadał „Archangielsk”. – Stanowisko Alfa ładuje się.

– Do wszystkich, tu „Agincourt”. Straciliśmy główny napęd. Reaktory są bezpieczne, ale lecimy siłą inercji.

Gdy obcy dopadli pancernik, ten właśnie odwracał ciąg, aby wytracić przyspieszenie uzyskane podczas natarcia, ale nie wystarczyło to do odwrócenia kursu. Okręt leciał tyłem naprzód, wciąż pokonując ponad tysiąc metrów na sekundę, a szacowana trajektoria wskazywała, że przejdzie obok Marsa i polecą w daleką przestrzeń. Przy uszkodzonym silniku miał już wiecznie podróżować z taką prędkością, a w naszej armadzie nie było holownika, który zdołałby doścignąć ważącego sto pięćdziesiąt tysięcy ton kolosa, a następnie go wyhamować. Jeśli szyper „Aggiego” chciał ocalić swoją załogę, tak naprawdę miał przed sobą tylko jeden wybór i dokonanie go nie zajęło mu dużo czasu.

– Do wszystkich, tu „Agincourt”. Opuszczamy pokład. Powtarzam, opuszczamy pokład w kapsułach. Pozbierajcie nas. Dowódca „Agincourt”, bez odbioru.

– Do ciężkiej cholery! – wrzasnąłem. „Agincourt” i „Archangeielsk” wykonały swoje zadania zgodnie z planem, a mimo to straciliśmy właśnie niezastąpiony zasób, jeden z zaledwie dwóch okrętów w całej flocie, który był w stanie zmierzyć się jeden na jednego z Dryblasem i go zniszczyć. Szyper nie mógł jednak podjąć innej decyzji i ja na jego miejscu zrobiłbym to samo. Gdyby zostali na pokładzie i nie udałoby im się naprawić silników, po kilku godzinach znaleźliby się poza zasięgiem reszty armady i sunęliby przez przestrzeń, dopóki wszyscy na pokładzie nie umarliby z głodu lub braku tlenu. Może zdołamy doścignąć pancernik po zwycięstwie na Marsie i może da się go naprawić, ale załoga musiała opuścić okręt, gdy wciąż znajdowała się w pobliżu, umożliwiając przechwycenie

kapsuł ratunkowych.

– Stanowisko Alfa, dziesięć w salwie, ogień dla efektu.

Dowódca „Archangielska” nie pozostawiał nic przypadkowi. Okręt nasienny, wyraźnie unieszkodliwiony i znacznie mniejszy niż jeszcze kilka minut temu, zniknął teraz z obrazu kamery „Cincinnati”. Jego ikona po prostu zgasła. W transmisji wroga jednostka rozpadła się w jaskrawym błysku, zostawiając po sobie jedynie świecącą chmurę drobnych szczątków, która powiększyła się, po czym zaczęła rozpraszać.

– Cel zniszczony – doniósł „Archangielsk”.

Przez jedno uderzenie serca wszechświat wydawał się stać w miejscu, po czym znów rozległy się wiwaty, tym razem dobiegające nie tylko z sąsiednich części naszego okrętu, lecz również z taktycznego kanału dowództwa armady. Na moim ekranie nie zostały już żadne pomarańczowe ikony, tylko nasze skupisko niebieskich oraz zielonych romboidów, a pomiędzy nami a Marsem widniała jedynie pusta przestrzeń. W niecałą godzinę zlikwidowaliśmy całą flotyllę obcych jednostek strzegących planety. Oczywiście mogły istnieć inne, patrolujące węzły Alcubierre’a albo przemierzające daleką przestrzeń, jak w minionym roku podczas tajnego powrotu „Indy’ego” na Ziemię. Gdziekolwiek jednak się znajdowały, nie powstrzymają nas przed desantowaniem. Drzwi do Marsa nie stanęły jedynie otworem – rozpędziliśmy się, wyskoczyliśmy i wykopaliśmy je z zawiasów.

– Do wszystkich jednostek, do wszystkich jednostek. Plaże są czyste. Powtarzam: plaże są czyste. Rozpocząć fazę drugą. Wykonać plan bitewny Quebec.



Świergot komunikatu z mostka przebił się przez radiowy gwar i odciął nas od grzecznościowego dostępu do komentarza z trwającej bitwy.

– Uwaga, do wszystkich: zahermetyzować skafandry. Powtarzam, do wszystkich: zahermetyzować skafandry. Podchodzimy do pola minowego Dryblasów. Do całej obsady biokapsuł: przygotować się do wystrzelenia.

Światło na przedniej grodzi zmieniło się z czerwonego na zielone. Podniosłem się z rozkładanego siedzenia, zadowolony, że mogę choć przez chwilę rozprostować nogi, zanim będę musiał wcisnąć się do klaustrofobicznego lądownika.

– Nasza kolej – powiedziałem do Dmitrija. – Pamiętaj, będzie jak w symulatorze. Sprzęt leci sam.

– Za długo siedziałem – odparł Rosjanin, przeciągając się ze stęknieniem. – Ale teraz się chyba nie zanudzimy.

Przeprowadziliśmy ostatni test pancerzy i podeszliśmy do naszych transporterów. Obsługa szybkimi, wyćwiczonymi ruchami pomogła nam wgramolić się do ciasnych komór i przypięła. Technik zajmujący się mną podłączył moją skorupę do systemu podtrzymywania życia oraz szyny danych, po czym podniósł kciuk. Odwzajemniłem gest.

– Dajcie im popalić, sir – powiedział, a ja skinąłem głową.

Kapsuła nie miała wjazdu, ponieważ podczas przechodzenia przez atmosferę stanowiłby on wrażliwy punkt dla rozpalonej plazmy. Zamiast tego górna jedna trzecia była oddzielnym elementem, opuszczanym na mechanicznym ramieniu, a następnie mocowanym tytanowymi ryglami od zewnątrz. Dopóki nie znajdę się na powierzchni i nie pociągnę za uchwyt

detonujący ładunki otwierające, będę zamknięty w środku, a lądownik będzie udawał kawałek kosmicznej skały. Stanowiło to niezwykle uciążliwe rozwiązanie, ale mogłem przez chwilę ścierpieć niewygodę, jeśli zmniejszało to prawdopodobieństwo spłonienia w atmosferze lub zniszczenia przez minę Dryblasów. Najbardziej niepokojącym faktem było to, że zupełnie traciłem kontrolę nad swoim losem i zależał on od komputera balistycznego sterującego wyrzutniami grzbietowymi.

Włączyłem znów hełmowy wyświetlacz danych i przełączałem po kolei systemy, żeby upewnić się, czy w ostatniej chwili nie pokaże się jakaś usterka. Odhaczanie po kolei punktów z listy dawało mi jakieś zajęcie, gdy czekałem na załadowanie, jakbym sam był pociskiem. Niektórzy twierdzili, że potrafią się zdrzemnąć podczas startu, ale wiedziałem, że chrzanią bzdury. Wystrzeliwanie w stronę powierzchni planety było czymś nienaturalnym i przypominającym o kruchości ludzkiego ciała oraz o licznych sposobach, które mogą je nieodwracalnie popsuć. Od ponad roku nie brałem udziału w standardowym desancie kapsułowym, ale zupełnie mi tego nie brakowało.

Gdy wieko zamknęło się nade mną, wydało mi się to nieodwracalne. Armada odniosła właśnie największe, zaskakujące zwycięstwo w całej naszej wojskowej historii, ale nie mieliśmy czasu, żeby świętować albo chociaż zastanowić się nad tym, co się wydarzyło. Dla nas, kapsli, bitwa jeszcze się nie rozpoczęła i najtrudniejsza część zadania była dopiero przed nami.

Lądownik był hermetyczny, a jego kadłub tak gruby, że nie

słyszałem syreny ostrzegawczej w hangarze, poczułem jednak wstrząs, a następnie ruch w górę i naprzód, gdy ramię ładujące podnosiło mnie, po czym wsuwało do komory.

Jeszcze jeden desant, pomyślałem. Żeby udało mi się jeszcze raz dostać na powierzchnię. Jeśli mam dziś zginąć, wolę, żeby odbyło się to na dole, gdy będę miał karabin w rękach. Wiedziałem jednak, że komputer balistyczny nie mógł słyszeć moich myśli, a nawet gdyby mógł, gównem by go obchodziły.

## Rozdział 13

# Kapsuły poszły

W początkach mojej kariery w kapslach miałem zwyczaj trzymać uruchomiony wyświetlacz sytuacyjny podczas zrzutu. Po trzecim albo czwartym desancie wołałem już spadać w ciemności, z wyłączonym ekranem, ponieważ nie chciałem wiedzieć, kiedy będę przechodzić przez zapory minowe Dryblasów. Nie chciałem widzieć nadciągającej śmierci, gdybym wpadł na minę. Przez ponad dwieście skoków spadałem przez atmosferę ślepy i głuchy, jedynie wstrząsy atmosferyczne informowały mnie, że znów przeleciałem przez niebezpieczną strefę.

Tym razem nie chciałem być w nieświadomości.

Gdy „Falanga” mnie wystrzeliła, miałem włączony wizjer, a na nim minimalistyczną mapę taktyczną pokazującą moją trajektorię oraz otaczającą mnie przestrzeń, a także widok z kamery umieszczonej w dziobie lądownika. Okręt wypuścił nas na skraju zasięgu, żeby samemu pozostać z dala od pola minowego, miałem więc mnóstwo czasu, aby zastanawiać się nad pochopnością decyzji sprzed pięciu lat o zmianie ścieżki kariery. Północna marsjańska półkula zajmowała większość pola widzenia. Przed sobą miałem czerwień, pomarańcz i biel, czyli skłębione chmury i teren. Nawet przez kiepski nieruchomy obiektyw panorama była jednocześnie olśniewająca i przerażająca. Nic nie może się równać ze zrzutem

kapsułowym, gdy ciało mknie przez przestrzeń w ledwo mieszczącej je skorupie. W takiej chwili można zrozumieć, jak niewielkie znaczenie ma tak naprawdę jedna osoba.

Otoczające Marsa pole minowe okazało się znacznie gęstsze niż te, które widywałem dotąd na innych okupowanych światach kolonialnych. Wiedziałem, że prawdopodobieństwo trafienia lądownika na minę było bardzo niskie, zważywszy precyzję komputera zainstalowanego na krążowniku, jednak, jak przy każdym wcześniejszym desancie tego typu, znacznie bardziej niż rachunek prawdopodobieństwa dręczyła mnie stawka, o jaką toczyła się ta gra. W polu widzenia kamery miałem tysiące min zbliżeniowych o nieregularnych kształtach, każda z nich liczyła jakieś dwadzieścia metrów średnicy i była pełna spiczastych penetratorów. Moja kapsuła pędziła między nimi z prędkością setek metrów na sekundę i po raz pierwszy od dawna aż nazbyt byłem świadomy faktu, że w zasadzie muskam pułapkę na myszy o bardzo czułym mechanizmie zwalniającym.

Kilka pełnych napięcia sekund później przeszedłem przez te orbitalne zasieki. Odetchnąłem głęboko i przestałem zaciskać pięści. Ten etap wejścia stanowił przerwę między dwiema fazami silnej grozy, ponieważ czekający mnie teraz lot przez atmosferę wydawał się równie niepokojący. Jeśli na powierzchni lądownika znajdował się jakiś defekt, jakieś niewidoczne pęknięcie albo niezabezpieczona szczelina, gazy rozgrzane w wyniku tarcia wnikną w nie i zaczną przepalać kadłub, a wówczas i ja spłonę. Jeśli natomiast zbliżę się do gruntu, lecz zawiedzie mechanizm spadochronu, wbiję się z ogromną szybkością w marsjańską glebę i zostanę zmiażdżony na pastę.

Jednak z drugiej strony, była to najbardziej emocjonująca przejażdżka we wszechświecie, rzucająca wyzwanie śmierci, i nigdy bardziej nie czułem, że żyję, niż wtedy, gdy po udanym desancie wyłaziłem z kapsuły.

Gdy wszedłem w górne warstwy atmosfery, rozpoczęła się część przyziemienia odbywająca się najbardziej na ślepo, niezależnie od tego, czy miałem włączony ekran w hełmie. Gdy spadałem ku powierzchni planety pod kątem starannie obliczonym przez komputer amunicyjny „Falangi”, otoczył mnie całun rozpalonej plazmy. Widziałem kilkakrotnie ten efekt z kokpitu desantowca i rozżarzone, płonące strumienie omywające owiewkę były tak jasne, że nie pozwalały dostrzec nic innego. Kamera kapsuły pokazywała jedynie światło jasne niczym słońce.

Ten etap schodzenia zajął kolejnych piętnaście minut. Gdy znów dostrzegłem błękitny marsjański horyzont i skłębioną pokrywę chmur, mój niepokój powinien był zelżeć, lecz tak się nie stało. Planetę pokrywały ciężkie tumany obłoków, charakterystyczna cecha światów terraformowanych przez Dryblasów. Obcy lubili ciepło i wilgotność, a gdy już się rozgościli, ich terraformery działały niezwykle wydajnie. Lądownika nie wyposażono w sensory aktywne, więc prześlizgiwałem się przez chmury niemal na ślepo, jedynie pasywna termowizja i bezużyteczny widok z kamery na przedzie pokazywały mi, dokąd lecę. Jeśli „Falanga” dobrze wycelowała, trafię gdzieś w centrum Plaży Czerwonej, na obrzeżach miasta Olympus. Natomiast jeśli pomylili się o kilkadziesiąt kilometrów – co zdarzało się rzadko, ale nie było

wykluczone – mogą wylądować w środku osiedla obcych lub w jakimś innym nieprzyjemnym miejscu. Na szczęście artylerzyści spisali się świetnie. W momencie, kiedy kapsuła przebiła się przez pokrywą chmur, byłem niecałe półtora kilometra nad ziemią. Usłyszałem za sobą stłumiony huk, gdy ładunki wybuchowe odstrzeliły wieko komory mieszczącej potrójny spadochron hamujący, rozwijając go nad lądowikiem. Na wyświetlaczu widziałem znajomą geometrię ludzkiego układu urbanizacyjnego: ulice, budynki, mnóstwo kątów prostych, pudełkowate kształty kolonialnych jednostek mieszkalnych oraz elektrowni. Zanim pojawili się tu Dryblasy, Mars najbardziej ze wszystkich zasiedlonych światów przypominał Ziemię, a w mieście Olympus mieszkało pół miliona ludzi.

Włączyłem znów ekran taktyczny i pozwoliłem komputerowi określić moje położenie. Stwory zniszczyły wszystkie nasze satelity na orbicie, więc zamiast odczytać z nich współrzędne, system przeanalizował topografię i porównał ją z zapisaną mapą Czerwonej Planety. Trzy sekundy później komputer pokładowy uznał, że znajduję się na samym krańcu strefy lądowania określonej jako Plaża Czerwona, w połowie drogi między centrum miasta Olympus i naszym celem, czyli dużym portem kosmicznym na jego skraju. Celowniczy z „Falangi” chybili o jakieś dwa-trzy kilometry, zatem i tak udało im się całkiem nieźle, zważywszy, że strzelali z przemieszczającej się szybko platformy oddalonej o dziesiątki tysięcy kilometrów.

Kapsuła mijiała właśnie pułap tysiąca metrów, gdy w polu widzenia kamery dostrzegłem pierwszych Dryblasów. Byli tak

wielcy, że rzucali się w oczy nawet z tej wysokości. Szło ich dwóch, jeden za drugim, przy każdym kroku podnosząc pomarańczowoczerwony pył. Kolejny samotny obcy przemieszczał się ulicą niemal bezpośrednio pode mną, przechodząc nad stertami gruzów i zniszczonymi pojazdami. Komputer podawał, że opadałem na kampus Uniwersytetu Sagana, głównej uczelni w mieście Olympus i dawnej siedziby wielu laboratoriów badawczych. Teraz trudno tam było dostrzec budynek, który nie byłby choć częściowo zniszczony, a ulice zaścielały gruzy budowli oraz wraki hydrosamochodów.

Łądownik opadł na pięćset, a później na trzysta metrów. Pobliski Dryblas odchodził od szacowanego miejsca zrzutu, ale i tak znajdował się niepokojąco blisko, w odległości najwyżej dwustu metrów. Kapsuły nie zostały wyposażone w radio czy radar, nie miałem więc pojęcia, w których miejscach opadną inni członkowie mojej grupy, i nie miałem jak ich ostrzec, dopóki nie znajdę się na powierzchni i nie opuszczę skorupy.

Tuż przed opadnięciem mój łądownik zahaczył o narożnik budynku i zatrzęsło mną tak mocno, że niemal odgryzłem sobie język. Pomimo trzech spadochronów prędkość zejścia trudno byłoby nazwać łagodną. Kapsuła uderzyła w chodnik i ślizgała się dobrych dwadzieścia metrów, zanim automat odciął linki spadochronów, a łądownik zatrzymał się gwałtownie na czymś twardym. Ponieważ pamiętałem o obecności wroga w pobliżu, bez wahania pociągnąłem za dźwignię zwolnienia wieka. Ładunki wybuchowe odstrzeliły rygle i odrzuciły pokrywę, która odskoczyła na pół metra i spadła na ziemię.

Na zewnątrz panowała typowa dla obcych atmosfera: ciepło



i wilgotno, szare niebo koloru brudnego betonu. Wcisnąłem przycisk zwolnienia upręży i wygramoliłem się ze środka, po czym odblokowałem gniazdo i wyciągnąłem broń. Załadowałem nabój do komory i zatoczyłem koło, żeby rozeznać się w okolicy. Budynek za mną miał sześć kondygnacji. Gdy był cały, mógł wyglądać na smukły i elegancki biurowiec, ale teraz większość wielkich szklanych tafli od frontu została rozbita, a ćwierć konstrukcji leżała w gruzach. Moja biokapsuła zatrzymała się dziobem na wypalanej skorupie hydrosamochodu z policyjnymi oznaczeniami. W pobliżu widziałem inne zdezelowane pojazdy, niektóre przewrócone, niektóre zmiażdżone na płasko, jeszcze inne osmalone w wyniku eksplozji paliwa wodorowego.

Usłyszałem znajomy grzmot kroków. Odbijały się echem po ulicy, a luźne kamyczki na trotuarze wpadały w wibracje. Sto metrów na północ od siebie dostrzegłem znajomą tarczę czaszkową głowy Dryblasa górującą nad dachami pobliskich budynków i kierującą się w moją stronę.

Pobiegłem w stronę wejścia do częściowo zniszczonego biurowca, jednocześnie uruchamiając kamuflaż polichromatyczny. Jednak choć góra budynku leżała w gruzach, śluza bezpieczeństwa na dole okazała się zamknięta, a dwuwarstwowe rozsuwane wrota z polioplastu zabezpieczała siatkowa roleta ze stopu tytanu. Potrzebowałbym wyrzutni MARS, żeby otworzyć te drzwi, a nie dość, że nie zabrałem jej ze sobą, to i tak nie miałbym teraz czasu na jej użycie. Skręciłem w lewo i pobiegłem wzdłuż frontu, oddalając się od nadchodzącego obcego i szukając jakiejś drogi do środka. Nieprzyjaciel skręcił w ulicę za mną, w odległości pół

przecznicy, akurat gdy dotarłem do narożnika i wpadałem za niego, żeby się schować. Polichromatyczny pancierz jak dotąd spisywał się dobrze w kontaktach z obcymi, ale nigdy nie dopuszczałem ich bliżej niż na sto metrów, a nie zamierzałem na sobie testować, czy technologiczne maskowanie zdoła ich oszukać na mniejszy dystans.

Obok znajdowała się droga serwisowa. Pięćdziesiąt metrów przed sobą widziałem rampę prowadzącą na niższe poziomy – do podziemnego parkingu albo schronu. Pokonałem tę odległość i zbiegłem pochylnią, cały czas pamiętając o wibracjach betonu z drugiej strony. Okazało się, że duże, pozwalające wjechać pojazdem wrota zamknięto kolejną barierą zabezpieczającą, i wpadłem na nią z przekleństwem.

Za moimi plecami z za rogu wyłonił się Dryblas, który stanął u wylotu drogi serwisowej. Obrócił głowę najpierw w lewo, później w prawo. Obcy zupełnie nie przypominali psów, ale tym razem ruchy przeciwnika skojarzyły mi się z ogarem próbującym złapać trop. Rzuciłem się za ściankę rampy, próbując jak najbardziej wcisnąć się w beton. W optyce mojego hełmu niemal się od niego nie odróżniałem, ale choć na Ziemi dokonaliśmy już sekcji kilkudziesięciu obcych, to wciąż głównie wiedzieliśmy o tym, w jaki sposób postrzegają otoczenie, mogłem więc wydawać mu się równie rzucający się w oczy jak klaun na pogrzebie. Sprawdziłem stan broni. Gdyby stwór zdecydował się sprawdzić tę alejkę i podszedłby bliżej, musiałbym przetestować, czy jeden magazynek pocisków gazowych wystarczy, żeby zatrzymać go na dystansie pięćdziesięciu metrów.

Przeciwnik wykonał jeden krok w głąb zaułka. Wiedziałem, że mam jakieś trzy sekundy na podjęcie decyzji, czy dalej uciekać, czy też podjąć walkę. Wiedziałem również, że nie prześcignę tego stwora, jeśli postanowi mnie gonić, więc powoli uniosłem lufę i umieściłem celownik na środku tułowia Dryblasa.

Obcy znów się zbliżył. Jego kroki były tak długie, że już pokonał ćwierć odległości do mojej kryjówki. Ściągnąłem mocniej spust, zmniejszając luz.

Pięć pocisków, a jeśli po nich nie padnie, to rozjedzie mi dupę, powiedziałem do siebie.

Za plecami Dryblasa rozległ się grzmot serii wystrzałów. Wywołane nimi echo poniosło się po uliczce i odbiło od pobliskich budynków. Obcy wydał z siebie ogłuszający, przenikliwy skowyt i zatoczył do przodu, po czym zaczął się obracać. Osłoną czaszkową zahaczył o ścianę na lewo ode mnie i na ziemię posypały się kawały polioplastu oraz poskręcanej stali. Wycelowałem płamkę celownika w sam środek korpusu wroga i nacisnąłem spust jeden, dwa, trzy razy. Ciężkie gazowe pociski uderzyły Dryblasa w bok i wyrwały w nim wielkie otwory. Wydobywająca się z granatów mieszanka gazów rozpalala się w ciele i eksplodowała od środka, niszcząc twardą skórę. Żołnierze strzelający z drugiej strony wypuścili kolejną salwę liczącą przynajmniej sześć pocisków. Obcy znów zaryczał i upadł, masywnym cielskiem blokując niemal całe przejście. Jego głowa grzmotnęła o beton nawet nie dziesięć metrów od miejsca, w którym klęczałem, i wstrząs przewrócił mnie na tyłek. Podniosłem się i szybko wycelowałem z M-95, jednak łeb

blokował mi linię strzału, a wiedziałem, że lepiej nie walić w płytę czaszkową, widywałem bowiem odbijające się od niej pociski z działka automatycznego. Wrzask stwora ucichł jednak i behemot przestał się poruszać. Zdjąłem palec ze spustu i wypuściłem gwałtownie powietrze.

U wylotu alejki, za martwym cielskiem, pojawiła się grupka żołnierzy w pancerzach bojowych ZCR. Jeden z nich, w którym rozpoznałem Dmitrija, przebiegł obok powalonego cielska, po drodze wyrzucając pusty magazynek. Mosiężna osłona upadła na beton z metalicznym brzękiem, a Rosjanin wyciągnął pełny magazynek z upręży i przeładował broń, zanim jeszcze poprzedni przestał się toczyć.

Za nim szli dwaj marines ZCR, którym towarzyszył porucznik z Eurokorpusu. Niemiec popatrzył z respektem na nieżywego stwora i zauważyłem, że pomimo ciasnoty zaułka próbował trzymać się od niego jak najdalej. Przypomniałem sobie, że Europejczycy mieli bardzo ograniczone kontakty z Dryblasami, i oficer zapewne widział obcego po raz pierwszy z bliska.

– Możesz już chyba wyłączyć tę swoją magiczną zbroję – nadał Dmitrij na kanale drużyny.

Zdezaktywowałem kamuflaż polichromatyczny i mój pancerz znów stał się matowoczarny, zamiast odbijać tło.

– Gdzie reszta waszych? – spytałem.

– Porucznik Bondarenko jest kilometr w głąb miasta – odparł.

– Jego kapsuła spadła na bardzo wysoki budynek. Sierżant Anochin jest blisko, dwie przecznice w tę stronę. – Wskazał do tyłu.

– Dzięki za wsparcie – powiedziałem. – Wylądowałem niemal

pod nogami tego stwora.

– Nie ma za co – odrzekł. – To pewnie dopiero pierwszy z wielu, które dzisiaj zginą. – Wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać. – Chodź. Idziemy do porucznika Bondarenki. Jest w dobrym miejscu, żeby się rozejrzeć.

W oddali usłyszeliśmy powolne dudnienie kroków obcych. Zapewne dzieliło nas od nich kilka przecznic, ale brzmiało, jakby kierowali się w naszą stronę. Być może odgłosy strzelaniny przyciągnęły uwagę tych dwóch, których widziałem wcześniej, poza tym wrzaski osobnika zabitego przez nas przed chwilą też nie pomogły utrzymać naszego przybycia w tajemnicy.

Zerknąłem na wyświetlane w hełmie parametry: „tlen 93%, ogniwa elektryczne 97%, wszystkie funkcje zielone, brak uszkodzeń”.

– Wyższa pozycja wydaje się teraz rozsądna – uznałem, ale nagle przypomniałem sobie Dryblasa wdrapującego się po atrium wieżowca w Detroit przed rokiem. – Tylko pamiętajcie, że te gnoje potrafią całkiem niezłe się wspinać.

Gdy ruszaliśmy truchtem w kierunku lokacji porucznika Bondarenki, Dmitrij obejrzał się na martwego obcego rozciągniętego w uliczce. Parometrowa osłona czaszkowa blokowała większość przejścia niczym ściana wykonana z kości.

– Szkoda, że nie możemy zabrać ze sobą jego głowy. No wiesz, jako trofeum.

– Chcesz, żebym zamiast tego zrobił ci z nią zdjęcie? – spytałem z uśmiechem, a Rosjanin również się wyszczerzył.

– Łeb wyglądałby znacznie lepiej na ścianie pokładu

lotniczego lotniskowca Związku niż mała fotografia. Mógłbym wymienić go u głównego inżyniera na wiele butelek wódki.

Przebywający w okolicy Dryblasy zdecydowanie byli niespokojni i czujni. Przeskakiwaliśmy przez skrzyżowania i przemykaliśmy ulicami zasłanymi zniszczonymi pojazdami oraz gruzem z budynków, kryjąc się za każdym razem, gdy nieprzyjaciel przechodził w promieniu przecznicy od naszej marszruty. Co jakiś czas dostrzegaliśmy znajome długie, puste skorupy pojemników po ich zabójczym gazie, mające wielkość hydrosamochodów. Podczas zajmowania Marsa Dryblasy postąpili zgodnie ze swoją zwyczajową procedurą: zagazować populację z orbity, wylądować, posprzątać niedobitki, po czym rozstawić terraformery. Mogli pominąć jeden z kroków, czyli wyszukanie naszych stacji terraformowania i rozwalenie ich na kawałki, ponieważ Czerwona Planeta była skolonizowana od dziesięcioleci i wszystkie z nich zostały już dawno dezaktywowane, a następnie zamienione na elektrownie fuzyjne. Choć jednak miasto Olympus poniosło ogromne zniszczenia, widziałem bardzo niewiele ciał. Niektóre wciąż znajdowały się w pojazdach, w znacznym stadium rozkładu po ponad roku w atmosferze bogatej w wilgoć oraz dwutlenek węgla. Kolejne znajdowaliśmy w budynkach, do których skręciliśmy w poszukiwaniu osłony. Jednak na ulicach pozostało ich niewiele, podczas gdy powinny tu leżeć tysiące trupów, należących do ofiar cywilnych lub do żołnierzy, którzy zginęli podczas walki z najeźdźcami. Dziwnie było iść miastem pozbawionym ludzi, czy to żywych, czy martwych.

Porucznik Bondarenko, dowódca drużyny marines ZCR, czystym przypadkiem oszczędził sobie wspinaczki na dwudzieste piętro. Jego kapsuła wylądowała na dachu bloku mieszkalnego. Gdy po pokonaniu w ciemności wysokiej klatki schodowej dotarliśmy na szczyt, dostrzegliśmy, że jego darmowa podróż niemal skończyła się zjazdem windą ekspresową na poziom parteru. Lądownik tkwił na samym skraju, jedynie metr czy dwa dzieliły go od przechylenia się i upadku na znajdujący się osiemdziesiąt metrów niżej plac. Zapadnięte spadochrony na nic by się wówczas zdały. Oceniając po tym, jak blady był wciąż oficer z ZCR, mogłem stwierdzić, że dobrze wiedział, jak niewiele dzieliło go od rozplaskania się o asfalt niczym owad o szybę pojazdu.

Skoro przez chwilę nie musieliśmy wymykać się Dryblasom, mogliśmy w końcu uruchomić łączność. Wyciągnąłem konsolę administracyjną i nadałem wiadomość impulsową do centrum dowodzenia na „Falandze”.

*Drużyna Czerwona Jeden zrzut udany. Rozpoczynamy podejście do Plaży Czerwonej.*

Szyfrowana odpowiedź nadeszła po zaledwie kilku minutach.

*Grupa Zadaniowa Czerwona czeka na współrzędne celu. Udanych łowów.*

Drużyna rozpoznania PK z wyrzutni na sterburcie wylądowała na drugim krańcu strefy zrzutu. Nasz cel, wielki lotniczo-kosmiczny port pod miastem Olympus, leżał cztery kilometry na północny wschód od nas i trzy kilometry na północny zachód od nich. Odpaliłem kanał plutonu

i skontaktowałem się z zespołem PK.

– Drużyna Czerwona Dwa, tu Drużyna Czerwona Jeden. Dotarliście wszyscy na dół w jednym kawałku?

– Potwierdzam – odparł porucznik Perkins. – Mieliśmy nieprzyjaciół w pobliżu miejsca desantu, ale udało nam się ich uniknąć. Zakładam, że wcześniejsza strzelanina została wywołana przez was.

– Tak, musieliśmy zlikwidować jednego. Teraz są niespokojni.

– Co robić. Odpalmy łącze danych. W tym momencie i tak nam to już raczej nie zaszkodzi.

Włączyłem tak-łącze i niemal natychmiast zobaczyłem na mapie ikony pięciu żołnierzy PK, pięć kilometrów niemal bezpośrednio na wschód od nas.

– Idziemy z buta do sektora Echo Jeden Osiem i przyglądamy się celowi od południa – nadał Perkins.

– Zrozumiałem – odesłałem. – Zamierzam rozejrzeć się z wysoka, a później przechodzimy do sektora Delta Jeden Pięć i idziemy od południowego zachodu. Spotkajmy się w środku, gdy SL będzie czysta.

– To do roboty – rzekł Perkins. – Cała brygada czeka tam na górze, aż rozwiniemy im dywan na powitanie.

– Nie dajcie się rozdeptać – nadałem. – Grayson, bez odbioru.

Z dachu miałem dobry widok na dużą część miasta. Za każdym razem, gdy na ulicach na dole dostrzegłem Dryblasa, mój komputer taktyczny zaznaczał jego pozycję pomarańczową ikoną i udostępniał tę informację wszystkim w naszym węzle tak-łącza. Przez kilka minut umiejscawiałem napastników i w myślach wytyczałem drogę do kosmoportu. Cztery kilometry



na wschód od nas znajdowało się dwanaście pasów startowych i lądowisk dla okrętów desantowych, które należało oczyścić, żeby mogły wylądować pierwsza i druga fala inwazji. Widziałem, że wzmocnione schrony w wojskowej części portu wciąż stały. Zaprojektowano je tak, żeby wytrzymały detonującą w okolicy bombę jądrową, zatem albo okazały się dla Dryblasów zbyt twarde do zniszczenia, albo też stwory nie zamierzały zawracać sobie głów hangarami, gdy już usunęły ludzi. Zastanawiałem się, ile amunicji i paliwa wciąż spoczywa bezpiecznie w tych betonowych kopułach, czekając na wykorzystanie przez nasze pułki PK. To właśnie z powodu niemal niezniszczonej infrastruktury kosmoport wyznaczono na najważniejszą strefę lądowania na tej półkuli. Inne miasta na Marsie też miały lądowiska lotnicze i kosmiczne, ale to właśnie tu, obok stolicy, znajdowała się dawniej największa pozaziemska baza wojskowa.

– Niech pan spojrzy na to – powiedział porucznik Stahl. Stał na skraju dachu i spoglądał na północ. Podszedłem do niego i podążyłem za jego wzrokiem.

Przynajmniej trzydzieści kilometrów od miasta znajdowało się osiedle Dryblasów. Przełączyłem optykę hełmu na maksymalne powiększenie. Dziwne, kojarzące się z rafą koralową albo koronką struktury obcych wyglądały tak samo, jak je zapamiętałem z ostatnich desantów na podbitych koloniach. Na równinie między tymi konstrukcjami a obrzeżem ludzkiego miasta zebrały się dziesiątki bestii. Nie podchodziły jednak do nas ani w stronę kosmoportu. Zamiast tego wpatrywały się w niebo. Skierowałem wzrok w górę

i przełączałem po kolei filtry, aż dostrzegłem to, na co patrzą.

– Co tam jest? – zapytał porucznik z Eurokorpusu.

Wydałem komputerowi pancierza polecenie, żeby śledził obiekt na niebie, który wyłaniał się właśnie zza osłony chmur i sunął przez horyzont stromo opadającym łukiem. Następnie podkręciłem znów powiększenie, aż rozpoznałem, o co chodzi.

– To ich – rzekłem. – Jeden ze zniszczonych przez nas okrętów nasiennych. A przynajmniej to, co z niego zostało.

Fragment wraku ciągnął za sobą płomienie i dym, plamiąc i tak już brudnoszare niebo. Po chwili zniknął za kraterem Alba Mons na północnym horyzoncie. Kopeć utrzymywał się jakiś czas, aż w końcu wiatr zaczął go rozwiewać.

– Przyjrzyjcie się dobrze, skurwysyny – powiedziałem w kierunku zgromadzonych na równinie Dryblasów. – To dla was zły omen.

Wyciągnąłem konsolę admina i otoczyłem prostokątem sektor mapy, gdzie obcy wciąż wpatrywali się w górę.

– „Falanga”, tu Wydech Czerwony Jeden. Proszę o nalot – nadałem na kanale taktycznym. – Uderzenie kinetyczne, punkt referencyjny celu Alfa Jeden. Około trzydziestu nieprzyjaciół. W promieniu dwudziestu kilometrów od PRC nie ma sojusznicznych jednostek.

– Wydech Czerwony Jeden, przyjąłem. Nalot na PRC Alfa Jeden – odpowiedziała „Falanga”. Krążownik wycelował właśnie jedną z wyrzutni grzbietowych na punkt referencyjny o przesłanych przeze mnie współrzędnych. Mieliśmy ściśle ograniczenia w kwestii pocisków jądrowych, ponieważ większość posiadanych przez nas głowic została wykorzystana

w Orionach, ale rakiety kinetyczne były tanie i nie zbywało nam na nich.

– Wystrzał z wyrzutni Delta. Trzy w salwie. Ognia.

Zamknąłem konsolę, ostrzegłem drużynę PK, żeby spodziewali się wkrótce fajerwerków w oddali, i obserwowałem dalej przeciwników, którzy nie wydawali się zbyt spieszyc donikąd, choć musieli wiedzieć, że dzieje się coś niezwykłego. Pociski z dział elektromagnetycznych były znacznie szybsze od kapsuł, którymi przylecieliśmy, ponieważ nie niosły żywego ładunku. Głowice kinetyczne przemknęły przez atmosferę w zbyt dużej odległości, żebym usłyszał dźwięk generowany przez nie, gdy rozcinały powietrze.

Rosjanie i porucznik z Eurokorpusu krzyknęli z zaskoczenia i podziwu kilka minut później, gdy trzy pociski z orbity trafiły w cel. Uderzenie wzniosło na setki metrów gejzery marsjańskiego pyłu. Grzmot eksplozji dotarł do naszych hełmów półtorej minuty później, a po ulicach rozpościerającego się w dole miasta przetoczyło się echo, brzmiące jak odchrząkiwanie olbrzyma. Minie przynajmniej godzina, zanim opadnie kurz, ale wiedziałem, że Dryblasy w promieniu ćwierć kilometra od punktów trafienia nie byli już na pewno zwartymi organizmami. Nawet te wytrzymałe stwory musiały przestrzegać zasad fizyki i choć działa elektromagnetyczne okazywały się bezużyteczne przeciwko okrętom nasiennym, mimo wszystko robiły mielonkę z ich niechronionych kadłubami pasażerów.

– Dołączmy do ludzi z PK – zaproponowałem. – Musimy oczyścić port dla desantowców.

– Nie możemy pozwolić, żeby marines siedzieli cały dzień na dupach na orbicie – zgodził się Dmitrij.

– Tak, od tego jest Flota – skomentował za pośrednictwem kanału drużyny porucznik Perkins.

– Hej – mruknąłem. – Bez takich.

## Rozdział 14

# Plaża Czerwona

choć raz rozmiary Dryblasów działały w walce na naszą korzyść. W realiach miejskich byli widoczni, łatwo dawało im się wymknąć i nie okazywali się zbyt zwinni.

Przedzieraliśmy się pustymi ulicami, wykorzystując zaułki i budynki jako osłonę, kryjąc się, gdy obcy przechodził w pobliżu, i przeciskając się przez wnętrza budynków, gdy tylko było to możliwe, żeby nie rzucać się w oczy. Kręciło się tu mniej Dryblasów, niż się spodziewałem, z piętnastu, maksymalnie dwudziestu. Mimo to wędrówka od osłony do osłony przez zniszczone miasto zajęła nam godzinę, zanim ujrzeliśmy wreszcie kosmoport. Żołnierze PK wyprzedzili nas – ich symbole znajdowały się już na pozycjach w południowej części lotniska i coraz więcej pomarańczowych ikon Dryblasów wyskakiwało na naszych ekranach taktycznych, gdy goście z rozpoznania ich zauważali. Port kosmiczny był wielki, podzielony na część cywilną i wojskową, z trzema pasami startowymi do lotów atmosferycznych oraz rozległym kompleksem administracyjnym. Nasze połączone szesnastoosobowe siły byłyby beznadziejnie niewystarczające, gdyby kazano nam zabezpieczyć całość, ale na szczęście nie na tym polegało zadanie. Przylecieliśmy tu, żeby dostarczyć cele dla artylerii. Wybraliśmy najwyższy obiekt w bezpośredniej okolicy, ośmiokondygnacyjny, lekko tylko uszkodzony budynek,

i wspięliśmy się na samą górę. Dmitrij i ja mieliśmy stamtąd widok na niemal cały kosmoport, a drużyna ZCR pilnowała pozostałych kierunków, rozglądając się na wszystkie strony za Dryblasami.

– Widzimy około dwudziestu na południowym krańcu. Są na całej płycie między schronami – donosił porucznik Perkins ze swej pozycji na południowy wschód od nas. – Potwierdzam dwudziestu trzech.

Moje tak-łącze zaktualizowało się i przyjrzałem się mapie.

– To tuż obok jednego z węzłów tankowania. Jeśli wezwiemy uderzenie kinetyczne i rozwalą podziemny zbiornik, wszystko tu wyleci w powietrze.

– Co pan proponuje, żeby ich stamtąd wykurzyć? – spytał Perkins.

– Nie wiem. Macie może ochotę wbiec na pas startowy zero pięć i dmuchnąć paroma pociskami w ich kierunku?

Porucznik PK roześmiał się.

– Jeśli mogę tego uniknąć, to wolałbym nie.

Dryblasy kręcący się pomiędzy hangarami znajdowali się poza skutecznym zasięgiem naszej broni, nie mogliśmy więc zacząć likwidować ich po kolei pociskami gazowymi. Zresztą i tak było ich tam zbyt wielu, a my mieliśmy za mało amunicji, żeby powalić ponad dwudziestu. Musieliśmy odpędzić ich z miejsca, pod którym znajdowało się kilkaset tysięcy litrów paliwa lotniczego. Choć przyjemnie byłoby zniszczyć całą grupę w wielkiej kuli ognia, utrata tych zapasów stanowiłaby poważną komplikację dla sił inwazyjnych. Infrastruktury niemal nie zniszczono, można więc będzie uzupełniać zapasy paliwa

i amunicji w desantowcach bez potrzeby powrotu na lotniskowiec.

– Musimy ich skłonić do ruszenia się, żeby Flota mogła im rzucić kinetyczne na głowy – powiedziałem do Dmitrija. – Jakies pomysły?

Rosjanin zastanawiał się przez chwilę.

– Może skusić ich, żeby podeszli do nas? Będą bliżej, to strzelimy, a później się przemieścimy. Zajmiemy nową pozycję i znów się przemieścimy.

– Wtedy zeszliby z lądowiska i znaleźli w mieście, a my wylądowalibyśmy na drodze uderzenia kinetycznego.

– Zatem niech pójda w drugą stronę. Na pas startowy.

Trzeba im dać coś, za czym pogonią, pomyślałem. Co może przyciągnąć uwagę Dryblasów?

Nagle cofnąłem się myślą do ćwiczenia zaliczeniowego mojej ostatniej grupy szkoleniowej sprzed około dwóch miesięcy, kiedy to pozwoliłem kursantom bronić symulowanej stacji terraformowania przed natarciem obcych. Niektórzy co bardziej pomysłowi rekruci zarekwirowali pojazd terenowy i za jego pomocą odciągnęli kilku Dryblasów od terraformera. Nieprzyjaciele zostali stworzeni przez komputer, ale wiedzieliśmy, że reagują na wszystko, co wydaje mechaniczne odgłosy lub wydziela promieniowanie. Miałem w pancerzu nadajnik, który potrafił generować tysiące watów energii radiowej, ale nie chciałem testować swoich umiejętności biegania przeciwko dwudziestu wrogom, a nie dysponowaliśmy żadną terenówką, która pozwoliłaby nam ich prześcignąć.

Podszedłem na skraj dachu i spojrzałem na ulicę poniżej,

gdzie kilka samochodów zagradało drogę. Niektóre z nich były wypalone, inne rozbite, ale część wyglądała na wciąż sprawne.

– Czy ktoś tu wie, jak zhakować furę? – spytałem.

– Co to znaczy „zhakować furę”? – odpowiedział pytaniem Dmitrij.

– Unieszkodliwić układ bezpieczeństwa w konsoli komputerowej samochodu i go ukraść – odparłem.

Wyszczrzył zęby i rozejrzał się po kompanach z ZCR, po czym powiedział coś po rosyjsku. Sierżanci Anochin i Dragomirowa roześmiali się.

– Skoro chcesz ukraść samochód, idziemy ukraść samochód.

Wypalony wrak hydrobusu tkwił w poprzek drogi, a kilka innych pojazdów wbiło się w niego. Po śladach ognia wyglądało na to, że wpadły na siebie i wszystkie spłonęły w tym samym pożarze wodoru. W zatoczkach parkingowych po drugiej stronie stało jednak kilka aut, które wyglądały na raczej nieuszkodzone.

– Hydrosamochody się nie przydadzą – rzekłem. – Stoją tu od roku. Ogniwa paliwowe już się wyczerpały. Szukajcie elektrycznych.

Rozproszyliśmy się i sprawdzaliśmy każdy pojazd po kolei, jednocześnie nasłuchując, czy nie słychać zbliżających się Dryblasów. W pobliżu narożnika sierżant Dragomirowa spojrzała na autko i zawołała coś po rosyjsku. Podbiegliśmy do niej.

– No jasne – skomentowałem. – Jedyne elektryki w okolicy, a ma rozmiar szafki na siłowni.

Dmitrij sprawdził drzwiczki, które okazały się zamknięte.



Wyciągnął nóż taktyczny przypięty do lewej nogi, przez chwilę ostukiwał laminatowe panele karoserii obok drzwi, po czym przyłożył czubek w miejscu oddalonym o dziesięć centymetrów od krawędzi. Uderzył mocno nasadą dłoni w głowicę i ostrze przebiło laminat. Rozległo się ostre, krótkie syknięcie i gdy Dmitrij odsunął rękę, auto otworzyło się bez oporu.

– Główny cylinder ciśnienia w systemie klimatyzacji – powiedział. – Steruje też zamkiem centralnym.

– Dobrze wiedzieć – odparłem. – W razie gdybym musiał następnym razem skołować podwózkę.

Dmitrij zawołał sierżanta Anochina. Ten zajrzał do środka i stuknął w centralną konsolę. Ekran ożył, pokazując logo producenta pojazdu. Anochin użył własnego noża, żeby podważyć wyświetlacz, po czym wyjął go z obudowy. Trzydzieści sekund później usłyszałem brzęczenie elektrycznego silnika i włączyły się światła do jazdy dziennej. Sierżant wyrzucił ekran sterowania przez boczną szybę i szkło rozbiło się na asfalcie. Następnie podoficer odsunął się od auta. Dmitrij wsadził głowę do środka i rozejrzał się.

– W baterii zostało piętnaście procent mocy – oznajmił. – Jeśli chcesz jechać szybko, to nie da się długo.

– Będzie musiało wystarczyć – odparłem. – Zresztą i tak byśmy w tym daleko nie zajechali.

Na bieżąco opracowaliśmy plan. Dmitrij miał wrócić na górę budynku i wypatrywać celów z sierżantem Gierasimowem. Porucznik Bondarenko i sierżant Anochin mieli zapewniać krycie, a sierżant Dragomirowa dołączała do mnie, żeby

prowadzić podwędzony właśnie przez nas elektryczny samochodzik.

– Zbliżyliśmy się na odległość strzału, wypuszczę kilka pocisków i odpalę maksymalną moc nadawania w pancerzu, żeby ich odpowiednio wkurwić – rzekłem. – Pojedziemy na pas startowy i zobaczymy, ilu za nami pogoni. Jeśli jacyś zostaną między hangarami, wprowadź w życie swój pierwotny pomysł. Wpakujcie im parę nabojów od tej strony, żeby zaczęli was szukać, a później spierdalajcie z tego dachu do alternatywnego punktu obserwacyjnego. Gdy Dryblaszy znajdą się na otwartym terenie, zawołaj burzę z piorunami z „Kirowa”. Łukiem dotrzemy do północnego krańca bazy i tam znajdziemy kryjówkę, wtedy będziemy mogli obserwować całość z obu kierunków.

– A co, jeśli temu autku skończy się prąd na środku pasa? – spytał Dmitrij.

– Wtedy będziemy mieć przejebane – odpowiedziałem, a Rosjanin wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Działajmy. I mam szczerą nadzieję, że wasza artyleria jest precyzyjna. Nie będziemy zbyt daleko przed Dryblasami.

– To rosyjska artyleria – odparł. – Zazwyczaj trafia w dobry cel. Zazwyczaj.

Pojazd został skonstruowany dla dwóch pasażerów siedzących jeden za drugim, choć niekoniecznie w pancerzach i z bronią. Na szczęście sierżant Dragomirowa była dość drobna nawet w swej kanciastej zbroi, więc jakoś wcisnęliśmy się razem. Wraz z Dmitrijem rozbiliśmy tylną szybę i wypchnęliśmy ją na

zewnątrz, żebym mógł strzelać do tyłu. Potem Rosjanie pobiegli z powrotem do opuszczonego przez nas niedawno budynku, żeby obsadzić stanowiska obserwacyjne. Nadałem wiadomość do żołnierzy PK na południowym krańcu bazy, informując ich o naszych zamiarach.

– Gdy tylko ruszycie, podejdziemy w stronę hangarów – odpowiedział porucznik Perkins. – Tak do protokołu, to wasz pomysł jest nieźle popieprzony. Ale powodzenia.

– Dotarliśmy tu, pozwalając, by wystrzelono nas z wyrzutni artyleryjskich – zripostowałem. – I walczymy z ważącymi ponad dwieście ton stworami za pomocą broni ręcznej. Czy jest w tym coś niepopieprzonego?

Dragomirowa знаła tylko kilka słów po angielsku, ale Dmitrij wyjaśnił jej plan, żebym w ogniu walki nie musiał polegać na precyzji komputerowego tłumacza. Zajęła miejsce na fotelu kierowcy i położyła sobie karabin na kolanach. Rosyjska broń przeciwko Dryblasom była nieco dłuższa niż nasze modele i jakieś trzydzieści centymetrów lufy wystawało przez okno po prawej.

Usiadłem na drugim fotelu, który można było obracać, i oparłem własny karabin o ramę tylnego okna.

– Powiedz mi, że rozmawiasz ze swoimi artylerzystami, Dmitrij – nadałem na kanale drużyny.

– Tak. Wszystko dobrze. Strzelą, kiedy powiem.

– Oby. Jeśli zostanę zdeptany na placek, tylko ty będziesz dysponował bezpośrednim połączeniem z bogami.

– To jedźcie szybciej, niż biegają Dryblasy.

– Cudowny pomysł – odparłem. – Tak właśnie spróbujemy. Nie spuszczaaj nas z oka i zostań na linii. Grayson, bez odbioru.

Sprawdziłem komorę broni i upewniłem się, czy jest w niej piętnastomilimetrowy pocisk gazowy gotowy, żeby zepsuć jakiemuś Dryblasowi poranek. Następnie obróciłem się do sierżant Dragomirowej i klepnałem w jej zagłówek.

– Ruszajmy – poleciłem.

Przełączyła bieg na jazdę do przodu i potoczyliśmy się ulicą w kierunku portu oddalonego o ćwierć kilometra.

Oboje mieliśmy w hełmach włączone ekrany i widzieliśmy informacje przesyłane przez tak-łacza naszych sojuszników. Dragomirowa pędziła przez miasto z zawrotną prędkością. Mogła unikać ulic i skrzyżowań, na których kręcili się Dryblas, ponieważ ci obcy, których już wcześniej dostrzegliśmy, pokazywali się na naszych mapach wraz z nałożonymi wektorami ruchu. Dotarliśmy do płotu okalającego bazę, w wielu miejscach rozerwanego. Sierżant zwolniła, żeby wykonać ostry skręt w lewo, po czym wjechała w jedną z luk w ogrodzeniu. Potem znów wcisnęła gaz do dechy i ruszyliśmy ku lądowisku pionowego startu, żeby połaskotać smoki w ogony, a później dać dyla.

Znajdowaliśmy się sto metrów od lądowiska, gdy dostrzegłem pierwszych Dryblasów. Byli znacznie wyżsi niż okoliczne budynki i niemal dorównywali wzrostem kopułowom ze zbrojonego betonu, stanowiącym hangary dla wielkich jednostek latających. Włączyłem nadajnik w pancerzu na pełną moc, co wystarczało, żeby przesyłać komunikaty do okrętów czekających na orbicie. Jeśli obcy byli naprawdę czuli na

promieniowanie, właśnie odpaliłem superjasną latarką w ciemnej piwnicy.

– No chodźcie, gnoje! – wrzasnąłem. – Tutaj!

Sierżant Dragomirowa uruchomiła samochodowy system rozrywki, z którego zadudniła koreańska muzyka pop. Rosjanka podkręciła głośność i we wnętrzu auta tak ryczało, że hełm zredukował docierający do moich uszu dźwięk o trzy czwarte, żeby oszczędzić mi słuch. Nie znałem koreańskiego, więc nie rozumiałem słów, ale melodia była dość chwytliwa, z mnóstwem basowych rytmów.

Nasze połączone wysiłki, mające na celu przyciągnięcie uwagi Dryblasów, niemal natychmiast osiągnęły pożądany efekt. Nie wiedziałem, czy chodzi o fale radiowe z mojego pancerza, czy o muzykę, czy też jedno i drugie razem, ale najbliżsi obcy obrócili się i zaczęli iść w naszą stronę. Nawet gdy się nie spieszyli, dzięki swym dziesięciometrowym krokom potrafili z łatwością przegonić człowieka, a gdy coś ich pobudziło, poruszali się znacznie sprawniej, niż sugerowałyby ich rozmiary. Pierwszy stwór opuścił lądowisko żwawo, potem przeszedł w trucht. Dragomirowa zawróciła i wcisnęła pedał gazu. Oddalaliśmy się pędem od lądowiska, kierując na otwartą przestrzeń trzech pasów startowych. Asfalt był usiany gruzem i zniszczonymi pojazdami, podoficer z ZCR musiała więc jechać między tym wszystkim slalomem, żeby nie wpadać na wraki i kawały betonu.

Samochód był szybki, ale Dryblas niewiele mu ustępował i nie zwalniał przed przeszkodami, po prostu je przekraczając. Kolejnych czterech obcych postanowiło ruszyć w pościg za

naszym małym autkiem. Wydałem pancierzowi polecenie, żeby przekazał dane celownicze reszcie drużyny, po czym ustawiłem karabin i przełączyłem system kierowania ogniem na sterowanie automatyczne. Trzymałem palec na spuście, pozwalając, by komputer balistyczny robił resztę. Wycentrowałem celownik hełmu na najbliższym obcym, znajdującym się teraz osiemdziesiąt metrów za nami i wciąż zmniejszającym dystans, po czym wymierzyłem w niego muszkę broni. Komputer zaczekał, aż lufa ustawi się na zamierzony cel, i karabin wzbogacił dudniącą muzykę o grzmot wypuszczanego pocisku. Dla człowieka strzał z osiemdziesięciu metrów w ruchomy obiekt miałby szansę trafienia jeden na sto, ale dla systemu balistycznego była to błahostka. Granat ugodził Dryblasa w górną część korpusu, ładunek wybuchowego gazu wywalił w grubej skórze dziurę wielkości mojej głowy. Obcy przewrócił się w pół kroku i wpadł na wrak cysterny paliwowej z tak głośnym hukem, że na chwilę zagłuszył hałas z głośników. Kolejne stwory parły dalej niezrażone, jednak zauważyłem, że nieco rozluźniły szyk, wymijając powalonego przeze mnie osobnika.

– Macie pięciu za sobą – poinformował porucznik Perkins na kanale drużyny. – Cokolwiek zamierzacie, nie zatrzymujcie się nawet na pieprzony moment. Są zbyt daleko, żebyśmy mogli ich zaatakować.

– Idzie czterech następnych – oznajmił Dmitrij. – Spomiędzy hangarów. Próbują odciąć wam drogę. Skręćcie w prawo i jedźcie szybciej.

Obróciłem się i dostrzegłem zapowiadanych czterech

Dryblasów, wyłaniających się szybkim krokiem zza pobliskich betonowych kopuł. Wrzasnąłem do Dragomirowej i wskazałem nowo przybyłych, ona zaś wyłączyła dźwięk, uciszając k-pop ryczący z głośnością stu decybeli. Zboczyła w prawo, oddalając się od obu grup obcych. Pędziliśmy teraz prostopadle do pasów startowych. Ponieważ w tej części leżało mniej wraków i gruzu, sierżant mogła wciskać gaz, więc zanim dotarliśmy do trzeciego pasa, jechaliśmy już sto kilometrów na godzinę, całkiem szybko, jak na marsjańskie warunki, i wciąż przyspieszaliśmy. Wystrzeliłem resztę magazynka do ścigających nas obcych, tylko po to, żeby ich wkurzyć.

– Teraz byłoby dobrze spuścić im coś na głowy – nadałem do Dmitrija.

– Wysłałem prośbę. Przejedźcie przez ten punkt za dwadzieścia pięć sekund, później jedźcie prosto jeszcze dziesięć sekund i skręćcie w kierunku trzysta stopni – powiedział, zaznaczając na mapie miejsce oddalone o kilometr. Wydał też po rosyjsku instrukcje Dragomirowej, która nadała krótkie potwierdzenie.

Gdzieś wysoko na orbicie, za polem minowym Dryblasów, rosyjski krążownik wycelował brzuszną baterię w przekazany przez Dmitrija punkt referencyjny celu i wypuścił to, co tamtejszy wydział artyleryjski uznał za odpowiednią broń przeciwko drużynie obcych na otwartym terenie. Nie czułem się z tą myślą ani trochę swobodnie, choć miałem świadomość, że Dmitrij wiedział, co robi. Jednak pociski kinetyczne nie odróżniały wrogów od sojuszników i pomyłka celownicza rzędu jednej dziesiątej stopnia mogła sprawić, że przy tej odległości

strzał chybi celu o setki metrów. Uciekaliśmy przed grupą Dryblasów, żywotnie zainteresowanych naszym elektrycznym samochodzikiem, którzy właśnie wzbijali kłęby czerwonego marsjańskiego pyłu obok pasa startowego. Wyrzuciłem z karabinu pusty magazynek i wsunąłem nowy, wyciągnięty z gniazda na pancerzu. Pociski przeciw obcym były tak duże, że magazynki wydawały się dość nieporęczne, jak na swoją pojemność zaledwie pięciu naboju. Dwie krótkie potyczki i już zużyłem ćwierć zapasów. A jeśli nie oczyścimy szybko tego kosmoportu dla sił inwazyjnych, nie będę mógł liczyć na uzupełnienie amunicji.

Sierżant Dragomirowa musiała zmarnować kilka sekund, żeby do miejsca wskazanego przez Dmitrija dotrzeć dokładnie o wyznaczonym czasie, zwolniła więc i wykonała kółko, po czym wróciła na dawny kurs. W wyniku tego manewru nasza odległość do najbliższego Dryblasa zmalała z ponad dwustu metrów do niecałych stu. Dwie grupy obcych zbliżały się z różnych stron do naszej pozycji i nie dziwiłem się, że Dmitrij poprowadził nas właśnie w taki sposób.

– Tutaj – oznajmił rosyjski kontroler walki. – A teraz dziesięć sekund do przodu pełnym gazem. Na następny znak skręt na kierunek trzysta stopni. *Czetyrie, tri, dwa, odin*, już.

Dragomirowa obróciła kierownicę i samochodem zarzuciło w lewo. Silnik elektryczny działał z pełną mocą i wołałem nie sprawdzać, ile jeszcze zostało w baterii. Jeśli auto zdechnie na środku tego otwartego odcinka, Dryblasy będą stanowili dla nas problem tylko przez krótką chwilę, zanim dotrą tu pociski. Już wielokrotnie przywoływałem nalot na swoją okolicę, ale nigdy



praktycznie sobie na głowę.

– Siedem sekund – powiedział Dmitrij, w jego głosie pojawiła się determinacja. – Jedźcie szybciej.

Wrzasnąłem do sierżant, która z kolei wrzeszczała do Dmitrija w hełmie, zaś posuwający się na czele Dryblas, znów oddalony od nas o dwieście metrów, wydał z siebie przenikliwy skowyt. Rozbrzmiewały w nim jednocześnie złość i frustracja.

Nie bawicie się dobrze? Witajcie w jebanym klubie, pomyślałem.

Tym razem usłyszałem świst rakiet nad sobą. Był to przenikliwy, piskliwy dźwięk, jak ostrze noża przecinające arkusz stali.

Głowice kinetyczne z rosyjskiego krążownika wbiły się w grunt obok pasa startowego, gdzie Dryblasy ścigali nas niezborną zgrają. Uderzały w półsekundowych odstępach i każda dudniła niczym ogromny młot. Przez moment byłem przekonany, że Rosjanie zdecydowali się na użycie atomówek taktycznych. Dragomirowa prowadziła samochód w odstęp między dwoma hangarami i niemal tam dotarliśmy, lecz fala uderzeniowa poderwała nas w powietrze i cisnęła niczym puszkę po racjach żywnościowych, którą ktoś odkopnął w boczny zaułek. Usłyszałem niski wybuch, a przed oczyma zobaczyłem jedynie biel i brudną czerwień. Auto przekoziółkowało raz i drugi. Znaleźliśmy się tak blisko hangarów, że spodziewałem się, iż świat może się skończyć w każdej chwili, że zostaniemy rozprasowani na betonowej ścianie schronu. Pojazd przetoczył się jednak po raz ostatni i zatrzymał. Wyświetlacz na desce rozdzielczej wciąż działał,

pokazywał czerwone ostrzeżenie „niski stan akumulatora” oraz całą masę innych błędów, zaś jęk elektrycznego układu przeniesienia napędu ucichł. Samochodzik już dalej miał nie pojechać. Poruszyłem rękoma i nogami, miałem wrażenie, jakbym znajdował się nie w powietrzu, a w smole. Wnętrze pojazdu wypełniała pianka wystrzelona przez dysze bezpieczeństwa standardowo instalowane w autach cywilnych. Służyły do tego, by pasażerowie nie odnieśli obrażeń w wyniku wypadku, i bardzo cenilem sobie w tym momencie tę funkcję, ale jednocześnie cholernie utrudniała ona wydostanie się na zewnątrz, by szukać osłony. Uznałem, że projektanci nie umieścili na liście możliwych zagrożeń „ścigania przez Dryblasów” albo „uniknięcia o włos nalotu orbitalnego”. Nie widziałem sierżant Dragomirowej, choć miałem pewność, że wciąż żyła, ponieważ klęła jak szewc po rosyjsku, również próbując wydostać się z objęć szybko twardniejącej pianki.

Kiedy wreszcie wyswobodziłem się z wraku elektrycznego autka, nie widziałem nic poza czerwonym pyłem. Przełączałem po kolei tryby sensoryczne hełmu, aż dotarłem do mikrofal, które w tunelach na Grenlandii ostrzegły mnie o obecności Dryblasów w pobliżu. Wszędzie wokół nas spadały kamienie i pył. Ledwo widziałem wyciągnięte przed twarzą dłonie i miałem pewność, że za cholerę nie dostrzegłbym w tym gównie obcego, nawet gdyby podszedł tuż obok.

Rosjanka wygrzebała się z przewróconego samochodu i kopnęła go. Oboje byliśmy pokryci pyłem i resztkami pianki, która zapewne ocaliła nam życie, ponieważ autko wyglądało, jakby rywalizowało przed chwilą z krążownikiem o to, które

lepiej zniesie zderzenie czołowe. Straciłem karabin, sierżant wciąż miała swój. Sprawdziła działanie zamka, wskazała na zachód i krzyknęła do mnie coś po rosyjsku.

– Tam jest osłona – przetłumaczył mi komputer. Pokazałem podniesiony kciuk, rozejrzałem się po ziemi w poszukiwaniu karabinu, po czym machnąłem na niego ręką. Jeśli ten M-95 okaże się jedyną rzeczą, którą stracę tego dnia, i tak wyjdę na tym świetnie. Obróciłem się znów do Rosjanki, która biegła już na zachód, w kierunku rzędu pancernych hangarów, dokąd próbowaliśmy dotrzeć przed nalotem kinetycznym. Nie widziałem ich w chmurze pyłu, ale mapa w hełmie mówiła mi, że dzieli mnie od nich siedemdziesiąt metrów, zaufałem więc układom silikonowym i podążyłem za towarzyszką z ZCR.

Dobrze było widzieć, że nawet siła fizyczna Dryblasów podlega ograniczeniom. Pancerne hangary, kopuły ze zbrojonego, grubego na kilka metrów betonu, wciąż stały. Brakowało jednak ciężkich suwanych wrót, które wyrwano z prowadnic i rzucono przed schronami, podobnie jak we Wspólnej Bazie Thule na Ziemi. Z sierżant Dragomirową dobiegliśmy do najbliższego hangaru, żeby się w nim skryć, i wpatrywaliśmy się w dokonane wewnątrz zniszczenia. Znajdowało się tam sześć cywilnych międzyplanetarnych statków pasażerskich, teraz całkowicie zniszczonych i porozbijanych. Całą podłogę pokrywały poskręcane, przemieszane fragmenty stali i stopów, osmalone i spalone. Obecność kilku cystern mówiła mi, że w momencie lądowania Dryblasów personel zajmował się tankowaniem jednostek, które miały zapewne umożliwić szybką ewakuację.

Jednak podobnie jak na ulicach miasta Olympus, nie dostrzegałem ludzkich szczątków. Jeśli mieszkańcy zostali zaskoczeni podczas szykowania statków do startu, pomiędzy wrakami powinny leżeć dziesiątki lub setki martwych techników i pilotów, ale nie rzucało mi się w oczy ani jedno ciało.

– O kurwa, to było zbyt blisko, Dmitrij – nadałem na kanale drużyny, żeby poinformować Rosjanina, że wciąż oddychaliśmy, w razie gdyby nie widział naszych ikon na ekranie taktycznym.

– Nie było zbyt blisko – odparł. – Gdyby było zbyt blisko, już byście oboje nie żyli.

Powstrzymałem nerwową ripostę, bo przecież nie mogłem się spierać z opinią Rosjanina, i popatrzyłem w kierunku otwartego krańca hangaru, gdzie wciąż opadał czerwony marsjański pył.

– Widzisz jeszcze jakichś nieprzyjaciół?

– Nie ma już nieprzyjaciół – odrzekł Dmitrij. – Nie między hangarami. I nie widzę zbyt dobrze pasów startowych, ale jak na razie nie dostrześliśmy tam żadnego ruchu.

– Potwierdzam – włączył się porucznik Perkins. – Ten nalot skasował połowę sektora mapy. Muszę przyznać Rosjanom, że trafili w dziesiątkę. Nie udałoby się lepiej z pociskiem kierowanym laserem. Podchodzimy do waszej lokalizacji.

– Przyjąłem – odezwałem się po zerknięciu na mapę. – Zajmijcie pozycje na południowym końcu i zabezpieczcie lądowisko pionowego startu oraz stanowiska tankowania. My ruszamy na północ, żeby widzieć tamtejszy kraniec pasów. Zabezpieczmy to całe cholerstwo, żeby można było wezwać trepów.

– Zabezpieczmy – zgodził się porucznik Perkins.

Zanim opadł pył po uderzeniu kinetycznym, Dragomirowa i ja znajdowaliśmy się już pół kilometra od miejsca nalotu. Nie musiałem rozglądać się po okolicy, w której Dryblasy zostali zaskoczeni na otwartym terenie przez trzy główce z „Kirowa”, by domyślić się wyniku ataku. Lotnisko posiadało trzy główne pasy startowe, każdy pięciokilometrowy, które pozwalały obsłużyć nawet najcięższe promy i frachtowce międzyplanetarne, i jeden z nich został właśnie wyłączony z użytku, ponieważ rosyjska rakietka kinetyczna wyrwała w nim dwudziestometrowy krater. Dwa inne pozostały jednak nieuszkodzone, podobnie jak stacje tankowania. Dwa zespoły ogniowe porucznika Perkinsa pilnowały lądowiska pionowego startu oraz tamtejszych podziemnych zbiorników paliwa przed obcymi, którzy wciąż kręcili się po ulicach miasta.

Główna wieża kontroli ruchu lotniczego i kosmicznego w kosmoporcie miasta Olympus stała na małym pagórku na północnym krańcu bazy. Z oddalonych o sto metrów kompleksu infrastruktury radarowej i reaktora fuzyjnego zostały jedynie gruzy, ale sama wieża doznała tylko niewielkich uszkodzeń. Sierżant i ja wyłamaliśmy drzwi, po czym weszliśmy wyżej po schodach ewakuacyjnych.

Główna sala kontrolna była pusta, a gdyby pominąć fakt, że połowa okien w niej została rozbita, wewnątrz wyglądało na niemal nietknięte, zupełnie jakby w każdej chwili można było z powrotem włączyć prąd i znów zacząć kierować ruchem. Znajdowaliśmy się pięćdziesiąt metrów nad poziomem gruntu,

nawet wyżej niż wcześniej Dmitrij i jego drużyna, gdy przebywali na dachu na południe od bazy. Mieliśmy stąd świetny widok i mogłem przyjrzeć się północy, gdzie pod szarym, zachmurzonym niebem rozciągała się marsjańska równina. To, co tam dostrzegłem, sprawiło, że zechciałem wpełznąć w jakąś dziurę.

– Nieprzyjaciel zbliża się od południa – nadał porucznik Perkins. Pięć pomarańczowych ikon wyskoczyło na mojej mapie na południowym krańcu bazy, blisko miejsca, skąd drużyna Dmitrija kryła ludzi z PK.

– Yhm – odparłem, zajęty widokiem z okien wieży. – Nieprzyjaciel zbliża się też od północy.

– Ilu? – spytał Perkins.

W oddali, według wskazań komputera w odległości ośmiu kilometrów, największa grupa Dryblasów, jaką kiedykolwiek widziałem w jednym miejscu, szła przez równinę w kierunku miasta Olympus i kosmoportu. Nie mogłem się powstrzymać przed skojarzeniem ze Stacją Węzłową w pracowity dzień, gdy tak wielu ludzi przemieszcza się ciągiem centralnym, że wydają się płynąć niczym rzeka.

– Moim zdaniem wszyscy co do, kurwa, jednego.

## Rozdział 15

# Palce bogów

Nawet nie zwracałem sobie głowy opłakiwaniem utraty karabinu albo faktu, że znaleźliśmy tu na północnym krańcu tylko we dwoje, zamiast całą drużyną. Horda nadciągająca z równiny była nie do powstrzymania za pomocą broni ręcznej. Jeśli nasza armada ustawiła się niekorzystnie na orbicie, być może leżało to również poza jej zasięgiem.

– „Falanga”, tu Wydech Czerwony Jeden. Priorytetowa prośba artyleryjska. Przesyłam właśnie dane PRC.

Musiało minąć parę sekund, zanim sygnał dotarł na okręt, i potem zanim oficer taktyczny w BCI ogarnął to, co widział na swoim wyświetlaczu. Równinę na północ od miasta Olympus pokrywało morze pomarańczowych ikon, setki przemieszczających się Dryblasów, płynących ku nam z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Widzę dane – powiedział w końcu oficer taktyczny. Zachwyił mnie jego profesjonalizm, który sprawił, że do głosu oficera zakradła się tylko odrobina niedowierzania. – Wezwij artylerię, Wydech Czerwony Jeden. Masz prawo wezwać nalot jądrowy.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Tak wielu obcych na otwartym terenie stanowiło kuszący cel dla stukilotonowej głowicy bojowej. Cała horda zniknęłaby momentalnie, ale nasze

lądujące później siły musiałyby się zmagać ze skutkami opadu radioaktywnego i promieniowania. Wiedziałem też, że „Falanga” miała na pokładzie żałośnie małą liczbę głowic jądrowych. Bitwa dopiero się rozpoczęła, nie mieliśmy pojęcia, co nieprzyjaciel rzuci jeszcze na nas, gdy pierwsza fala znajdzie się na powierzchni planety. Jeśli teraz z mojej inicjatywy zaczniemy używać atomówek, później możemy tego pożałować.

– Rezygnuję z użycia broni jądrowej – powiedziałem. – Są wystarczająco skupieni do użycia kinetycznych. Ale będzie ich trzeba mnóstwa.

Ech, jaka szkoda, że nie mamy jeszcze do dyspozycji bliskiego wsparcia lotniczego, pomyślałem. Piloci Dzierzb mieliby niezłą uciechę z tak wielu Dryblasów na otwartym terenie, pozbawionych własnej pomocy z orbity.

– Dajcie uderzenie skoordynowane – ciągnąłem. – Wszystkie działa elektromagnetyczne, których uda wam się użyć. Sto pocisków. Zasypcie sektory Romeo Alfa od dziewięć do siedem, gdy będą przez nie przechodzić za... – zerknąłem na ekran takłacza i przeprowadziłem szybkie obliczenia – osiem minut i trzydzieści sekund. Jeśli będzie trzeba, poproszę o następną serię.

Pociski z dział elektromagnetycznych były tanie i nasz zespół zadaniowy wiózł ich pod dostatkiem, ale wykorzystanie stu mocno nadszarpnie nasze zapasy. Oficer taktyczny na drugim końcu linii nie spierał się jednak. Potrafił czytać diagram i wiedział równie dobrze jak ja, że jeśli kilkuset Dryblasów wpadnie do kosmoportu i miasta, na Plaży Czerwonej nie zdołają wylądować wojska.



– Uderzenie skoordynowane, osiem minut dwadzieścia sekund. Zegar tyka – nadał. – Nie mogę obiecać stu pocisków, ale na pewno na tyle blisko tej liczby, że dla nieprzyjaciela nie zrobi to różnicy. Nie wychylajcie się.

– To macie jak w banku – odparłem. – Wydech Czerwony Jeden bez odbioru.

Przekazałem informacje reszcie drużyny. Od południa słychać było co jakiś czas huk wielkokalibrowej broni przeciwko Dryblasom, gdy zespoły ogniowe angażowały się w walkę z pierwszymi obcymi wchodzącymi do miasta i portu od tamtej strony. W porównaniu ze zgrają nadciągającą od północy, była to garstka, ale cała nasza grupa liczyła tylko szesnaście osób, a byliśmy rozproszeni na trzech stanowiskach i wielu kilometrach.

Następnych osiem minut wydawało się boleśnie długich. Dragomirowa i ja obserwowaliśmy idących Dryblasów i w zasadzie nic innego nie byliśmy w stanie robić. Nie mogłem opuścić stanowiska i pomóc zespołom na południu, zresztą i tak na nic bym się im nie przydał bez karabinu. Wpatrywałem się zatem w diagram i słuchałem wymiany komunikatów na kanale drużyny, gdy moi kompani walczyli z sześcioma obcymi trzy kilometry dalej. Nieprzyjaciel doszedł zbyt daleko, żeby Dmitrij mógł wezwać nalot kinetyczny, więc Rosjanie postanowili wspomóc kosmicznych piechociarzy ogniem i strzelali do Dryblasów z dachów. Jedna po drugiej pomarańczowe ikonki gasły na ekranie. Po pięciu minutach od rozpoczęcia walki nacierający obcy został powalony zaledwie pięćdziesiąt metrów od skraju lądowiska. Dwóch innych uznało, że lepiej się nie

wychylać, wycofali się więc spod skoordynowanego ognia zespołów PK. Aż do tej pory nie widziałem, by Dryblasy kierowali się takim instynktem samozachowawczym.

– Dwóch ucieka – oznajmił Dmitrij ze swojego punktu obserwacyjnego na dachu. – Mamy ich ścigać czy zostać na pozycjach?

– Nie ruszajcie się – odparłem. – Uderzenie kinetyczne nastąpi za dwie i pół minuty. Zostańcie pod osłoną, w razie gdyby któreś pociski chybiły.

– Właśnie zużyliśmy połowę zapasu amunicji – ostrzegł porucznik Perkins. – Jeśli dokonają kolejnego szturmego od południa, możemy ich teraz nie powstrzymać.

– Wkrótce nadjedzie kawaleria – powiedziałem z nadzieją, że to prawda.

---

Głowice kinetyczne nadleciały z orbity o czasie co do sekundy. Pociski z pierwszej salwy, przynajmniej dwanaście, wbiły się jednocześnie w idących Dryblasów. Pięć kilometrów na północ od kosmoportu kilometr kwadratowy marsjańskiej ziemi eksplodował na trzysta metrów w górę gejzerami pyłu i kamieni. Później uderzyła następna salwa i kolejna, tak wiele głowic, że straciłem rachubę trafień. Widywałem już wybuchy jądrowe, które okazywały się przerażające z bliskiego zasięgu, ale ten nalot w jakiś sposób wydał mi się jeszcze bardziej apokaliptyczny niż atomówki. Pociski kinetyczne wbijały się jeden po drugim w równinę, niczym uderzenia olbrzymiego młota, jakby wkurwiony bóg obrabiał mściwymi ciosami powierzchnię planety. Nigdy nie czułem nawet odrobiny litości

wobec Dryblasów, których zabijaliśmy przez lata, lecz przy tej kanonadzie minimalnie zbliżyłem się do takiego odczucia. Piętnaście sekund po dotarciu pierwszych rakiet odgłos salwy miażdżącej marsjańskie skały na pył dotarł do naszej pozycji i przetoczył się dalej. Nigdy nie słyszałem bardziej przerażającego i złowróżbnego grzmotu.

– *Boże moj!* – powiedziała obok mnie sierżant Dragomirowa.

– Palce bogów – odparłem.

Nie bez powodu traktat zabraniający stosowania broni masowego rażenia na terytoriach innych ziemskich państw w kosmosie wyraźnie obejmował również rakietę kinetyczną i nie bez powodu toczyliśmy walki kolonialne za pomocą niewielkich jednostek piechoty, zamiast zasypywać się z orbity wolframowymi głowicami. Gdy zacznie się już rozrzucac tak tanią, tak prostą w użyciu, a jednocześnie tak niszczycielską broń, trudno jest z tego zrezygnować. Jednak przeciwko Dryblasom uchodziło wszystko. Nie podpisaliśmy z nimi traktatów, a oni nie wahali się gazować naszych kolonii, jakby były jedynie kłopotliwymi mrowiskami, tak więc odpłacaliśmy im się, kiedy tylko mieliśmy okazję.

Ponieważ ich okręty nasienne zostały zniszczone i nie mogły odstraszać naszych krążowników, obcy na otwartym terenie nie mieli jak uciec przed śmiercią i zniszczeniem sypiącymi im się na głowy. Nadszedł czas zapłaty, zemsty za wszystkich zabitych przez nich wojskowych i cywilów, za pięć lat znoju, strachu i niepewności. Mimo to trudno było nie odczuwać choć odrobiny smutku na widok tak całkowitej destrukcji. Nieprzyjaciele byli żywymi, świadomymi istotami, a jeśli potrafili w ogóle odczuwać

emocje, musiało ogarnąć ich przerażenie, gdy prosto z nieba zabijało ich coś, czego nie widzieli i przed czym nie potrafili się bronić.

Gdy kilka minut później miarowy rytm uderzeń ucichł, na równinie na północ od bazy rozpościerała się chmura pyłu i żwiru o średnicy dziesięciu kilometrów. Minęło pięć minut, później dziesięć, ale z wyjątkiem niesionego wiatrem kurzu nie dostrzegałem żadnego ruchu.

– „Falanga”, tu Wydech Czerwony Jeden. W celu. Czekać na ocenę nalotu i ewentualne dalsze prośby.

– Czekaamy – potwierdził oficer taktyczny z krążownika.

– Coś naprawdę wyjątkowego – odezwał się porucznik Perkins na kanale drużyny. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Ja też nie – odparłem.

---

Kwadrans później pył opadł na tyle, by dało się przeprowadzić ocenę wizualną obszaru nalotu. Rozglądałem się po równinie, wypatrując śladów Dryblasów, a doświadczenie zawodowe podpowiadało mi, że dziesięć sektorów mapy Marsa przeszło właśnie po wielokroć przez piekło. Widziałem obcych na samym skraju sensorów optycznych hełmu, za obszarem zaoranym przez miliony dzuli energii kinetycznej, ale najbliższy Dryblas znajdował się dziesięć kilometrów na północ i oddalał się od kosmoportu, zamiast do niego zbliżać. Reszta dostrzeganych przeze mnie osobników również nie wydawała się zainteresowana podchodzeniem. Największe zagrożenie stanowili teraz Dryblasy na ulicach miasta Olympus, ale znajdowali się poza zasięgiem wzroku zespołu Dmitrija

i również odsuwali od bazy. Jeśli istniała dobra chwila na lądowanie w dużej skali, to właśnie teraz, gdy okolica została dopiero co zamieciona, a szok wywołany bombardowaniem trzymał resztę obcych z dala stąd.

– Grupa Zadaniowa Czerwona, tu Wydech Czerwony Jeden – nadałem do jednostek czekających na orbicie. – Plaża Czerwona jest otwarta. Powtarzam: Plaża Czerwona jest otwarta.

W świecie o niskim pułapie chmur nie widziałem nic ze swojego stanowiska w ciemnej wieży kontroli lotów, ale wiedziałem, że moja wiadomość pchnęła właśnie do działania okręty Grupy Zadaniowej Czerwonej, czekające na rozpoczęcie trzeciej fazy. Plan bitwy nakazywał krążownikom wykorzystać działa elektromagnetyczne oraz baterie rakiet do zrobienia w polach minowych wystarczająco dużych luk, żeby desantowce mogły przez nie bez problemu przelecieć, a później nie dopuścić do ich zamknięcia, gdy miny Dryblasów będą próbowały się przegrupować i naprawiać. W tej chwili lotniskowce kierowały okręty desantowe na stanowiska startowe. Wiedziałem też z doświadczenia, że desantowce z pierwszej fali będą pełne wystraszonych i zniecierpliwionych żołnierzy, którzy chcieli, aby lot do strefy lądowania trwał jednocześnie krótko i jak najdłużej.

Lot z orbity desantowcami i samolotami szturmowymi trwał znacznie dłużej niż w przypadku pocisków kinetycznych. Dopiero dwadzieścia minut po ogłoszeniu przeze mnie, że strefa desantu jest bezpieczna, nad moją głową pojawiły się pierwsze latające jednostki – nie okręty desantowe, lecz Dzierzby

z pylonami uginającymi się od amunicji. Cztery takie samoloty opadły poniżej pokrywy chmur i przeleciały nisko nad Portem Kosmicznym Olympus z silnikami wyjąco niczym banshee, co zapewne po części było powodem, dla którego ten typ jednostek nazwano właśnie Dzierzbami. Dobrze było widzieć wsparcie lotnicze i mieć świadomość, że w pobliżu znajduje się mobilna ciężka artyleria, która nie musi tu lecieć aż z orbity. Po dotarciu nad koniec pasa startowego samoloty podzieliły się na dwie pary, jedna z nich skręciła na wschód, druga na zachód. Ich sensory i kamery momentalnie powiększyły strefę naszej świadomości na tak-łączu o wiele kilometrów.

Pierwszy klucz desantowców pokazał się z dziesięć minut po Dzierzbach. Za pomocą radionadajnika skierowałem je na nieuszkodzone stanowiska pionowego startu na południowym krańcu bazy. W krótkich odstępach po nich przybyły drugi, trzeci, czwarty i wreszcie piąty klucz, a kolejne były w drodze. Dla każdego liczącego cztery jednostki klucza wybierałem punkty lądowania w rozsądnych lokacjach i naprowadzałem pilotów przez tak-łącze. Pół bardzo pracowitej godziny później trzydzieści dwa okręty desantowe wypłuły już z siebie przewożoną piechotę, a Plażę Czerwoną zabezpieczał ze wszystkich stron cały pułk żołnierzy. Jeden z kluczy wylądował blisko podstawy małego wzgórza, na którym stała wieża kontroli lotów, po znacznikach taktycznych widziałem, że przywiózł kompanię saperów, czyli ludzi, których właśnie tutaj potrzebowałem. Kiedy pierwsza fala znalazła się na ziemi i desantowce zaczęły wracać po kolejne grupy, przesłałem Flocie najnowsze dane taktyczne i zbiegłem do podstawy wieży,

pokonując cztery albo pięć stopni naraz. Na zewnątrz saperzy wyładowywali właśnie sprzęt z okrętów. Dowódca ich kompanii, kapitan nazwiskiem Coonradt, wyszedł mi na spotkanie, gdy się do nich zbliżałem.

– Spokojna SL – oznajmił Coonradt, gdy szybko się sobie przedstawiliśmy i wymieniliśmy uprzejmości. – I zupełnie mi to nie przeszkadza.

– Jeszcze przed godziną nie było tak spokojnie. – Uśmiechnąłem się. – Zlikwidowaliśmy tu kilkudziesięciu obcych. Jeden z kinetycznych z „Kirowa” przerwał wschodni pas startowy, ale reszta jest w całości. Jeśli mogę zasugerować listę priorytetów, to dobrze będzie najpierw zapewnić zasilanie wieży kontrolnej i stanowiskom tankowania, wtedy da się znacznie szybciej obsługiwać te ptaszki.

– Nie mam nic przeciwko takiej liście – odparł kapitan. – Ale do konsoli na górze będziemy musieli podłączyć zasilanie pomocnicze, bo tamten reaktor już niczego nie napędzi.

Coonradt wezwał swoich dowódców drużyn i zaczął wydawać im rozkazy, ja natomiast podbiegłem do szefa załogi najbliższego desantowca.

– Podczas niedawnego uderzenia orbitalnego zgubiłem karabin – powiedziałem. – Czy mogę sobie coś od was pożyczyć?

– Oczywiście, sir. Proszę się częstować – odparł.

– Dziękuję, sierżancie.

Wszedłem po rampie, minąłem ładownię i dotarłem do małego pomieszczenia przed kokpitem, gdzie mieściła się niewielka okrętowa zbrojownia. Każdy desantowiec miał na pokładzie wystarczającą liczbę karabinów i amunicji, żeby

zapewnić dodatkową broń oraz podstawowy zapas pocisków wszystkim członkom przewożonego plutonu. Ku swojemu zaniepokojeniu znalazłem tam mnóstwo karabinów fleszetowych i wyrzutni MARS, ale bardzo mało broni przeciwko Dryblasom, na dodatek te nieliczne egzemplarze były wyłącznie starszymi modelami, M-80 oraz M-90. Zgarnąłem M-90, bo wykorzystywał takie same naboje, jak zgubiony przeze mnie M-95, i miałem już przy sobie trzy pasujące magazynki. Potem opróżniony wcześniej zasobnik uzupełniłem świeżą amunicją. Musiałem oprzeć się pragnieniu, by zabrać z pionowych stojaków jednego z MARS-ów wraz z paroma nowymi srebrnymi kulami. Moje zadanie tutaj nie polegało na zabijaniu pojedynczych Dryblasów, choć zestrzelenie stwora takim pociskiem sprawiłoby mi satysfakcję.

Saperzy zaczęli się rozstawiać. Dwóch ciągnęło przenośną baterię akumulatorów do podstawy wieży, gdzie trzeci odkręcał właśnie pokrywę z panelu przyłączy na zewnątrz budynku. Wszedłem do środka i z powrotem wdrapałem się po schodach do pokoju kontrolnego. Sierżant Dragomirowa wyglądała przez okna na północ i mówiła po rosyjsku do radia, jednocześnie pracując na konsoli administracyjnej, którą oparła o parapet. Oczyszciliem miejsce przy pobliskim stanowisku komputerowym i rozłożyłem własną. Ponieważ była to placówka WPA, mogłem podłączyć się do komputerów w centrum kontroli, gdy tylko wróci zasilanie, i działać za pośrednictwem dużego ekranu holograficznego, zamiast małego wyświetlacza przenośnego urządzenia.

Wraz z każdym kluczem siadającym w strefie lądowania



kolejna kompania żołnierzy trafiała na ziemię, by wzmocnić SL i przygotowywać się do przejścia do nowych celów. Mój ekran taktyczny, z rzadka pokryty przyjaznymi niebieskimi i zielonymi ikonami, gdy lądowaliśmy, z każdą minutą stawał się coraz bardziej zatłoczony, symbole poszczególnych żołnierzy skupiały się w plutony, zaś plutony w kompanie.

– Na dole mamy już prąd – nadał z zewnątrz kapitan Coonradt. – Niech pan powie, to przesuniemy wajchę.

– Proszę bardzo – odrzekłem.

Kilka chwil później zaświeciły się lampy sufitowe i wszędzie wokół siebie usłyszałem szum uruchamiającej się elektroniki. Na zewnątrz, niespełna pięćdziesiąt metrów od zachodnich okien wieży, desantowce, które przywiozły saperów, startowały z powrotem w pięciosekundowych odstępach, a ich silniki wprawiały ocalałe szyby w drzenie. Wpiąłem się swoją konsolą do głównego stanowiska kontrolnego i odpaliłem system. Dryblasy zniszczyli radary i elektrownię fuzyjną, ale część zapasowego osprzętu łącznościowego wciąż działała, podobnie jak łącze danych.

– Port Kosmiczny Olympus wraca do interesu pod nowym zarządem – powiedziałem saperom. – Podpinajcie dalej przewody, a ja będę sterował ruchem.

Sierżant Dragomirowa i ja spędziliśmy kolejną godzinę, kierując jednostki do portu i starając się jak najlepiej organizować przestrzeń powietrzną. Baza nie miała sprawnego radaru, więc przy chmurach wiszących na pułapie zaledwie siedmiuset metrów nad powierzchnią mogliśmy polegać jedynie na

napływających danych i własnym wzrokiem, żeby ogarnąć dziesiątki okrętów desantowych i samolotów szturmowych. W szkole kontrolerów walki część treningu dotyczącą kontroli ruchu powietrznego nazywano „wciskaniem ikonek”. Przez lata nauczyłem się, że takie wciskanie ikonek na ekranie może być równie stresujące, jak przebywanie na pokładzie jednostki symbolizowanej przez jeden z tych znaczków, gdy dookoła trwa strzelanina, a czterdziestu lub pięćdziesięciu tkwiących wewnątrz ludzi zginie śmiercią w płomieniach, jeśli ktoś wciśnie jedną z tych ikonek w niewłaściwy sposób w niewłaściwej chwili.

– Wydech Czerwony Jeden, tu Dowództwo Plaży Czerwonej. Zgłoś się.

Gdy ktoś odzywał się na kanale taktycznym, odwracało to moją uwagę od wykonywanych czynności, ale stanowiło mile widzianą odmianę od stresującej monotonii kierowania ruchem.

– Dowództwo Plaży Czerwonej, tu Wydech Czerwony Jeden. Słyszę cię, mów.

– Na lądowisku Charlie znajdują się dwa klucze Os, które mają zebrać ewakuowanych cywili z lokacji trzydzieści kilometrów na wschód od SL. Chcą, żeby poleciał z nimi kontroler walki, w razie gdyby na miejscu natknęli się na nieprzyjaciela.

– Przyjąłem. Przyślecie kogoś do wieży kontrolnej, żeby przejął sterowanie ruchem?

– Na razie przełączymy się na kontrolę lokalną. Jedyne czerwone beret w SL nie może cały dzień stukać w ekran. Dowódca Sił Naziemnych Czerwonych udziela ci zezwolenia na odlot bez wyznaczania zastępcy.

– Odbiór. Przekaż dowódcy, że za pięć minut będę na lądowisku Charlie – odparłem, ciesząc się, że mogę sobie zrobić przerwę w ważnym, ale żmudnym i nudnym zajęciu.

Poinformowałem okolicznych pilotów, że są zdani na siebie, dopóki Flota nie przyśle tu innego kontrolera ruchu, po czym powiedziałem Dragomirowej, że zostałem odesłany do innego zadania. Żeby mieć pewność, iż automatyczny tłumacz nie zrobił z moich wyjaśnień niezrozumiałego bełkotu, do rozmowy włączyłem też Dmitrija.

– Mamy sytuację pod kontrolę – odrzekł Rosjanin. – W pobliżu jest wiele śmigłowców Związku. Jeśli będą kłopoty, poradzę sobie.

– Do zobaczenia później – odparłem. – Nie daj się zabić.

– Spróbuję – odpowiedział Dmitrij. – Ale to nie do końca zależy ode mnie. Powodzenia.

Spod wieży przeszedłem wzdłuż hangarów do lądowisk dla desantowców na południowym krańcu bazy. Kolejne klucze okrętów przewożących żołnierzy docierały co kilka minut. Szturmowe Dzierzby krążyły powyżej chmur – nie widziałem ich, ale wycia ich silników nie dało się z niczym pomylić. Wszędzie wokół mnie plutony i kompanie formowały się w punktach zgrupowania, a następnie przechodziły do wyznaczonych celów. Na ekranie w hełmie widziałem, że stopniowo poszerzaliśmy kontrolowany przez nas obszar na miasto oraz jego okolice. Odkąd zaoraliśmy równinę na północy amunicją kinetyczną, Dryblasy nie próbowali już na nas nacierać. Nie smuciły mnie nasze szybkie postępy, ale miałem

wrażenie, że coś tu było nie do końca w porządku. Lądowała już trzecia fala, a my jeszcze nie natknęliśmy się na żaden porządny opór, choć na planecie znajdowały się tysiące obcych. Przez lata walki z nimi nauczyłem się przynajmniej jednego: jeśli wydawało nam się, że zyskujemy przewagę nad tymi stworami, okazywało się, że tuż za rogiem czai się jakaś paskudna niespodzianka. Pamiętałem, w jakim stopniu kilkunastu zaledwie nieprzyjaciół zdołało nas zmylić na Grenlandii samą zmianą swojej taktyki, i zastanawiałem się, czy w jakiś sposób wymieniali notatki z kumplami z Marsa. Jeśli ta nagle objawiona smykałka do radzenia sobie z sytuacjami kryzysowymi rozwinęła się w całym gatunku, to naprawdę wpadliśmy jak śliwka w gówno.

Na lądowisku Charlie osiem desantowców stało w szyku łamanym z silnikami na jałowym biegu i spuszczone tylnymi rampami. Paru żołnierzy PK pakowało modułowe skrzynie ze sprzętem do ich ładowni, zabezpieczając je w środku pasami. Rozejrzałem się w poszukiwaniu dowództwa i dostrzegłem w pobliżu kapitana PK oraz dwóch poruczników. Zauważyli, że biegnę w robalowej skorupie, i przywołali mnie gestem.

– To pan jest kontrolerem walki? – zapytał kapitan.

– Tak jest, sir. Co tu się szykuje?

Kapitan, którego identyfikator głosił „PARKER M.”, wskazał na wschód od kosmoportu.

– W odległości pięćdziesięciu kilometrów znajduje się placówka naukowa Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt. Dryblasy rozwalili ją w drzazgi, jak dużo innych rzeczy tutaj, ale tamtejszy schron przeciwoatomowy wciąż jest zamieszkaany.

Czterysta osób, wojskowi i cywile. Zamierzamy tam polecieć i ich przywieźć.

– Ośmioma Osami? Będzie ciasno – skomentowałem.

– Tylko tyle mamy, więc muszą wystarczyć. Nie wolno nam zabrać dużo sprzętu, bo i tak dodamy sporo masy. Bez zewnętrznej amunicji na pylonach. Tylko działka i jeden zespół ogniowy na okręt, bo potrzebujemy jak najwięcej miejsca dla cywilów. Chcę pana wziąć, w razie gdybyśmy natknęli się na problemy, których nie zdołamy naprawić działkami.

– Rozumiem. Jaki sprzęt wieziemy?

– Ozety – odparł kapitan Parker. – W Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt jest mało tlenu, a ich płuczki dwutlenku węgla są zniszczone. Zabieramy ze sobą pięćset egzemplarzy, żeby cywile zdołali dostać się na Osy, nie zatruwając się dwutlenkiem.


Ozety, czyli osobiste zestawy tlenowe, zastąpiły tsopy, termiczne systemy obrazowania podczerwonego, które uratowały mnie i Halley, gdy kilka lat temu musieliśmy ewakuować się ze zniszczonego OWPA „Wersal”. Składały się z małych zasobników z tlenem podłączonych do ustników i sterowanych komputerowo oddycharek. W sytuacji awaryjnej umożliwiały oddychanie przez jakieś pół godziny, a ponadto służyły jako filtry dwutlenku węgla w przypadku nieodpowiedniej atmosfery, na przykład na światach kontrolowanych przez Dryblasy.

Kapitan PK wysłuchał wiadomości na kanale, do którego nie byłem podłączony, a potem spojrzał na mnie i wskazał kciukiem za siebie, na oczekujące Osy.

– Niech pan wskakuje do pierwszego ptaszka, poruczniku.

Pojedzie pan ze mną. Startujemy za dwie minuty.

– Tak jest, sir – odparłem.



Nasz okręt jako pierwszy wzbił się w powietrze, pozostałe w krótkich odstępach poszły w jego ślady. Zająłem jedno z rozkładanych siedzeń w przedniej części ładowni, obok szefa załogi. Wpiąłem się do pokładowego systemu kamer i obserwowałem, jak lądowisko oddala się od nas. Po wzniesieniu się na siedemdziesiąt metrów wykonaliśmy ostry zwrot na sterburcie i opuściliśmy dziób, żeby nabrać prędkości. Przemknęliśmy nad pasami startowymi, teraz zajętymi przez ludzi i ekwipunek. W charakterze bazy wypadowej Plażę Czerwoną wykorzystywała cała brygada, więcej żołnierzy, niż kiedykolwiek umieściliśmy w jednym miejscu poza Ziemią, a przecież była to zaledwie jedna ósma całości sił lądujących teraz na Marsie. Tylko u nas na powierzchni znalazło się już niemal trzy tysiące osób, a także mnóstwo zapasów amunicji i paliwa. Wciąż jednak miałem wrażenie, że jest to dziwna cisza przed paskudną burzą, jakby zaraz miała rozpętać się ulewa. A ja mogłem jedynie siedzieć w uprzęży, trzymać się i robić co w mojej mocy, żeby nie zmoknąć.

## Rozdział 16

# Tuttle 250

Os wchodzących w skład podwójnego klucza dudniło zaledwie dwieście metrów nad powierzchnią Marsa, by pozostać poniżej gęstych szarych chmur pokrywających niemal całą półkulę. Po obu stronach widzieliśmy Dryblasów, w grupkach po pięciu, dziesięciu czy dwudziestu, oddalonych o setki lub tysiące metrów, lecz desantowce z hukiem i z prędkością pięciuset węzłów mijały tych wystawionych jak na strzelnicy wrogów. Nie mieliśmy rakiet na pylonach, a piloci nie chcieli marnować amunicji do działek. Każdy dostrzeżony przeze mnie cel łądowałem do sieci taktycznej, żeby ewentualne przemieszczające się później tędy siły mogły je zaatakować lub ominąć. W końcu znaleźliśmy się na tyle blisko, żebym mógł nawiązać krótkodystansową łączność z dowództwem bunkra.

– Schron Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt, tu porucznik Grayson z Korpusu Obronnego WPA. Słyszycie mnie?

– Słyszemy pana, poruczniku. Słyszemy głośno i wyraźnie. Tutaj dowódca, pułkownik Mackey.

– Pani pułkownik, zbliżamy się dwoma kluczami okrętów desantowych, żeby was ewakuować. Przewidywany czas przybycia: pięć minut. Przygotujcie się do szybkiego odlotu.

– Zrozumiałam. Byliśmy gotowi do opuszczenia tego miejsca, odkąd pojawiliście się na orbicie.

– Wkrótce ruszycie w drogę do domu, pani pułkownik.

– Jeszcze dwie minuty – odezwał się niedługo później z kokpitu pilot. Uzupełniłem zapasy tlenu w panczerzu z systemu pokładowego i upewniłem się, że wszystkie magazynki mam pełne oraz gotowe do użycia. Znajdowaliśmy się już czterdzieści kilometrów za naszymi wysuniętymi liniami, daleko od wsparcia naziemnego. Sprawdziłem, czy w przestrzeni powietrznej są jakieś sojusznicze jednostki. Nie licząc naszych ośmiu Os, kursem równoległym dwadzieścia pięć kilometrów na północ leciał klucz Dzierzb, a trzy samoloty szturmowe ZCR sunęły w podobnej odległości na południu.

Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt było małą placówką badawczą wielkości niewielkiego kampusu uniwersyteckiego. Przynajmniej zanim wprowadzili się tu Dryblaszy i każdą naziemną budowlę zamienili w sterty poskręcanej stali i gruzów. Zeszliśmy nad kompleks przy pokrywie chmur tak niskiej, że gdy dostrzegliśmy pierwszego obcego, był praktycznie pod nami. Trzech Dryblasów szło żwawym krokiem przez nieduży płaskowyż, obrócili głowy, słysząc nad sobą grzmot hałaśliwych Os.

– Zwierzyna – oznajmił pilot. – Trzech nieprzyjaciół na otwartym terenie. Do wszystkich, zwrot w prawo, strzelać bez rozkazu.

Gdy zauważyliśmy Dryblasów, już w zasadzie nad nimi mknęliśmy, i miałem wrażenie, jakby od ich głów dzieliło nas najwyżej trzydzieści metrów. Pilot ostro zarzucił Osą na sterburtę i podciągnął dziób, żeby spowolnić obracany okręt. Gdy skończyliśmy zwrot, straciliśmy jeszcze z piętnaście metrów



pułapu i znaleźliśmy się sto metrów od obcych. Pierwszy z nich odwrócił się od nas i zaczął odchodzić długimi, grzmiącymi krokami. Pozostali dwaj rozeszli się w różnych kierunkach, nawet nie próbując zbliżyć się do desantowców.

– Dokąd się wybierasz, kolego? – spytał pilot naszej Osy, otwierając ogień z wielkokalibrowej broni automatycznej umieszczonej pod brzuchem okrętu. Trzydziestopięciomilimetrowe działka przeciwpancerne instalowane na desantowcach nie strzelały nowymi srebrnymi kulami, ale nadrabiały to czystą siłą rażenia. Potrafiły przebić na wylot wóz opancerzony i nawet solidna skóra Dryblasów nie była w stanie powstrzymać twardych penetratorów. Seria trafiła uciekającego obcego w dolną część tułowia i nogi. Stwór zatoczył się naprzód, niesiony siłą bezwładności, i upadł w obłoku czerwonego pyłu. Pozostałe desantowce zawracały po kolei i podobnie traktowały dwóch innych nieprzyjaciół, przewracając pociskami i na wszelki wypadek jeszcze ostrzeliwując nieruchome ciała. Przeskanowałem okolicę w zasięgu wzroku w poszukiwaniu innych zagrożeń, lecz nic nie znalazłem. Zerwał się silniejszy wiatr i widoczność spadła do niecałego kilometra. Nie byłem w pełni pewien podejmowanej decyzji, jednak Dryblasów nie dało się dostrzec termowizją lub radarem, a nie widziałem dalej niż kamery w dziobie Osy.

– SL jest czysta – oznajmiłem na kanale taktycznym. – Proponuję zostawić dwa ptaszki w powietrzu jako wsparcie z góry na czas okrętowania większości cywilów.

– Musimy się pośpieszyć – odparł kapitan Parker. – Sadzamy wszystko, ale na wszelki wypadek piloci nie zdejmują palców ze

spustów i obserwują swoje sektory. Zespoły ogniowe, z życiem.

Usiedliśmy na placu pośrodku kompleksu, z martwym Dryblasem zaledwie kilkadziesiąt metrów od pierwszego okrętu. Ponieważ dysponowaliśmy tylko ośmioma zespołami ogniowymi, które musiały na dodatek nieść skrzynie pełne oddycharek OZT, nie miał kto zabezpieczyć perymetru. Desantowce wylądowały na małym pagórku w ruinach placówki, sensory optyczne widziały na kilkaset metrów. Gdybyśmy zostali zaskoczeni przez obcych, strzelcy mieliby dosłownie kilka sekund na użycie broni. Zostawiłem konsolę administracyjną podłączoną do systemów okrętu, wyświetliłem obraz z niej na ekranie w hełmie i złapałem karabin, żeby pomóc w ewakuacji.

Wejście do głównego schronu zostało pogrzebane pod gruzami stacji badawczej. Przez kwadrans usuwaliśmy kawały ciężkiego betonu saperkami i gołymi rękami, aż uzyskaliśmy szczelinę na tyle dużą, żeby dało się sięgnąć do wrót osadzonych pięć metrów niżej w pionowej ścianie przedsionka. Sterty gruzów wyglądały, jakby w każdej chwili mogły się przesunąć i nas pochłonąć. W idealnej sytuacji mielibyśmy ze sobą saperów i ciężki sprzęt, jednak idealne sytuacje poszły w diabły w momencie, gdy nawiązaliśmy pierwszy kontakt z Dryblasami.

Schron posiadał śluzę, zbyt małą, żeby mogła pomieścić wszystkich żołnierzy, których zabraliśmy. Trepy z PK wnieśli do luku skrzynki z oddycharkami, po czym rozstawili się, by strzec perymetru, podczas gdy kapitan Parker i ja zostaliśmy w środku, czekając na ponowne zamknięcie śluzy. Atmosfera z zewnątrz, zawierająca niemal dziesięć procent dwutlenku węgla, byłaby

śmiertelna dla każdego, kto nie miał pancerza albo urządzenia oddechowego.

Wewnątrz bunkra wcale nie było o wiele lepiej. Gdy drzwi luku otworzyły się, wskaźnik jakości powietrza na moim wyświetlaczu zmienił się jedynie z „niebezpieczne/śmiertelne alarm CO<sub>2</sub>” na „niebezpieczne/zła jakość”. W środku paliły się światła, a przy wrotach czekało na nas kilkoro oficerów i cywilów. Zaraz za nimi znajdował się duży przedsionek z regałami ze sprzętem oraz zaparkowanymi pod ścianami pojazdami terenowymi. Było tam pełno ludzi: paru mundurowych z Korpusu Obronnego oraz cywile, mnóstwo cywilów. Gdy nas ujrzeni, w pomieszczeniu rozległy się wiwaty.

Kapitan Parker i ja zasalutowaliśmy najstarszej oficer w grupie, pułkownik z Floty z naszywką „Mackey J.” na uniformie. Jej nazwisko poruszyło jakąś strunę w mojej pamięci. Kobieta sprawiała wrażenie zmęczonej i wymizierowanej. Wszyscy w schronie wyglądali na wychudzonych, jakby pełnoprawne racje żywnościowe skończyły się już jakiś czas temu, ale mundur Mackey był czysty, jak wymagał regulamin, i nie dało się na nim dostrzec żadnej luźnej nitki. Zerknąłem na naszywkę na jej ramieniu: „OWPA Kaledonia CG-99”.

– Pułkownik Mackey, Flota – przedstawiła się po odwzajemnieniu naszych honorów. – Nawet nie jestem w stanie powiedzieć, jak bardzo cieszymy się na wasz widok. Zostały nam tylko racje awaryjne i siedem procent tlenu. Płuczki przestały działać ponad miesiąc temu.

– Jaki jest wasz obecny stan osobowy, pani pułkownik? – spytał Parker.

– Czterysta siedemnaścioro wraz ze mną – odparła Mackey. – Trzysta osiemdziesięcioro troje cywilów, w tym sześćdziesięcioro dziewięcioro dzieci. Trzydzieścioro czworo wojskowych, głównie z Floty. Poza tym dziewiętnaście ciał, które ułożyliśmy na zewnątrz. Nie mamy miejsca na kostnicę.

– Jakich ciał? – chciałem wiedzieć. – Dlaczego nic nie widzieliśmy po wylądowaniu?

Pułkownik Mackey zrobiła najpierw zdziwioną, a później zatroskaną minę.

– W ciągu minionego roku zmarło dziewiętnaście osób. Większość w wyniku ran odniesionych podczas inwazji Dryblasów. Dwa samobójstwa. Już parę miesięcy temu wynieśliśmy ich na zewnątrz.

– Nie ma tam żadnych ciał – potwierdził kapitan.

Próbowałem sobie wyobrazić, co stało się ze zwłokami złożonymi przez kolonistów przed wejściem, i uznałem, że nie podobają mi się wizje, które podsuwał mi mózg.

– Rozdysponujmy oddycharki, a później spadajmy stąd w cholerę – oznajmił kapitan Parker. – Ten obszar nie został jeszcze zabezpieczony, a my nie mamy wystarczającej siły ognia, żeby poradzić sobie z kimś więcej niż tylko z nielicznymi maruderami.

– Nie zamierzam się spierać – odparła pułkownik. Gestem przywołała stojących w pobliżu wojskowych. – Tom, Adam, rozdajcie to jak najszybciej.

Rozdzielenie oddycharek zajęło dziesięć minut. Na szczęście wystarczyło ich dla wszystkich w schronie. Rozejrzałem się po

bunkrze, niewiele większym od pokładu lotniczego krążownika, i aż wzdrygnąłem się na myśl o spędzeniu roku w takiej ciasnocie wraz z ponad czterema setkami innych ludzi. Wyglądało jednak na to, że pułkownik Mackey pilnowała tu porządku, ponieważ nikt się nie przepychał ani nie narzekał, zupełnie jakby podczas długich miesięcy zamknięcia wielokrotnie ćwiczyli sytuacje awaryjne i ewakuacje.

– „Kaledonia” – powiedziałem do Mackey po tym, jak przekazaliśmy jej plan opuszczenia terenu. – Pani okręt został w zeszłym roku zniszczony na orbicie. Widziałem znacznik na diagramie taktycznym, gdy tędy przelatywaliśmy. Byłem na „Indianapolis” wraz z pułkownikiem Campbellem. Mówił, że uczyliście się razem w akademii.

– Owszem – odrzekła. – Czy „Indy” wchodzi w skład zespołu zadaniowego?

– „Indy” został zniszczony rok temu, gdy okręt nasienny przedarł się do Ziemi. Wiem, że pozostawała pani poza obiegiem.

– Zdecydowanie poza obiegiem. – Popatrzyła na naszywkę na swoim ramieniu. – Dotarliśmy na dół w kapsułach ratunkowych. Niektórzy z nas. Trzynaścioro z czterystu pięćdziesięciorga dziewięciorga. „Kaledonia” dostała prosto w reaktor i eksplodowała, gdy rozsyłaliśmy kapsuły.

– Przykro mi, pani pułkownik – odparłem. – Ale jeśli będzie to dla pani jakimś pocieszeniem, to właśnie im odpłaciliśmy. Zniszczyliśmy dwanaście okrętów nasiennych. Wszystko, co mieli na orbicie.

Mackey uśmiechnęła się, jednak ten uśmiech miał w sobie

smutną pustkę.

– To dobry początek – uznała.

Cywile naprawdę zostali dobrze przećwiczeni. Opuszczali schron w pośpiechu, lecz jednocześnie w porządku, choć wiedziałem, że po tak długim czasie spędzonym pod ziemią rwali się na zewnątrz. Wielu z nich wpatrywało się w martwych Dryblasów leżących w pobliżu w pyłe, na dziury wyrwane w ich grubych skórkach przez pociski z działek. Szefowie załogi ładowali ludzi do desantowców, szybko wypełniając rzędy siedzeń. Osa mieściła czterdzieści osób, a my mieliśmy jedynie po ośmioro żołnierzy na pokładzie, brakowało nam więc trzech okrętów, żeby zaokrętować wszystkich bez naruszania limitów wagowych i zasad bezpieczeństwa. Jednak regulamin był teraz ostatnią rzeczą, o jakiej wszyscy myśleli, i cieszyłem się, że dowodzący nami kapitan miał do tego podobne podejście.

– Pięćdziesiąt dwie osoby na ptaszka! – zawołał Parker do szefów załogi.

Ciężar nie odbiegałby zbyt od standardowego, ponieważ cywile nie nosili na sobie kilkudziesięciu kilogramów pancerza i broni, jednak przy dwudziestu dodatkowych pasażerach z pewnością zrobi się ciasno.

Żałowanie czterystu ludzi na wojskowe jednostki, na których nigdy nie przebywali, zajmowało trochę czasu. Niektórzy kręcili się i wyklócali, ponieważ rodziny chciały zostać razem na tych samych okrętach, zaś po szefach załogi po kilku minutach wyraźnie widziało się stres, jednak desantowce wypełniały się szybciej, niż przewidywałem. W rogu

wyświetlacza wciąż miałem otwarty ekran taktyczny, żeby wypatrywać kłopotów, choć źródła moich informacji ograniczały się do kamer na okrętach i w hełmach żołnierzy.

Wyczułem zbliżających się Dryblasów, zanim dostrzegłem ich w czerwonej mgle. Każdy z nich ważył ponad dwieście ton, więc cała grupa obcych sprawiała, że grunt pod stopami trząsł się od wibracji wywołanych ich krokami. Po rytmie, jaki wyczuwałem przez podeszwy butów, uznałem, że na naszą imprezę za chwilę wbije mnóstwo nieproszonych gości.

– Szybciej! – krzyknął kapitan Parker. Cywile nie zostali wyszkoleni do walki, ale potrafili wyczuwać nadciągające kłopoty. Gdy po inwazji siedzieli miesiącami w schronie, musieli wielokrotnie słyszeć maszerujących po powierzchni obcych. Uporządkowany dotąd proces uległ rozsypce, gdy ludzie zaczęli spieszyć się, żeby wejść na pokład Os. Szefowie załogi mieli ręce pełne roboty, a jeden musiał nawet wystrzelić z pistoletu w powietrze, by przywrócić choćby pozory ładu na swojej rampie.

– Kontakt! – zawołał jeden z pilotów. – Nieprzyjaciel przede mną, nadchodzi od wektora czterdzieści pięć. Odległość dziewięćset metrów.

– Do wszystkich, strzelać bez rozkazu. Mamy wiele celów na otwartym terenie – nadałem do pilotów.

„Wiele celów” wydawało się lekkim niedopowiedzeniem. Z pyłu na północnym wschodzie wyłoniły się dziesiątki Dryblasów, którzy nie podchodzili ostrożnie. Znali naszą pozycję i szli z wyraźnymi zamiarami. Wiedziałem, że żwawym tempem obcy mogli pokonać tych dziewięćset metrów w niecałe dwie

minuty.

– Musimy szybko wystartować, kurwa! – rozkazał kapitan. – Podnosimy się, gdy tylko Osy będą pełne. Musimy odlecieć natychmiast!

Żołnierze nie próbowali wsiadać na pokłady wraz z cywilami i nie trzeba im było rozkazywać, żeby zajęli stanowiska bojowe między desantowcami, które ustawiły się na płaskowyżu mniej więcej na planie półokręgu, z dziobami na zewnątrz, w dwudziestometrowych odstępach.

Wszedłem na miejscowy kanał obronny i podkręciłem moc nadawania do maksimum.

– Do wszystkich jednostek w powietrzu, do wszystkich jednostek w powietrzu. Tu Wydech Czerwony Jeden. Potrzebujemy priorytetowo bliskiego wsparcia lotniczego w sektorze Yankee Papa Pięć Dwa. Mamy tu ponad pięćdziesięciu zbliżających się nieprzyjaciół i czterystu ewakuowanych cywilów.

Desantowce pierwsze otworzyły ogień. Ponieważ znajdowały się na ziemi, nie mogły użyć ciężkich działek przeciwpancernych, które zamocowano na stałe do pancerza i celowano nimi, obracając cały okręt. Te Osy, które były skierowane w stronę Dryblasów, obróciły wieżyczki dziobowe i zaczęły strzelać z wielolufowych działek automatycznych. Setki, tysiące pocisków smugowych pokonały dystans i zaczęły wbijać się w nadciągających obcych. Przy odległości ośmiuset metrów więcej z nich odbijało się od grubych skór, niż wyrządzało jakiegokolwiek szkody. Owszem, linia Dryblasów zaczęła się przerzedzać, jednak nie dość szybko. Zranieni



skowyczeli i miotali się na ziemi, lecz pozostali omijali ich niczym rzeka opływająca przeszkody w swym nurcie. Niektórzy z żołnierzy PK dysponowali wyrzutniami MARS i przy pięciuset metrach z naszych pozycji obronnych wystrzeliły pierwsze rakiety.

– Wstrzymać MARS-y! – zawołałem na kanale kompanii. – Zaczekać, aż dojdą na dwieście metrów. I nie celować w czaszki, tylko w środek korpusu.

Przy akompaniamencie głośnych wystrzałów i wrzasków Dryblasów z oddali wszelkie resztki porządku przy rampach przeszły do historii, a cywile tłoczyli się przy desantowcach, wciskając w pozostałe miejsca. Bardzo wątpiłem, czy ktokolwiek przejmował się teraz pasami bezpieczeństwa. Na prawo ode mnie pierwszy okręt oderwał płozy od gruntu, w locie zamykając pochylnię. Widziałem, że między rzędami siedzeń znajdowali się stojący cywile, którymi za chwilę zaczniesz miotać jak luźnymi pociskami w skrzynce z amunicją.

– Wydech Czerwony Jeden, tu Orzeł Jeden Cztery – odpowiedział ktoś na lotniczym kanale taktycznym, na którym przed chwilą wzywałem pomocy. – Odebrałem twoje wezwanie priorytetowe. Jesteśmy trzydzieści kilometrów na północ od was i mamy rakiety powietrze–ziemia. – Pilot miał silny niemiecki akcent, uznałem, że prowadzi europejski desantowiec albo samolot szturmowy.

– Orzeł Jeden Cztery, jeśli możesz, to przyspiesz. Czekaj na dane PRC.

Zebrałem wszystkie informacje z kamer w wieżyczkach okrętów i hełmach żołnierzy, po czym nakreśliłem prostokąt na

swojej konsoli. Cyfrowa linia zachodniej granicy PRC znajdowała się praktycznie przed dziobami naszych okrętów, ale wiedziałem, że za kolejną minutę Dryblasy będą już przy nas. Nałożyłem znaczniki celów na dwunastu obcych w zmierzającym na nas tłumie.

– Będziemy strzelać niemal prosto w was – ostrzegł europejski pilot.

– Jestem tego świadom. Tylko utrzymajcie się w PRC. Bliskie niebezpieczeństwo, bliskie niebezpieczeństwo.

– Przyjąłem, Wydech Czerwony Jeden. Uderzenie za dwadzieścia sekund.

– Sojusznicze wsparcie lotnicze z kierunku trzysta pięćdziesiąt pięć! – zawołałem na kanale kompanii. – Uderzenie za dziesięć sekund. Kryć się, kryć się. Wszystkie desantowce, po starcie natychmiast zwrot na sterburtę.

Pierwszy okręt desantowy znajdował się już nad ziemią i na pełnym ciągu próbował nabierać wysokości. Drugi podnosił się właśnie z powierzchni, zgodnie z poleceniem obracając dziób, gdy tylko jego płozy oderwały się od pyłu. Nikt nie chciał znaleźć się na linii ognia pomiędzy strzelającymi sojusznikami a nieprzyjacielem.

Dryblasy znaleźli się już w odległości dwustu metrów i szybko się zbliżali. Stałem pięćdziesiąt metrów za ostatnim z linii desantowców, w wejściu do schronu, za pomocą konsoli kontrolera walki kierując bliskim wsparciem lotniczym i aktualizując dane celownicze dla nadlatujących pilotów, którzy przedzierali się przez osłonę chmur, żeby uratować nam tyłki. Na prawo i lewo ode mnie MARS-y z hukiem wysyłały swoje

szybkie rakiety w dal. Kolejni obcy padali na marsjańską glebę. Jednego trafiły dwie srebrne kule jednocześnie, obie w okolicach klatki piersiowej, i stwór wyglądał, jakby rozerwało go od środka. Przewrócił się na ziemię, rozpryskując kawałki skóry w kolorze skorupki jajka oraz żółtawo-białe płyny fizjologiczne, i poderwał wysoki obłok czerwonego pyłu.

Mogłem jedynie czekać na dotarcie rakiet, wymierzyłem więc karabin i wystrzeliłem zawartość magazynka w nacierającą grupę Dryblasów. Wiedziałem, że szło zbyt wielu nieprzyjaciół, żeby dało się ich zatrzymać bronią ręczną czy nawet obrotowymi działkami z Os. Gdy któryś z obcych upadał, inny przechodził nad jego ciałem i wypełniał lukę, a cały szereg stworów liczył przynajmniej sto metrów. Trzeci desantowiec podniósł się, po nim czwarty, a kroczący na przedzie Dryblasy dotarli już blisko pozostałych okrętów. Żołnierze nie byli w stanie dostać się na czas na pokłady i wiedziałem, że nawet gdyby mogli, nikt by nie próbował. Każdy zabijany przez nas obcy zmniejszał zagrożenie dla ewakuowanych cywilów. Nie miałem czasu wściekać się na kapitana Parkera za to, że kazał jednocześnie posadzić wszystkie Osy i zrezygnował z warty w powietrzu. Na jego miejscu podjąłbym taką samą decyzję, a resztą ostatecznie i tak nie miało to znaczenia. Znajdowałem się na tyłach, ponieważ chciałem do ostatniej możliwej chwili przekazywać walczącym aktualne dane, ale już wiedziałem, że jeśli szybko nie pojawi się pomoc, nie dotrę do ostatniego okrętu. Dryblasy nacierali niczym tsunami, powoli, lecz niepowstrzymanie. Podobnie jak wielu innych bitew, przebieg tej również wytyczyła jedna szybko podjęta decyzja.

Towarzyszący nam żołnierze PK w większości byli żółtodziobami, młodymi szeregowymi i kapralami tuż po szkoleniu, kierowanymi przez sierżantów bez zbytniego doświadczenia bojowego, ale utrzymywali pozycję i robili to, czego zostali nauczeni. Gdy szła na nich nieubłagana fala Dryblasów, zapewne czuli się jak średniowieczna piechota, na którą szarżowała kawaleria. Wciąż strzelali spomiędzy desantowców i modyfikowali szyk, gdy tylko kolejny okręt startował, zostawiając w szeregach żołnierzy lukę, jednak z każdą wznoszącą się Osą linia obrony stawała się coraz krótsza, a obcy nie padali dość szybko, nawet jeśli pociski z karabinów i srebrne kule z wyrzutni MARS co kilka sekund powalały jednego z nich.

Właśnie tak wygląda śmierć, pomyślałem. Za mną znajdował się schron, ale nawet do głowy mi nie przychodziło, aby ukryć się w nim przed hordą Dryblasów, którzy rozdepczą nas za trzydzieści sekund, wgniotą w marsjański pył, jakbyśmy byli dokuczliwymi insektami. Nie zostało tam dość powietrza, by poczekać na przybycie kolejnej grupy ratunkowej, a nawet gdyby zbiorniki z tlenem były pełne, moje miejsce znajdowało się tu, pośród żołnierzy PK. Przynajmniej odejdziemy szybko na otwartym terenie, zamiast dać się pogrzebać w mroku.

Mam nadzieję, że wyjdiesz z tego cało, pomyślałem w kierunku Halley. A przynajmniej każesz im za to słono zapłacić.

– Skrócić linię! – wrzasnął kapitan na kanale kompanii. – Wycofać się zespołami ogniowymi na pięćdziesiąt metrów, wysunięta obserwacja! Ruchy, ruchy!

Prezent od Europejczyków nadleciał w spektakularny sposób, zanim jeszcze zdążyłem dostrzec atakujące jednostki na ekranie. Wysoko nad naszymi głowami usłyszałem charakterystyczny tępy huk rozpadającej się amunicji kasetowej, a później na wysokości trzystu metrów pojawiło się wiele małych eksplozji. Sekundę czy dwie później ziemia przed naszym szeregiem zatrzęsała się od uderzeń setek penetratorów kinetycznych, które momentalnie wywarły efekt na napierających obcych. Dziesiątki stworów upadły w pył, porzebijane twardymi, zaostrozonymi prętami z wolframu, które spadły z nieba, a wielu pozostałych wydało z siebie przenikliwe skowyty, gdy ich również zraniły pociski. Wciąż jednak zostało zbyt wielu obcych, a palba naszych karabinów i wyrzutni nie dość szybko dziesiątkowała pozostałych nieprzyjaciół. Tak wielu Dryblasów. Byliśmy jak grupka królików próbujących powstrzymać stado szarżujących byków.

– W celu! – wrzasnąłem na kanale lotniczym. – Zróbcie to jeszcze raz!

– Za blisko dla kinetyki kasetowej – odpowiedział Orzeł Jeden Cztery swym niemieckim akcentem. – Widzimy wasz PRC. Rozpoczynamy ostrzał w locie.

Pociski doleciały, zanim zdążyłem usłyszeć terkot działek samolotów, które je wypuściły. Nie był to piekielny zgrzyt przeciwpancernej broni Dzierzb, lecz raczej piskliwe szczekanie przy niższej szybkostrzelności. Serie z dwóch jednostek szturmowych przeorały niewielkimi eksplozjami ocalałych obcych i kolejni z nich padli na ziemię, wrzeszcząc i szamocząc się. Piąta i szósta Osa uniosły się w powietrze i z rykiem silników

na wysokich obrotach popędziły na południe na niskim pułapie, bezpieczne przed zbliżającymi się Dryblasami, lecz pozostali żołnierze stracili osłonę i wsparcie ogniowe ze strony ich wieżyczek dziobowych. Samoloty Eurokorpusu przemknęły z hukiem po ołowianym niebie siedemdziesiąt metrów nad nami, smukłe maszyny z szarym lakierem i Krzyżami Żelaznymi namalowanymi na skrzydłach i kadłubach.

– Ptak Siedem w powietrzu! – zawołał kapitan Parker na kanale kompanii. – Cofnąć się zespołami ogniowymi, osłona i ruchy. Już, już!

Przynajmniej dziesięciu Dryblasów wciąż żyło i szło na nas, a najbliższy z nich znajdował się mniej niż pięćdziesiąt metrów od wysuniętej linii obrony. Żaden z żołnierzy przede mną nie próbował uciekać, wszyscy strzelali z karabinów do szarżujących nieprzyjaciół. Po uderzeniach w ciało stwora widziałem, że wypuszczano zwykłe pociski przeciwpancerne, nie srebrne kule, i Dryblas przyjął na siebie sześć z nich, zanim potknął się i upadł przed nami na jedno kolano. Ku mojemu osłupieniu jeden z kosmicznych piechociarzy podbiegł do nieprzyjaciela, zanim ten się otrząsnął, wycelował M-95 w górę i wypuścił cztery szybkie strzały w żuchwę stwora, jedyną część wielkiego łba, która nie była równie solidna jak kadłub pieprzonego lotniskowca. Przeciwpancerne pociski nie miały dość energii, żeby wyjść górą głowy obcego, ale wystarczyły, żeby zniszczyć to, na co natknęły się w środku. Dryblas natychmiast przewrócił się w gejzerze czerwonego pyłu. Nie wiedziałem, czy ten niesłychanie szalony lub obłąkany żołnierz zdążył się odsunąć przed walącym się kolosem, bo moja uwaga

była teraz skierowana gdzie indziej, ponieważ Dryblasy przemykali obok mnie z obu stron. Jeden zamachnął się nogą, odrzucając cały zespół ogniowy PK na bok, w skłębioną chmurę piachu pokrywającą teraz płaskowyż. Wycelowałem i strzeliłem wrogowi w bok, tuż pod pachą. Stwór wrzasnął i zaczął się ku mnie obracać, pozwalając mi wypuścić pocisk w jego korpus. Przeładowałem M-90 i strzeliłem obcemu w tułów ładunkiem gazowym, a później jeszcze raz. Dryblas zamachiwał się właśnie na mnie długą pajęczą łapą, gdy gaz detonował. Stwór krzyknął i zwałił się na bok. Nie zostałem na miejscu, by przekonać się, czy otrząśnie się i pogoni za mną, zamiast tego odwróciłem się i pobiegłem w kierunku ostatniego desantowca, który właśnie podkręcał obroty i unosił tylną rampę.

Okręt wszedł już na piętnaście metrów i szybko się wznosił, gdy jeden z Dryblasów wyciągnął ramię i uderzył nim w ogon maszyny. Osa zatrzęsała się i gwałtownie obróciła wokół osi pionowej. Pilot próbował odzyskać kontrolę, ale desantowiec znajdował się zbyt nisko. Statecznik poziomy na sterburcie wbił się w skalistą glebę, po czym okręt przetoczył się i uderzył w ziemię, z silnikami wciąż działającymi na pełnym ciągu. Dryblas nie ustąpił. Wielką trójpalczastą kończyną nastąpił na ogon Osy i przycisnął do gruntu, całkowicie miażdżąc tylną część. Wycelowałem w plecy Dryblasa i nacisnąłem spust, ale okazało się, że moja broń jest już pusta. Wykrzyczałem przekleństwo, wyrzuciłem zużyty magazynek i wyciągnąłem nowy z upręży, po czym wcisnąłem go do karabinu i wprowadziłem pocisk do komory.

Desantowiec eksplodował ze straszliwym hukiem. Fala

uderzeniowa cisnęła mną w tył, uderzyłem mocno o coś twardego. Marsjański pył wisiał tak gęsto w powietrzu, że ledwie dostrzegałem własne dłonie. Na wyświetlaczu w hełmie wyskakiwały liczne żółte i czerwone ostrzeżenia informujące o uszkodzonych modułach pancerza. Poniewczasie przypomniałem sobie o funkcji kamuflażu polichromatycznego, uruchomiłem go więc z nadzieją, że nie był jednym z niesprawnych systemów. Filtr wizjera posłusznie zmienił jednak zabarwienie, dając mi znać, że jestem teraz niemal niewidzialny, i gdy uniosłem rękawicę przed hełm, zobaczyłem jedynie jej zarys.

Eksplozja rzuciła mnie na resztki ściany zniszczonego schronu, kawał żelazobetonu wystający nie więcej niż na metr nad ziemię. Przeturlałem się nad przeszkodą i schowałem za nią, po czym znieruchomiałem i zamknąłem oczy, aby sprawdzić, ile zostało mi kończyn i jaki był ich status. Pancerz przyjął na siebie większość siły uderzenia, ale robalowych skorup nie konstruowano pod kątem wytrzymałości, więc miałem paskudnie obite biodro i plecy.

Po drugiej stronie murku odgłosy bitwy przycichły. Nie słyszałem już strzałów, skowytów Dryblasów czy hałasu silników. Na szczęście siedem desantowców poderwało się z ziemi, powtarzałem sobie. Dochodziły do mnie wibracje ciężkich kroków ocalałych obcych krążących po okolicy. Jeden podchodził powoli do mojej kryjówki. Zacząłem rozglądać się za karabinem, ale zniknął, wyrwała mi go z rąk siła wybuchu. Nawet nie próbowałem sięgać po pistolet. I tak nie zdołałbym zranić nim Dryblasa, a pomimo elektronicznego kamuflażu nie



chciałem zdradzać się ruchem.

Obcy przeszedł nad resztkami budynku i postawił stopę po drugiej stronie ścianki, tak blisko mnie, że mogłbym jej dotknąć. Przystąpił nade mną i odszedł.

Leżałem nieruchomo na plecach, dopóki przestałem słyszeć w oddali kroki nieprzyjaciół. Wtedy postanowiłem poleżeć jeszcze chwilę, tak na wszelki wypadek. Ekran w hełmie pokazywał siedem desantowców w powietrzu, pędzących w stronę względnie bezpiecznego Portu Kosmicznego Olympus i eskortowanych przez trzymające się blisko za nimi samoloty szturmowe Eurokorpusu. Jednak na ziemi w Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt pozostałem jako jedyna niebieska ikona.

Podniosłem się piętnaście minut później i wyjrzałem zza resztek muru. Pył podniesiony podczas walki już w większości opadł. Wysadzonego desantowca nie dałoby się rozpoznać po kształcie. Szczątki Osy zostały rozrzucone na obszarze kilkuset metrów i część z nich wciąż płonęła. Na ziemi leżały ciała, niektóre spalone, większość rozerwana na kawałki. Paskudne pozostałości potężnej eksplozji.

Wszedłem na kanał kompanii, a potem na lokalny kanał lotniczy, ale słyszałem wyłącznie ciszę. Uruchomiłem diagnostykę robalowej skorupy i komputer poinformował mnie, że system łącznościowy nie działa, a z wbudowanego zbiornika powoli wycieka tlen i samohermetyzująca się wyściółka nie jest w stanie całkowicie załatać dziury. Zszedłem do siedemdziesięciu procent, lecz przy wycieku miałem zużycie wyższe niż zwykle – system obliczał, że jeśli nie będę

podejmował zbytniego wysiłku, zużyję dziesięć procent na godzinę. Znajdowałem się pięćdziesiąt kilometrów za liniami wroga, nie miałem jak porozumieć się z sojusznikami, by poinformować ich, że wciąż żyję, i brakowało mi tlenu na powrót do bezpiecznego terytorium.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu broni. Wokoło leżało mnóstwo karabinów i wyrzutni MARS. Niektórzy żołnierze PK chyba próbowali dostać się na ostatni okręt i trafili w obszar wybuchu, ponieważ widziałem jedynie osiem ciał w stosunkowo nienaruszonych pancerzach. Podniosłem M-95 wyglądający na nieuszkodzony i kazałem komputerowi robalowej skorupy, żeby sprawdził go elektronicznie. Gdy test zakończył się pozytywnie, wyjąłem pusty magazynek i uzupełniłem zapasy z upręży martwych kompanów.

Przy trupie jednego z powalonych Dryblasów dostrzegłem jakiś ruch i momentalnie wymierzyłem tam nowo zdobytą broń. Był to wpełzający z gruzów żołnierz PK, ten sam, który zabił obcego, strzelając mu od dołu w łeb. Gdy podszedłem i piechociarz odwrócił się na odgłos moich kroków, okazało się, że mam przed sobą żołnierkę. Spojrzała na mnie z twarzą, na której malowało się ogromne zmęczenie. Czuję się podobnie, jak ona wyglądała.

– Wstańcie. – Wyciągnąłem dłoń.

Pozwoliła postawić się na nogi.

– Jesteście w jednym kawałku? – spytałem.

Skinęła głową i rozejrzała się.

– Nie widzę swojego karabinu.

– Pewnie jest pod jego głową. – Wskazałem martwego

Dryblasa. – To była chyba najbardziej imponująca eliminacja wroga, jaką widziałem.

– Widział pan? – Uśmiechnęła się słabo. Insignia na pancerzu identyfikowały ją jako młodszego chorążego, a na tabliczce widniało nazwisko „Crawford K.”.

– Mam to nagrane. Jeśli wrócimy, wystąpię o jakąś blaszkę dla was.

Chorąży Crawford znów uśmiechnęła się blado.

– Jeszcze dwadzieścia blaszek i będę mogła dostać kawę w klubie podoficerskim.

– Sprawdźcie pancerz, czy macie łączność i tlen.

Przez kilka sekund skupiała się na wyświetlaczu hełmowym.

– Mam tlen. Łączność i dane się spieprzyły.

– U mnie prawie tak samo. Tyle że mam łącze danych bliskiego zasięgu.

– To jaki jest plan, poruczniku?

Crawford zrobiła kilka kroków, nagle zatrzymała się i pochyliła lekko, krzywiąc twarz.

– Jesteście ranni?

– Pancerz mówi, że zламаłam kilka żeber. Za chwilę powinny odpalić leki. – Ruszyła dalej w stronę, z której przyszedłem. Po krótkich poszukiwaniach podniosła z ziemi karabin i sprawdziła stan jego naładowania.

– Dane bliskiego zasięgu mają zasięg najwyżej dwadzieścia kilometrów – powiedziałem. – Plan wygląda tak, że idziemy z buta, aż dotrzemy w okolicę naszych wysuniętych linii. Oby wtedy komuś wyskoczyły na tak-łączu nasze ikony i przyszedł sprawdzić, co jest grane.

– Przez terytorium kontrolowane przez Dryblasy – odparła Crawford. – Z dwoma karabinami i w rozwalonych pancerzach.

– Dzień jak co dzień w piechocie.

– Nie jestem z piechoty. A przynajmniej nie zazwyczaj. Przydzielili mnie do piechoty trzy miesiące temu. Trzeba było skądś powyciągać trepów.

– A jaka jest wasza główna specjalizacja?

– Jeden pięć jeden. Administracja. Obsługuję bazy danych w zaopatrzeniu batalionu.

– Logistyka. – Wyszczrzyłem się. – Tego Dryblasa załatwiła urzędniczka z logistyki.

Chorąży Crawford popatrzyła na martwego obcego, któremu wywaliła mózg czterema pociskami przeciwpancernymi.

– Na to wychodzi. W tamtej chwili wydawało mi się to dobrym pomysłem, sir.

Roześmiałem się głośno.

– Dzisiaj nie jesteście zaopatrzeniowcem, tylko kapsłem.

## Rozdział 17

# Niebezpieczny teren

Przed wyruszeniem w drogę rozejrzeliśmy się po okolicy w poszukiwaniu przydatnego sprzętu. Żaden z martwych żołnierzy PK nie miał już całego pancerza, nie mogłem więc po prostu zamienić robalowej skorupy na standardową zbroję. Przynajmniej amunicji mieliśmy pod dostatkiem. Ani chorąży Crawford, ani ja nie chcieliśmy obciążać się wyrzutnią MARS, ponieważ ważyła ona piętnaście kilogramów i była cholernie niewygodna, gdy trzeba było się szybko przemieszczać. Zresztą wątpiłem, co dodatkowa rakietka lub dwie zmieniłyby w sytuacji, gdybyśmy wpadli na dziesięciu Dryblasów. Wypełniliśmy więc kieszenie magazynkami i uzupełniliśmy zapasy wody z zasobników martwych kompanów. Sprawdziłem, czy zebrałem wszystkie nieśmiertelniki z ciał, zarówno te elektroniczne, jak i okrągłe metalowe płytki identyfikacyjne noszone przez każdego żołnierza na szyi. Nie przeszukaliśmy wszystkich szczątków w resztkach desantowca, ponieważ żadne z nas nie czuło się na siłach, by przez następnych kilka godzin oddzielać kosmicznych piechociarzy od cywilów. Wśród ewakuowanych były też dzieci i nie chciałem przekonywać się, czy niektóre z nich znalazły się na ostatnim okręcie. Obcych oczywiście gównem to obchodziło – nawet jeśli rozróżniali ludzki wiek, nie miało to dla nich znaczenia – i moja wcześniejsza odrobinka empatii wobec nich

stopniała niczym kostka lodu na rozgrzanej przez słońce płycie pancerza.

– Sprawdźmy schron, skoro już tu jesteśmy – zaproponowała Crawford.

– Nie będzie tam wiele – odparłem. – Zanim przylecieliśmy, działali już na oparach, pamiętacie?

I nagle przypomniałem sobie kilka szczegółów z chwili, kiedy wcześniej otworzyliśmy śluzę i zajrzałem do wnętrza bunkra.

– Moment – stwierdziłem. – Może jednak uda nam się oszczędzić trochę biegania.

Sprzęt łączności w schronie do niczego się nie nadawał. Ktoś, kto zarządzał ewakuacją stacji po naszym przybyciu, zachował się podręcznikowo i najpierw wyjął moduł kodujący, a później trzepnął kilka razy główną konsolę toporem strażackim. Nie mogliśmy użyć radiostacji, żeby wezwać transport, jednak przy głównym włączniku parkowało kilka elektrycznych terenówek. Wyglądały na zakurzone, lecz wciąż miały wpięte przewody zasilające.

– Mam szczerą nadzieję, że na wszelki wypadek trzymali je naładowane – powiedziała chorąży.

– Ja też. Nie przepadam za długimi spacerami po wrogim terenie.

Wskoczyła do jednego z pojazdów, po czym uruchomiła ekran kontrolny.

– Alleluja! – oznajmiła. – Baterie na osiemdziesiąt dziewięć procent. Sześćdziesiąt kilometrów jazdy przy prędkości sześćdziesiąt.

– Wspaniale – odparłem. – Możemy uznać resztę dnia za udaną.

– Bez urazy, sir, ale nie uznaję reszty dnia za udaną, dopóki nie wezmę przyjemnego gorącego prysznica w bazie.

Załadowaliśmy dwa samochody bronią i zapasową amunicją. Crawford była niższa ode mnie, znalazła więc miejsce na wyrzutnię MARS i dwie srebrne rakiety, które przypięła do siedzenia za sobą elastycznymi opaskami. Pojazdy zaprojektowano na dwóch pasażerów, ale woleliśmy wziąć po jednym na głowę, w razie gdyby któryś zepsuł się na środku marsjańskiej równiny. Nie jeździłem czymś takim od paru miesięcy, ale to i tak lepiej niż chorąży, która ostatnio siedziała za kierownicą terenówki kilka lat wcześniej, musiała więc przejechać się na próbę po kompleksie naukowym, żeby przypomnieć sobie sterowanie.

– Chyba już ogarniam – stwierdziła, gdy podjechała do mnie kilka okrążeń później.

– Wasza nakładka mapowa wciąż działa?

Sprawdziła komputer w skorupie.

– Tak, sir.

– No dobrze. – Zerknąłem na własną. – Kosmoport leży w odległości pięćdziesięciu jeden kilometrów, w kierunku dwieście sześćdziesiąt dziewięć stopni. Będziemy musieli pojechać nieco dłuższą trasą z powodu topografii. Widzicie to wzgórze w połowie drogi, dziesięć kilometrów na południe, to oznaczone jako osiemnaście-osiemnaście?

– Tak.

– Objedziemy je od północy, wdrapując się akurat na tyle, by widzieć dolinę. Jeśli się da, będziemy pędzić pełnym gazem, ale lepiej nie wjechać przy tym na głąz albo do parowu. I trzymajmy się w polu widzenia, bo bez radia nie będziemy wiedzieć, czy temu drugiemu zepsuł się pojazd albo coś innego go nie opóźniło. Standardowe gesty piechoty. Pamiętacie je?

– Tak jest, sir.

– A jeśli Dryblasy wleżą nam na ogony, jedźcie w dół zbocza. Terenówki mogą ich co prawda przegonić, ale tylko ledwo-ledwo. Jeśli zostaniemy rozdzieleni przez nieprzyjaciela, nie czekajcie na mnie. Jedźcie do bazy i każcie im przysłać wsparcie lotnicze.

– Rozumiem. – Rozejrzała się po okolicy, po zniszczonym desantowcu i rozrzuconych wszędzie ciałach. – Tak szczerze mówiąc, sir, to cholernie się boję.

– Ja też – odrzekłem. – Wojna jest do dupy. Nie pozwólcie, żeby trepy wmówili wam coś innego. Jest nienaturalna. Każdy, kto się nie boi, jest kandydatem na jebanego psychola.

– Na pewno już nigdy nie będę marudzić na nudną robotę w logistyce.

Uśmiechnąłem się do dziewczyny i wskazałem na zachód.

– Ruszajmy. Czeka na was gorący prysznic.

Wyjechaliśmy z placówki naukowej, zostawiając za sobą małe, lecz krwawe pole bitwy, na którym zalegały dziesiątki martwych stworów i ludzi. Terenówki zostały przystosowane do warunków marsjańskich, czyli miały duże opony z grubym bieżnikiem i nieco wyższy prześwit niż ich ziemskie



odpowiedniki, lecz przez to ich środek ciężkości leżał trochę wyżej, zanim więc przyzwyczaiałem się do sterowania, niemal dachowałem w rowie.

Sunęliśmy na przełaj, co na Czerwonej Planecie oznaczało jazdę po pagórkowatej, skalistej okolicy, wyglądającej jak miejsca, które na Ziemi nazywano zwykle „Zadupie” albo „Coś Tam Śmierci”. Pojazdy mogły na pełnym gazie osiągnąć osiemdziesiąt na godzinę, ale ta wartość dotyczyła twardej drogi, a tutaj równałaby się samobójstwu. Kluczyliśmy zatem między skałami i po zwirowiskach, jadąc trzydzieści, czterdzieści, czasami pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Rozglądałem się po horyzoncie w poszukiwaniu Dryblasów, ale przez dłuższy czas nie dostrzegałem nic poza głazami i tumanami pyłu. Samochody posłusznie pokonywały dystans, a stan baterii na wyświetlaczach opadał powoli w miarę wyczerpywania się wydajnych ogniw. Co kilka kilometrów zatrzymywaliśmy się i porównywaliśmy namiary mapowe, żeby mieć pewność, iż nie zjechaliśmy na ślepo z kursu.

Pierwszych obcych podczas tej podróży zauważyliśmy, jadąc po północnym zboczu Wzgórza 1818. Szli przez równinę kilometr od nas, oddalając się od kosmoportu i zmierzając ku stacji, którą opuściliśmy przed półgodziną. Gdyby system łączności w moim panczerzu działał, mógłbym wezwać jednostki powietrzne, które wciąż słyszeliśmy ponad pokrywą chmur, i zmasać tych gnojków z powierzchni, ale byłem bezradny jak nigdy dotychczas w trakcie wypadu zwiadowczego. Trzydzieści kilometrów na zachód od nas znajdowała się baza z dziesiątkami desantowców i samolotów szturmowych, ale

równie dobrze mogłyby one latać teraz na orbicie wokół Luny, bo i tak nie mieliśmy jak ich wykorzystać.

Gdy objechaliśmy Wzgórze 1818 i zaczęliśmy zjeżdżać po jego zachodnim skraju, niemal wpadliśmy na grupę Dryblasów, którzy wspinali się w przeciwnym kierunku. Dostrzegliśmy ich dopiero, gdy wyłoniliśmy się zza załomu, i oboje wcisnęliśmy gwałtownie hamulce, zatrzymując się z poślizgiem. Obcy, oddaleni o sto metrów, wydali się nas zauważyć w tej samej chwili. Było ich sześciu i dwaj idący na czele zmienili kierunek marszruty, żeby ruszyć prosto na nas.

– Potrafią wyczuwać silniki elektryczne! – zawołałem do Crawford. – Jedźcie w prawo i z górki, skręćcie w lewo, gdy znajdziecie się na dole. Ja ruszam w lewo. Rozdzielimy ich. – Podkreśliłem rozkazy gestami, jak miałem nadzieję jednoznacznymi. „Tędy”, „szybko”. Chorąży Crawford wyglądała na przerażoną, ale skinęła głową i znów przełączyła bieg w terenówce, po czym wystrzeliła w dół, a ja podkręciłem obroty, żeby pojechać w przeciwnym kierunku.

Improwizowany plan zadziałał – poniekąd. Dryblasy rozdzielili się, idąc za sygnaturami promieniowania z naszych pojazdów. Dwóch skręciło w lewo, kursem kolizyjnym ze mną. Czterech pozostałych ruszyło w prawo za Crawford, która wzbijała za oponami chmury czerwonego pyłu, pędząc gazem w dół zbocza. Skorygowałem trajektorię lekko w lewo. Dysponowaliśmy przewagą prędkości, ponieważ jechaliśmy z górki, a wrogowie przemieszczali się teraz równolegle do wzniesienia. Nie potrzebowałem komputera balistycznego, by stwierdzić, że przegonię obcych w drodze na dół, ale widziałem,

że nie będzie to zdecydowane zwycięstwo. Poniewczasie uświadomiłem sobie, że gdybyśmy oboje jechali jednym pojazdem, jedno z nas mogłoby strzelać, podczas gdy drugie prowadziło, ale jednocześnie odbiłoby się to na naszej szybkości i pozbawiło rezerwy sprzętowej. Obecnie mogłem martwić się jedynie okienkiem przestrzeni i czasu przed sobą, niewidzialnym polem, przez które musiałem przemknąć w ciągu kolejnych dziesięciu sekund, żeby wydostać się z zasięgu Dryblasów. Dwóch po mojej prawej przyspieszyło, ale poruszali się wolniej niż na płaskim terenie, ponieważ szli w poprzek wzniesienia nachylonego o dwadzieścia pięć stopni. Przy ich rozmiarach oznaczało to sporą różnicę wysokości pomiędzy prawą i lewą stopą, wskutek czego ich chód był nierówny i niepewny.

Terenówka pędziła znacznie szybciej, niżbym kiedykolwiek ośmielił się jechać, gdyby nie gonili mnie obcy. Jednym z przednich kół najechałem na stertę kamieni i autem zarzucało przez kilka przerażających sekund. Zapanowałem nad pojazdem, dobrze świadom, jak niewiele dzieliło mnie od dachowania. Jeśli się rozbiję, momentalnie złamię sobie kark i zginę, zanim Dryblas zdąży mnie rozdeptać albo rozerwać na pół.

Przemknąłem obok nieprzyjaciół o włos. Pierwszy idący z przodu zamachnął się wielką łapą. Kończyna przemknęła tuż obok pojazdu, tak blisko, że poczułem podmuch poruszonego powietrza. Zmieniłem kurs lekko na prawo, żeby obcy poruszali się pod niewygodnym dla nich kątem, gdyby spróbowali zawrócić i mnie gonić. Nie odważyłem się spojrzeć w lusterka.

Podobnie jak wtedy, gdy mknąłem w kapsule przez pole minowe, skupiałem się na tym, co bezpośrednio przede mną, bo wtedy nie mogłem zobaczyć, że zaraz może mnie dopaść śmierć. Minęło dziesięć sekund, później dwadzieścia. Zbocze Wzgórza 1818 przechodziło dalej łagodniejszym spadkiem w równinę, ale stok kończył się parowem i musiałem zwolnić, jeśli nie chciałem spaść za jego krawędź. Zmniejszyłem prędkość i obróciłem kierownicę, żeby pomknąć dalej wzdłuż wąwozu. Gdy poświęciłem sekundę, żeby zerknąć w bok, dostrzegłem, że obcy wciąż znajdowali się w połowie wzgórza. Wznowili wspinaczkę, najwyraźniej uznawszy, że zwierzyna nie jest warta ich zachodu.

Crawford miała niesprawne łącze danych, więc jej niebieska ikona nie pojawiała się na moim wyświetlaczu. Gdy zjeżdżałem łagodnie do parowu, nie widziałem przed sobą nic poza skalistym zboczem. Wspiąłem się na drugą stronę wąwozu i znów przyspieszyłem, w razie gdyby obcy zmienili zdanie i uznali mnie jednak za pożądanego cel.

Kilometr od rozpadliny teren znów się wyrównał na tyle, że widziałem na więcej niż kilkaset metrów przed sobą. Zwolniłem i spojrzałem na prawo. W oddali, jakieś osiemset czy dziewięćset metrów od siebie, dostrzegłem samotną terenówkę pędzącą po kamienistej równinie i odetchnąłem z ulgą.

Z tego miejsca widziałem już na horyzoncie zarys oddalonego o piętnaście kilometrów miasta Olympus. Zerknąłem na ekran i uznałem, że za jakieś dwadzieścia kilometrów powinienem znaleźć się w zasięgu łącza danych. Zazaczyłem ostatnią znaną lokalizację Dryblasów, na których się natknęliśmy, żeby

komputer mógł ją przekazać do sieci, gdy tylko się z nią połączę.

Obcy, którym się wymknąłem, kontynuowali wejście na wzniesienie, powoli i miarowo, jakby nie gonił ich czas. Przełączyłem terenówkę z powrotem w tryb jazdy i wcisnąłem gaz. Może zdołam na tyle szybko znaleźć się w zasięgu łączności, że jakiemuś pobliskiemu samolotowi ich pomarańczowe ikony wyskoczą na ekranie i popsuje nieprzyjacielowi ten leniwy nastrój.

Dotarłem już na niewiele ponad dziesięć kilometrów od kosmoportu, gdy jednocześnie wydarzyły się dwie niekorzystne rzeczy: najpierw dostrzegłem kolejną grupę Dryblasów wychodzących z parowu i idących przez równinę w kierunku Wzgórza 1818, a zaraz potem moja terenówka zakrzuszyła się z powodu skoków napięcia w silniku elektrycznym. Prędkość spadła do trzydziestu kilometrów na godzinę, po czym wróciła do pięćdziesięciu. Gdy znów opadła, musiałem toczyć się zaledwie dwadzieścia pięć na godzinę, za mało, żeby przegonić obcych, a trzech z nich pojawiło się właśnie na płaskowyżu niespełna dwa kilometry ode mnie. Nie wiedziałem, czy już wyczuli moją obecność, ale nawet jeśli nie, ich bieżąca trasa na wzniesienie prowadziła przez obszar, na którym mój pojazd właśnie wyrzygiwał swoje elektryczne wnętrzości.

Wiedziałem, że chorąży jechała jakieś kilka kilometrów na północny wschód ode mnie, zapewne najszybciej jak mogła, lecz dzielił nas grzbiet niewysokiego pagórka, więc nie mogła mnie zauważyć, nawet gdybym wrzeszczał i machał jak idiota. Skręciłem na prawo, żeby oddalić się od Dryblasów, ale ledwo

zdażyłem oddalić się na dwieście metrów od wcześniejszego kursu, gdy silnik po prostu zdechł, bez specjalnych odgłosów czy dramatycznych efektów. Nagły brak elektrycznego szumu wydawał się niemal jak hałas. Przerośnięte opony przestały toczyć się z chrzęstem po marsjańskim żwirze.

Mój ekran taktyczny pokazywał sporo jednostek latających, które startowały i lądowały z kosmoportu. Gdybym dysponował łącznością radiową, mógłbym wezwać bliskie wsparcie lotnicze w postaci okrętu desantowego albo klucza Dzierzb, żeby unieszkodliwiły zbliżających się wrogów, ale miałem jedynie łącze danych, a transmisje za jego pośrednictwem pozwalały na maksymalny zasięg osiem do dziesięciu kilometrów w idealnych warunkach. Teraz znajdowałem się tuż poza tym dystansem i wciąż nie byłem w stanie połączyć się z najbliższymi siłami WPA, a większość ruchu powietrznego oddalała się ode mnie w kierunku Plaży Pomarańczowej. Chciałem wołać o pomoc, ale nie miałem głosu, który sięgnąłby tak daleko, żeby ktokolwiek mnie usłyszał.

Wsiadłem z pojazdu i wypiąłem karabin z tylnego fotela. Crawford miała dobre przeczucie, zabierając wyrzutnię MARS, a ja przekląłem swoją decyzję, żeby jej nie wziąć. Nawet jedna srebrna rakieta przechyliłaby szalę zwycięstwa w obliczu trzech obcych kroczących ku mnie przez równinę, oddalonych teraz o półtora kilometra i zbliżających się bez pośpiechu. Dysponowałem tylko karabinem M-95 oraz kilkoma magazynkami, które musiały wystarczyć.

Oparłem broń na siedzeniu i wymierzyłem w kierunku Dryblasów, nawet z tego dystansu górujących nad brązowym

żwirem, po czym wprowadziłem nabój do komory. Miałem problemy z łącznością, ale system podtrzymywania życia wciąż działał, podobnie jak komputer balistyczny. Pozwoliłem, by oprogramowanie celownicze określiło maksymalny skuteczny dystans w oparciu o ciśnienie powietrza, grawitację, temperaturę i kilkanaście innych czynników.

„Poza zasięgiem” – poinformował mnie wyświetlacz.

– Już niedługo – mruknąłem do siebie.

Pod siedziskami pojazdu umieszczono małą skrzynkę z wyposażeniem awaryjnym. Zostawiłem karabin na fotelu i po chwili grzebania zdołałem otworzyć pudło. W środku znalazłem zestaw pierwszej pomocy, koc termiczny, dwulitrowy bidon z wodą i standardową przejściówką do pancerza, a także raketnicę z pięcioma silnymi nabojami sygnałowymi.

„Odległość 1258 m” – głosił teraz ekran w hełmie, a celownik broni spoczywał na pierwszym ze zbliżających się obcych. Wciąż szli powoli, kiwając głowami od lewej do prawej, z każdym krokiem pokonując niemal dziesięć metrów. Nie dotarli jeszcze na tyle blisko, żebym wyczuwał wibracje wywołane ich stopami, lecz wiedziałem, że to już nie potrwa długo.

Gdybym zaczął strzelać racami, byłoby zupełnie tak, jakbym zapalił sobie nad głową wielki billboard, mrugającą strzałką wskazującą prosto na mnie. Jednak za chwilę wrogowie i tak dotrą na tyle blisko, że dostrzegą terenówkę, a nie miałem w pobliżu zbyt wielu elementów terenu, za którymi mógłbym spróbować się ukryć.

Uznałem, że nie dam się rozdeptać na naleśnik, uciekając

przed tymi bydlakami, a jeśli któraś z jednostek latających dostrzeże moje flary, być może desantowiec albo samolot lotniczy postanowią bliżej przyjrzeć się okolicy. Wyciągnąłem sygnałówkę ze skrzynki, załadowałem i wycelowałem mniej więcej w kierunku pomiędzy chorąży Crawford a kosmoportem, po czym pociągnąłem za spust. Raca pomknęła łukiem w niebo i eksplodowała w olśniewającym czerwonym pokazie pirotechnicznej magii. Towarzyszył temu odgłos, ostry huk, który poniósł się po marsjańskim krajobrazie niczym hałas po wybuchu małego pocisku artyleryjskiego. Wiedziałem, że rakietka sygnalizacyjna miała także dodatkowe elementy wyposażenia – sygnał elektroniczny, który pokaże się na wszystkich ekranach taktycznych w promieniu dziesięciu kilometrów oraz generator szumu radiowego, który odezwie się w urządzeniach łącznościowych w jeszcze większej odległości. Wyjąłem pozostałe cztery flary z pudełka i jedna po drugiej wystrzeliłem w ciemniejące niebo. Trzaski ich detonacji odbiły się echem od pobliskich zboczy.

Obcy, znajdujący się teraz kilometr ode mnie, zareagowali na to podniesieniem głów w niebo, gdzie rozkwitły jaskrawe kolory ładunków, niemożliwe do przegapienia na dystansie pięciu kilometrów, chyba że ktoś był ślepy i głuchy. Nie wiedziałem, w jaki sposób Dryblasy potrafili rozeznąć się w środowisku bez użycia oczu, ale świetnie wyczuwali ludzi, a także nasze mechaniczne i elektroniczne zabawki. Przyspieszyli kroku i lekko zmienili kurs, kierując się nieco na prawo ode mnie. Po opróżnieniu raketnicy odrzuciłem ją na bok i znów przyklęknąłem za opartym karabinem.



„Odległość 944 m. Poza zasięgiem”.

Pociski przeciw Dryblasom miały balistyczne zaślepki na paskudnie wyglądających igłach penetrujących, ale były ciężkie i nie dysponowały mocnym ładunkiem miotającym, nie przebyłyby zatem więcej niż czterysta metrów. Wciąż celowałem w idącego na czele obcego i obserwowałem niebo w poszukiwaniu jednostek lotniczych, które mogły dostrzec race.

No dalej, pomyślałem. Jak mogliście przegapić takie fajerwerki?

Napastnicy zbliżyli się na osiemset, siedemset, wreszcie sześćset metrów. Wyciągnąłem zapasowe magazynki z pancerza, żeby przyspieszyć nieuniknione przeładowanie. Z tego, co wiedziałem, nikt nigdy nie zdołał powstrzymać trzech Dryblasów na otwartym terenie, mając do dyspozycji jedynie karabin. Moc penetracyjna srebrnych kul spadała wraz z zasięgiem zgodnie z zasadami fizyki, a gdy nieprzyjaciele docierali na tyle blisko, żeby pociski miały przewidywalny efekt, odległość była już na tyle niewielka, że nie dało się obronić samotnie przed więcej niż jednym czy dwoma osobnikami. Znów rozejrzałem się w poszukiwaniu osłony. Trzydzieści metrów na prawo od mojej pozycji zaczynał się płytki rów. Postanowiłem, że szybką palbą pozbędę się amunicji, a następnie rzucę się do tej szczeliny z włączonym kamuflażem. Oby terenówka na tyle przyciągnęła ich uwagę, że gdy tu dojdą, przestaną rozglądać się za kierowcą.

Kiedy komputer pokazał na ekranie „Odległość 600 m. Poza zasięgiem”, odetchnąłem głęboko.

– Pierdolić to – oznajmiłem i wycelowałem.

Przeciwnicy szli dalej, szybciej, lecz równie nieustępliwie i niefrasobliwie jak wcześniej. Przy maksymalnym powiększeniu widziałem ich dokładnie: masywne tarcze czaszkowe szerokie na pół głowy, bezzębne paszcze kojarzące się z prehistorycznymi stegozaurami, wysokie i wrzecionowate ciała z trójpalczastymi stopami i czteropalczastymi dłońmi. Wszyscy byli do siebie tak bardzo podobni, że nigdy nie potrafiłem odróżnić od siebie poszczególnych osobników, brakowało im różnorodności w rozmiarach, ubarwieniu czy nawet zachowaniu. Zupełnie jakby jakaś olbrzymia biologiczna drukarka 3D wytwarzała ich zgodnie z precyzyjnym i niezmiennym wzorcem. Zaś ich wielkość i potęgę można było sobie w pełni uświadomić dopiero, gdy znaleźli się blisko, gdy widziało się, ile piachu podrywają przy każdym kroku, jak głębokie ślady zostawiają w podłożu, jak szeroki mają zasięg ramion.

Nałożyłem znacznik celu na pierś najbliższego obcego i pominąłem wyświetlane przez komputer balistyczny ostrzeżenie „Poza zasięgiem”. Następnie wymierzyłem trochę wyżej, biorąc pod uwagę dodatkowe dwieście metrów, i pociągnąłem za spust. Karabin szczęknął krótkim, stanowczym hukiem, a podmuch z lufy poderwał pył wokół wozu. Zobaczyłem, jak zaledwie kilka sekund później pocisk upadł na ziemię dwadzieścia metrów przed Dryblasem, wzbijając mały obłoczek. Poprawiłem namiar – tak z półtorej długości ciała, pomyślałem – i znów nacisnąłem spust. Drugi nabój trafił obcego w biodro w połowie kroku. Dryblas zachwiał się lekko, stawiając stopę. Po ręcznym wbiciu zasięgu szybko opróżniłem

resztę magazynka, jeden strzał co dwie sekundy. Pierwszy podniósł piach koło stopy wroga, ale dwa kolejne ugodziły go w górną część korpusu. Obcy wydał z siebie swój piskliwy wrzask i znów się zatoczył, lecz wyprostował się i podjął marsz.

Napastnicy dotarli już na czterysta metrów ode mnie i zdecydowanie zlokalizowali źródło swoich utrapień. Stanowczo kroczyli ku miejscu, gdzie kryłem się za małą terenówką, której używałem jako podpórki pod broń. Wyrzuciłem pusty magazynek, wsunąłem nowy i wprowadziłem kapsułę z gazem do komory. Pancierz wreszcie uznał, że mam niewielką szansę na skuteczny ostrzał, i wyświetlił „Odległość 385 m. Cel w zasięgu”.

Skoro komputer włączył się do gry, następnych pięć naboju wypuściłem tak szybko, jak tylko broń była w stanie wracać do stanu używalności po odrzucie, czyli jeden strzał na sekundę. System uruchamiał serwomechanizmy zbroi, pomagając mi w celowaniu. Wszystkich pięć pocisków trafiło Dryblasa w sam środek piersi i tym razem nie tylko go zirytowały. Przynajmniej trzy z penetratorów przebiły skórę i wypuściły swój ładunek w ciele obcego. Trzy litry skroplonego wybuchowego gazu jednocześnie dokonały detonacji i rozwaliły wrogowi klatkę piersiową od wewnątrz. Stwór wydał z siebie skowyt, który urwał się, gdy cielsko gruchnęło na marsjańską powierzchnię, podrywając chmurę czerwonego pyłu.

Dwaj pozostali obcy zbliżyli się na dwieście metrów, a ja miałem jakieś dziesięć sekund, żeby zdecydować, co teraz zrobić. Dłońmi działającymi na autopilocie przeładowałem broń. Przy tym dystansie wrogowie byli już tak niemożliwie wielcy,

tak przytłaczający swymi rozmiarami, że sama myśl, iż człowiek mógłby mieć szansę w walce z nimi, wydawała się wypływać z pychy.

Wtedy spojrzałem za nadchodzącymi nieprzyjaciół i zamarło mi serce. Sześć kolejnych stworów szło w tę samą stronę jakieś pięćset metrów za pierwszą grupą, nacierając na mnie niczym dwudziestopięciometrowa ściana szarej biomaterii. Nawet gdybym zdołał powalić obu bliższych wrogów, nie miałem ani amunicji, ani czasu, żeby zająć się pozostałą szóstką. W tym momencie nie mogłem już jednak uciekać ani się kryć, wycelowałem więc i wypuściłem pięć następnych pocisków w kolejnego Dryblas.

Ten obszar został już zabezpieczony kilka godzin temu, pomyślałem. Skąd oni się tu, kurwa, biorą?

Obcy padł na kolana, gdy w sekundowych odstępach dotarła do niego pięciopięciometrowa seria. Jedna z kul trafiła w tarczę czaszkową i odbiła się od niej. Dwie ugodziły w korpus, jedna w ramię, a druga tam, gdzie człowiek miałby biodro. Czwarta musnęła prawe przedramię, a ostatnia zupełnie chybiła. Porządnie zraniłem stwor, który potknął się i przewrócił z ogłuszającym rykiem. Wciąż jednak żył, a ja nie miałem czasu, żeby strzelać do ostatniego z pierwszej trójki, znajdującego się teraz już niecałe sto metrów ode mnie, czyli raptem koło dziesięciu kroków dla wkurzonego olbrzyma. Wyrzuciłem pusty magazynek i sięgnąłem po następny, wiedząc dobrze, że nie zdołam przygotować broni na czas. Odskokczyłem w tył, wsuwając magazynek i ładując pocisk do komory. Miałem nadzieję, że Dryblas poświęci sekundę czy dwie na zmiżdżenie

dzielącej nas terenówki, dając mi w ten sposób odrobinę więcej czasu.

Zamiast go zgnieść, obcy kopnął pojazd, ciskając nim w moją stronę. Instynktownie odskoczyłem, gdy terenówka przeleciała obok mnie i potoczyła się w dal po marsjańskiej glebie. Słyszałem, jak się rozpada, sypiąc dookoła częściami. Obróciłem znów karabin na nieprzyjaciela, którego teraz w większości zasłaniała wielka chmura czerwonego pyłu, i wiedziałem, że celem kolejnego kopniaka będę ja. I że nie będzie bezbolesny.

Z tyłu po prawej dobiegł do mnie świst wyrzutni MARS. Bardzo szybki i wkurwiony świetlik przemknął obok mnie i trafił obcego w górną część piersi, w pobliżu wrażliwej szyi. Nie mógł to być inny rodzaj rakiety jak tylko srebrna, ponieważ efekt był natychmiastowy i imponujący. Głowica bojowa przebiła grubą skórę wroga i krótką chwilę później eksplodowała. Pociski z MARS-a miały średnicę osiemdziesięciu milimetrów i mieściły dziesięciokrotnie większy ładunek niż naboje karabinowe. Eksplozja gazu we wnętrzu potwora w jednym z jego najsłabszych punktów niemal pozbawiła go głowy. Pęd poniósł Dryblasę dalej, przewracając na mnie, najwyraźniej zupełnie pozbawionego kontroli nad ciałem. Rzuciłem się w prawo, upuszczając przy tym broń, i ledwo uchyliłem się przed cielskiem upadającym na marsjańską ziemię. Siła uderzenia wytrąciła mnie z równowagi i cisnęła kawałek dalej, gdzie wylądowałem niezgrabnie.

Kiedy podniosłem się na kolana i obejrzałem, chorąży Crawford opuściła wyrzutnię i wyciągała z niej pustą tubę. Kolejna rakietka była przymocowana w pojeździe zaparkowanym

dwadzieścia metrów za nią, ale druga grupa obcych znajdowała się już blisko i było ich sześciu na zaledwie jeden pocisk.

– Widziałam pana flarę! – wrzasnęła do mnie. – Przyjechałam tak szybko, jak mogłam. Prawie utknęłam w parowie.

– Świetnie się spisaliście! – odkrzyknąłem. – Nie przeładowujcie. Spierdalajmy stąd, i to już.

Pobiegliśmy do terenówki. Crawford usiadła w fotelu kierowcy, a skoro ja miałem zająć tylne siedzenie, nie zostawało już miejsca na wyrzutnię ani zapasową rakietę. Chorąży rzuciła MARS-a na ziemię, a ja odpiąłem dodatkowy pocisk i również cisnąłem go na bok, po czym wśliznąłem się do środka i poklepałem podoficer w plecy.

– Jedźcie na północny wschód, a za trzy kilometry skręćcie na zachód! – zawołałem. – I nie żałujcie gazu.

Grupa Dryblasów dotarła już tak blisko, że czułem, jak grunt drży pod ich stopami. Nie śmiałem spoglądać ponad truchłem wroga, którego Crawford właśnie powaliła dobrze wymierzoną srebrną rakieta. Chorąży nie traciła czasu. Przełączyła bieg na jazdę naprzód i pomknęła na północny wschód, przez chwilę buksując oponami w czerwono-brązowym żwirze.

Wtem spomiędzy chmur wypadł z hukiem liczący cztery samoloty klucz Dzierzb. Przeleciały nisko nad płaskowyżem i rozdzieliły się, dwa pomknęły na północ, dwa na południe. Trzydzieści sekund później usłyszałem charakterystyczny ryk ich wielolufowych wielkich, przeciwpancernych działek siekących po okolicy, a sekundę czy dwie później dobiegł mnie odgłos kojarzący się z wybuchającymi jedna po drugiej petardami, gdy pociski dotarły do powierzchni. W oddali za

nami obcy wrzeszczeli, zasypywani wielkokalibrowymi kulami, zalewani śmiercionośnym deszczem, przed którym nie mieli gdzie się schować. Kawaleria dostrzegła moje race i pojawiła się, jak zwykle, o minutę za późno. Gdyby nie chorąży Crawford, obcy byłiby co prawda martwi, ale ze mnie zostałyby wcześniej krwawa plama na marsjańskiej skale.

Dwadzieścia minut później wtoczyliśmy się w obręb Portu Kosmicznego Olympus z ostrzeżeniem o niskim stanie akumulatorów migoczącym czerwienią na wyświetlaczu pojazdu i alertem „niski stan tlenu: 19%” na ekranie w moim hełmie. Pasy startowe stanowiły ogromny teren wypadowy dla setek marines PK i ZCR. Ponad głowami nie ustawał powietrzny taniec: okręty desantowe spod wszelkich bander nadlatywały, zostawiały ludzki ładunek na lotnisku, po czym znów startowały, by wykonać kolejną podróż na orbitę i z powrotem. Nie wiedziałem, która fala jest teraz przywożona, ale żołnierze wciąż przybywali, więc ofensywa trwała.

Chorąży skierowała terenówkę na stanowisko pionowego startu, skąd wyruszyliśmy wcześniej na misję ratunkową. Dwanaście desantowców jednocześnie uzupełniało zapasy paliwa z podziemnych zbiorników. Wszędzie słyszałem przenośne generatory prądu. Grupka wynędzniałych cywilów wsiadała w pobliżu na pokład Osy.

Gdy pojazd się zatrzymał, wyskoczyłem i przez chwilę stałem na betonie na drżących nogach. Crawford również się wygramoliła i z uczuciem poklepała fotel.

– Dobra dziewczynka – powiedziała.

– Dziękuję – rzekłem do niej. – Nie żartowałem, mówiąc, że teraz jesteście kapslem. Nie znam zbyt wielu, którzy mają dwie potwierdzone eliminacje Dryblasów na koncie.

– Zrobiłam to, co trzeba było zrobić – odparła. – Ale powiem panu tak całkowicie szczerze, że nie mogę się doczekać powrotu do zmagania z bazami danych. Nie wiem, jak wy, trepy, to wytrzymujecie. W sensie, że cały czas.

– Uważajcie na siebie. Mam nadzieję, że zobaczymy się na Węzłowej, gdy to wszystko się już skończy.

– Też mam taką nadzieję. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

– Ja też nie – przyznałem. – A teraz idźcie wziąć ten gorący prysznic.

Nie wymieniliśmy salutów, co byłoby stosowne przy dzielącej nas różnicy stopni. Zamiast tego uścisnęliśmy sobie dłonie. Obserwowałem Crawford, jak idzie do stanowiska przygotowawczego zorganizowanego w pobliskim hangarze, gdzie pod ścianami ustawiono punkty wydawania gorącego jedzenia oraz uzupełniania amunicji, i żałowałem, że nie mamy tysiąca więcej takich jak ona.

Wszedłem po rampie jednego z tankujących okrętów i pobrałem zapasowy pancerz z pokładowej zbrojowni. Następnie wykorzystałem służbę pomiędzy kokpitem a przedziałem załogi, żeby bezpiecznie rozhermetyzować zepsutą robalową skorupę i przebrać się w nową zbroję. Nie była na miarę, ale w każdym desantowcu znajdowało się sześć zapasowych zestawów w kilku wielkościach i rozmiar 5 zwykle okazywał się wystarczająco bliski mojej sylwetki, gdy nie miałem garnizonowego tłuszczu.



Następnie podpiąłem zmaltretowaną konsolę administracyjną i zalogowałem się do tak-łącza z poziomu dostępu kontrolera walki.

– Dowództwo Plaży Czerwonej, tu Wydech Czerwony Jeden, zgłoś się.

– Wydech Czerwony Jeden, tu Dowództwo Plaży Czerwonej. Spisaliśmy już pana na straty, poruczniku.

– Jeszcze dycham. Połączcie mnie z Dowódcą Sił Naziemnych Czerwonych.

– Proszę czekać.

Odczekałem chwilę, po czym znów usłyszałem głos łącznościowca:

– Dowódca jest zajęty, ale mówi, żeby przywłókł pan tylek do sztabu.

– Przyjąłem – odparłem, czując lekką irytację. – Będę za pięć minut.



Sztab brygady, jej centrum dowódczo-kontrolne, znajdował się na tyłach wzmocnionego schronu w połowie drogi pomiędzy lądowiskiem desantowców a wieżą kontroli lotów. Po drodze minąłem okręty wypakowujące z siebie Muły. Rzadko zabieraliśmy je na misje, ponieważ sporo ważyły, ale ktoś z góry uznał, że trzeba rzucić na Marsa wszystko, czym dysponujemy. Wozy te posiadały na dachach modułowe gniazda uzbrojenia, a egzemplarze zjeżdżające właśnie po rampach wyposażono w coś, co nazywano Bękartem: duże wieżyczki mieszczące działka automatyczne kalibru trzydzieści pięć oraz podwójne wyrzutnie pocisków kierowanych. Kilka drużyn PK pobierało

w pobliżu sprzęt i ustawiało się, żeby wsiąść do swoich transporterów

Wjechałem do wnętrza hangaru i zaparkowałem z boku, by nie przeszkadzać krążącym w obie strony żołnierzom. Dowódcą wojsk naziemnych był generał brygady, czyli kilka stopni zaszeregowania wyżej niż dowódcy polowi, z którymi miałem zwykle do czynienia podczas desantów. Otaczała go zgraja personelu administracyjnego oraz młodszych oficerów, widziałem też przekaźnik łącznościowy, a nawet przywleczono tu przenośny holostół, wyświetlający sytuację taktyczną w tej części północnej półkuli.

Nie znałem generała. Twarz za wizjerem hełmu była chuda i wymizerowana, ale szacujące mnie oczy wydawały się bystre i czujne. Oficer miał na brodzie siwą szczecinę i wyglądał na jakieś dwadzieścia lat starszego niż widywani przeze mnie dotąd generałowie brygady. Na tabliczce widniało nazwisko „Sterling P.”.

– Porucznik Grayson melduje się po powrocie z Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt, sir – oznajmiłem, salutując. – To ja jestem tym czerwonym beretem, którego wysłał pan z desantowcami ewakuacyjnymi.

Generał oddał honory.

– Z tego, co wiem, te jednostki odleciały na lotniskowiec przed godziną.

– Wszystkie poza jedną, sir. Dryblasy dorwali jednego ptaszka na ziemi, gdy zaatakowali nasze pozycje.

– I przeżył pan to? Do jasnej cholery, synu.

Pokręciłem głową.

– Byłem na zewnątrz, przekazywałem dane obcych bliskiemu wsparciu lotniczemu. W zniszczonym okręcie nikt nie ocalał. Sześćdziesięciu poległych, głównie cywilów. I kapitan Parker. Wróciłem tutaj z inną ocalałą, młodszą chorążą Crawford. Gdy już skończy pan z tym bałaganem, proszę, aby wnioskował pan dla niej przynajmniej o Srebrną Gwiazdę. Zlikwidowała dwóch obcych z broni ręcznej. Uratowała mnie przed rozdeptaniem na miazgę.

– Pan i chorążą doszliście taki kawał drogi na piechotę?

– Wzięliśmy z Tuttle dwie terenówki, sir. Po drodze parę razy zrobiło się gorąco.

– Nie wątpię – odparł generał. – Dryblasy łążą po całej tej planecie. Dobra robota, poruczniku. Chciałbym powiedzieć, żeby pan trochę odpoczął, ale muszę znów pana wykorzystać. Przed nami jeszcze długi dzień.

– Tak jest, sir. Jak wygląda sytuacja poza naszą strefą lądowania?

– Spychamy nieprzyjaciół wszędzie tam, gdzie się z nimi stykamy, ale niska pokrywa chmur przeszkadza w odpowiednim wykorzystywaniu lotnictwa. Nasi piloci krążą w tak gęstej zupie, że zużywamy paliwo w czterokrotnie większej ilości, niż przewidywaliśmy. Dzięki niech będą bogom, że tutejsze zapasy okazały się nietknięte. Bez tych zbiorników musielibyśmy cały czas wysyłać ich na orbitę przez pole minowe, żeby dotankowali. „Falanga” zużyła już ponad połowę zapasu amunicji.

Oficer cofnął się o krok i gestem przywołał mnie do holostolu. Następnie przybliżył widok i obrócił tak, żebym widział

wybrany przez niego sektor mapy.

– Wychodzimy z Plaży Czerwonej w dość stabilnym tempie, ale nieprzyjaciel mocno napiera na Plażę Pomarańczową. Użyjemy naszych wozów przeciwpancernych i sprawdzimy, czy uda nam się pomóc Pomarańczowej. Tutaj jest osiedle obcych – wskazał znacznik mniej więcej w połowie drogi między obiema strefami lądowania – i zamierzamy podejść do niego od południa, żeby wróg w odpowiedzi na zagrożenie się wycofał. Wyląduje pan tam z drużyną wysuniętych obserwatorów. Zostaniecie wysadzeni tutaj i zorganizujecie się na tym wzgórzu. Gdy pojazdy podjadą bliżej, wezwiecie grzmoty na wszystko, co uda się wywabić z osady.

– Będę tam raczej uziemiony – powiedziałem. – Jeśli sytuacja taktyczna ulegnie zmianie, nie zdołam śledzić całej bitwy.

– Eurosi uprzejmie udostępniłi nam jeden ze swoich nowiutkich, lśniących wozów. Pojedzie pan z ich czerwonym beretem oraz kolejnym z ZCR. „Kirow” i „Westfalia” przestawiają się właśnie na orbicie, żeby móc wspierać nasze natarcie. Bliskie wsparcie będzie pańskim zadaniem, ponieważ większość zasobów powietrznych, jakimi dysponujemy obecnie na Plaży Czerwonej, należy do WPA, ale bombardowanie orbitalne to już podwórko ZCR i Europejczyków. Start za trzydzieści pięć minut.

– Tak jest, sir!

Zasalutowałem i zacząłem się odwracać, lecz jeszcze się zatrzymałem.

– Uhm, sir?

– Tak, poruczniku?

– Ma pan jakieś wieści z innych SL? Moja żona lata desantowcem na Plaży Fioletowej.

General spoglądał na mnie przez chwilę, po czym obrócił się znów do holostolu i poszerzył mapę, uzyskując widok na całą planetę. Przesunął ją tak, żeby półkula południowa znalazła się u góry.

– Dryblaszy rzucili się na Zieloną, ponieważ krążownik kontroli przestrzeni z Grupy Zadaniowej Zielonej wpadł na minę i nie mógł po pierwszej fali utrzymać otwartej luki w polu minowym. Skonsolidowaliśmy Niebieską i Fioletową, po czym wysłaliśmy posiłki przez ich wspólny przyczółek. Ostatnie, co słyszałem, to że wciąż się utrzymywali, ale obcy napierali mocno.

Pomyślałem o Halley przewożącej kolejne grupy żołnierzy na plażę, a następnie zapewniającej wsparcie lotnicze swoim żołnierzom w trudnej SL, i próbowałem nie przywoływać w myślach obrazów zniszczonej Osy w Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt.

Jest najlepsza w swoim fachu, pomyślałem. Nic jej nie jest. Zapewne bawi się świetnie, kosząc Dryblasów.

– Dziękuję za informacje, sir – rzekłem, po czym powtórzyłem salut i odszedłem, zostawiając dowódcę przy kwestiach strategicznych.

Jedna mina i cała strefa lądowania ma kłopoty. Brygada, cztery bataliony, niemal trzy tysiące ludzi, ginie, ponieważ pojedyncza mina zbliżeniowa trafiła nieodpowiedni okręt w nieodpowiednim miejscu. Osoby planujące całą operację zostawiły zbyt mały margines, a Halley i ja musieliśmy działać

w tej właśnie przestrzeni. Jednak trzy tysiące żołnierzy z Pomarańczowej SL czeka taki sam los, jeśli im nie pomożemy, nie miałem więc wyjścia, musiałem przygotować się i ruszyć znów do boju.

## Rozdział 18

# Ekspres Czerwony Beret

Gdy podjeżdżałem, Dmitrij stał na lądowisku wraz z porucznikiem Stahlem. Zanim to wszystko się stało, nigdy nie sądziłem, że tak mnie ucieszy widok twarzy marine z ZCR. Akurat parkowałem, kiedy akumulator zupełnie zdechł i resztę drogi dotoczyłem się siłą bezwładności. Odlączyłem silnik elektryczny od układu przeniesienia napędu i ręcznie wypchnąłem pojazd z pasa, żeby nie przeszkadzał kolejnym siadającym tu okrętom.

– Ciągłe żyjesz, Andrew. Co stało się z twoją owadzią zbroją?

– Popsuła się – odrzekłem. – Siedemnaście milionów dolarów Wspólnoty poszło w kanał. Gdzie nasz transport?

– Będzie tu za dwie minuty – oznajmił Stahl. – Nie będziemy mieć wiele czasu na odprawę przed misją.

– Generał dał mi ogólne pojęcie – powiedziałem. – Wsadzą nas do waszego wozu, wdrapiemy się na wzgórze i będziemy wypatrywać celów dla Mułów i pilotów.

– Tak to z grubsza wygląda. Ale obaj będziecie musieli szybko się uczyć. Lot do strefy desantu trwa tylko trzydzieści minut – wyjaśnił porucznik.

– Czego się uczyć? – spytałem.

– Jak to obsługiwać – rzekł Stahl, wskazując za nasze plecy, gdzie w zupełnej ciszy toczyła się ku nam europejska maszyna zwiadowcza.

Była najfajniejszym sprzętem wojskowym, jaki w życiu widziałem, może z wyjątkiem desantowców typu Meszka, z których korzystaliśmy podczas tajnej misji na Arkadii przed dwoma miesiącami. Zobaczyłem czterokołowy, lekko opancerzony samochód, trochę przypominający kształtem wielozadaniowe pojazdy bojowe używane przez Piechotę Kosmiczną, ale nieco większy i znacznie bardziej imponujący. W zasadzie kojarzył się ze zmniejszoną wersją Meszki osadzoną na kołach terenowych. Cały pancierz był fasetowany, nigdzie nie widziałem dłuższej linii prostej, a przednia szyba okazała się tak mała, że wyglądała jak zmrużone oczy drapieżnika szykującego się do skoku. Na dachu umieszczono moduł uzbrojenia, a na chowanym maszcie matrycę sensoryczną. Gdy wóz podjechał do nas i zatrzymał się, pancierz zafalował nam przed oczyma i całość praktycznie zniknęła, pozostawiając po sobie niewyraźny obrys i lekko zniekształcony obraz obszaru za samochodem.

– Zajmę stanowisko dowódcy i będę kierował – powiedział porucznik Stahl. – Do was należy obsługa broni i sensorów. Nie martwcie się, to bardzo proste. Ale będziecie musieli założyć nasze hełmy, bo wasze nie sprzęgną się z systemem.

– Cholerna niemiecka inżynieria – skomentowałem. – Bo to niemiecki projekt, prawda?

– Tak – odparł porucznik z niemałą dumą w głosie. – Nazywa się LGS „Wiesel”.

– Łasica – rzekłem. – A co oznacza LGS?

– *Leichter Gepanzerter Spähwagen* – wyjaśnił. – Lekki opancerzony samochód zwiadowczy.



– Bardzo wymyślny – powiedział Dmitrij. Przejechał dłonią po boku Łasicy, a polichromatyczny pancierz załśnił pod dotykiem rękawicy, zupełnie jakby Rosjanin wsunął dłoń do kałuży ropy.

Kierowca wyłączył kamuflaż i pojazd znów stał się dobrze widoczny. Otworzył się właz na boku, z którego wysiadł żołnierz i zasalutował Stahlowi. Zamienili kilka słów po niemiecku, po czym kierowca znów oddał honory i odszedł.

– Proszę – oznajmił Niemiec, wskazując otwarty właz. Dmitrij i ja popatrzyliśmy po sobie i po kolei weszliśmy do środka. Dach był nisko i musieliśmy się pochylić, żeby nie zawadzić hełmami o kołnierz stalowego wejścia.

W środku zainstalowano trzy fotele. Jeden z przodu i wyraźnie przeznaczono go dla kierowcy. Dwa pozostałe ustawiono z tyłu, obok siebie. Leżały na nich hełmy i porucznik polecił, żebyśmy je założyli. Zamknął klapę i zajął swoje miejsce. Zaczekałem, aż wyświetlacz jakości powietrza pokaże mi zieloną lampkę, zanim ściągnąłem swoje nakrycie głowy i zastąpiłem je europejskim.

– Gdzie jest wtyczka danych? – spytałem Stahla.

– Nie ma. To system bezprzewodowy.

Nie wiedziałem, czy Łasica wykorzystuje silniki wodorowe, czy elektryczne, ale cokolwiek znajdowało się pod nami, było ciche niczym szept. Gdy porucznik wcisnął gaz, potoczyliśmy się po lądowisku z ledwie minimalnym szmerem. Pojechaliśmy do innej części bazy, gdzie stał szereg europejskich desantowców.

– Przełączyłem interfejs w waszych ekranach na odpowiednio angielski i rosyjski – poinformowałem. – Włączcie je, proszę, i zapoznajcie się z systemem sensorów, zanim wjedziemy na

okręt.

Uruchomiłem wyświetlacz umieszczony obok mojego podłokietnika. Menu było inne niż w pojazdach WPA, ale nie miałem problemu z wejściem do zakładki poświęconej czujnikom. Aktywowałem hełm i widok w wewnętrznym monoklu celowniczym natychmiast uległ zmianie.

– O kurczę – rzekłem. – To matryca DAS.

– Co to jest DAS\*? – spytał porucznik.

– System sensorów optycznych rozmieszczonych na całym pokryciu zewnętrznym.

– Zgadza się. Monokl ignoruje karoserię pojazdu, żeby operator mógł widzieć otoczenie.

Gdy tylko spoglądałem przez hełmowy celownik, miałem wrażenie, jakby nasz samochód w ogóle nie istniał, a ja dryfowałem nad ziemią z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę. Popatrzyłem w dół i dostrzegłem nierówną fakturę betonu przesuwającego się pod Łasicą.

– Może pan przełączyć się na transmisję z masztu sensorycznego. Wyciąga się na wysokość dwudziestu pięciu metrów i pozwala maksymalnie na dwustukrotne powiększenie. Z kilometra da się odczytać nazwisko na pancerzu.

Dmitrij rozejrzał się w europejskim hełmie i z lekkiego uśmiechu na jego twarzy wywnioskowałem, że też podłączył się do systemu DAS.

– To całkiem niezłe – powiedział. – Lepsze niż chodzenie.

– Znacznie lepsze – zgodziłem się.

Porucznik Stahl zrobił kilka okrążeń na betonie przed

jednostkami Eurokorpusu, po czym podjechał pod jeden z desantowców i pozwolił, żeby szef załogi wprowadził go do ładowni opróżnionej z rozkładanych siedzeń. Szerokości wystarczyło akurat dla Łasicy, ale miałem wrażenie, że na długość zmieściłyby się tam dwa takie pojazdy. Obserwowaliśmy przez system DAS, jak europejska obsługa mocuje nas zdalnie sterowanymi klamrami, żebyśmy nie potoczyli się do przodu, rozbijając gródź, albo do tyłu i wypadli przez rampę, gdyby okręt został zmuszony do gwałtownych manewrów.

Minutę później znaleźliśmy się w powietrzu. Statek z Europy nie został wyposażony w matrycę DAS, więc nie mogliśmy sprawić naszymi monoklami, by zniknął również jego kadłub. Uruchomiłem system i zacząłem zaznajamiać się z ustawieniami zwiadowczymi Łasicy. Europejczycy mieli małą armię, ale uwielbiali wykorzystywać technologię jako sposób na wzmocnienie jej siły, a z ich inżynierami nie mógł się chyba równać nikt na Ziemi. Gdybyśmy dysponowali jednym z takich maleństw, moglibyśmy z jego pomocą wykonać zadania całej drużyny kapsli i przemieszczać się pięciokrotnie szybciej. Oczywiście Łasica była zbyt duża, żeby zmieścić się do biokapsuły, więc nie dałoby się jej wykorzystać przeciwko Dryblasom, gdybyśmy nie mieli przewagi w powietrzu, co w naszej historii zdarzyło się jedynie dwukrotnie: w systemie Fomalhaut podczas wspólnej misji ewakuowania kolonistów ZCR oraz dziś.

Lot do strefy docelowej zajął nam rzeczywiście pół godziny. Mój fotel był na tyle wygodny, że mogłbym się zdrzemnąć, gdybym tylko nie czuł się nakręcony przed zbliżającym się

desantem, już trzecim dla mnie w tym dniu. Byłem okropnie zmęczony, ale adrenalina pozwalała mi działać, a poza tym wiedziałem, że moje życie może zależeć od tego, jak dobrze poznam systemy naszej bojowej taksówki, więc uczyłem się, ile mogłem, dopóki miałem na to czas. Zdalnie sterowaną wieżyczkę uzbrojenia można było obsługiwać z dowolnego fotela, choć gdyby chciał strzelać kierowca, musiałby wcześniej zatrzymać pojazd. W obrotowej kopułce umieszczono karabin maszynowy kalibru piętnaście milimetrów, znacznie mniejszego niż nasze działka automatyczne, lecz lepiej nadającego się do precyzyjnego ognia na duży dystans. Poza tym mieliśmy półautomatyczny granatnik. Sprawdziłem stan amunicji w jednym i drugim. Tysiąc dwieście pocisków karabinowych, sto dwadzieścia do granatnika.

Jak na swoje rozmiary, mała Łasica mogła spuścić całkiem niezłe manto piechocie, choć jej uzbrojenie nie do końca zostało zoptymalizowane pod kątem obcych. Naboje do karabinu były kumulacyjne, z wolframowymi rdzeniami oraz ładunkiem miotającym z tyłu. Zapas granatów składał się niemal pół na pół z dwóch rodzajów: odłamkowych oraz kumulacyjnych, a do tego dziesięć termobarycznych. Nie czułbym się bezbronny, gdybym jechał w tym maluchu do walki z wrogami, z którymi Eurokorpus zwykle miał do czynienia – bojowo nastawionymi małymi ziemskimi krajami, a czasami też zbrojnymi rewolucjonistami – jednak w obliczu Dryblasów znacznie bardziej przyda się niewidzialność Łasicy niż jej siła rażenia.

– Bardzo niemieckie – skomentował konfigurację uzbrojenia Dmitrij.

– Jak to?

– Mały kaliber. Celny. Wysoka szybkostrzelność. Rosyjskie karabiny są inne. Nie tak precyzyjne, mają za to większe pociski. Dla większego bum.

Wylądowaliśmy w wąskiej dolinie kilka kilometrów od wyznaczonego stanowiska obserwacyjnego. Europejski desantowiec usiadł na ziemi i otworzył tylną rampę, a szef załogi zdalnie zwolnił klamry mocujące nas do pokładu. Porucznik Stahl gładko i z widoczną wprawą wycofał Łasicę z ładowni. Okręt znalazł się w powietrzu, zanim zdążyliśmy jeszcze zawrócić, i znaleźliśmy się sami w półmroku marsjańskiego wieczoru.

– Kurczę. To naprawdę potrafi nieźle jechać – powiedziałem, gdy Stahl ruszył z pełną prędkością w gasnące światło.

– Muszę ukraść takie cacko – zgodził się Dmitrij. – Żeby zabrać do domu. Maksimowi by się spodobało.

Wyjechaliśmy na płaskowyż u podnóża docelowego wzgórza i włączyliśmy system DAS, żeby móc się rozejrzeć. Sensory automatycznie wzmacniały światło, a komputer stabilizował obraz, wygładzając go, gdy wpadaliśmy na nierówności. Miałem wrażenie, jakbym zamienił się w bezcielesną kamerę obejmującą polem widzenia całe trzysta sześćdziesiąt stopni i sunącą dwa metry nad ziemią. Rozejrzałem się po horyzoncie w poszukiwaniu nieprzyjaciela, ale nie dostrzegłem nikogo, uruchomiłem więc wieżyczkę i zacząłem zapoznawać się z systemem celowniczym, w razie gdybyśmy go później potrzebowali. Stahl nie kłamał – interfejs był bardzo prosty w obsłudze, zresztą komputer i tak wykonywał większość pracy.

– Tu na Marsie jedźcie szybciej – oznajmił wesoło z fotela kierowcy. – Mniejszeciążenie.

– Tylko niech pan lepiej o tym pamięta, gdy trzeba będzie zahamować albo wykonać ostry zwrot – powiedziałem.

Niemiecki porucznik pokazał mi uniesiony kciuk, nie odrywając wzroku od wyświetlacza.

Wspięliśmy się z niewielką prędkością na wzgórze, ostrożnie i z włączonym kamuflażem polichromatycznym, w razie gdybyśmy mieli na szczycie natknąć się na bandę Dryblasów. Znaleźliśmy się jednak na pustym, względnie płaskim czubku górującym dwieście metrów nad okolicą. Dostrzegłem stamtąd w oddali nasz cel: dziwne, koronkowe struktury osiedla obcych. Zawsze zastanawiałem się, czy „osiedle” to odpowiednie określenie ich funkcji. Miały wiele otworów, które nie stanowiły żadnej osłony przed wiatrem i nawiewanym pyłem, jednak to właśnie w nich zbierali się obcy, zatem po pierwszym zetknięciu się z tymi konstrukcjami na planetach kolonialnych tak je właśnie nazwaliśmy.

Wysłałem impulsową wiadomość do sił, które przemieszczały się właśnie z Portu Kosmicznego Olympus i czekały na wieści od nas.

– Siły Naziemne Czerwone, tu Wydech Czerwony Jeden. Jesteśmy na pozycji w punkcie obserwacyjnym Wyniosłość. Mamy widok na cel Lima.

– Wydech Czerwony Jeden, przyjąłem – dobiegła odpowiedź. – Pojazdy przeciwpancerne w drodze. Przewidywany czas przybycia: trzy godziny i trzydzieści minut.

Przekazałem te informacje Dmitrijowi i Stahlowi, którzy zakłękli pod nosami w swoich językach.

– Będziemy pełnić wartę na zmiany – zaproponował porucznik. – Po pół godziny. Jeden z nas może spać, gdy pozostali dwaj będą pilnować.

– Brzmi uroczco – rzekłem.

– Zdrzemnij się pierwszy – powiedział mi Dmitrij. – Ja pobawię się systemem broni i wypasionym komputerem. Obudzimy cię, jeśli pojawią się kłopoty.

Musiałem wyglądać na znacznie bardziej zmęczonego, niż sądziłem, ponieważ Niemiec go poparł. Skinąłem głową, opuściłem oparcie i zamknąłem oczy. Adrenalina wywołana desantem już traciła moc, zasnąłem więc z miejsca.

Zdążyliśmy zaliczyć po dwa cykle z półgodzinnymi drzemkami, zanim na południowy wschód od nas pojawiły się wozy opancerzone. Flota zdołała desantować pełną kompanię pancerną: trzy plutony liniowe z czterema Mułami oraz pluton dowodzenia z dwoma zamykającymi tyły. Nad głową dysponowaliśmy też bliskim wsparciem powietrznym w postaci kilku kluczy desantowców oraz samolotów szturmowych z trzech różnych sojuszy. Nasza trójka miała pociągać za sznurki z punktu obserwacyjnego na wzgórzu i właśnie nadeszła chwila, żeby za nie szarpnąć.

– Drużyna Yankee wjeżdża od waszej godziny ósmej – nadał dowódca kompanii. – Cholera, jesteście tak dobrze ukryci, że nie mogę was namierzyć nawet laserem.

– Właśnie o to chodzi – odparłem, wciąż otrząsając się ze snu.

– Wciąż widzimy cel Lima, wciąż nie dostrzegamy żadnego ruchu. Powtarzam: w polu widzenia nie ma nieprzyjaciół.

– Przejdziemy na skuteczny zasięg strzału i zaczniemy prażyć w Dryblasowo. Bądźcie gotowi do wezwania piorunów.

– Od dawna jesteśmy gotowi – odrzekłem. – Podchodźcie. Pilnujemy was z góry.

Lekkie czołgi rozciągnęły się w długą linię z małymi odstępami pomiędzy poszczególnymi plutonami. Czternaście Mułów jechało przez płaskowyż na lewo od nas w kierunku osiedla obcych. Przy tej odległości działało tak-łącze bliskiego zasięgu, nie musiałem więc podawać im celów, żeby o nich wiedzieli. Gdy tylko coś dostrzegę, wyświetli im się to w tym samym momencie.

Trzydziestopięciomilimetrowe działka w modułach Bękart przy ogniu bezpośrednim miały skuteczny dystans pięć kilometrów. Szyk bojowy Mułów dotoczył się na cztery i pół kilometra od osiedla. Minęli już nasz punkt obserwacyjny na wzgórzu, jeśli więc coś będzie się działo, nastąpi to przed naszą pozycją. Wszystkie pojazdy zatrzymały się i obróciły wieżyczki.

– Atak na wrogie struktury na godzinie dwunastej, serie dwadzieścia pocisków – nadał dowódca kompanii. – Strzelać bez rozkazu, strzelać bez rozkazu.

Zagrzmiało czternaście wielkokalibrowych działek automatycznych. Błyski z luf rozświetliły płaskowyż, a setki smugowców pomknęły w stronę osiedla, wgryzając się w budowlę Dryblasów.

Przez długą chwilę nic się nie działo. I nagle dostrzegłem ruch, a kilka sekund później miałem wrażenie, jakby ktoś trącił



miał gniazdo os. Dziesiątki obcych wylały się od południowej strony kompleksu. Nawet z mojego położonego wysoko punktu obserwacyjnego nie miałem pojęcia, w jaki sposób jeszcze przed momentem ukrywali się w strukturze tak nieregularnie skonstruowanej i przewiewnej, że w niektórych miejscach widziało się przez nią na wylot.

– Cele na otwartym terenie! – zawołałem. – Liczni nieprzyjaciele na czterech i pół kilometra, zbliżają się szybko.

Muły nie potrzebowały zachęty, żeby na nowo otworzyć ogień. Działka, które jeszcze przed chwilą strzelały dwudziestopociskowymi seriami, przełączyły się na tryb sterowania automatycznego, w którym wszystkie komputery łączyły się ze sobą, a węzeł tak-łącza z wozu dowodzenia wybierał cele. Była to brutalnie skuteczna metoda koordynacji ognia: każdym pociskiem kierował system, więc żaden ludzki strzelec nie marnował amunicji, atakując obcego, którego wybrałby wcześniej inny Muł. Nasza tyraliera rozciągała się na ponad pół kilometra, z wozami oddalonymi od siebie o czterdzieści metrów, a działka waliły długimi seriami. Z góry strumienie smugowców przecinających ciemność i wbijających się w idących obcych wyglądały niczym lasery ze starych sieciowizyjnych filmów. Gdy pociski trafiały w ziemię lub odbijały się od twardych tarcz czaszkowych, sypały się iskry, ale większość lądowała w celu i Bękartę kosły jednego wroga po drugim.

Z góry dobiegł do mnie skowyt silników – nie naszej Dzierzby, tylko samolotu szturmowego ZCR. Zaczął strzelać, zanim jeszcze wyrwał się z pokrywy chmur, i kolejni nieprzyjaciele padali pod

potężnymi ciosami przeciwpancernych pocisków. Obok mnie Dmitrij wydawał pilotowi po rosyjsku chłodne i precyzyjnie brzmiące komendy. Nagle dostrzegłem lśniące świetliki silników i dziesiątki rakiet niekierowanych pomknęły z nieba, wbijając się pod dużym kątem w nieprzyjaciół. Rozmiar i wielka siła nie na wiele im się zdawały w obliczu naszej broni dystansowej oraz morza ognia, jakie spuszczaliśmy im na głowy. Gdy okręty nasienne nie pozwalały nam używać jednostek kosmicznych i lotniczych, gdy mogliśmy puszczać na nich jedynie piechotę z bronią ręczną, wrogowie byli przerażający i przytłaczający. Kiedy jednak zabrakło im wsparcia na orbicie, trudno było ich nie trafić z broni skonstruowanej do niszczenia kolumn pancernych. Obserwując tę rzeź, czułem głęboką satysfakcję i byłem pewien, że niemal wszyscy żołnierze z mojej grupy czuli podobnie. Straciliśmy tak wielu ludzi w walce z tymi stworami, ponieśliśmy tyle ofiar, nasze życie tak często wywracało się do góry nogami, że gdy teraz spoglądałem, jak Dryblasy giną dziesiątkami, dawało mi to ponurą radość. Samolot ZCR zakończył nalot i kolejny poszedł w jego ślady z podobnym schematem ataku. Fala obcych wychodzących z osiedla wydawała się zatrzymać, a następnie zawracać, gdy stwory próbowały wycofać się przed druzgoczącym ostrzałem.

Zatem nie są zupełnymi samobójcami, pomyślałem. Nie wiedziałem, czy kierował nimi instynkt, czy świadoma decyzja, ale nie chcieli dobrowolnie iść na dziesiątkującego ich przeciwnika.

– Drużyna Yankee, podejść i atakować w ruchu – rozkazał dowódca kompanii.

Na płaskowyżu linia Mułów znów zaczęła jechać w stronę osiedla, a ich działka wypluwały serie w wycofujących się Dryblasów, gdy tylko komputery ich zauważały. Kanonada stopniowo cichła, aż wreszcie systemom celowniczym skończyły się obiekty, do których mogły strzelać. Pojazdy opancerzone podeszły na trzy, później dwa i wreszcie jeden kilometr. Klucz czterech okrętów desantowych sfrunął z nieba, zajął pozycje nad kolumną wozów i poleciał nad budowle obcych. Po ich drugiej stronie, pięćset metrów od południowego skraju, zrzuciły kinetyczne bomby kasetowe i wystrzeliły z działek pokładowych. Aż na szczycie naszego wzgórza obserwacyjnego, w odległości pięciu kilometrów, usłyszałem przeszywające skowyty trafionych Dryblasów. Formacja Mułów popsuła nieco szyk, gdy poszczególne pojazdy musiały objeżdżać olbrzymie cielska powalonych wrogów.

– Jest luka dość szeroka dla wozu opancerzonego – usłyszałem na kanale kompanii. – Dwieście metrów na północny wschód.

Przybliżyłem widok, korzystając z masztu sensorycznego Łasicy. Za szczeliną w koronkowej konstrukcji nie widziałem żadnego ruchu.

– Stąd wydaje się czysto – poinformowałem dowódcę. – Brak aktywności.

– Wjeżdżamy – odparł. – Drugi pluton przodem. Później pierwszy i trzeci. Dwójkami. I bądźcie gotowi do wycofania się.

Szefowie plutonów potwierdzili odbiór kliknięciami.

Z dudniącym pulsem obserwowałem, jak pierwsza para z naszej kolumny pancерnej dojeżdża do szczeliny i znika za budowlą. Następnie zobaczyłem, że włączyli reflektory

podczerwone i lasery celownicze. Jeden z posuwających się na przdzie Mułów uruchomił silny zewnętrzny szperacz, inne poszły w jego ślady. Widziałem, jak światło z promieni przesącza się przez otwory w ażurowej strukturze i maluje tańczące cienie na ziemi.

– Pusto – nadał dowódca plutonu. – Wygląda na to, że wszyscy uciekli tyłem. Powtarzam: kompleks jest pusty, nikogo nie ma w domu.

– To było zbyt proste – skomentował Dmitrij.

– Nie mam nic przeciwko temu – odrzekłem. – Ale tak, wiem, co masz na myśli.

Przekazałem informację dowódcy Sił Naziemnych Czerwonych, generałowi, który podejmował decyzje w kosmoporcie oddalonym kilkaset kilometrów na południowy wschód od nas. Do tej misji przydzielono nam tylko drobną część dostępnych sił, tylko tych, którzy mogli zmieścić się na pokłady Mułów, w sumie setkę żołnierzy. Pełna brygada miała trzydziestokrotnie większy stan osobowy, ale nawet trzy tysiące trepów wydawało się niewielką liczbą, jeśli trzeba było zabezpieczyć nimi wiele kilometrów kwadratowych terenu. Nasz przyczółek przesuwał się miarowo, ale byliśmy już maksymalnie rozciągnięci, nawet jeśli brać pod uwagę posiłki. Jeśli w którymś miejscu nasza linia się przerwie, może stać się tak, jakby ktoś wbił igłę w balon.

– Wjechać dalej i przeprowadzić rozpoznanie, a następnie posuwać się na północny zachód, aż nawiążecie kontakt z Dryblasami atakującymi Plażę Pomarańczową – rozkazał generał. – Ale nie porywajcie się z motyką na słońce. Waszym

zadaniem jest odciągnąć ich w waszą stronę i zmniejszyć napór wywierany przez nich na Siły Naziemne Pomarańczowe.

– Tak jest – odparł dowódca naszej kompanii.

– Jedziemy – dodałem. W zasięgu wzroku nie widziałem żadnych obcych, a Muły bez przeszkód posuwały się w głąb kompleksu, jednak poczułem wahanie, gdy porucznik Stahl przełączył Łasicę w tryb jazdy i zdezaktywował kamuflaż polichromatyczny.

– Może teraz użyjemy trochę tego – powiedział Dmitrij, poklepując drążek systemu kierowania ogniem.

Dogoniliśmy kolumnę, gdy ostatnie wozy mijały lukę w koronkowej strukturze obcych. Wrażenie wjeżdżania w rafę koralową stawało się jeszcze bardziej niepokojące, gdy obserwowało się otoczenie przez liczne obiektywy systemu DAS. Znajdowałem się już parę razy blisko budowli obcych, ale nigdy w ich wnętrzu. Struktura w rzeczywistości okazała się znacznie większa, niż wydawała się z odległości kilku kilometrów, a może wynikało to po prostu ze skali, ponieważ pojazdy opancerzone wydawały się tam nieznacząco małe. Nieznany materiał wykorzystywany przez nieprzyjaciół przypominał kość, jednak był tak przewiewny i przejrzysty, że szperacze Mułów mogły go prześwieślać na wskroś. Miałem wrażenie, jakbym szedł przez katedrę. Widziałem liczne nieregularne łuki i otwory w ścianach. Całość bardziej przypominała odrzucony pancerz zwierzęcia albo gipsowy odlew organu wewnętrznego niż budynek, a Dryblaszy nigdy nie wydawali mi się bardziej organiczni i biologiczni niż w tym momencie.

Toczyliśmy się powoli i ostrożnie, a wieżyczki obracały się, gdy ich operatorzy szukali celów.

– Zająłem miejsce strzelca, a nie mam do czego strzelać – rzekł Dmitrij ze szczerym rozczarowaniem w głosie.

Kompleks mierzył kilkaset metrów średnicy i dzielił się na mniejsze sekcje dziwnymi, półprzezroczystymi ścianami wewnętrznymi, które wyglądały na bardzo delikatne. Powinniśmy się zapewne zatrzymać i pobrać próbki budulca, ale uznałem, że nie miejsce i czas na prace badawczo-naukowe. Spodziewałem się, że w każdej chwili nieprzyjaciel może wyskoczyć z niewidocznej pułapki lub zasadzki, ponieważ tak się zwykle zdarzało, gdy raz na jakiś czas zyskiwaliśmy przewagę. Udało nam się jednak przejechać na drugą stronę budowli, i nie zauważyliśmy nawet jednego wroga.

Po przeciwległej stronie natknęliśmy się na trupy Dryblasów z wycofującej się grupy, zabitych w wyniku ataku desantowców. Naliczyłem dwanaście ciał, niektóre z nich wciąż dymiły po bombardowaniu. Kolumna pancerna znów ustawiła się plutonami, a porucznik Stahl podkręcił obroty Łasicy, żeby znaleźć się na jej czele. Byliśmy szybsi, a nasze sensory sięgały dalej, więc znów robiliśmy za oczy i uszy.

Wypuściliśmy się za daleko, pomyślałem. Na moim ekranie taktycznym kolumnę symbolizowało skupisko niebieskich ikon w połowie drogi między plażami Czerwoną oraz Pomarańczową i w którą stronę byśmy się nie obrócili, od bezpiecznej strefy dzieliło nas sto pięćdziesiąt kilometrów. Nasze wsparcie lotnicze krążyło w górze, nieco mnie uspokajając, ale ani na moment nie zapomniałem, jak bardzo się teraz odsłaniamy, wciąż

rozglądałem się więc po zalegającym na zewnątrz mroku w zielonym noktowizyjnym obrazie z Łasicy, wypatrując miecza, który w każdej chwili mógł spaść nam na kark. Jednak w miarę upływu czasu coraz bardziej oddalaliśmy się od budowli obcych i nic nie wyskakiwało na nas z ciemności.

Miejmy nadzieję, że szczęście jeszcze nas przez jakiś czas nie opuści, pomyślałem, wiedząc dobrze, że nigdy się tak nie dzieje.

Jazda przez nocny marsjański krajobraz miała w sobie coś surrealistycznego, nie tylko z powodu zielonego zabarwienia widoku. Stahl wysforowywał się do przodu, aż znaleźliśmy się niemal dziesięć kilometrów od reszty kolumny. Na tyle daleko, żeby zdołać ją odpowiednio wcześniej ostrzec, gdybyśmy natknęli się na kłopoty.

– Cokolwiek zrobiliście, podziałało – nadało dowództwo brygady. – Plaża Pomarańczowa donosi, że obcy przestali napierać na ich sektor. Przesuwają się na południe od SL Pomarańczowej, w waszą stronę.

– Potwierdzam odbiór informacji, że nieprzyjaciel nadciąga od strony SL Pomarańczowej – odparłem. – Wiemy ilu?

– Mówią o kilkuset osobnikach – poinformował sztab. – Pamiętajcie, że Siły Naziemne Pomarańczowe są zbyt uszczuplone, żeby ich ścigać, straciły też większość bliskiego wsparcia lotniczego. Na razie pozostają w defensywie, więc wszystko spada na waszą głowę. Nawiążcie kontakt bojowy i pozwólcie, żeby pogonili za wami na południe, ale nie wdawajcie się w dłuższe starcia. Jest was za mało, żeby zatrzymać tę falę.

– Przyjąłem – powiedziałem. Dowódca kompanii

opancerzonej również nadał krótkie potwierdzenie.

– Jesteście naszym drutem-potykaçem – rzekł do mnie szef kompanii. – Wy nawiązujecie kontakt, my zajmujemy pozycje blokujące, po czym prowadzicie ich do nas. Żadnej zabawy w bohaterów.

– Nie interesuje mnie dzisiaj heroizm, sir – odrzekłem, a on się roześmiał.

– Wciąż nieźle wyglądamy – stwierdził. – Siedemdziesiąt procent amunicji, sześćdziesiąt pięć paliwa i możemy liczyć jeszcze na pół godziny wsparcia z góry. Mamy szansę wyjść z tego w jednym kawałku.

---

\* (ang.) *Distributed Aperture System*. Obecnie montowany w samolotach Lockheed Martin F-35 Lightning II Joint Strike Fighter. Jest systemem obserwacji i samoobrony przed pociskami opartym na zestawie kamer monitorujących pole wokół samolotu (przyp. tłum.).



# Odchylenie na północ 47

eren działał na naszą korzyść. Było na tyle płasko, że optyka mogła wychwycić pierwszych idących ku nam Dryblasów z odległości kilku kilometrów. Kroczyli przez równinę z determinacją, lecz bez pośpiechu, wzbijając obłoki marsjańskiego pyłu.

– Zbliża się nieprzyjaciel – poinformowałem na kanale kompanii. Ekran tak-łącza zaczął malować pomarańczowe ikony na skraju naszej strefy detekcji wizualnej. – Z kierunku dziewięćdziesiąt dwa stopnie. Odległość pięć kilometrów pięćset metrów i się zmniejsza.

– Do wszystkich plutonów, zatrzymać się i zająć pozycje. Uzupełnić amunicję z zapasów, jeśli będziecie mieć czas. Strzelamy z maksymalnego dystansu i cofamy się o dwa kilometry. Seria i w tył – rozkazał dowódca kompanii.

Pojazdy stanęły, formując długą linię ognia. Dostrzegałem pojawiające się symbole poszczególnych żołnierzy, gdy wysiadali z Mułów i zajmowali stanowiska bojowe pomiędzy nimi.

– No i proszę – powiedziałem do pozostałych członków załogi Łasicy. – Dmitrij, w końcu masz do czego strzelać.

– Może w tym dniu czeka mnie jednak trochę zabawy? – odparł Rosjanin i złapał za drążek sterujący wieżyczką. Od strony dachu usłyszałem szczęknięcie zdalnie przełączanego

mechanizmu ryglowego, gdy Dmitrij przygotowywał karabin maszynowy do działania. Wyglądało na to, że nie potrzebował zbyt wielu instrukcji, jeśli chodziło o obsługę broni wielkokalibrowej.

– Główne uzbrojenie ma zasięg dwa tysiące metrów – przypomniał mu porucznik Stahl. – Spróbuję podejść nie bliżej niż na półtora.

Przy polichromatycznym kamuflażu Łasicy mogliśmy zapewne zbliżyć się znacznie bardziej do Dryblasów, pozostając niezauważeni, ale tu chodziło o zwrócenie ich uwagi, a nie pozostanie w ukryciu. Stahl skierował pojazd na środek linii obcych i znów wcisnął gaz.

– Niech pan pamięta o marsjańskiej grawitacji! – wrzasnąłem. – I niech pan nie dachuje tym cholerstwem!

– Eurokorpus wykupił kompleksowe ubezpieczenie na ten wóz – odparł porucznik.

Dmitrij roześmiał się.

– Niemiecki humor – skomentował. – Nie sądziłem, że coś takiego istnieje.

Dystans pomiędzy nami a kompanią pancerną powiększał się, gdy z maksymalną prędkością pędziliśmy na spotkanie nieprzyjaciela. Wysforowaliśmy się już trzynaście kilometrów przed Muły, a musieliśmy przyciągnąć Dryblasów na pięć kilometrów od nich. Nie spuszczałem wzroku ze wskaźnika odległości do wroga, który, jak na moje odczucia, zmniejszał się zdecydowanie zbyt szybko. Trzy kilometry, dwa i pół, dwa. Gdy ekran pokazał tysiąc osiemset metrów, Stahl wcisnął hamulec i obrócił Łasicę.

– Strzelać bez rozkazu – powiedział.

Niemiecki karabin okazał się zdumiewająco celny nawet bez dalmierza laserowego, który i tak nie działał na skórach obcych. Pierwsza seria ugodziła Dryblasę prosto w górną część klatki piersiowej, bardzo blisko względnie wrażliwego gardła. Broń miała mniejszy kaliber niż nasze działka automatyczne, ale pociski opuszczały lufę ze zdecydowanie większą prędkością i pokonywały dystans w niewiele ponad sekundę. Dryblas potknął się i padł na kolana. Dmitrij poprawił drugą serią, która trafiła pochylonego nieprzyjaciela w tarczę czaszkową, aż dookoła posypały się rykoszety. Rosjanin wypuścił jeszcze kilka krótkich serii wzdłuż linii wroga – nie tyle, żeby na pewno powalić kolejnego obcego niewielkimi kulami, lecz wystarczająco, żeby zadać rany i być może wkurzyć stwory. Następnie porucznik ruszył, oddalając nas od Dryblasów.

Powtarzaliśmy tę procedurę po pokonaniu każdej linii kilometrowej. Z braku innych nawigacyjnych punktów odniesienia zaznaczono je na naszej mapie taktycznej jako odchylenia na północ i pierwszy atak na wroga przypuściliśmy na linii sześćdziesiąt. Później zatrzymaliśmy się do strzału na odchyleniu na północ pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt siedem i pięćdziesiąt sześć, za każdym razem wypuszczając kilkaset pocisków z karabinu maszynowego i niemal zawsze powalając jednego wroga. Kompania pancerna ustawiła się na linii czterdzieści siedem.

– Idą prosto na wasze działka – poinformowałem dowódcę kompanii.

– Kontynuujcie – odparł. – Jeśli przejdą przez wzgórza

między liniami pięćdziesiąt cztery a pięćdziesiąt trzy, będziemy ich mieć jak na widelcu.

– Tylko uważajcie przy celowaniu – powiedziałem. – Nasza podwózka nie zniesie zbyt wielu zabłąkanych kul.

Teoretycznie komputer sterujący uzbrojeniem Mułów nie powinien pozwolić na oddanie strzału w potwierdzony sojusznicy cel z transponderem identyfikującym go jako WPA lub Eurokorpus, ale przy takich odległościach nasze działka nie były idealnie precyzyjne. Gdy pędziliśmy w stronę wzgórz, miałem nadzieję, że strzelcy z Mułów są doświadczeni i czujni, ponieważ nawet jeden trzydziestopięciomilimetrowy pocisk mógłby całkowicie zniszczyć Łasicę.

– Wsparcie lotnicze, przygotujcie się do zrzucenia solidnych niespodzianek – nadałem do desantowców w powietrzu. – Dmitrij, powiedz pilotom samolotów ZCR, żeby zaczekali, aż Dryblasy przejdą wzgórze i będziemy ich mieli w zasięgu strzału. Nie ma sensu ich rozpraszać, zanim wejdą nam pod lufy.

– Pamiętajcie: krótkie, kontrolowane serie – polecił plutonowi dowódca kompanii. – Wypuszczamy na nich wszystko, co mamy, a później cofamy się na linię czterdzieści pięć. Powtarzamy salwę i znów skaczemy w tył dwa odchylenia, dopóki nie przestaną iść.

Porucznik Stahl dopasował tymczasem ustawienia wozu do grawitacji Marsa. Przemknęliśmy przez niskie wzgórza na linii pięćdziesiąt cztery i Łasica na moment oderwała się od ziemi. Chwilę później spadliśmy z powrotem w pył, lecz pojazd pozostał na kursie i świetnie skompensował wstrząs przy lądowaniu. Niewątpliwie został zaprojektowany pod kątem

rozpoznania, a nie walki, ale doskonale nadawał się do zadania, które teraz wykonywaliśmy, ponieważ był mały, bardzo zwinny i wyposażony w niesamowitą matrycę sensoryczną. Gdybym dysponował dwunastoma takimi na potrzeby operacji specjalnych, byłbym w stanie w pełni sprawdzić glob wielkości Arkadii lub Marsa w pięć dni, na dodatek w przyjemnych klimatyzowanych warunkach. Mógłbym się założyć, że na pokładzie umieszczono też niezły system nagłaśniający.

– Ekspres Czerwony Beret, widzimy was – usłyszałem na kanale kompanii, gdy pokonaliśmy wzgórze. Prędkościomierz na moim ekranie pokazywał sto dziesięć kilometrów na godzinę, czyli szybciej, niż kiedykolwiek przemieszczałem się poza ojczystą planetę w naziemnym środku transportu.

Niecałą minutę później znad pagórków wyłonili się Dryblasy, kilkudziesięciu w wysforowanej grupie i kolejne setki za nimi. Pluton pancerny czekał cierpliwie, aż więcej nieprzyjaciół wdrze się na pół kilometra w głąb strefy ostrzału.

– Ekspres Czerwony Beret, skręć w lewo na kierunek dziewięćdziesiąt i przejedź łukiem za nas.

– Zrozumiałem – odrzekł niemiecki porucznik. – Objeżdżam z kierunku dziewięćdziesiąt stopni.

Skorygował trasę Łasicy, aż jechaliśmy niemal równolegle do Dryblasów nacierających w odległości półtora kilometra od nas. Dmitrij odłożył karabin z wyrazem lekkiego żalu na twarzy widocznej za wizjerem europejskiego hełmu.

– Do wszystkich jednostek, przełączyć kierowanie ogniem na autonomiczne. Strzelać bez rozkazu, strzelać bez rozkazu.

Podobnie jak wcześniej pod osiedlem Dryblasów, czternaście

działek           wypluło           z           siebie           salwę.  
Z trzydziestopięciomilimetrowych luf wydobywały się potężne błyski, choć zamontowano na nich tłumiki płomieni. Z naszej perspektywy, na prawo od formacji, lecz wciąż przed nią, wyglądało to niepokojąco, jednak komputery Mułów działały zgodnie ze swoim oprogramowaniem i ciężkie pociski przemknęły nad Łasicą, lecąc w stronę nadciągających obcych.

Na trzydzieści sekund płaskowyz zamienił się w strzelnicę z żywymi celami. Muły kosiły Dryblasa za Dryblasem. Kumulacyjne pociski były tak potężne, że czasami przy trafieniu urywały nieprzyjaciołom kończyny, co stanowiło bardzo satysfakcjonujący widok. Niektóre ze stworów zbliżały się skulone, żeby tarcze czaszkowe ochraniały od przodu tułów, i zaskoczyło mnie, że nawet działka z Bękartów nie były w stanie przebijać tych pancerzy. Dryblasy przewracali się i wypadali z grupy ze śmiertelnymi obrażeniami na całej długości szyku, ale ci, którzy znajdowali się za nimi, po prostu przekraczali poległych towarzyszy i dalej parli pod morderczy ogień lecący od strony Mułów.

Nie rozumiem tego, pomyślałem. Wcześniej wycofali się przy osiedlu, okazując instynkt samozachowawczy, lecz tym tutaj wydawała się nie przeszkadzać nasza skuteczna kanonada. Już powaliliśmy kilkunastu, ale pozostali szli dalej, omijając swoich zabitych lub wręcz po ich ciałach. Dotarli już na tyle blisko, że zaniepokoiło to dowódcę kompanii, który wydał sygnał do odwrotu.

– Do wszystkich jednostek, przerwać ogień. Ładować się do środka. Wycofujemy się na linię czterdzieści pięć.

Muły przestały strzelać, pozwalając piechocie wejść na pokłady, po czym niemal jednocześnie wykonały zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i pomknęły w stronę wyznaczonej linii odchylenia na północ w odległości dwóch kilometrów. Towarzyszyliśmy im w Łasicy, trzymając się na ich lewej flance – i teraz wszyscy, i my, i nieprzyjaciele, poruszaliśmy się w tym samym kierunku. Skupisko pomarańczowych ikon za kompanią nieco się przerzedziło, ale wciąż niewystarczająco. Musieliśmy powtórzyć procedurę jeszcze kilka razy, żeby powalić wszystkich obcych, a wozy opancerzone miały ograniczony zapas amunicji. Łasica dysponowała jeszcze wieloma pociskami, mniejszymi od tych wypuszczanych przez wielkie Bękarty, ale nawet przy oszczędnym gospodarowaniu kulami zużyliśmy połowę zapasu na wcześniejsze serie nękające. Gdy kompania ustawiła się na linii czterdzieści pięć, żeby znów oddać salwę, zacząłem mieć wrażenie, że próbujemy ugasić ogromny pożar gaśnicami ręcznymi.

– Jeszcze jeden czy dwa takie przystanki i będziemy musieli przerwać działania bojowe – powiedział dowódca, powtarzając moje myśli.

– Jeszcze nie – odparłem. – Na następnym postoju wpadnie wsparcie lotnicze.

– Alleluja – skomentował.

– Do wszystkich jednostek lotniczych, oznaczam punkt referencyjny celu Alfa. – Nakreśliłem duży czerwony prostokąt wokół masy pomarańczowych symboli na płaskowyżu. – Możecie użyć broni. Wszystko na północ od czterdziestego piątego to wróg i cel priorytetowy. Strzelać bez rozkazu, strzelać

bez rozkazu.

Desantowce wypadły z hukiem spomiędzy chmur gdzieś nad linią czterdzieści cztery. Ustawiły się czwórką w linii i wypluły w Dryblasów całą pozostałą im amunicję. Dwanaście smug gazów wylotowych po raketach wystrzelonych z pylonów Os wdarło się w szeregi obcych. Ci z nieprzyjaciół, którzy przyjęli trafienia bezpośrednio na siebie, przewrócili się gwałtownie, zakłócając natarcie na swoim odcinku. Niektóre rakietki uderzyły w ziemię, lecz siła eksplozji wystarczyła, żeby obcy upadli lub potknęli się. Osy dopełniły dzieła długimi seriami, które przeorały szeregi stworów i zabiły kolejne z nich. Wciąż ich powalaliśmy, za każde przebyte sto metrów kilku płaciło życiem, a jednak dalej szli.

– Klucz Cadillac wyprztykał się z rakiet i zostało nam mało paliwa – powiedział mi na lotniczym kanale taktycznym pilot dowodzący grupą desantowców. – Możemy zrobić jeszcze jeden przelot, ale później musimy wracać do bazy.

– Kapitanie, możemy liczyć już tylko na jeden ostrzał – przekazałem dowódcy kompanii. – Sugeruję, żebyśmy wykorzystali go jako osłonę, gdy będziemy się stąd zabierać.

– Trochę im dokopaliśmy – nadał w odpowiedzi. – Do wszystkich plutonów, przerwać ogień i przygotować się do jazdy na południe. Miejmy nadzieję, że odciągnęliśmy wystarczająco wielu tych bydlaków od SL Pomarańczowej.

Muły znów zawróciły, a desantowce ustawiły się w linii do kolejnego ataku. Tym razem nadleciały z północnego wschodu, prostopadle do kolumny Dryblasów rozciągającej się na płaskowyżu na kilka kilometrów i wciąż nieustępliwie prącej ku



nam. Działka powaliły jeszcze paru, może ośmiu lub dziesięciu, ale stworów zostało zbyt wiele, żeby te zabite zrobiły jakąś różnicę w ich szeregach.

– Skończyło nam się paliwo i amunicja do działek. Klucz Cadillac wraca do bazy. Powodzenia tam na dole – życzył dowódca grupy desantowców.

– No i już. Koniec. Do wszystkich jednostek, przerwać działania bojowe – polecił dowódca kompanii.

Na południowym skraju zasięgu sensorów Łasicy pojawiła się pomarańczowa ikona. Dołączyła do niej druga, później trzecia. Po minucie na południe od nas rozciągała się linia symboli równie długa i zwarta, jak ta od północy.

– Zauważono nieprzyjaciela na kierunku sto czterdzieści pięć, odległość osiem kilometrów. Ponad stu osobników – poinformowałem na kanale kompanii, choć wszyscy widzieli to na swoich ekranach taktycznych, ponieważ mój pancierz dzielił się danymi z otoczeniem.

Obróciłem się do Dmitrija.

– Skąd oni się, kurwa, wzięli? – zirytowałem się. – Ten teren był czysty. Przejechaliśmy tamtędy pół jebanej godziny temu.

– Zasadzka – odparł Rosjanin. – Odciągnęli nas od osiedla. Tylko udawali, że uciekli, żebyśmy od razu pojechali na północ. A teraz zamykają pułapkę.

Sądziliśmy, że to my prowadzimy ich w pułapkę, pomyślałem, a tymczasem to oni wciągali nas w swoją. Poświęcili dziesiątki swoich, żeby przydybać nas na otwartym terenie. Zupełnie jak na Grenlandii.

Ekran tak-łącza pokazywał sytuację jak z koszmaru. Nasz

szereg Mułów tkwił teraz między dwiema długimi liniami Dryblasów, które zbliżały się do nas niczym płyty wielkiej zgniatarki śmieci. Na północnym wschodzie mieliśmy strome wzgórze, jako jedyna droga ucieczki pozostawał nam więc południowo-zachodni kraniec tego imadła, ale obcy rozsuwali już swój szereg, by zamknąć i tę szczelinę.

Jak zatrzasujące się kleszcze. Znali taktykę szyków.

Dowódca kompanii doszedł do tego samego wniosku. Zaznaczył na mapie zmniejszającą się lukę.

– Do wszystkich plutonów, jechać jak najszybciej do tego sektora – polecił. – Ruszcie dupy. Pędźcie, jeśli wam życie miłe.

Cała kolumna wykonała zwrot na południe i wozy opancerzone pomknęły pełnym gazem. Nasza Łasica znajdowała się na północnej flance szyku, u stóp ograniczającego nas wzgórze, którego skaliste zbocze było usiane głębokimi szczelinami i wyglądało na zbyt strome, aby zdołał się na nie wspiąć pojazd rozpoznania, porucznik Stahl skierował nas więc na południe i zwiększył obroty, żeby dogonić spieszące się Muły.

Nie zostało mi nic poza trzymaniem się fotela i nadzieją, że porucznik nie przewróci wozu. Wycelowałem maszt sensoryczny w Dryblasów zbliżających się do nas od południowego wschodu. Nie poruszali się leniwym tempem. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby te stwory parły tak szybko, kilometr na minutę. Grupa była równie wielka jak ta nacierająca z północnego zachodu i przemieszczała się tą samą drogą, którą my sami jechaliśmy zaledwie pół godziny wcześniej. Ten teren był przecież wtedy zupełnie pusty, a wiedziałem, że Muły poruszały się szybciej niż nawet biegnące stwory.

Skąd oni się wzięli, do cholery? Zupełnie jakby wyleźli za nami spod ziemi.

Nagle przyszło mi do głowy, że to dobre wytłumaczenie, w jaki sposób obcym udało się zorganizować tę pułapkę. Miałem nadzieję, że się mylę, bo gdybym miał rację, oznaczałoby to, że nasza ofensywa spotka się z gwałtowną reakcją nie tylko w tym regionie.

Muły na czele pędziły na pełnych obrotach, widziałem jednak, że południowa część szczypiec odetnie drogę ucieczki tuż przed tym, zanim dotrzemy do zamykającej się luki.

– Nie odpuszczać – rozkazywał kapitan na kanale kompanii. – Nie zatrzymywać się, żeby strzelać. Przejeżdżać przez nich, jeśli będzie trzeba.

Pierwsze dwa pojazdy osiągnęły linię Dryblasów w chwili, gdy ci zwarli szeregi i zaczęli maszerować na nas. Jeden z Mułów wdarł się pomiędzy dwa stwory i pomknął w ciemność. Drugi nie zdążył i jego kierowca zdecydował w ostatniej chwili, że prędkość taranująca jest stosowanym przekazaniem obcym na pożegnanie, żeby się pierdolili. Wycelował w nogi jednego z kolosów i wpadł prosto na nie. Dwadzieścia ton wozu opancerzonego z przodem w kształcie klina uderzyło w istotę ważącą dwie setki ton. Pomimo mniejszej masy Muł miał niżej położony środek ciężkości, ale laminatowo-kompozytowe płyty nie zostały zaprojektowane, by przetrwać zetknięcie się z dużą szybkością z czymś tak twardym. Dryblas upadł, wóz odrzuciło na bok i potoczył się gwałtownie po płaskowyżu, sypiąc elementami pancerza. Wzdrygnąłem się na ten widok – nawet jeśli żołnierze zajmowali z tyłu rozkładane siedzenia, nie było

szans, żeby ktoś wyszedł z tego wypadku o własnych siłach.

Pozostałe Muły zrezygnowały z prób jazdy w skoordynowanej formacji. Każdy próbował znaleźć lukę w ścianie odcinających nas obcych. Niektóre zatrzymały się i, ignorując wcześniejszy rozkaz, otworzyły ogień z działek, żeby wyrąbać sobie szczelinę. Kilku Dryblasów upadło, ale inni niemal natychmiast zajęli ich miejsce. Obserwowałem, jak jeden z kolosów podchodzi z boku do strzelającego wozu. Zanim działonowy zdążył obrócić wieżyczkę, obcy kopnął Muła z taką siłą, że pojazd przewrócił się na bok. Inny stwór nastąpił na niego i zaczął metodycznie miażdżyć wielkimi stopami. Któryś wóz otworzył ogień z innego miejsca i długą serią pocisków zmiotł Dryblasa ze zniszczonego Muła.

Obszar między połączonymi liniami obcych przemienił się w zupełny chaos. Każdy pojazd w pojedynkę manewrował i walczył o przetrwanie. Dryblasy po prostu przewracali je kopnięciami lub zrywali z dachów wieżyczki z uzbrojeniem. Porucznik Stahl włączył kamuflaż polichromatyczny i z ogromną prędkością przemykał między Mułami a nieprzyjaciółmi. Uznałem, że w niektórych sytuacjach dookolny widok za pośrednictwem sensorów DAS daje trochę zbyt wiele informacji. Była to straszliwa jazda przez bezlitosną napierdalankę pomiędzy maszynami i ponaddwudziestometrowymi potworami.

– Teraz dzień zrobił się mniej fajny – powiedział Dmitrij z fotela strzelca. Znów prażył z wieżyczki i opróżniał magazynek odmierzonymi seriami, siekąc Dryblasów, gdy ich mijaliśmy, i miotając w skupiska wrogów granatami z automatycznej

wyrzutni.

Otarliśmy się o Muła, który pojawił się obok nas jakby znikąd. Łasica aż zadrżała, na moment podnosząc prawe koła nad ziemię. Sunęliśmy w ten sposób jakieś dwadzieścia albo trzydzieści metrów, niemal wpadając na nogi nacierającego Dryblasą. Stahl zdołał wyprostować pojazd i natychmiast skręcił w lewo tak ostro, że tym razem uniosły się koła z drugiej strony. Jedną oponą przejechaliśmy po palcu obcego, gdy ten rozpoczynał kolejny krok. Koła z lewej znów uderzyły mocno w powierzchnię.

– Patrz do przodu, *durak!* – wrzasnął Dmitrij na porucznika.

– Nie mam na imię „durak”! – odkrzyknął Stahl. – Tylko Torsten. – Niemiec szarpnął kierownicę w lewo, potem w prawo i o mniej niż metr ominęliśmy kolejnego wroga, gdy ten się na nas zamachiwał. – Zresztą nie tak łatwo jest mi teraz kierować.

Co dziwne, Dmitrij się roześmiał.

– To jakby jeździć po Moskwie w sobotni wieczór – powiedział. – Może trochę mniej niebezpiecznie.

– Wy Rosjanie wszyscy jesteście obłąkani – odwarknął Stahl.

– Po prostu jedź, kurwa! – zawołałem.

Nie wiem, w jaki sposób przedarliśmy się przez Dryblasów i zygzakujące Muły, ale kilka chwil później byliśmy już na otwartym terenie, poza walką, i pędziliśmy przez marsjańską równinę. Obróciłem maszt optyczny w tył, żeby sprawdzić, czy obcy nas ścigają, jednak wszyscy napierali w głąb kotła, na pojazdy wciąż uwięzione między nimi. Nie podobało mi się, że uciekamy, ale nie mogliśmy zrobić nic innego.

Dmitrij obsługiwał broń przez cały nasz szaleńczy przejazd

i opróżnił wszystkie magazynki, z wyjątkiem kilku granatów termobarycznych do automatycznej wyrzutni, nieskutecznych na otwartej przestrzeni. Została nam wyłącznie broń ręczna, a z prawej strony Łasicy dobiegał niepokojący zgrzyt. Na ekranie taktycznym panował absolutny bałagan, pomarańczowe i niebieskie ikony nachodziły na siebie, lecz coraz więcej niebieskich gasło, gdy nadajniki w wozach zostawały zmiżdżone. Jeszcze dwa nasze pojazdy wydostały się ze skupiska pomarańczowych symboli i oddalały się jak najszybciej od miejsca walki, obierając różne kierunki. Pięć minut wcześniej towarzyszyliśmy pełnej kompanii lekko opancerzonych wozów bojowych, a teraz zostało z niej ledwie kilku niedobitków próbujących ratować życie. Mieliśmy rozsądną taktykę, działaliśmy zgodnie z procedurami, bezbłędnie wykonywaliśmy plan, a jednak skopano nam dupy przy samych uszach. Zbyt wielu Dryblasów na zbyt wielkiej planecie, a zbyt mało nas, żeby powstrzymać tę falę, choć przez cały rok szkoliliśmy nowych żołnierzy.



Porucznik Stahl jechał przez dziesięć minut na południe, zanim odważył się zatrzymać na małym pagórku, żeby rozeznaczyć się w tym, co zostało. Dwa ocalałe Muły posuwały się mniej więcej w tę samą stronę, ale znajdowały się kilka kilometrów na zachód od nas. W obu siedziały drużyny PK dowodzone przez sierżantów sztabowych, co oznaczało, że byłem w tej grupie najstarszym rangą żyjącym żołnierzem WPA.

– Jedźcie na południe wokół tej góry, a później skierujcie się na Port Kosmiczny Olympus – powiedziałem dowódcom obu

wozów. – Dowieźcie swoich żołnierzy w bezpieczne miejsce. Między nami a lotniskiem roi się od Dryblasów, więc miejcie oczy szeroko otwarte i nie podejmujcie niepotrzebnego ryzyka.

– Tak jest, sir. Do zobaczenia w bazie. Powodzenia.

Wysiedliśmy z Łasicy, żeby przyjrzeć się uszkodzeniom. Źródłem zgrzytów okazał się ocierający się o oponę fragment kadłuba. Bok wozu był w cholere powgniatany i podrapany po kolizjach z Mułem i z obcym. Łożysko przedniego lewego koła również poszło w diabły, jednak pojazd powinien nas dowieźć do kosmoportu. Wraz z Dmitrijem oderwaliśmy zwisającą laminatową płytę i odrzuciliśmy na bok.

– Którędy chce pan jechać? – spytał mnie porucznik Stahl, gdy wsiedliśmy już do środka.

– Chcę cofnąć się na północ i objechać tę górę od drugiej strony – odrzekłem. – Na tyle wysoko na zboczu, żebyśmy mogli użyć waszego superperyskopu i zerknąć na płaskowyż na północny wschód od tamtego osiedla Dryblasów. Mam pewne podejrzenia, które chętnie uspokoję.

Stahl wytyczył kurs na ekranie nawigacyjnym.

– Będziemy mieć zasięg wzroku – oznajmił.

– To jedźmy. Po drodze, gdy znajdziemy się już na zboczu, spróbuję się połączyć z dowództwem SL Czerwonej.

Wieści z dowództwa potwierdziły moje najgorsze obawy. Poinformowałem sztab o tragicznym wyniku naszej misji, lecz okazało się, że był to teraz jedynie drobny element ogólnej sytuacji. W tle transmisji słyszałem palbę wielkokalibrowej broni jednostek lotniczych.

– Mamy Dryblasów wszędzie na tyłach – mówiło dowództwo brygady. – Zaczęli pojawiać się znikąd przy naszych liniach. Perymetr SL Czerwonej skurczył się do dziesięciu kilometrów wokół bazy i zmniejsza się z każdą godziną. Straciliśmy SL Pomarańczową, a SL Brązowa ma problemy. Robią, co się da, z pomocą z orbity, ale krążownikom szybko kończą się rakiety i głowice kinetyczne. Dywizja szykuje się do awaryjnego startu, sugeruję więc pośpiech, jeśli chcecie się załapać.

– Co z południową półkulą?

– Druga dywizja i ZCR już się stamtąd wycofują. Ograniczamy straty, poruczniku. Wróćcie do bazy i niech Bóg będzie z wami. Dowództwo bez odbioru.

Przez chwilę przetrawialiśmy te informacje. Kilka SL zostało zajętych, w każdej straciliśmy brygadę. Daliśmy Dryblasom łupnia na orbicie, zlikwidowaliśmy tysiące osobników na powierzchni, a później oddali cios. Być może nie da się walczyć skutecznie z przeciwnikiem, którego w ogóle się nie rozumie.

– Jedźmy – powiedziałem. – Muszę po drodze do bazy jeszcze raz przyjrzeć się temu osiedlu.

Objechaliśmy górę, trzymając się jej zbocza mniej więcej w połowie wysokości. Obsługiwałem maszt sensoryczny wyciągnięty do pełnej długości dwudziestu pięciu metrów i widziałem połąć powierzchni Marsa szeroką na setki kilometrów. W pewnym momencie zbliżyliśmy się na dziesięć kilometrów do miejsca, w którym obcy starannie zlikwidowali naszą kompanię pancerną, wycelowałem więc sensory w tamtą stronę i podkręciłem je na maksymalne powiększenie. Wciąż



było ciemno i mimo wzmocnienia wizji nie dawało się uzyskać bardzo ostrego obrazu, ale dostrzegałem porozrzucone wraki pojazdów. Na szczęście byliśmy zbyt daleko, żeby widzieć ciała, jeśli jakieś w ogóle tam leżały.

Krótką chwilę później zauważyłem ruch na płaskowyżu pomiędzy miejscem bitwy a osiedlem Dryblasów. Znajdowaliśmy się pięćset metrów wyżej, w odległości sześciu kilometrów, lecz nawet w niewyraźnym zielonym noktowizyjnym obrazie widziałem, że zebrała się tam cała zgraja obcych.

– Proszę zatrzymać się na chwilę – powiedziałem porucznikowi Stahlowi, a on wyhamował Łasicę.

Skupiłem się na marsjańskiej pustyni. Okolice była raczej płaska – gdy wcześniej tamtędy przejeżdżaliśmy dołem, miałem promień widzenia około kilku kilometrów – lecz w dwóch miejscach, gdzie teren zaczynał się wznosić, dało się dostrzec głębokie szczeliny i wąwozy. Dziesiątki Dryblasów szły w stronę właśnie jednego z tych parowów. Podążałem za nimi wzrokiem, aż dotarłem do punktu, gdzie znajome sylwetki znikwały w ciemności. Już wcześniej miałem pewne podejrzenia, w jaki sposób stworom udało się tak szybko zamknąć pułapkę, choć przecież sprawdziliśmy płaskowyż, a teraz zyskałem pewność. Podzieliłem się obrazem z Dmitrijem i porucznikiem.

– To cholerny tunel – rzekłem. – Zeszli pod ziemię. Pod skałę. Tak samo jak na Grenlandii.

– Dlatego zdołali wyjść za naszymi wozami – dumiał Stahl. – Ukryli się w tunelach i wyleźli, gdy przejechaliśmy.

– Wydawało nam się, że ustanowiliśmy linię frontu,

a tymczasem celowo pozwalali się spychać. Wtedy za bardzo rozciągnęliśmy siły.

– Nie przypuszczam, żebyśmy mogli wygrać tę walkę, Andrew – dodał Rosjanin.

– Nie – przyznałem. – Nie na powierzchni.

Obserwowaliśmy, jak Dryblasy jeden za drugim znikają w wylocie parowu. Mimowolnie przypomniałem sobie ciemność korytarza na Grenlandii, poczucie absolutnego strachu i beznadziei, i ten sam strach zaczął znów we mnie wzbierać na samą myśl, że miałbym zejść za tymi istotami do mrocznych nor rozciągających się setki metrów pod ziemią. Ledwie dwanaście stworów zdołało w jeden miesiąc zbudować na Grenlandii gniazdo i małą sieć tuneli. Mars pozostawał w ich łapach od ponad roku i przebywały tu zapewne dziesiątki tysięcy osobników. Mieli mnóstwo czasu, żeby się wkopać i przygotować. Jeśli ci obcy byli choć w połowie tak pracowici i wydajni, jak ich towarzysze na Ziemi, to pod powierzchnią Czerwonej Planety rozpościerała się teraz sieć korytarzy i jaskiń, której nawet sto tysięcy żołnierzy PK nie zdołałoby oczyścić przez rok.

– Co oni niosą? – spytał porucznik Stahl.

– Słucham?

– Dryblasy. Wygląda, jakby coś nieśli. Ci, którzy wchodzą do tunelu.

Przybliżyłem maksymalnie widok. Przy dwustukrotnym powiększeniu stabilizacja obrazu była technologicznym cudem. Niemcy naprawdę wiedzieli, jak produkować optykę, ale teraz żałowałem, że okazali się tak dobrzy, ponieważ widziałem

wyraźnie ręce i nogi zwisające z wielkich, pazurzastych łap.  
Poczułem mdłości.

– *Boże moj* – mruknął Dmitrij, kiedy zatrzymałem obraz  
i wrzuciłem go na centralne ekrany Łasicy.

– Ciała – powiedziałem. – To ludzkie ciała.

# Nie istnieje coś takiego, jak nadmiar środków bojowych

Słońce wzeszło godzinę później, gdy wciąż objeżdżaliśmy górę. Skanowałem płaskowyż i podejścia do osiedla Dryblasów za pomocą sensorów optycznych. Obszar, który był pusty, gdy przejeżdżaliśmy tamtędy wcześniej, a w ślad za nami kompania pancerna, teraz znów roił się od obcych. Nie skupiali się już w dużych grupach, które widzieliśmy nocą, i wydawało mi się, że wrócili do zwykłych czynności. Opuszczali osiedle i do niego wracali. Niektórzy ciągnęli za sobą ciała własnych poległych. Widziałem, że nawet oni mieli fizyczne ograniczenia, ponieważ do przeniesienia zwłok trzeba było dwóch osobników.

– Po co im potrzebne ciała ludzi? – zastanawiał się porucznik Stahl. – Po co je zbierają? To dlatego w mieście nie było niemal żadnych trupów. Zabrali większość.

– Żywność – zasugerował Dmitrij. – Może zjadają naszych.

– No nie wiem. Przekraczają nas wagą tysiące razy. Za mało nas. To jakbyśmy my próbowali żywić się karaluchami.

Rosjanin wzruszył ramionami i otworzył usta, podniosłem dłoń, żeby zachował dla siebie to, co chciał powiedzieć.

– Jeśli rzeczywiście masz przepisy na karaluchy z rosyjskiego więzienia – rzekłem – to naprawdę nie jestem nimi

zainteresowany.

Uśmiechnął się i znów wzruszył ramionami.

– To bogate źródło białka. Wszyscy potrzebują białka.

– Wszyscy potrzebują białka – powtórzyłem.

– Może rzeczywiście zjadają? – powiedział Stahl. – Albo wykorzystują jako surowiec? Do celów konstrukcyjnych. Zanim zostałem żołnierzem, byłem inżynierem – dodał niemal przepaszająco.

– Co, do cholery, można konstruować z białka? – spytałem.

– Nie bezpośrednio z niego. Ale można je wykorzystać jako element. Dodaje sztywności. Albo elastyczności, w zależności od sposobu użycia. Jak w kościach.

Spojrzałem przez wizjer masztu sensorycznego i przesunąłem widok na osiedle Dryblasów, oddalone od nas o ponad dziesięć kilometrów, ale dobrze widoczne na czerwonej marsjańskiej ziemi. Gdy patrzyłem na nie w świetle dnia, kojarzyło mi się ze szkieletem dawno zmarłego zwierzęcia.

– Jak w kościach – rzekłem.

Grunt pod Łasicą zatrzęsł się lekko. Dmitrij i ja popatrzyliśmy po sobie. Porucznik zwolnił i rozejrzał się w poszukiwaniu spadających kamieni lub innych oznak niestabilności.

Wtedy ziemia znów zadrżała, mocniej niż za pierwszym razem. Żwir i małe kamyki zaczęły turlać się przed nami w dół zbocza.

– Wulkan? – podsunąłem.

– Ta część Marsa nie jest aktywna sejsmicznie.

Wstrząsy powtórzyły się jeszcze silniej.

– Włóżmy hełmy – zaproponowałem. – Musimy stąd zjechać,

zanim skończymy w lawinie.

Po raz czwarty zatrzęsło, tym razem tak mocno, że Łasica przesunęła się lekko w bok. Rozległ się głęboki, donośny rumor, który zaczął się gdzieś w dolinie i nie gasł. Brzmiał jak trzęsienie ziemi, ale z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy.

– Tam – wskazał Dmitrij. – Spójrzcie.

Na płaskowyżu tuż przy osiedlu Dryblasów pojawiła się szczelina. Na naszych oczach rosła, rozdzielając ziemię, jakby ciął ją ogromny, ostry nóż. Słyszeliśmy trzaski i chrzęsty pękających warstw skalnych. Rozpadlina dotarła do miasteczka obcych i zniknęła pod nią. Dźwięk, który rozpoczął się jako dalekie dudnienie, stawał się coraz głośniejszy, a towarzyszące mu wstrząsy z każdą sekundą nabierały mocy.

– Trzęsienie ziemi – powiedziałem. – Zajebicie wielkie trzęsienie ziemi. Tylko tego nam teraz brakowało.

– Myślę, że to nie jest trzęsienie ziemi – odrzekł Rosjanin.

Przy osiedlu Dryblasów grunt zaczął się ruszać. Mniejsze kamienie i żwir wyraźnie podskakiwały od wibracji wywołanych przez tajemnicze zjawisko pod powierzchnią. Rumor wypełniał już całą dolinę i przetaczał się po płaskowyżu niczym miarowy, silny, basowy pomruk. Miałem wrażenie, jakby dwa kilometry kwadratowe wokół osady stały się półpłynne. I nagle przecinająca ją szczelina poszerzyła się jeszcze bardziej. Ziemia po jej obu stronach uniosła się na kilkanaście metrów. Cały fragment terenu wokół koronkowych budowli wypiętrzył się, jakby coś wielkiego napierało na niego od dołu. Łasica, zaparkowana na wzniesieniu oddalonym o dziesięć kilometrów, drżała od niskich częstotliwości

nabierających wciąż mocy.

Wtedy kawał gruntu wybuchł i ze szczytu nowego otworu w marsjańskiej powierzchni wyłonił się ogromny podłużny kształt. Miał zaokrąglony czubek i choć jego większość wciąż skrywała się pod ziemią, sama krzywizna górnej części pozwalała mi odgadnąć, co przedzierało się właśnie przez skały i glebę, zupełnie jakby planeta rodziła. Była to smukła, przypominająca torpedę sylwetka okrętu nasiennego Dryblasów.

– Oż kurwa jebana mać! – stwierdziłem.

Dmitrij mruknął coś cicho pod nosem, zapewne wyrażając po rosyjsku podobne odczucia.

Osiedle obcych, cały kompleks z grubsza w kształcie kopuły, tkwiło na kadłubie okrętu. Gdy ten wydobywał się nad powierzchnię, a ziemia i kamienie zsuwały się z niego jak woda z wynurzającego się wieloryba, budowla zaczęła się rozpadać. Wyglądało to tak, jakby okręt nasienny strząsał z siebie koronkową strukturę, niczym niepotrzebny już element.

Może to mimo wszystko nie są schronienia? – pomyślałem. Nasuwał się jedyny logiczny wniosek: każda „osada” Dryblasów była nadziemną częścią zakopanego okrętu. Wciąż traktowaliśmy te istoty, jakby myślały tak samo jak my, zaś one nieustannie pokazywały nam, że obcy naprawdę znaczy obcy.

– Startuje – rzekł z podziwem i zgrozą porucznik Stahl. – Jak to możliwe? W atmosferze? Jest ogromny.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Ale jeśli doleci na orbitę, wbije się w naszą flotę i rozniesie ją w drzazgi.

Włączyłem zestaw kontrolera walki i wybrałem bezpośrednio

połączenie z dowództwem „Falangi”.

– Przekaz priorytetowy. Dowództwo „Falangi”, tu Wydech Czerwony Jeden, zgłoś się.

– Wydech Czerwony Jeden, słyszę cię cztery na pięć. Nadawaj przekaz priorytetowy.

Za pośrednictwem interfejsu wizualnego pancerza wysłałem obraz wideo z Łasicy i dołączyłem następny komunikat.

– Proszę o priorytetowy nalot nuklearny. Okręt nasienny Dryblasów startuje z powierzchni osiemdziesiąt trzy kilometry na północny zachód od SL Czerwonej.

– Potwierdź ostatnią wiadomość, Wydech Czerwony Jeden. Czy właśnie powiedziałaś, że okręt nasienny Dryblasów startuje z powierzchni Marsa? – Ton głosu oficera wyraźnie wskazywał, że według niego postradałem zmysły.

– Sprawdź przekaz wizualny. Już do połowy wynurzył się spod ziemi. Jeśli przejdzie przez atmosferę na orbitę, nikt z nas nie wróci do domu.

Oficer z dowództwa przez chwilę oglądał wideo, a następnie złamał protokół łącznościowy, nadając bardzo wyrafinowany strumień przekleństw.

– Powtarzam: proszę o priorytetowy nalot nuklearny. Musicie rzucić na niego parę atomówek, zanim wzniesie się zbyt wysoko. Zróbcie to natychmiast. Przekazuję dane PRC.

– Wydech Czerwony Jeden, czekaj.

Wiedziałem, że oficer z dowództwa pędzi właśnie w panice przez BCI, żeby powiedzieć o sprawie szyperce, która za kilka sekund podniesie słuchawkę, by porozmawiać z generałem dowodzącym całym zespołem zadaniowym. Spodziewałem się,



że odpowiedź nie zajmie długo, i okazało się, że miałem słuszość. Dwadzieścia sekund później znów odezwała się „Falanga”.

– Jest zezwolenie na atak nuklearny. Najbliższą jednostką uzbrojoną w atomówki jest „Kirow”, który właśnie zmienia pozycję. Wystrzeli rakiety za siedem minut.

– Niech wypuści je szybciej, jeśli to możliwe – odparłem. – Kto wie, jak wysoko wzniesie się to cholerstwo za siedem minut.

– W praktyce to będzie wybuch powietrzny – powiedział oficer z dowództwa. – Możecie mieć za mało czasu, żeby się oddalić.

– „Falanga”, nie ma innego wyjścia. Atomówki muszą spaść na ten okręt natychmiast, inaczej wszyscy dziś zginą.

– Potwierdzam – nadał operator z orbity i umilkł na chwilę. – Przekazaliśmy dane PRC na „Kirowa”. Macie siedem minut na opuszczenie okolicy i ukrycie się.

– Tak jest. Wydech Czerwony Jeden bez odbioru.

Obróciłem się do Dmitrija.

– Pogadaj ze swoimi kumplami na „Kirowie” i spytaj, jaką moc nadadzą tej atomówce. Powiedz im, że powinno być przynajmniej dwadzieścia kiloton. A jeszcze lepiej sto.

Rosjanin odbył krótką i zwięzłą rozmowę.

– Dwie megatony, pojedyncza głowica – powiedział do nas, gdy skończył.

– Cholera – skomentowałem. – Będzie wielkie bum.

– Nasze systemy celownicze nie są tak dobre, jak te Wspólnoty. Musimy to rekompensować większymi głowicami.

– Niech pan nas stąd zabierze, poruczniku – odezwałem się do

Stahla, który podkreślał już obroty silnika Łasicy.

– Dokąd jedziemy? – spytał Niemiec.

Wyglądał na przerażonego, zapewne dlatego, że nigdy nie znajdował się blisko głowicy nuklearnej, nie mówiąc już o detonacji. Europejczycy już siedemdziesiąt lat wcześniej zrezygnowali z broni atomowej i była ona teraz dla nich niczym jakiś mistyczny anioł śmierci. Z kolei ja widziałem wystarczająco wiele wybuchów w pobliżu, by znać dobrze ich ograniczenia. Wybuchały spektakularnie, lecz efekty były przewidywalne i do uniknięcia, jeśli wiedziało się, gdzie się przyczaić.

Spojrzałem na mapę topograficzną i wskazałem na miejsce po przeciwległej stronie wzniesienia, na którym staliśmy.

– W tym parowie. Niech nas pan tam dowiezie w mniej niż siedem minut, inaczej ten dzień bardzo szybko zrobi się dla nas gówniany.

– Już jest gówniany – uznał Dmitrij.

Gdy porucznik Stahl wykręcał wozem, spojrzałem po raz ostatni na okręt nasienny, już niemal całkowicie wyłaniający się z głębokiego na trzy kilometry otworu, który zostawił w powierzchni Marsa. Koronkowa struktura, którą nazywaliśmy „osiedlem”, w większości spadła z kadłuba niczym zwiędłe, niepotrzebne już korzenie. Okręt miał w sobie coś wyraźnie odmiennego: wszystkie, które do tej pory widywałem, były czarne niczym obsydian, lecz ten miał pomarańczowoczerwony odcień marsjańskiej gleby.

– Rakiety wystrzelone – poinformowała „Falanga” dwie minuty później. Broń jądrowa kieruje się do waszego PRC,

uderzenie za trzy minuty i czterdzieści pięć sekund.

Zjeżdżaliśmy po zboczu, kierując się na parów leżący po drugiej stronie osady Dryblasów. Wiedziałem z doświadczenia, że powinniśmy bez problemu przetrzymać tam wybuch, chyba że Rosjanie błędnie określili moc i zaprogramowali dwadzieścia pięć megaton zamiast dwóch, jednak niemiecki porucznik wyraźnie robił pod siebie ze strachu.

– Myślałem, że atomówki nie działają na okręty nasienne – rzekł z oczyma utkwionymi znów w wyświetlacz przezierny.

– Nie działają w kosmosie – wyjaśniłem. – Bez atmosfery nie ma fali uderzeniowej ani efektów promieniowania cieplnego. Kadłuby okrętów nasiennych mają dwadzieścia metrów grubości. Blokują promieniowanie gamma. Atomówki nie są zbyt skuteczne w przestrzeni, ale tu, w atmosferze, to zupełnie inna sprawa.

A przynajmniej taką mam nadzieję, pomyślałem. Jeśli nie zdołamy ich obić naszym największym kijem nawet na powierzchni, będziemy mieć naprawdę przejebane, ponieważ nie będziemy przecież strzelać z Orionów do planet i księżyców, które zamierzaliśmy zachować dla siebie.

Trzy minuty.

Stahl zasuwał Łasicą po trzydziestostopniowym stoku, wybierając jak najprostszą drogę, żeby ograniczyć możliwość wywinięcia przez nas salta przy osiemdziesięciu kilometrach na godzinę. Choć dzieliło nas zbocze, wciąż słyszałem brzęczący ryk wznoszącego się powoli okrętu nasiennego. Nie widziałem dysz silników fuzyjnych ani czegokolwiek przypominającego systemy napędowe wykorzystywane przez ludzi w atmosferze albo

przestrzeni. Nasze wielkie jednostki nie były w stanie lądować ani startować z powierzchni, musieliśmy je konstruować w stocznjach orbitalnych, tymczasem wyglądało na to, że Dryblasy hodowali swoje pod powierzchnią zajmowanych przez siebie globów. Wiedzieliśmy o dziesiątkach osiedli na Marsie, co oznaczało, że pod glebą kryją się również dziesiątki jednostek, czekając na start i wejście na orbitę. Wysłałem priorytetową wiadomość do Dowództwa Sił Naziemnych Czerwonych, informując o sytuacji, żeby nie zdziwili się, gdy za chwilę dostrzegą na horyzoncie eksplozję jądrową o mocy dwóch megaton.

Dwie minuty.

Dotarliśmy do podnóża wzniesienia. Wąwóz był wąski i miał bardzo strome ściany. Porucznik niemal przewrócił Łasicę, gdy się do niego stoczyliśmy z krawędzi, ale zdołał na czas opanować pojazd. Oznaczyłem najlepsze miejsce do przeczekania wybuchu i Niemiec kluczył w parowie wokół głazów wielkości naszego wozu.

– Niech mi pan powie, że Łasica jest wyposażona w pełną ochronę przed opadem nuklearnym – poprosiłem.

– Oczywiście – odrzekł. – Ma systemy nadciśnienia i filtracyjne, a także automatyczny system dekontaminacyjny.

Jedna minuta.

– Niech pan stanie tutaj – powiedziałem. – Zaparkuje dokładnie we wskazanym punkcie. Szybko, szybko.

Stahl wykonał ściśle polecenie, a później sprawdził stan uprząży bezpieczeństwa, zupełnie jakby miało to zrobić jakąkolwiek różnicę, jeśli fala uderzeniowa porwie

dziesięcotonowy pojazd.

– Dmitrij, gotów? – spytałem. Rosjanin nie wyglądał nawet w jednej dziesiątej na tak nerwowego jak Niemiec, ale rzadko wydawał się czymkolwiek zaniepokojony czy poruszony.

– To rosyjska artyleria – rzekł.

– Zazwyczaj trafia w dobry cel – dokończyłem za niego, a on się uśmiechnął. Obaj wiedzieliśmy, że jeśli ta głowica trafi po niewłaściwej stronie wzniesienia, i tak zginiemy w ciągu milisekundy i nie będzie czasu na ból lub żal.

Rosyjska głowica zgodnie z obietnicą trafiła po drugiej stronie góry, jedynie cztery sekundy po przewidywanym czasie. Dwumegatonowa detonacja rąbnęła solidnie. Dotąd przeczekiwałem tylko dwie silniejsze, piątkę i siódemkę, ale dwójka wcale nie wydawała się od nich mniej potężna. Byliśmy osłonięci przed falą uderzeniową i ciepłą przez miliony ton marsjańskiej skały, jednak dźwięk towarzyszący wybuchowi wciąż wydawał się apokaliptyczny. Nic nie przypomina odgłosu eksplodującej bomby atomowej, jeśli jest się blisko punktu zerowego. Zupełnie jakby rozrywała się planeta. Fala uderzeniowa przeniosła się przez skały i tak mocno zatrzęsa naszym małym pojazdem zwiadowczym, że ucieszyłem się, iż był wyposażony w pięciopunktowe pasy bezpieczeństwa. Mnóstwo kontrolek ostrzegawczych wpadło w szal na desce rozdzielczej, gdy komputer wykrył alarmująco nagle zmiany w zewnętrznej temperaturze, ciśnieniu powietrza i poziomie promieniowania.

Przywykłem do tego, że znosiłem detonacje bomb jądrowych

wyłącznie w robalowej skorupie, i wiedziałem, że Dmitrij też miał doświadczenie na tym polu, ale Niemiec zareagował bardzo nerwowo. Przez kilka minut nic nie widzieliśmy, ponieważ ogromna atomowa chmura, która podniosła się w wyniku wybuchu, sprawiała, że na nasz kadłub wciąż spadał żwir. Odgłos eksplozji przetaczał się po okolicy i odbijał od okolicznych gór, omywając nas raz za razem.

Gdy efekty detonacji już po nas przeszły, stuknąłem porucznika Stahla w ramię.

– Niech pan zawróci i wjedzie na sto pięćdziesiąt metrów. Chcę przeprowadzić ocenę po ataku, żeby upewnić się, czy załatwiliśmy gnojków.

– Nie powinniśmy poczekać, aż wszystko minie?

– Najgorsze już za nami, a promieniowanie utrzyma się jakiś czas. Poza tym nie chciałby pan chyba przegapić swojego pierwszego atomowego grzyba.

Objechaliśmy z powrotem wzniesienie, docierając do miejsca, w którym parkowaliśmy wcześniej. Dolina i płaskowyż poniżej nie były widoczne gołym okiem, w powietrzu wciąż unosił się gęsty czerwono-brązowy marsjański pył. Przełączałem po kolei alternatywne tryby widzenia, aż dotarłem do nakładki termowizyjnej. Stahl nie mógł oderwać wzroku od złowrogiej czarno-czerwonej chmury w kształcie grzyba, kotłującej się na niebie zaledwie siedem czy osiem kilometrów od nas.

Okręt nasienny zamienił się w rozerwaną skorupę połowy pierwotnych rozmiarów. Jego elementy wciąż były rozpalone do białości w wyniku energii wyzwolonej przez bliską eksplozję bomby nuklearnej, która unicestwiła górną część

trzykilometrowego kadłuba. Reszta spadła na ziemię, z powrotem do otworu, z którego uniosła się kilka minut wcześniej.

– „Falanga”, tu Wydech Czerwony Jeden. Ocena po ataku.

– Podaj ocenę.

– Bezpośrednie trafienie, cel zniszczony. Przekaż to artylerii z „Kirowa”. Właśnie zaliczyli okręt nasienny.

– Przyjąłem, Wydech Czerwony Jeden.

– I poinformuj też zespół zadaniowy. Muszą włączyć pozostałe atomówki we wszystkie naniesione przez nas osiedla. Moim zdaniem pod każdym z nich kryją się okręty.

– Informuję, że już się za to zabraliśmy.

– Kierujemy się do SL Czerwonej celem ewakuacji. Wydech Czerwony Jeden bez odbioru.

Wyłączyłem nadajnik i szturchnąłem porucznika, żeby oderwać jego uwagę od grzyba.

– Jedziemy do kosmoportu – powiedziałem. – Musimy tam dotrzeć, zanim odleci ostatni desantowiec.

– Dwie megatony – rzekł Niemiec z niedowierzaniem i podziwem w głosie. – Czy to nie był przypadkiem nadmiar środków bojowych?

– Nie istnieje coś takiego, jak nadmiar środków bojowych – odparł Dmitrij. – Jeśli coś warto zniszczyć, to warto również przyłożyć się do niszczenia.

## Rozdział 21

# Ucieczka z plaży przed przyływem

Potrzebowaliśmy dwóch godzin, żeby dotrzeć do Portu Kosmicznego Olympus. Łasica była bardzo szybka, ale w okolicy roilo się od licznych grup Dryblasów podążających w tym samym kierunku i porucznik Stahl musiał się solidnie napracować, wytyczając pomiędzy obcymi trasę w taki sposób, by trzymać się od nich w bezpiecznej odległości.

– No cóż, chyba nic z tego – powiedziałem, patrząc na to, co dzieje się na płaskowyzu przed kosmoportem.

Widok skojarzył mi się ze starodawnymi filmami westernowymi, które puszczano w sieciowizji w gównianych porannych godzinach: tubylcy okrążający kawalkadę wozów dzielnych osadników. Wokół portu kosmicznego tłoczyły się setki Dryblasów, napierających i próbujących zgnieść obronę. W powietrzu znajdowały się okręty desantowe, a samoloty szturmowe latały na wyższych pułapach, ale nasza obecność w powietrzu wydawała się znacznie słabsza niż wtedy, gdy na powierzchnię przybyła czwarta fala i baza działała na pełnych obrotach. Z odległości dziesięciu kilometrów dostrzegałem na betonie stanowiska bojowe, autonomiczne działka automatyczne ZCR obok załogowych WPA, Muły



z dwudziestopięciomilimetroowymi karabinami na wieżyczkach, a także mnóstwo piechoty na pozycjach strzeleckich pomiędzy budynkami i hangarami. W głębi bazy, na lądowiskach desantowców, w powietrze wznosiły się Osy i Akuły, nie atakując obcych, i zgadywałem, że na ich pokładach umieszczono cywilów i żołnierzy. W czasie, gdy wzywaliśmy atomówkę na okręt nasienny, a później długo przebijaliśmy się do kosmoportu, musiano zarządzić ewakuację.

– Nie przedrzemy się przez Dryblasów – stwierdził Stahl. – A nawet gdyby nam się udało, możemy wpaść pod sojuszniczy ogień.

Wszedłem na kanał brygady i wywołałem sztab. Oficer, który odpowiedział, wydawał się bardzo zestresowany.

– Sztab, tu Wydech Czerwony Jeden. Jestem dziesięć kilometrów za płotem wraz z rosyjskim kontrolerem walki oraz łącznikiem z Eurokorpusu, a na naszej drodze stoi z tysiąc Dryblasów. Jest jakaś szansa, żebyście przysłali po nas desantowiec?

– Obawiam się, że nie, Wydech Czerwony Jeden. Wszystkie nasze ptaszki są zajęte nalotami albo ewakuacją. Musicie przedostać się przez kordon. Ale się pospieszcie. Okienko ewakuacyjne będzie otwarte jeszcze tylko sześćdziesiąt pięć minut, a „Falandze” skończyły się rakiety, więc nie da się zrobić już więcej dziur w polu minowym.

– Ech, kurwa. – Uznałem, że nie ma sensu spierać się z oficerem z dowództwa. Okręt desantowy potrzebował czterdziestu minut, by dostać się na orbitę, mieliśmy więc zaledwie dwadzieścia pięć minut, żeby złapać podwózkę, inaczej

zostaniemy na Marsie. – Jedziemy. Zarezerwujcie nam trzy miejsca.

Obróciłem się do Niemca.

– Mam dla pana kiepskie wieści, poruczniku – powiedziałem.

– Nie możemy liczyć na transport z naszej strony. A jak od was?

– Eurokorpus już się ewakuował – odparł z odrobiną zniechęcenia w głosie.

– Dmitrij?

Rosjanin jedynie pokręcił głową.

– No dobrze. Jeśli chcemy wydostać się stąd żywi, mamy dwadzieścia cztery minuty, żeby dotrzeć na lądowisko.

– Ty bierz karabin, ja poprowadzę – zaproponował Dmitrij. – Pamiętaj, to tylko jak w godzinach szczytu w Moskwie.

– Nie mogę pozwolić wam kierować, ponieważ nie macie oficjalnego zezwolenia na posługiwanie się tym typem pojazdu – oznajmił Stahl. Dmitrij i ja wyszczerzyliśmy się, po czym roześmiałem się głośno, gdy uświadomiłem sobie, że niemiecki porucznik nie żartował.

Do bazy lotniczej prowadziły dwie drogi: jedna od północy, druga od południa. My nadjeżdżaliśmy tą pierwszą, wykorzystując gładką powierzchnię, żeby rozpędzić Łasicę do maksymalnej prędkości. Trzy kilometry przed główną bramą przejazd blokowała grupa Dryblasów, nie byli jednak odwrócenii w naszą stronę.

– Do wszystkich, do wszystkich! – zawołałem na lokalnym kanale obronnym. – Sojuszniczy pojazd opancerzony jedzie drogą północną, więc uważajcie, gdzie strzelacie!

Porucznik Stahl przemykał między obcymi, reagującymi zbyt późno, żeby nas złapać. Łasica została wyposażona w porządny sygnał dźwiękowy i Niemiec trąbił, gdy mijaliśmy wrogów, generując z niewidocznych głośników donośny i pogodny trel. Dmitrij jedynie kręcił głową i uśmiechał się do mnie.

Moglibyśmy jechać z włączonym kamuflażem, ale wtedy nasi by nie widzieli wozu i mogliby do nas przypadkowo wystrzelić, więc w drodze przez strefę walki przed pasami startowymi Stahl wolał polegać na prędkości i zwinności Łasicy. Omijaliśmy grupy Dryblasów, a w naszym kierunku od strony hangarów pędziły smugowce i pociski artyleryjskie. Wrażenie było takie, jakbyśmy nagle wdarli się od niewłaściwej strony na strzelnicę z ostrą amunicją. Mogło być na to za późno, ale miałem nadzieję, że działonowi z ZCR dodali pojazdy Eurokorpusu i WPA do „listy rzeczy, które nie są nieprzyjaciółmi, więc lepiej nie rozwalać ich w drzazgi” do komputerów sterujących ich automatycznymi działkami strażniczymi.

Seria przemknęła na prawo od nas w drodze do obcego za nami i usłyszałem odgłosy kilku pocisków odbijających się od lekko opancerzonego kadłuba Łasicy. Musiałem przyznać porucznikowi, że prowadził wóz równie dobrze, jak Halley pilotowała desantowiec. Uchyłał się, kluczył i przewidywał ruchy znajdujących się przed nami Dryblasów przy takiej prędkości, że zapewne zdołałby tym zwinnym samochodzikiem zwiadowczym nawlec igłę. Ponieważ Dmitrij i ja nie mieliśmy do czego strzelać ani czego wypatrywać, mogliśmy jedynie siedzieć czujnie i żywić nadzieję, że żaden pocisk artyleryjski nie wybuchnie prosto na masce, zanim zdążymy dotrzeć do coraz

mniejszego skrawka przyjaznego terytorium otaczającego pancerne hangary.

Kilometr przed linią defensywy tuż przed nami nastąpiła głośna eksplozja i coś rozerwało jedną z opon. Łasicą gwałtownie wstrząsnęło i pojechała na kołach z tylko jednej strony. Dmitrij i ja złapaliśmy się uchwytów pod sufitem, spodziewając się, że wóz w każdej chwili może się przewrócić, ale po kilku przerażających sekundach Stahl zdołał odzyskać kontrolę. Gdy znów dodał gazu, po lewej stronie zaczął dobiegać wyraźny urywany dźwięk, zgrzytanie połączone z rytmicznym stukaniem, świadczący przynajmniej o zniszczonej feldze, a być może nawet o pękniętej osi czy zawieszeniu. Za każdym razem, gdy wjeżdżaliśmy w jakieś zagłębienie, Łasicą tak rzucało, że aż dzwoniły nam zęby. Do naszej linii zostało osiemset metrów, zatem moglibyśmy tam dotrzeć nawet biegiem, gdybyśmy zdecydowali się zostawić Łasicę, ale koncepcja wysiadania w trwającej strzelaninie sprawiła, że żołądek skurczył mi się ze strachu.

W końcu przejechaliśmy przez strefę walki i oba pasy startowe. Porucznik Stahl zwolnił nieco. Z mojego stanowiska z tyłu widziałem, że twarz miał zlaną potem. Wszyscy ciężko dyszeliśmy. Dmitrij wyciągnął rękę i poklepał porucznika po ramieniu.

– Świetna jazda. Odwołuję tego „duraka”. Za coś takiego może pan w każdej chwili zajrzeć na „Kijów”, żeby się ze mną napić.

---

Piechota pomiędzy hangarów wycofywała się stopniowo, zostawiając działka autonomiczne oraz kilka jednostek bliskiego

wsparcia w powietrzu, żeby powstrzymywały atakujących Dryblasów. Setki obcych leżały w strefie przed pasami startowymi, ale kolejne setki napierały. Wiedziałem, że niezależnie od okienka ewakuacyjnego ta baza upadnie w ciągu trzydziestu minut, jeśli nie wymieni nas świeży pułk i kilkadziesiąt Dzierzb.

Dotoczyliśmy się do lądowiska desantowców, gdzie setki ludzi próbowały dostać się na pokłady dziesięciu pozostałych okrętów. Ustawiliśmy się w kolejce do jednej z Ważek, a szef załogi gestem wskazał, żebyśmy wchodzili. Siedzenia były już zajęte przez żołnierzy, w większości przez wyczerpanych kosmicznych piechociarzy o spojrzeniach takich, jakby walczyli już od tysiąca lat. Usiadłem na podłodze i przypiąłem się do przelotki służącej do mocowania ładunku. Będzie mną miotało, jeśli wpadniemy w kłopoty, ale przynajmniej nie rzuci mnie przez całą ładownię, żebym złamał kark na tylnej rampie. W Ważce, mieszczącej czterdziestu paru ludzi ze sprzętem, znalazło się niemal dwa razy więcej. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że w pojeździe Eurokorpusu zostawiłem karabin, ale raczej nie przydałby mi się tutaj. Jeśli trafi nas mina zbliżeniowa, zginę niezależnie od tego, czy posiadam broń. Zresztą i tak byłem zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować. Dmitrij i porucznik Stahl trafili gdzie indziej i nie widziałem ich, ale na pewno znajdowali się na pokładzie, więc jeszcze przez jakiś czas nasze losy miały się ze sobą splatać.

– Hej, poruczniku! – Z rzędu rozkładanych siedzeń na prawo ode mnie dobiegł znajomy głos. Obróciłem się i zobaczyłem młodszą chorążą Crawford, żołnierkę, z którą na złamanie

karku zasuwalem terenówką.

– Chorąży Crawford – powiedziałem. – Cieszę się, że załapaliście się na podwózkę.

– A ja, że pan również, sir. A tak w ogóle, to wygląda pan jak rozgniecione gówno. Bez obrazy.

– Ciężki dzień – odparłem. – Udało wam się wziąć gorący prysznic?

– Jeszcze nie. Może na lotniskowcu.

– I tak będą musieli przepuścić was przez dekontaminację.

– No i proszę. Pierwsza miła rzecz dzisiaj.

– Wcale nie – odrzekłem. – Będziecie musieli rozebrać się przed całym pokładem lotniczym.

– W tym momencie jestem tak kurewsko zmęczona, że nie przejąłabym się, nawet gdyby transmitowali to na całą Flotę.

---

Wystartowaliśmy jako przedostatni z Portu Kosmicznego Olympus wraz z innymi poturbowanymi i wyczerpanymi resztkami Pierwszej Brygady. Za kilka minut na Plaży Czerwonej będzie roić się od Dryblasów, ale nie zostawiliśmy nikogo oprócz naszych poległych.

Na zewnątrz szalała apokalipsa. Zdrętwiałymi ze zmęczenia palcami podłączyłem się do okrętowych kamer, po raz kolejny wykorzystując uprawnienia kontrolera walki w sposób stanowiący naciągnięcie przepisów, i niemal pożałowałem, że zechciałem się dowiedzieć, co działo się na powierzchni. Dryblasy wdzierali się do kosmoportu ze wszystkich stron, powstrzymywani jedynie przez palbę ze strony automatycznych działek strażniczych rozstawionych po to, żeby osłaniały odwrót

ostatnich jednostek piechoty. Eskortujące nas Dzierzby przeprowadzały ataki na napierający tłum obcych, wystrzeliwując dziesiątki pocisków i wypuszczając rakiety z pylonów na skrzydłach, ale te wysiłki kojarzyły mi się z próbami gaszenia ogniska małym kubkiem wody.

Na równinach za lotniskiem, gdzie chorąży Crawford i ja walczyliśmy z obcymi podczas powrotu ze stacji naukowej, kolejne istoty wyłaziły z dziur w ziemi, których tam na pewno nie było, gdy lecieliśmy do Tuttle Dwieście Pięćdziesiąt z misją ratunkową. Nigdy nie sądziłem, że uda się nam zlikwidować wszystkich Dryblasów na Marsie, ale widząc ich teraz więcej niż wtedy, gdy dysponowaliśmy pełną siłą bojową, czułem się zniechęcony i pozbawiony morale. Krążowniki nie miały na pokładach dość bomb jądrowych ani głowic kinetycznych, żeby wybić te nowe hordy, a ponieważ wiedziałem, ile czasu zajęło wytrenowanie straconych przez nas właśnie żołnierzy, nie miałem wątpliwości, że aby dysponować choć szansą na zwycięstwo, potrzebowalibyśmy przynajmniej dwudziestu lat pracy w obozach szkoleniowych. Nie miałem pojęcia, jak będzie wyglądała kolejna faza wojny, ale na pewno musieliśmy wypracować zupełnie inne podejście.

W oddali widziałem oślepiające błyski detonacji jądrowych. Flota otrzymała rozkaz i teraz zrzucała wszystkie posiadane atomówki na osiedla Dryblasów. Jeśli rzeczywiście pod każdym krył się konstruowany – a może hodowany? – okręt nasienny, nie mogliśmy sobie pozwolić na zostawienie choćby jednego. Odczuwałem mimo wszystko pewną ponurą satysfakcję, że owszem, czekało nas wymyślenia nowej taktyki, jednak ich

również, ponieważ nie mogli już polegać na przytłaczającej przewadze swoich jednostek kosmicznych.

Położyłem się na pokrytej gumą podłodze Ważki między rzędami trepów z PK w brudnych, zakurzonych pancerzach i odkryłem, że dopóki nie pozwoliłem mięśniom na relaks, nie zdawałem sobie nawet sprawy, jak bardzo byłem wyczerpany. I choć setki metrów pode mną szalał chaos, choć nie wiedziałem, jak zakończy się lot na orbitę, i choć uderzenia nuklearne rozświetlały powierzchnię Marsa, odpłynąłem w sen.

Obudziłem się dopiero, gdy godzinę później znaleźliśmy się na pokładzie lotniczym OWPA „Polaris”.

Następne pół dnia na lotniskowcu poświęciłem na dekontaminację, zgarnięcie czegoś do żarcia i pobranie świeżego munduru roboczego z kwatermistrzostwa. Pokład wypełniali ludzie i sprzęt, jednak w przeciwieństwie do lotu na Czerwoną Planetę, próżno tu było spodziewać się schludności czy uporządkowania. Ewakuacja awaryjna nastąpiła tak gwałtownie, że załogi nie miały czasu na organizację. Okręty desantowe zgarnęły nas i zostawiły tam, gdzie było miejsce. Nasza trójka dopiero po sześciu godzinach trafiła na Osę, która wiozła żołnierzy z powrotem na „Falangę”. Podczas krótkiego lotu rozejrzałem się po ładowni, jednak nie dostrzegłem nikogo z pododdziału sił specjalnych, z wyjątkiem Dmitrija i porucznika Stahla, co mnie zasmuciło. MilNet był wyłączony, a przeciążone tak-łącze działało chaotycznie. Próbowałem przesłać wiadomość do Halley, ale sieć okazała się tak powolna, że nawet komunikat o błędzie dotarł do mnie dopiero po trzydziestu minutach.



Walka z przeważającymi siłami wroga na powierzchni to jedno, ale brak możliwości skontaktowania się z żoną lub nawet sprawdzenia, gdzie się znajduje, był tysiąc razy gorszy.

Po powrocie na „Falangę” zgłosiłem się do dowódcy, choć niczego nie pragnąłem bardziej niż prysznic w mojej kajucie w Krainie Trepów i nieprzerwanych dwudziestu czterech godzin snu. Pułkownik Yamin przebywała w BCI z majorem Masoudem, który spojrzał na mnie z niemal ojcowską troską.

– Daliśmy sobie skopać tyłki – podsumowałem, gdy przekazałem swoją wersję wydarzeń.

– I co pan teraz myśli, poruczniku? – spytał Masoud.

– Nigdy nie zdołamy usunąć ich z Marsa. Zeszli pod ziemię. Przeanalizowali nasz sposób walki i zastosowali przeciwśrodki. Potrzebowalibyśmy dziesięć razy więcej żołnierzy, niż mieliśmy, a i tak stracilibyśmy połowę z nich, gdybyśmy weszli do tuneli, żeby wykurzyć Dryblasów. Wystarczyła mi Grenlandia, sir.

– Pod względem taktycznym mamy na Marsie impas – zgodził się major. – Ale osiągnęliśmy niemal wszystkie założone cele. Poruczniku, uratowaliśmy pięć tysięcy cywilów. Z każdej utrzymującej się placówki poza jedną. I nigdy nie zamierzaliśmy odzyskiwać całego Marsa, a tylko sprawić, żeby nie wykorzystywali go obcy.

– Jeśli te podziemne okręty wejdą na orbitę, będzie ich dwa razy więcej niż wcześniej, sir. Mogę się założyć, że każde z tych osiedli jest tak naprawdę okrętem nasiennym. I widziałem też inne rzeczy...

Urwałem, przypominając sobie Dryblasów wnoszących ciała

żołnierzy do swoich tuneli. Może część z nich wciąż żyła, a my nie zdołamy wrócić i ich uratować albo zabrać zwłoki.

– Zostawiamy na orbicie flotę garnizonową – poinformował Masoud. – Krążowniki otrzymają nową amunicję, gdy tylko dotrze tu następna fala statków zaopatrzeniowych. Obecnie atomówki są zrzucające na wszystkie osiedla obcych, które udało się znaleźć. Ta walka nie dobiegła jeszcze końca, ale, na Boga, nie przegraliśmy tutaj. Utoczyliśmy im krew.

Spojrzał na mnie i wskazał wyjście z BCI.

– Proszę się zająć sobą, poruczniku Grayson. Nie chcę pana widzieć przy żadnej aktywności przez następnych czterdzieści osiem godzin. Po powrocie na Ziemię będziemy mieć mnóstwo czasu na szczegółowe sprawozdanie. Niech się pan umyje, zje i prześpi. Odnieśliśmy dziś wielkie zwycięstwo.

– Tak jest, sir – odpowiedziałem. Był to pierwszy wydany mi przez majora Masouda rozkaz, po którym nie czułem się, jakbym był marionetką, a on pociągał za moje sznurki, nie spierałem się więc.

---

Zanim wziąłem się za siebie, musiałem zająć się innymi sprawami. Gdy wróciłem do Krainy Trepów, pustej, nic licząc moich kolegów z Rosji i Europy, odpoczywających już w swoich kwaterach, przeszedłem do własnej kajuty i uruchomiłem terminal sieci neuronowej. Moja osobista skrzynka pocztowa wyglądała podobnie, jak ją zostawiłem, z jedynie dwiema nowymi wiadomościami u szczytu listy. Pierwsza pochodziła z uprzywilejowanego konta mojej matki, należącego się krewnym żołnierzy, a druga od sierżanta Philbricka.

Sprawdziłem datę wysłania tej od Philbricka i zobaczyłem, że jest z dzisiaj. Nie musiałem otwierać maila, by wiedzieć, że żyje, a jeśli Humphrey lub Nez zginęli na Marsie, nie chciałem dowiadywać się o tym w tej chwili. Nie dostałem jednak nic od Halley, a miałem pewność, że napisałaby, gdyby wróciła już bezpiecznie z powierzchni.

Poinformowałem ją, że ze mną w porządku, i poprosiłem, żeby odpowiedziała, gdy znów znajdzie się w zasięgu sieci. Nie dysponowaliśmy jeszcze listą poległych, ponieważ wszystko pozostawało w stanie świeżego chaosu po bitwie, więc perspektywę gorącego prysznic i czystej koi psuł mi niepokój. Nie wiedziałem, czy moja żona wciąż żyje, czy siedzi w kokpicie desantowca wiozącego żołnierzy na lotniskowiec, czy też może przyczaiła się gdzieś na Marsie, czekając na pomoc, która nie nadejdzie. Nie miałem ochoty myśleć o jej śmierci ani o niezliczonych sposobach, w jaki mogła ona nastąpić, ale mózg i tak podsuwał mi niektóre z nich.

„Odnieśliśmy dziś wielkie zwycięstwo” – powiedział major Masoud. Nie podzielałem jednak tego zdania. Uważałem, że weszliśmy na ring z podobnie klasyfikowanym zawodnikiem, na zmianę się zmasakrowaliśmy i opuściliśmy arenę bez wyraźnego wyłonienia zwycięzcy.

Przez całą tygodniową podróż z Marsa na Węzłową nie otrzymałem żadnych wieści od Halley.

Choć miałem w kieszeni OTI, który przekazywał mi te same wiadomości, obsesyjnie logowałem się do swojego terminala jakieś pięćdziesiąt razy dziennie, w razie gdyby zdarzyła się

przerwa w dostępie do sieci. Jednak bitych siedem dni z rzędu skrzynka pozostawała pusta, nie licząc bzdur od Floty oraz kilku listów wymienionych z Philbrickiem, który desantował się w SL Niebieskiej z Humphrey i Nezem jako dowódcami drużyn. Humphrey żyła, ale zdobyła trzecie Purpurowe Serce po tym, jak oberwała szrapnelem od ostrzału własnego. Nez poległ w akcji, gdy próbował powstrzymać kontrofensywę Dryblasów wraz z drużyną żółtodziobów z PK. Zginęli wszyscy.

Wiedziałem, że Dmitrij trafił na jeden z ostatnich odlatujących desantowców, ponieważ lecieliśmy tą samą Ważką. Kilka godzin później dostał się na jednostkę, która zawiozła go na lotniskowiec ZCR. Pożegnał się ze mną w typowy dla niego, zwięzły sposób. Zastanawiałem się, czy Maksim przeżył bitwę. Choć Dmitrij wydawał się twardy jak skała, miałem wrażenie, że utrata męża zraniłaby go bardziej, niż mógłby go skrzywdzić Dryblas, miałem więc nadzieję, że z jego partnerem wszystko w porządku.

W tych tandetnych wojskowych filmach w sieciowizji akcja przebiegłaby zupełnie inaczej. Desantowałbym się z żoną siedzącą w kokpicie mojego okrętu, ze wszystkimi przyjaciółmi oraz kompanami u boku, i walczylibyśmy ramię w ramię. Ponieśliśmyby pewne straty, część zginęłaby bohaterską śmiercią, wygłaszając przy tym ważne słowa, i wszystko to nauczyłoby nas czegoś o obowiązku, poświęceniu oraz bezsensie wojny. To jednak było prawdziwe życie, prawdziwa wojna, gdzie szło się do boju z żołnierzami, których dotąd się nie znało, a żona dyslokowała się tysiące kilometrów dalej. Prawdziwa bitwa, gdzie dobrzy ludzie umierali szybką i straszliwą śmiercią,

a okropni obcy wychodzili bez szwanku. Dziesiątki cywilów zginęły w momencie oczekiwanej od dawna ewakuacji, ponieważ oficer podjął nieodpowiednią decyzję, na którą miał tylko ułamek sekundy, a później ten oficer stracił życie wraz z ratowanymi, nie otrzymując szansy, żeby pożałować swojego wyboru.

W prawdziwej wojnie wróg mógł dostać solidne baty, a jednak później odwrócić szale i wymusić krwawy impas, choć po obu stronach zginęły tysiące. Pękały opony, wyczerpywały się akumulatory, ważne pociski chybiały celu, a nieprawdopodobne strzały w niemal niemożliwy sposób trafiały w dziesiątkę. Gdy byłem młody i łatwowierny, wydawało mi się, że wojna to swoisty romantyczny sprawdzian osobowości, test męstwa i ducha walki. Tak naprawdę wyzwaniem było jednak pozostanie przy zdrowych zmysłach.

Jednak wrócimy znowu i znowu, dopóki wszyscy nie zginiemy albo nie unicestwimy obcych. Ponieważ, podobnie jak Dryblasy, my również byliśmy gatunkiem, który wydawał się nie zauważać, że dostaje w skórę.

# Epilog

dy tydzień po bitwie na Marsie armada wróciła na Węzłową, cywilna flota na ziemskiej orbicie powtórzyła swój wcześniejszy gest. Ustawili się na podejściu do stacji i mrugali synchronicznie światłami, okazując wdzięczność za to, co zrobiliśmy dla planety. Obserwując te honory z zewnętrznej kamery na ekranie w mojej kajucie, bardzo chciałem to docenić, ale potrafiłem myśleć wyłącznie o tym, że Halley spodobałby się ten widok i że ostatnia wiadomość, jaką do niej napisałem przed odlotem, dotyczyła podobnej ceremonii. Wszyscy dostaliśmy przepustki, teoretycznie na trzydzieści dni, ale panowało przekonanie, że dowództwo nie będzie się do nikogo przypieprzać, nawet jeśli przedłuży sobie wolne. Nigdy dotąd nie czułem tak głębokiego zmęczenia umysłowego i fizycznego, tak silnego i bolesnego znużenia z braku snu i wyczerpania po ciężkiej walce.

Większość tego tygodnia spędziłem, sprawdzając skrzynkę pocztową i czekając na sygnał przychodzącej wiadomości. Codziennie pisałem do Halley. Z początku były to jedynie prośby, a później błagania, żeby się do mnie odezwała. Trzeciego dnia listy stały się dłuższe, opisywałem w nich rzeczy, które będziemy robić, kiedy wrócimy do domu, choć dobrze wiedziałem, że może nigdy nie przeczytać moich słów.

Po powrocie odbyliśmy liczne odprawy, podczas których

informowaliśmy się nawzajem o wydarzeniach. Zespół zadaniowy poniósł stosunkowo niewielkie szkody w kosmosie. Straciliśmy oczywiście bezcennego „Agincourt”, ale uratowaliśmy większość jego załogi. Poza tym tylko jeden krążownik kontroli przestrzeni oraz starsza fregata zostały zniszczone przez miny Dryblasów.

Zginął także jeden członek naszego pododdziału sił specjalnych, porucznik Paquette. Pobiegł w miejsce upadku desantowca i bronił dwóch rannych pilotów oraz martwego szefa załogi przed sześcioma obcymi. Zdołał wykończyć dwóch, zanim wrogowie wszystkich zabili. Krążyły pogłoski, że brygada wystąpiła o odznaczenie go Medalem Honoru. Wszyscy Rosjanie przeżyli bitwę i dzień po naszym odlocie zostali przeniesieni na lotniskowiec „Mińsk”. Jeszcze bardziej polubiłem Dmitrija i cieszyłem się, że może wrócić do domu, by znów zobaczyć się ze swoim mężem, choć przez to jeszcze boleśniej odczuwałem niepewność co do losów Halley. Mieliliśmy mnóstwo nieśmiertelników do posortowania, a także długą listę nazwisk żołnierzy, których identyfikatorów oficjalnie nie pobrano, lecz miejsce ich pobytu pozostawało nieznane. Ponieważ tak wiele brygad rozproszono na tak wielu okrętach, minie wiele dni, zanim uda się wszystko uporządkować. A przynajmniej tak sobie powtarzałem.

Na Marsa desantowało się dwadzieścia tysięcy żołnierzy z Piechoty Kosmicznej i sił specjalnych. Wróciło jedenaście tysięcy pięćset, w tym niemal dwa tysiące rannych. Potwierdzono zgon czterech tysięcy dziewięciuset, a kolejnych trzy tysiące sześćset uznano za zaginionych,

najprawdopodobniej poległych. Po przeciwnej stronie Dryblasy wypadli znacznie gorzej. Zabiliśmy ponad dziesięć tysięcy z nich w walce bezpośredniej i Bóg wie ilu, gdy pod koniec bitwy spuściliśmy z orbity atomówki na każde znane nam osiedle, zapewne kryjące pod sobą okręt nasienny. Strąciliśmy całą ich flotę nad Marsem i choć podejrzewaliśmy, że dwóch czy trzech maruderów mogło wciąż patrolować okolice węzłów Alcubierre'a, jednostki te nie podchodziły do Czerwonej Planety ani nie przeszkadzały garnizonowi pilnującemu jej z góry. Ewakuowaliśmy ludzi z osiemnastu schronień na powierzchni, nie udało nam się to tylko w jednym przypadku.

Mars od początku został spisany na straty. Odwrócenie Dryblasowych wysiłków terraformowania zajęłoby piętnaście lat, nawet gdyby udało nam się usunąć z planety wszystkich obcych. Teraz zaś, gdy na miejscu ich osad zdetonowano pięćdziesiąt bomb jądrowych wysokiej mocy, przystosowanie Marsa z powrotem do życia potrwałoby jeszcze dłużej. Nie mogliśmy już z niego korzystać, ale to samo dotyczyło też Dryblasów, i taki właśnie był nasz cel: pozbawić ich bazy operacyjnej w Układzie Słonecznym i zlikwidować bezpośrednie zagrożenie wobec Ziemi. Nieprzyjaciele nie mogli nas zaatakować tym, co zostało im na Czerwonej Planecie, ponieważ nie mieli okrętów nasiennych, zatem obie strony wycofały się do swoich narożników z krwawiącymi nosami i zapuchniętymi oczyma. Byłem jednak pewien, że oba gatunki podejmą nową rundę walki, gdy tylko odzyskamy oddech i opatrzymy rany. Wszyscy zabrnęliśmy w tym konflikcie zbyt daleko, żeby miał on się skończyć bez rozstrzygnięcia. Albo nastąpi nasz koniec, albo



ich, ale dopóki Dryblasy próbowali sięgać po to, co nasze, we wszechświecie nie było miejsca na obie rasy.

Czułem się, jakbym zostawił na Marsie połowę siebie i miałem jej nie odzyskać, dopóki nie upewnię się, gdzie przebywa moja żona i co się z nią stało. Jednak gdy zbierałem rzeczy i opuszczałem okręt, żeby samotnie wsiąść na prom lecący na Ziemię, mój OTI wciąż milczał.

Udałem się do Liberty Falls, ponieważ było to jedyne miejsce, w którym czułem się na siłach przebywać, nawet jeśli nie było ze mną Halley. Zostawiłem mały worek ze sprzętem w szafce na stacji i poszedłem na spacer do miasta. Nadeszła zima, na ziemi i chodnikach leżała warstwa śniegu. Wszedłem na trawnik przy dworcu, odsunąłem trochę białego pyłu, a następnie dotknąłem zamarzniętych źdźbeł trawy, pozwalając, żeby ogrzały je moje palce, przypominając sobie, jakie były wiosną i latem. Nie miałem jeszcze ochoty iść do restauracji chorążego Kopki, ponieważ nie chciałem patrzeć na twarze jego i matki, gdy wejdem do środka bez Halley. Nie musiałbym nic mówić, a i tak wiedzieliby, o co chodzi. Zamiast tego poszedłem przez centrum pod mały wodospad, od którego miasteczko wzięło swą nazwę. Nie robił szczególnego wrażenia, ot dwumetrowa kaskada spływająca ze sztucznej krawędzi upiększonej rzecznyymi kamieniami, ale było tu spokojnie i Halley lubiła to miejsce.

Stałem na drewnianym mostku i spoglądałem na rzekę, za moimi plecami cicho szemrał wodospad, a ja uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, co zrobię z resztą swojego życia, jeśli nie będzie w nim Halley. Złożyłem Brygadzie Lazarus obietnicę,

że przez półtora roku będę szkolić jej żołnierzy, i powinienem zrezygnować z kontraktu, żeby dotrzymać słowa. Tego kroku nie musiałem jednak podejmować ani dziś, ani jutro, ani nawet w przyszłym tygodniu. Wyciągnąłem z kieszeni przydziałowy OTI i włączyłem go, elektroniczną smycz, która w każdej chwili mogła przywołać mnie z powrotem do służby, jednak czułem się już zmęczony wypełnianiem jej poleceń. Jeśli tylko one mi zostały, to dalsza część życia miała marne perspektywy.

Urządzenie o zaokrąglonych krawędziach i wytartej obudowie samo przypominało trochę kamień z rzeki. Przypomniałem sobie, ile dobrych i złych wiadomości odczytałem na małym czarno-białym ekranie, i zdałem sobie sprawę, że większość z nich była zła.

Miałem ochotę wrzucić OTI do wody. Miałem ochotę skończyć z życiem, z którym wiązało mnie to urządzenie. Teraz, gdy moja żona zaginęła, a znużenie wydawało się zagnieździć na stałe w moich kościach, musiałem bardziej niż zwykle walczyć z tym pragnieniem. Wojsko dało mi pewną dozę wolnej woli, ale także wiele niedobrych wspomnień i niewyczerpane źródło koszmarów sennych. Z drugiej jednak strony, wprowadziło do mojego życia Halley i wiedziałem, że choć teraz odczuwałem smutek i zmęczenie, wszystko to bym powtórzył – właśnie dzięki temu, że w plutonie szkolenia przygotowawczego numer tysiąc sześćdziesiąt sześć przydzielono nam sąsiadujące prycze.

Połaskotało mnie w dłoń brzęczenie wiadomości przychodzącej. Wpatrywałem się przez chwilę w ekran, wciąż rozważając rzucenie OTI w wodę, jednak włączyłem urządzenie i odczytałem wiadomość.

*Jeszcze dycham.*

Nie była podpisana, ale nie musiała.

Poczułem gwałtowną radość i tak głęboką ulgę, że ciężar, który nosiłem na barkach przez ostatni tydzień, spadł z nich w jednym długim odetchnięciu. Uśmiechnąłem się i wsunąłem OTI z powrotem do kieszeni, po czym zamknąłem oczy i wciągnąłem do nosa zimne, czyste, zimowe powietrze Vermont. Nagle znów zapachniało mi domem.

**KONIEC**





# O autorze

**Marko Kloos** urodził się i wychował w niemieckim mieście Münster. Bywał żołnierzem, księgarzem, dokerem i administratorem sieci w korporacji, zanim uznał, że najbardziej w życiu chciałby robić coś twórczego.

Pisze przede wszystkim science fiction i fantasy, ponieważ pasjami uwielbia te gatunki, odkąd zaczął wydawać kieszonkowe głównie na pulpowe serie SF. Jest autorem bestsellerowej serii Frontlines w realiach militarnego science fiction oraz członkiem pisarskiej grupy George'a R.R. Martina tworzącej we wspólnym uniwersum „Dzikie karty”.

Marko rezyduje w Mroźnym Zamku w amerykańskim stanie New Hampshire wraz z żoną, dwójką dzieci i wędrowną sforą bezwzględnych jamników. Jego oficjalna strona to [www.markokloos.com](http://www.markokloos.com). Można się z nim skontaktować pod adresem [frontlines@markokloos.com](mailto:frontlines@markokloos.com) oraz na Twitterze (na którym spędza zdecydowanie zbyt wiele czasu), gdzie występuje jako [@markokloos](https://twitter.com/markokloos).

COPYRIGHT © 2017 BY Marko Kloos.  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2018

TYTUŁ ORYGINAŁU Fields of Fire

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-379-0

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Postacie i wydarzenia przedstawione w tekście są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest przypadkowe i niezamierzone przez autora.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE Piotr Kucharski

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Anna Samolej, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)



# W OGNIU WALKI MARKO KLOOS

FRONTLINES CZĘŚĆ 5

**Nadeszła pora, aby przenieść walkę na terytorium Dryblasów.**

**M**ars znajduje się pod kontrolą obcych już od ponad roku. Przez ten czas dziesiątkowane siły ziemskich sojuszy odbudowały swoje floty i obsadziły stare okręty świeżo wyszkolonymi żołnierzami. Naczelne dowództwo, rozdarte między chęć wyprzedzenia planów Dryblasów i potrzebą zebrania odpowiedniej potęgi bojowej, postanawia uderzyć natychmiast.

**W**eterani Andrew i Halley znów stają na czele niedoświadczonych żołtodziobów, gdy połączone ziemskie siły występują przeciwko najeźdźcom. Wojny kierują się jednak regułą, że prawie żaden plan nie wytrzymuje pierwszego kontaktu z nieprzyjacielem... A Dryblasy równie mocno chcą utrzymać się na Marsie, jak ludzie pragną go odzyskać.



POBÓR

MARKO KLOOS

poprzedziliśmy  
wielozłotobó



EWAKUACJA

MARKO KLOOS



LANCUCH DOWODZENIA

MARKO KLOOS



Poluj nas na  
facebooku



fabrykasłów

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)